



**ANDREW
NEIDERMAN**

**Podwójna
zemsta**

C&T



„Umarli nie są pogrzebani, dopóki
nie pogrzebiemy ich we własnym sercu...”

Harry Ross nie może się pogodzić ze śmiercią córki, Farah. Podobnie jak jej siostra, Elaine. To Dirk Stoner brutalnie zamordował żonę i czeka teraz w celi śmierci na wykonanie wyroku. Jednak nawet po egzekucji ani Elaine, ani ojciec nie mogą zaznać spokoju. Obsesyjne lęki powracają. Zwłaszcza gdy Elaine poznaje w nocnym klubie Jonathana Lewisa – jego zachowanie i gesty niesamowicie przypominają... Dirka! Wpływowy i zamożny Phillip Stoner, ojciec Dirka, mógł zrobić wiele dla ocalenia syna. Czy zrobił?

Przypadkowa śmierć uznanego chirurga plastycznego sugeruje FBI, że chyba tak...

Amerykański pisarz Andrew Neiderman sławę zyskał po ekranizacji jego „Adwokata diabła” z popisowymi rolami Al Pacino i Keanu Reevesa. Jego mroczne thrillery, zdaniem wielu, to wręcz gotowe scenariusze filmowe.



C&T

22,80 zł

*Dla Hannah Rose,
która jest jak dar losu,
dla której warto żyć.*

ANDREW
NEIDERMAN
Podwójna
zemsta

Przekład: VIOLETTA DOBOSZ

C&T

TORUŃ

Tytuł oryginału:

IN DOUBLE JEOPARDY

Copyright © 1998 by Andrew Neiderman

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2003

Copyright © for the Polish translation by Violetta Dobosz

Opracowanie graficzne: MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie: KUP „BORGIS” Toruń,

ISBN 83-89064-26-X

Wydawnictwo „C&T”

ul. św. Józefa

79, 87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2003. Wydanie I. Ark. wyd. 16; ark. druk. 16,5.

Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne sp. z o.o.,

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

PROLOG

Po wejściu do ruchliwego baru Harry Ross stanął i popatrzył na siedzących na srebrno-czarnych stołkach ludzi, koncentrując się głównie na mężczyznach. Kilku odwzajemniło jego spojrzenie z nikłym zainteresowaniem. Jeden jednak wyglądał, jakby go rozpoznał. Mężczyzna przyłożył dłoń do ust i, nachyliwszy się, szeptał coś do ucha siedzącej obok kobiety. Ta pokiwała głową, odwróciła się i szeroko otworzyła oczy.

Harry zignorował ich. Wzrokiem przeczesywał wyłożone czarnym winylem boksy, aż dostrzegł szczupłego rudzielca około czterdziestki, dającego mu ze swego miejsca dyskretne znaki.

- Nie spodziewałem się zastać pana po cywilnemu - wyznał Harry, zajmując miejsce przy ławie naprzeciwko Wayne'a Echerta.

Z niewielkich głośników w tyle pomieszczenia płynął aksamitny głos Toni Braxton tłumiony gwarem rozmów, brzęczeniem zastawy i regularnym wykrzykiwaniem zamówień przez kelnerki i barmanów.

- Mundur funkcjonariusza służby więziennej przyciągałby uwagę, panie Ross. Pomyślałem, że nie życzyłby pan sobie tego, zwłaszcza że sępy z mediów nie przestają nękać pana i pańskiej rodziny.

- Gównu mnie obchodzą media - powiedział Harry.

Nawet on sam skrzywił się, słysząc własne przekleństwo. Do śmierci Farah i procesu nie należał do ludzi, którzy wulgaryzmami wyrażają złość i niezadowolenie. Miał własny repertuar purytańskich powiedzeń, takich jak „o kurczę” czy „jasny gwint”. Ale te czasy już dawno minęły. Starego Harry'ego Rossa pochował razem z córką przeszło półtora roku temu, zaś żałoba po sobie samym nie była w jego stylu.

- Chcę wiedzieć o nim wszystko, każdy najdrobniejszy szczegół - oznajmił Harry Ross, któremu wyraźnie zależało na pominięciu kurtuazyjnych wstępów.

To kolejna rzecz nieobecna w jego nowym życiu: swobodne pogawędki, chwile spokoju i radości. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio się śmiał, nie licząc przepełnionego sarkazmem rechotu. Pożerało go pragnienie zemsty

i zadośćuczynienia. Opowieści o cierpieniu byłego zięcia stały się dla Harry'ego tym, czym krew dla wampira. Karmił się nimi, wysysając każdą dropinę bólu i złego samopoczucia, jakie stały się udziałem Dirka Stonera.

Wayne Echert pokiwał głową i szybko przeniósł spojrzenie na filiżankę z kawą. Pomimo wszystkich lat, które przepracował jako strażnik więzienny w bloku śmierci, nigdy tak naprawdę nie oswoił się z wyrazem twarzy skazańca. To wyglądało tak, jakby ci ludzie sięgali wzrokiem dalej niż koniec własnego życia. I jakby wizja ta przedwcześnie nałożyła na ich twarze zimny, szklisty, trupi poblask. Ci, którzy poddali się swojej doli, poruszali się jak własne cienie - ponure, ciemne wyrzuty sumienia o mechanicznych ruchach. Śpią w trumnach i słyszą, jak ziemia uderza w ich wieka. „Czasem brzmi to jak oklaski”, powiedział mu jeden skazaniec.

Oczy Harry'ego Rossa wyglądały podobnie. Ostatecznie on także żył od jakiegoś czasu w celi śmierci, tuż obok byłego zięcia, którego nienawidził tak' bardzo.

Wayne miał właśnie przemówić, gdy zjawiała się kelnerka.

- Co podać?

Darowała sobie wszelkie przyjacielskie żarty, bo była do tyłu z przyjmowaniem zamówień. Jedna z jej koleżanek nie stawiała się w pracy i musiała zająć się także jej rewirem. W związku z tym nie spojrzała nawet tak naprawdę na Harry'ego Rossa. Gdyby jednak to zrobiła, rozpoznałaby go natychmiast, śledziła relacje z procesu w telewizji, gdy tylko pozwalał jej na to grafik, a wieczorami oglądała skróty. Od czasu do czasu wciąż ukazywały się w prasie artykuły, zwłaszcza gdy coś znowu zaszwanowało w systemie prawnym. Była to jedna z tych historii, które wyzywały na pojedynek samą śmierć.

- Tylko kawę - wymamrotał Harry.

Kelnerka zaraz odeszła, a on skupił uwagę na swoim rozmówcy z całą mocą wytrawnego myśliwego celującego w zwierzynę.

- A więc?

- No cóż, zacznijmy od warunków bytowych - rzekł Wayne. Teraz, gdy siedział już z tym człowiekiem twarzą w twarz, chciał całą tę rozmowę jak najszybciej zakończyć. - Cella ma tylko metr dwadzieścia na trzy metry. Jest w niej zlew z nierdzewnej stali, ubikacja i łóżko. Łóżko jest metalowe, a materac ma co najwyżej cztery centymetry grubości. Nie mam pojęcia, jak ci ludzie na nich śpią, i...

- A więc przez cały ten czas nie zapewniono mu żadnych specjalnych warunków w celi, którą zajmuje? - spytał niecierpliwie Harry. Mięśnie jego zuchwy zadrzały. Skóra na czole naciągnęła się jak na bębnie.

Harry nie do końca wierzył sprawozdaniom, które mu składano. Nie ufał systemowi, zwłaszcza gdy w sprawę zamieszany był ktoś z taką masą pieniędzy i taką władzą jak ojciec Dirka, Philip Stoner. To dlatego postanowił poszukać informacji u kogoś, kto był na miejscu, u oficera służby więziennej z bloku śmierci. Któż mógłby lepiej opisać sytuację faktyczną?

- Do licha, nie. W celi śmierci nie ma specjalnego traktowania dla nikogo, ale i tak trzymają go z daleka nawet od innych skazańców. Boją się, że ktoś może zabić znanego współwięźnia choćby dla sławy...

- Lecz mimo wszystko ma więcej niż inni - wtrącił się Harry, kiwając głową, jakby sam chciał potwierdzić własne przypuszczenia. - Prawda?

Wayne odwrócił spojrzenie, a Harry uśmiechnął się z przekąsem.

- Dostaje więcej niż inni, bo ma więcej pieniędzy - przyznał Echert.

- Dostaje pieniądze z zewnątrz regularnie? - spytał Harry z pełnym bólu grymasem.

- Proszę posłuchać - odrzekł Wayne, podnosząc rękę, jakby chciał bronić swoich współpracowników. - W tym miejscu też się robi interesy.

Harry wzruszył ramionami.

- A gdzie się ich teraz nie robi?

Pokiwał głową z obojętną twarzą, twarzą człowieka, który stracił wszelkie ciepłe, ludzkie uczucia. Na nagrobku córki powinien był dodać napis: „Tu spoczywa serce ojca”. Żył jak człowiek, któremu ten narząd wyrwano.

- I co z tego? - ciągnął dalej Wayne, odpowiadając Harry'emu i usprawiedliwiając się przed samym sobą. - Co z tego ma? Lepsze przekąski, rozpuszczalną kawę, więcej znaczków, więcej papieru toaletowego? Ma telewizor, ale nie ma anteny. Chodzi mi o to, że na Francuskiej Riwierze to ten facet na pewna nie jest, panie Ross. Cele są tak zimne, że zimą więźniowie muszą zakładać po kilka warstw ubrań, a w cieplejsze miesiące niektórzy chodzą nago, żeby uniknąć udaru ciepłego.

Wayne przerwał i popatrzył na innych klientów restauracji, zastanawiając się, czy ktoś rozpoznał Harry'ego Rossa i usiłował teraz podsłuchać ich konwersację. Pewna para na drugim końcu lokalu nie przestawała patrzeć w ich stronę.

Wayne nie czuł się najlepiej, rozmawiając z Rossem; źle się czuł nawet przyjmując jego pieniądze, ale, jak sam przed chwilą powiedział, wszędzie robi się teraz interesy. Poza tym facetowi cholernie zależało na informacji i Wayne czuł, że mu pomaga. Współczuł mu. On też czasami oglądał relacje z procesu i nie raz uchwycił wyraz cierpienia na jego twarzy, gdy podawane były przerażające okoliczności śmierci Farah Ross. Wayne miał dwunastoletnią

córkę i żył w strachu, jaki w każdym ojcu rodzi się z chwilą, gdy lekarz na porodówce oznajmia: „To dziewczynka”.

- Proszę dalej - odezwał się Harry rozdrażniony ciszą ze strony Wayne'a.
- Mówił pan, że opowie mi o wszystkim.

- Jednak czystą bieliznę dostaje tylko raz w tygodniu. Zanim wyjdzie na dziedziniec, przechodzi rewizję osobistą.

- Jak rewiduje się skazańców? - zapytał szybko Harry, licząc, że odpowiedź strażnika sprawi mu przyjemność.

- Zaglądamy im do ust, pod jaja i do tyłków, panie Ross. Potem sprawdzamy wykrywaczem metalu. Nie ma w tym nic przyjemnego.

- Za każdym razem?

- Za każdym razem.

- Jak on to znosi?

Wayne wzruszył ramionami i zawahał się z odpowiedzią.

- A jak zniósłby to każdy?

- Nie obchodzi mnie każdy. Obchodzi mnie on - wypalił Harry, podnosząc głos o kilka decybeli.

Kelnerka przyniosła mu kawę, lecz on nawet jej nie zauważył. Oczy utkwiał w Wayne'ie.

Ten wziął łyk swojej kawy, tęsknym wzrokiem popatrzył na resztę bajgla, ale postanowił nie kończyć go teraz. Harry Ross nie zniósłby chwili, jaką zajęłoby mu przeżucie.

- Nie utrudnia nam pracy - kontynuował - ale zawsze patrzy, jakby chciał nam powiedzieć „a pocałujcie wy mnie wszyscy w dupę”, a to nas bardzo wkurza.

- Wiem - odezwał się Harry, potakując konspiracyjnie. - Słyszałem już, że nie pozbył się jeszcze tego bezczelnego uśmiešku.

Podniósł filiżankę z kawą, podmuchał i wziął łyk gorącego płynu. Wayne Echert czuł się, jakby Harry Ross patrzył teraz przez niego, a nie na niego.

- Jest najbardziej wyluzowanym skazańcem w całym bloku - wyznał, dobrze wiedząc, że nie to chciał usłyszeć jego rozmówca. - Musi być chyba pierdolnięty.

- Raczej cwany jak lis - wymruczał Harry. - Zastanawiam się, dlaczego zaniechał dalszych apelacji.

Wayne wzruszył ramionami.

- Wiedział, że nie wygra. Odwlekał tylko to, co nieuniknione, a wprawdzie nie wiem, co pan sobie wyobraża, ale życie w bloku śmierci to istne piekło, panie Ross. Gdyby tylko pan usłyszał te ich wiwaty w każdego Sylwestra, kiedy uświadomią sobie, że udało im się przeżyć jeszcze jeden rok.

Wie pan, kogo przypomina mi teraz Dirk Stoner? Jednego z pacjentów doktora Kevorkiana*.

* Dr Jack Kevorkian - lekarz praktykujący zabronioną w USA eutanazję. Publicznie przyznał się, że „pomógł umrzeć” około 130 pacjentom (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Harry zastanowił się nad tym, co usłyszał. Philip Stoner wyrażał w gazetach swoje niezadowolenie z decyzji syna o zaprzestaniu walki o zaniechanie egzekucji.

„Nie mogę zmusić go do zrobienia niczego, czego sam nie chce - oświadczył Philip Stoner. I dodał: - Przykro mi z jego powodu i z powodu wszystkich, co się stało...”

Trochę na to za późno, pomyślał wtedy Harry.

Usiadł wygodniej i oparł się. Wziął jak dotąd tylko jeden łyk kawy i nie wydawało się, żeby miał ochotę na następny.

- U gubernatora łaski nie wyprosi, panie Ross. Jemu akurat wszyscy patrzą na ręce. Zrobił pan dobrą robotę, kierując na sprawę uwagę mediów, dlatego cała fortuna jego ojca ani cała sława tak zwanego światowej klasy gracza w golfa nijak mu teraz nie pomoże. To już końcowe odliczanie. Już niedługo pan będzie czekał.

- Zobaczmy - odrzekł Harry Ross, rozjaśniając się znowu.

Dolna warga drżała mu nieco. Nerwowość, niczym podstępna żmija, zakradła się przez jamę ustną i tętnice do jego liczącego metr osiemdziesiąt pięć postawnego ciała, aby owinąć się wokół serca. Unosiła swój ohydny łeb za każdym razem, gdy tylko ktoś wspomniał o możliwości złagodzenia wydanego na Dirka Stonera wyroku śmierci.

Nie był to proces stulecia, nie trwał też tak długo jak sprawa O.J. Simpsona, ale dzięki telewizji stał się dość głośny i stosunkowo skrupulatnie relacjonowany przez media, a to za sprawą zwycięstw Dirka Stonera na polu golfowym i wielkiego bogactwa jego ojca.

Przez cały czas trwania procesu, a zwłaszcza po nim - przed wydaniem wyroku - Harry utożsamiał się z przedstawicielami mniejszości narodowych, którzy domagali się równości wobec prawa.

„Zobaczmy, czy to możliwe, żeby bogaty, sławny biały facet dostał wyrok śmierci za zabójstwo pierwszego stopnia”, powtarzano często.

Harry nie wahał się im zawtórować.

Jako właściciel imperium odnoszącego ogromne sukcesy na polu zarządzania nieruchomościami w Los Angeles, Philip Stoner był powiernikiem możnych i bogatych, polityków i wysoko postawionych urzędników państwowych. Był jednym z głównych sponsorów kampanii na rzecz po wtórnego

wyboru gubernatora i chodziły słuchy, że w razie potrzeby potrafił zasięgnąć języka w samym Białym Domu. Cynicy zakładali, że tak ustawiony wyciągnie syna nawet z bloku śmierci.

Jak na ironię, skazujący wyrok i egzekucja Dirka Stonera stały się niemal polityczną koniecznością. Po wyrokach niewinniających w sprawie wypadków w King Rodney wybuchły zamieszki i obawiano się, że podobne zajścia mogłyby mieć miejsce, gdyby bogaty biały chłopak uniknął losu, który tak często i tak łatwo przypadał w udziale biednym przedstawicielom mniejszości. W całym mieście, ani nawet w całym stanie, nie było polityka, który chciałby, aby jego nazwisko kojarzono z manipulowaniem systemem prawnym - nie wtedy, gdy skierowanych było na niego tyle par oczu.

Armia prawników Philipa Stonera, próbując iść w ślady genialnego zespołu O.J. Simpsona, podważyła dowody. Posunęli się nieco naprzód, ale nie byli w stanie pozbyć się naocznego świadka - świadka, o jakim marzyć może każdy prokurator i obrońca: nauczycielki w średnim wieku o przeszłości czystej jak łąka, która akurat znalazła się w miejscu zbrodni, która akurat z bliska i dokładnie przyjrzała się zabójcy i która akurat miała doskonały wzrok.

Kiedy obrońcy próbowali podważyć jej zeznanie, sugerując, iż widywała twarz Dirka w telewizji i gazetach tak często, że zwyczajnie pomyliła ją z twarzą przestępcy, okazało się, że nie wie nawet, jak wygląda kij golfowy. Golf stanowił dla niej tajemnicę większą niżli wszechświat. Nie potrafiła wymienić ani rozpoznać choćby jednego zawodowego gracza, a poza tym, nie cierpiała sportu - każdego sportu. Prawdę mówiąc, w ogóle rzadko oglądała telewizję.

Uziemiała Dirka Stonera, umieściła go w miejscu zbrodni i pokręciła głową, jakby właśnie przyłapała jednego ze swoich uczniów na pisaniu po ścianie. Długim, kościstym palcem wskazała go na sali sądowej.

„Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to jest człowiek, którego widziałam wychodzącego z mieszkania pani Ross. Nie mogłabym siedzieć tu i przysięgać czegoś, czego nie byłabym do końca pewna. Jestem świadoma wagi moich zeznań”.

A do tego jeszcze chodziła do kościoła.

Warte tysiące dolarów garnitury prawników były już niemal doszczętnie wygniezione.

Do końca zuchwały Dirk odmówił przyznania się do winy i proces toczył się dalej.

Po uznaniu go winnym rozpoczęto procedurę, która ostatecznie doprowadziła do wydania wyroku śmierci. Prawnicy Philipa Stonera przedstawili

imponującą listę świadków gotowych ręczyć za charakter jego syna. Dirk nigdy nie był notowany przez policję, nawet za przekroczenie prędkości, jednak dla wszystkich jasne było, że o czystość jego kartoteki zadbał ojciec.

A co miał oskarżyciel?

Ohydną zbrodnię z premedytacją i żadnego rozsądnego powodu, by wątpić w winę oskarżonego; ani śladu skruchy, a przy tym świadków częstego brutalnego zachowania, gróźb, knowania, aroganckich pokazów siły i przechwalania się pieniędzmi ze strony Dirka.

Ława przysięgłych głosowała za karą śmierci. Natychmiast złożono apelację - w przeciwieństwie do innych więźniów, Dirk Stoner miał prawników na każde swoje zawołanie; zwykle w podobnej sytuacji opóźnienia związane z szukaniem obrońców nie istniały. Proces posuwał się szybko, oskarżony wciąż odmawiał przyznania się do winy, aż nagle i nieoczekiwanie zmieniwszy strategię, Stoner nakazał swoim prawnikom zaniechać dalszej procedury. Właśnie to przekonało Harry'ego, że zabójca jego córki jest w więzieniu traktowany w szczególny sposób.

- Mimo wszystko nie rozumiem tego rodzaju zwierzęcej rezygnacji - wymamrotał Harry.

Wayne pokiwał głową.

- A ja tak, panie Ross.

- Naprawdę?

- Wielu skazanych przestaje walczyć o życie, gdy dotrze do nich, że mogą je zakończyć przez śmiertcionośny zastrzyk. Dla nich to jak pójście spać i przejście na drugą stronę, takie wyjście *stamtąd*. To zbyt... kuszące. Powinno się przywrócić gilotynę.

Serce Harry'ego stało się odrobinę cięższe. Nie to chciał usłyszeć, nie po tym wszystkim. Marzył o zemście, potrzebował jej z wielu powodów, a jednym z nich - i to wcale nie najmniej ważnym - był jego własny spokój ducha.

- Wie pan, co powiedział kiedyś mój kolega z więzienia? Powiedział, że mają zamiar ugłaskać przeciwników kary śmierci przez wynalezienie serum, które będzie postarzać ludzi w kilka minut tak, że skazańcy będą wyglądali, jakby umierali w podeszłym wieku.

- I uważa pan, że naprawdę dlatego on się poddał? - ze smutkiem zapytał Harry.

- Tak myślę. Facet taki jak on nie trawi więziennego życia. Chce wyjść natychmiast.

Harry nie potrafił ukryć rozczarowania, mimo że inni ludzie mogliby pomyśleć, iż jest chory z zemsty. Wyglądał, jakby postarzał się w ciągu kilku

sekund. Wzrok mu spochmurniał, zaś usta rozchyliły się przy głębokim wdechu.

- Łajdak - powiedział. - Nie mogę znieść myśli, że coś mogłoby być dla niego łatwe, nawet śmierć. Zwłaszcza śmierć.

- Egzekucje za pomocą zastrzyku nie zawsze przebiegają gładko - rzekł Wayne.

Harry ożywił się.

- O?

- Zdarzały się wypadki, kiedy lekarz nie mógł trafić w żyłę i prawie zakłuwał faceta na śmierć. Billy Meredith, kolega ze służby, mówił mi o wypadku w Oklahomie, kiedy zastrzyk wszedł w interakcję z narkotykami. Mówił, że facet dusił się, dostał drgawek. Ponoć wyglądało to naprawdę paskudnie - dodał z uśmiechem.

- Nic takiego nie zdarzy się temu gadowi - prorokował ze smutkiem Harry. - Ma za sobą siły, które na to nie pozwolą. Proszę opowiedzieć mi więcej o jego obecnym życiu.

- Ostatnio nie odwiedza go już tyle osób i dostaje mniej listów. Może dzwonić, ale musi poczekać na swoją kolejkę, tak jak wszyscy, panie Ross.

- Jak wygląda? - dopytywał Harry.

- Jak wygląda? Nie rozumiem - zdziwił się Wayne.

- Schudł?

- Jest...

- No?

- Cóż, nie ma do roboty nic więcej, jak tylko dbać o kondycję, panie Ross. Większość z tych facetów ćwiczy. No wie pan, pompki, przysiady, gimnastyka na dziedzińcu... Ale nie jest opalony i nie wygląda już jak playboy z pola golfowego - dodał szybko Wayne, lecz to nie wystarczyło, by ukoić ból w oczach Harry'ego Rossa.

Harry westchnął i popatrzył na samochody wjeżdżające na parking za oknem. Popołudniowe słońce świeciło tak jasno, że wszystko miało metaliczny poblask. Nawet sam parking wyglądał jak arkusz stalowej blachy. Znajdowali się jakieś dwadzieścia minut drogi od więzienia. Od zakończenia procesu i ogłoszenia wyroku Harry nigdy jeszcze nie znajdował się tak blisko Dirka Stonera. Czuł niemal jego zapach, słyszał w powietrzu bicie jego serca.

- Wie pan, jak ją zabił, prawda? - odezwał się. - Jak oczyścił śrubokręt i odłożył z powrotem do skrzynki z narzędziami, oczekując, że nigdy nie zostanie znaleziony, jak badanie mikroskopowe potwierdziło, że to właśnie jest narzędzie zbrodni, jak na palcu wskazującym jej prawej ręki znaleziono skrawek jego skóry i odrobinę krwi. Nie walczyła długo, bo ją zaskoczył.

Moja córeczka była typem wojowniczką, panie Echert. Walczyłyby dużo dłużej, gdyby nie napadł na nią znieczulacz.

Wayne zmusił się do uśmiechu. Czy to właściwa reakcja? - zastanowił się. Jak należy się zachować, gdy ojciec zanudza cię szczegółami na temat bojowego ducha niezwykłej córki?

- A potem wychodzi i tuż za drzwiami wpada prosto na tę nauczycielkę - dodaje szybko Wayne, by pokazać, że zna szczegóły.

- Tak. Próbowali ją przekupić, wie pan. Była zbyt porządna nawet na to, żeby się tym pochwalić, ale się dowiedziałem. Dowiedziałem się - powtórzył, kiwając głową.

- Dziwne, że nie kazali tej nauczycielki zabić - stwierdził Wayne. - Tak jak zabito Marilyn Monroe i Jacka Ruby'ego*. Bogaci biznesmeni rządzą tym krajem - ciągnął dalej Wayne, bezmyślnie powtarzając frazesy i poglądy zasłyszane w więzieniu.

* Jack Ruby (1911-1967) - człowiek, który zabił Lee Harveya Oswalda, rzekomego zabójcę prezydenta J. F. Kennedy'ego.

Myślał, że Harry Ross przytaknie mu i uśmiechnie się, ale jego twarz pozostała niezmienną.

- Zrobiliby to, ale zabicie jej utwierdziłoby tylko wszystkich w przekonaniu o winie Stonera - powiedział Harry.

Wpatrywał się w Wayne'a tak niewzruszenie i z takim natężeniem, że ten dosłownie skulił się.

- Pewnie - zdołał wykrztusić.

Patrzył w stronę drzwi, w stronę końca tego spotkania. Harry podniósł wzrok i uśmiechnął się chłodno.

- Nie ma takiej rzeczy, której rodzice nie zrobiliby, żeby chronić swoje dzieci, jeśli tylko mają taką szansę - stwierdził Harry. - Jeśli tylko mają taką szansę...

Jego głos odpłynął w dal, ale Wayne nie miał wątpliwości, że owo stwierdzenie było przepełnione taką determinacją, jaką tylko żywa istota może wykrzesać z siebie, aby przetrwać.

Siedząc na łóżku w pokoju, który kiedyś należał do córki, Harry wodził tępo dokoła szklanym wzrokiem. Wychodząc za mąż, Farah zabrała ze sobą prawie wszystko, a pokój służył teraz za gościnny, ale on nigdy nie przestał myśleć o nim jako o pokoju córki. Wspomnienia o niej czaiły się w ścianach, w każdym kącie i zakamarku, jej śmiech dźwięczał tu bez końca. Wystarczyło, że spojrział na toaletkę czy na biurko, przy którym niegdyś odrabiała lekcje, a fala wspomnień zalewała go gwałtownie, powodując niewypowiedziane męki.

Jutro - nareszcie - otrzyma zadośćuczynienie. Dirk Stoner będzie stracony niemal cztery lata po tym, jak został skazany. Harry wiedział, że stanie się to tak szybko dlatego, że Stoner zaniechał dalszych apelacji.

- Mama ma rację, wiesz - usłyszał Elaine i podniósł wzrok na młodszą córkę opartą o futrynę drzwi z założonymi rękami i spuszczoną głową.

- Uczestniczenie w jego egzekucji nie przywróci Farah do życia, tato.

- Ale może przywróci do życia mnie - odparł.

Podniosła oczy i ich spojrzenia się spotkały.

- Chcesz zostać lekarzem, Elaine. Pomyśl o tym, co tutaj - przycisnął pięść do serca - jak o nowotworze, który jutro stan Kalifornia usunie z mego ciała.

- Po operacjach pozostają blizny, tato - powiedziała.

Harry prawie się uśmiechnął. Elaine zawsze miała osobowość lekarza. Potrafiła z wdziękiem wciąć się w aortę, zrobić swoje i wycofać się, sama nietknięta.

- Mam szramy znacznie głębsze niż ta, którą mogą zafundować mi jutro - rzekł.

- Wszyscy mamy blizny, tato. One nie znikną; nigdy.

Dostrzegł w jej oczach łzy i przez chwilę milczał.

Po raz pierwszy od śmierci Farah poważnie zastanowił się nad tym, jak to wszystko przyjęła Elaine. Zawsze myślał tylko o bólu własnym i Lil, ale co z Elaine? Ona też poniosła ogromną stratę.

- Jeśli uprzesz się, żeby iść, pójdę jutro z tobą, tato - oznajmiła.
- Nie musisz tego robić, Elaine.
- Nie puszczę cię samego - nalegała. - Chociaż nie mogę znieść myśli, że jeszcze raz będę musiała go oglądać, nawet jeśli mam patrzeć, jak umiera, nawet od śmiertelniego zastrzyku.
- Tak - odezwał się Harry. - Z tego, co mi mówiono, będzie wyglądał jak jeden z twoich pacjentów z bloku operacyjnego.

Pokiwała głową.

- Masz rację, tato. Tak to właśnie wygląda. Związek bromu sprawi, że przestanie oddychać, chlerek potasowy zatrzyma akcję serca, isofluran odbierze mu przytomność.

- Doktor Ross - powiedział, kiwając głową i przyglądając się jej przez chwilę. - A powinno brzmieć doktor Rosenberg, wiesz?

- Słucham?

- To nasze prawdziwe nazwisko.

- Nie rozumiem.

- Mój dziadek zmienił je na Ross, żeby uniknąć etnicznego napiętnowania i podejrzeń, że jesteśmy spokrewnieni z tamtymi Rosenbergami*. Zawsze dziwnie się czułem, odwiedzając wujka Benny'ego, bo choć był bratem mojego dziadka, to nazywał się Ben Rosenberg, a ja Harry Ross. On też zawsze stroił sobie żarty z tej zmiany. „I cóż tam u pana słyhać, panie Ross?” - mawiał z uśmiechem.

* Julius i Ethel Rosenberg - małżeństwo amerykańskich komunistów skazanych na śmierć pod zarzutem przekazania ZSRR informacji na temat amerykańskiej bomby atomowej.

Elaine roześmiała się.

- Jakie jeszcze niespodzianki dla mnie szykujesz?

- Już żadnych - odrzekł smutno i znów zapatrzył się w podłogę. - Żadnych.

- Nie idź tam, tato - odezwała się po chwili.

- Muszę, Elaine.

- To będzie cyrk - dziennikarze, demonstranci...

- Muszę iść - powtórzył. - Dzięki Bogu, moi rodzice tego nie dożyli.

Rodzice Lil wciąż żyli i cieszyli się zaskakująco dobrym, jak na ludzi mocno po osiemdziesiątce, zdrowiem. Zjawili się tylko na jednej rozprawie. Siedzieli w tyle, słuchali, a potem poszli do domu, zbyt wstrząśnięci tym, co usłyszeli, aby jeszcze wrócić.

Teraz, gdy gehenna naprawdę dobiegała końca, Lil chciała, żeby Harry dał już sobie spokój, żeby pogodził się ze śmiercią Farah, tak jak w końcu pogodziła się z nią ona sama.

Harry odmówił. Jego piękna, inteligentna córka została ze zwierzęcym okrucieństwem zamordowana i mimo zaskakującej kapitulacji Dirka Stonera, zadośćuczynienie przychodziło dla Harry'ego zbyt późno. W bardziej prymitywnych czasach, gdy mężczyźni zachowywali się jak na mężczyzn przystało, wzięcie oka za oko byłoby szybkim i adekwatnym do winy aktem sprawiedliwości.

Natychmiastowe zadośćuczynienie to ważna rzecz. Dlaczego nasze społeczeństwo tego nie pojmuje? Czas umniejszył wagę złego uczynku, umieścił go w tak głębokich zakamarkach pamięci, że przerażenie zostało zredukowane do zwykłych słów, zaś ofiara stała się tylko nazwiskiem, starą fotografią, częścią statystyk.

Ale my przecież jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, pomyślał z przekąsem. Zapewniamy przestępcom dach nad głową, zagłębiają się w ich psychikę, analizujemy zło, które w nich siedzi; tworzymy wokół nich nowe zawody, mechanizmy, cały przemysł - jeden wielki eufemizm. Doszedł do wniosku, że to tylko próba zaprzeczenia najbardziej podstawowej prawdy o nas samych: potrafimy być względem innych najzupełniej podli i okrutni, żeby tylko zaspokoić własne samolubne potrzeby.

Nie, nie potrafił się z tym pogodzić, ale nie mógł złościć się na Lil, że próbowała go do tego nakłonić. Zarówno wcześniej, jak i teraz, była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział. Zawsze uważał się za szczęściarza, który to spotkał ją i zdołał podbić jej serce. On i Lil stali się najbardziej znaną parą odnoszącą największe sukcesy na rynku nieruchomości w Los Angeles i okolicach. Wszyscy producenci filmowi zgłaszali się do nich, gdy szukali domów. Ich zdjęcia ukazywały się w regionalnych czasopismach, występowali w regionalnych programach telewizyjnych, ale mariaż lokalnej sławy z obecnym rozgłosem na skalę krajową nie był związkiem łatwym.

Harry czuł się skrępowany sposobem, w jaki postrzegali go teraz ludzie. Zawładnęła nim swoista paranoja. I doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Od czasu procesu nie wierzył w motywy niemal żadnego ze swoich klientów. Czy faktycznie przychodzili do niego, bo chcieli znaleźć porządną dom, czy też chcieli po prostu wrócić do przyjaciół i oszaleć: „Zgadnijcie, kim są nasi agenci nieruchomości - to Rossowie. Tak, ci Rossowie!”

On i Lil stali się „*tymi* Rossami”.

- W porządku, tato - odezwała się Elaine. - Dobranoc.

Rozejrzała się jeszcze po pokoju i wyszła.

Harry'ego ogarnęło uczucie straszliwej pustki.

Wiedział, że w odczuciu Elaine to Farah była jego ukochaną córką. Sam jednak tak nie uważał. Elaine była po prostu zupełnie innym typem

dziewczyny, była bardziej podobna do Lil: rozmiłowana w książkach intelektualistka, której niestraszna samotność. Farah natomiast była towarzyska, wylewna, cieplejsza, łatwiej ulegała emocjom, bardziej polegała na nim i jego przywiązaniu. Nie była subtelna ani wyrafinowana. Nigdy nie było wstydliwości, czego chce od życia. Lubiła sławę, drogie samochody i ubrania, komplementy. Była próżna i ani się tego nie wypierała, ani nie wstydziła. W jej pokoju znajdowały się wielkie lustra i ogromna toaleta. Kupowała wszystkie kasety z ćwiczeniami i jęczała z rozpaczą, gdy przybyło jej choćby pół kilograma.

Elaine była prymuską w swojej klasie, lubiącym pisać typem myśliciela. Miała piękną figurę i naturalnie zdrową cerę Lil. Nie była przy tym podpierającym ściany dzikusiem. Miała chłopaków, chodziła na szkolne zabawy, była na balu maturalnym, ale znacznie bardziej zależało jej na karierze zawodowej i niezależności i, jak sądził Harry, z pewnością osiągnie wybrany cel: zostanie lekarzem. Był z niej bardzo dumny.

Rzecz tylko w tym, że... że tak bardzo lubił widok Farah machającej mu ze swego kabrioletu czy pędzącej przez trawnik, żeby go uściskać, albo zwyczajnie stojącej za nim w pokoju dziennym, tulącej się i paplającej bez końca o swojej roli w szkolnym przedstawieniu.

Czy ona naprawdę nie żyje? Czy to możliwe? Kiedy wreszcie zrobię to, czego oczekują ode mnie Lil i Elaine? - zastanawiał się. Kiedy się z tym pogodzę?

Może jutro, pomyślał. Może jutro.

Elaine wpatrywała się w ciemność za oknem. Nie znosiła tego uczucia bezradności, niemożności zrobienia czy powiedzenia czegoś, co ulżyłoby w cierpieniu jej ojcu.

Czy tak właśnie będę się czuła, gdy zostanę lekarzem i będę miała do czynienia z nieuleczalnie chorymi pacjentami? - myślała. Chwilami wyglądał na zagubionego, załamane go, niemal jak ktoś, u kogo stwierdzono śmierć mózgu.

Jak bardzo pragnęła mieć lekarstwo, surowicę przeciw rozpacz, którą zwyczajnie wstrzyknęłaby mu w ramię, by przywrócić go do poprzedniego stanu. Roześmiała się z głupoty własnych myśli, z tego, jaka potrafi być dziecinna, jak wciąż zdarza się jej kłaść sobie do głowy fantazje małej dziewczynki. Niekiedy przerażała ją to. Jak gdyby przyznanie się do ludzkich odczuć mogło stanąć na jej drodze do przeznaczenia, uczynić z niej lekarza mniejszego formatu.

Popatrzyła na przeciwległy koniec pokoju, na lalkę, którą Farah dała jej wiele lat temu. Elaine zawsze chciała być lekarzem. Wiele z jej zabaw

podporządkowanych było właśnie temu marzeniu. Przypomniała sobie, jak badała lalkę z Farah i zdecydowała, że należy jej założyć na nogę opatrunk. Po dokładnym odkażeniu rany owinęła nogę bandażem i wraz z siostrą traktowały lalkę jak pacjenta w szpitalu.

Wszyscy uważali, że to takie słodkie.

Lalka wpatrywała się w nią teraz szklanymi oczami, które jej wydały się pełne smutku: dwa maleńkie zbiorniczki łez, takie jak jej.

Po chwili usłyszała cichą rozmowę rodziców; matka wciąż nakłaniała ojca do zmiany zdania i rezygnacji z uczestnictwa w egzekucji. Elaine słyszała jej cichy szloch, a potem oboje ucichli. Żadne z nich nie będzie spało tej nocy, pomyślała. Ileż to wspólnych bezsennych nocy mają już za sobą?

Dokąd wędrują nasze dobre sny, gdy nie możemy zasnąć? - zastanawiała się.

Farah wierzyła, że jest gdzieś magiczne miejsce, do którego zmierzają nie wysnione sny, miejsce, w którym czekają na szczęśliwych śpiochów.

Roześmiała się z tego i innych rzeczy, jakie mówiła jej siostra. Potem zamknęła oczy i modliła się, by móc powędrować do zaczarowanej krainy Farah, zwłaszcza tej nocy.

Dzień był zbyt ładny na egzekucję. Jak gdyby stan Kalifornia był żywą osobą z własnym ego i charakterem i nawet o tak późnej porze dnia obdarował wszystkich jasnym słońcem, ciepłym wiatrem i czystym, połykającym tłem dla tłumu kamerzystów, reporterów telewizji satelitarnej, redaktorów wiadomości, którzy wypełniali dziedziniec zakładu karnego San Quentin.

- Spójrz tylko na to miejsce - powiedziała Elaine, gdy parkowali samochód. - Czy to jakaś choroba społeczna, czy co?

Któryś z reporterów spostrzegł ich i cała grupa ruszyła jak zwierzę, z mikrofonami sterczącymi w ich stronę jak elektroniczne macki. Elaine wsunęła ojcu rękę pod ramię i trzymała się mocno.

- Sępy chcą dorwać kawałek padliny - powiedziała półgłosem.

Reporter, który biegł na przedzie, rzucił swe pytanie z odległości blisko dwóch metrów, żeby tylko być pierwszym.

- Jak pan się dzisiaj czuje, panie Ross?

Tłum zacisnął się wokół nich.

- Dobrze. Po raz pierwszy od kilku lat czuję się dobrze.

- A co z ludźmi demonstrującymi przed więzieniem przeciwko karze śmierci? - pytał inny dziennikarz.

Harry popatrzył przez chwilę na transparenty i hasła i wsłuchał się w głos dudniący przez przenośny głośnik.

- Wątpię, czy komukolwiek z tych ludzi brutalnie zamordowano córkę. Jeśli tak i jeśli ta osoba wciąż chce okazać zabójcy łaskę, to znaczy, że jako rodzic nigdy nie kochała swego dziecka bardziej niż siebie. Okazując łaskę mordercom, ludzie zabijają swoje dziecko po raz drugi - dodał.

Zaczęły pracować kamery. Dziennikarze chłonęli jego mowę. Długopisy podążały za słowami, skrzętnie je notując. Harry i Elaine szli w stronę wejścia.

- Czy wie pan, panie Ross, że w pomieszczeniu dla świadków wraz z panem będzie Philip Stoner?

Elaine nie przystawała.

- By dodać synowi otuchy - wtrącił inny dziennikarz.

- Czy porozmawia pan z nim, a jeśli tak, co mu pan powie? Harry obrócił się do nich.

- Tato - błagała Elaine.

- Co mu powiem? Zapytam go, co robił, że wychował takie zwierzę - odparł Harry.

- Nie rozmawiał pan z panem Stonerem, odkąd jego syn został skazany za zamordowanie pańskiej córki? - dopytywała się młoda dziennikarka, pchając mu mikrofon prosto w twarz.

Harry popatrzył na nią. Miała oczy jak Farah. Przez chwilę wyobrażał sobie, że obok niego stoi starsza córka i że to ją, a nie Elaine, trzyma pod rękę. Po chwili zamrugnął i wrócił do rzeczywistości.

- Po cóż u diabła miałbym to robić? Ten człowiek w ułamku sekundy wydałby dwadzieścia milionów dolarów, gdyby tylko miało to ocalić życie syna. Ja nie mogę zrobić nic, żeby moja córka żyła. Mogę tylko odwiedzać ją na cmentarzu.

- Wkrótce Philip Stoner także będzie odwiedzał swojego syna na cmentarzu - stwierdził ktoś z tylnej grupy dziennikarzy.

- I wtedy wreszcie, wreszcie Philip Stoner zrozumie, czym stało się moje życie po tym, jak jego bestia zabiła moją córkę - powiedział Harry.

- Zostawcie go w spokoju! - wykrzyknęła Elaine. - Nie sądzicie, że to dla niego i tak dość trudne?

- A co pani dzisiaj czuje? - nagabywała ta sama młoda dziennikarka, nie zwracając uwagi na prośby Elaine.

- Czuję, że osacza mnie zgraja zwierząt! - odparowała Elaine i odwróciła się stanowczo, po czym wraz z Harrym ruszyła dalej.

Harry widział furię na purpurowej twarzy córki. Była piękna, kiedy się złościła, tak piękna jak Lil, pomyślał i poczuł nagły przypływ dumy.

- Mam szczęście, że ze mną przyszedł - powiedział - mój ochroniarzu.

- Wiedziała, że tak będzie. Coś okropnego.
- Harry pokiwał głową.
- Przeszedłbym przez ogień, żeby to zobaczyć, Elaine.
- Wiem - odparła smutno.

Jego także martwiło to, że zmienił się w owładniętego chęcią zemsty potwora. Ale gdzie podziały się tamte dni? - pomyślał, jakby był teraz dwiema osobami na raz. Pamiętał, jak Farah towarzyszyła Dirkowi podczas turniejów golfa, błyszcząc swym pięknym uśmiechem, ubrana w kostiumy od znanych projektantów, dzięki którym trafiała na okładki czasopism sportowych, tych związanych z modą i rozrywką, a także na strony kroniki towarzyskiej najbardziej poczytnych dzienników. A te ich wywiady w telewizji, przyjęcia...

Sława Dirka otarła się o całą ich rodzinę i pomogła w interesach jemu i Lil; ludzie chcieli spotykać się z nimi, a ich renoma rosła - a potem przebudzenie: odkrycie Farah, że Dirk ma jeden parszywy romans za drugim; w brukowcach ukazało się jego zdjęcie z inną kobietą. Jakież to było zenujące dla nich wszystkich, a najbardziej dla Farah.

Harry czuł się zupełnie jak pasażer kolejki górskiej w wesołym miasteczku, pędząc w dół wraz z córką, wpadając w ciemny tunel i nie spodziewając się nawet tak głębokiego upadku, upadku, który przywiódł go tutaj, na egzekucję, którą sam Stoner uznał w końcu za nieuniknioną. Nadszedł dzień zadośćuczynienia. Władza i bogactwo jego ojca nic tu nie mogły zmienić.

Czy Harry da sobie z tym wszystkim spokój po dzisiejszym wydarzeniu? Żył w strachu, że Lil może mieć rację, twierdząc, iż morderczy amok Dirka Stonera będzie trwał, zabijając jego - Harry'ego Rossa, a następnie także Lil i Elaine.

Znalazłszy się w sali dla świadków, Harry spostrzegł przez szybę, że wszyscy obecni będą mieli doskonały widok na Dirka Stonera wprowadzonego na stracenie.

Harry i Elaine zajęli miejsca z przodu i usiłowali na nikogo nie patrzeć. Harry zauważył puste miejsca na drugim końcu rzędu i doszedł do wniosku, że ma tam zasiąść ojciec Dirka.

Philip Stoner był o prawie osiem lat starszy od Harry'ego. Był wysokim, bardzo szczupłym mężczyzną, który wielu ludziom kojarzył się z Henrym Fondą. Gdy wszedł na salę, był posepny, ale, według Harry'ego, nawet w tej sytuacji wciąż odrażająco wyniosły.

Nie spojrzął na Harry'ego i Elaine. Usiadł, wzrok wlepiwszy w sufit. Nikt się nie odzywał. Było tak, jakby wszyscy znaleźli się pod wodą i musieli wstrzymać oddech.

Elaine mocno trzymała dłoń ojca. Czuł, jak ściska go coraz bardziej, w miarę jak narastało w niej napięcie.

- Wszystko w porządku, tato? - spytała cicho.

- Tak - odparł.

Serce waliło mu jak młotem.

- Czuję, jak pulsuje ci krew - powiedziała.- Oddychaj głęboko, tato. Spokojnie.

- Dobrze, pani doktor - wymruczał.

Próbował przełknąć ślinę, ale gardło miał jakby pełne piachu.

Harry nie widział byłego zięcia i mordercy córki od ostatniego wystąpienia w sądzie. Przypomniało mu się, jak Farah oznajmiła, że zamierza spotykać się z Dirkiem Stonerem. Ona i dwie inne modelki zostały zaproszone na premierę filmu w Westwood i Farah spotkała Dirka w foyer kina po pokazie. Zaprosił ją na przyjęcie, a ona się zgodziła.

- Nie jest taki, jakim przedstawiają go plotkarskie pisemka, tato. Był uprzejmy, nawet odrobinę nieśmiały - opowiadała potem Harry'emu. - I jest taaaaki przystojny...!

Jak można było winić ją za brak przenikliwości i naiwność? - myślał, czekając na pojawienie się Dirka Stonera w drzwiach prowadzących do komory śmierci. Czyż on sam nie był tym człowiekiem oczarowany?

- Mam mnóstwo pieniędzy - powiedział kiedyś Harry'emu Dirk, sącząc koktajl w klubie golfowym. - Nie mam zamiaru temu zaprzeczać. Nie jestem jak niektórzy ci bogacze, co to udają, że nie mają złamanego centa. Jestem milionerem dzięki zwycięstwom na polu golfowym i dzięki funduszom powierniczym ustanowionym przez mojego ojca. Prawdę mówiąc, jestem nawet multimilionerem - chwalił się półgłosem. - Ale zanim poznałem Farah, moje życie było puste. Ona sprawia, że dobrze czuję się z samym sobą. Wiesz, o czym mówię?

Jasne, że wiedział. Dla niego Farah była tym samym. Była osobą tak pełną miłości i życia, że zarażała ludzi własnym szczęściem, pomyślał. Ale na zawsze pozostała małą dziewczynką, ufną, lubiącą niespodzianki i dreszczyk emocji, gotową na nowe przeżycia, małą dziewczynką, która kochała prezenty, kochała komplementy, kochała być kochaną. Naprawdę ufała, że Dirk Stoner kochał ją tak głęboko, iż nie mógłby jej zdradzić. Nie chciała wierzyć w jego niewierność; zdyskredytowałaby raczej osobę, która jej taką wiadomość przyniosła, ale powiedziała Dirkowi, co słyszała, a on się przyznał, bo w swej arogancji wierzył, że ona zawsze mu przebaczy. Miała złamane serce, ale rzeczywiście mu przebaczyła.

To był pierwszy z małych kompromisów winnych, według Harry'ego, tragedii, która w końcu nastąpiła. Dirk nie zmienił się. I wciąż raczył ją tymi

samymi usprawiedliwieniami: zbyt długo był w rozjazdach sam, był przystojny i nagabywany przez nachalne fanki.

Zgodnie ze swą naturą, Dirk Stoner postrzegał to jej przebaczenie jako słabość, uchyloną furtkę. Farah zbyt się wstydziła, żeby wspominać kolejne zdrady, aż cała sprawa stała się jeszcze bardziej paskudna i wtedy stawiała mu czoło bardziej stanowczo.

Rozwód przebiegł dość sprawnie. Od samego początku opinia publiczna była po jej stronie. Dirk stał się niepopularny na polu golfowym. Zaczął coraz częściej przegrywać, coraz więcej pić, coraz chętniej zażywać kokainę. Brnął coraz głębiej, aż gdzieś w swym pokreślonym umyśle odnalazł Farah i obwiniał ją o wszystkie niepowodzenia oraz odwrót Fortuny, która ukazała mu teraz swoje ciemne oblicze. Dostał obsesji na punkcie odzyskania żony, bo, jak wierzył, wraz z nią odzyskałby swoją dawną postać. Zaczął więc podchody, nie kończące się starania, aż w końcu doprowadził wszystko do psychotycznego morderstwa, wpadł w wir, który rzucił go na skaliste dno i przywiódł dziś do końca.

Taką nadzieję miał Harry.

Sala dla świadków zapełniła się. Ktoś zakaszał. Ktoś szeptał. Drzwi otworzyły się i Dirk Stoner, zakuty w kajdanki i łańcuchy, został wprowadzony do komory śmierci.

Jego ciemnobrązowe włosy były dłuższe, a cera blada. Chód zdradzał niepewność - objaw paniki, jaka musiała ogarnąć go w ostatniej chwili. Znikła ta jego typowa dla Stonerów arogancja. Wyglądał gorzej niż blado. Wyglądał jak trup: przerażone oczy biegały dziko od prawa do lewa i z powrotem, język oblizywał wargi.

Dirk rozejrzał się po świadkach, przez chwilę zatrzymując wzrok na ojcu, po czym przebiegł spojrzeniem po twarzach, skupiając się na Harrym i Elaine. Harry poczuł, jak dłoń córki zaciska się wokół jego palców niczym imadło. Wręcz raniła go paznokciami, ale on nawet się nie poruszył, nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Przez chwilę Dirk nie spuszczał z nich wzroku. Przez moment widzieli w nim dziką furję, a potem uśmiech szaleńca, który znikł szybko w trakcie dalszych przygotowań.

Harry zauważył, że Dirкови trzęsą się ręce. Czuł jego drżenie. Wiedział, że skazańcom zakłada się pieluchę, żeby uniknąć żenujących wydarzeń.

Harry nie chciał widzieć opanowania tego człowieka. Wreszcie, wreszcie przyjdzie koniec na tę egocentryczną, zepsutą, zarozumiałą namiastkę ludzkiej istoty, pomyślał Harry. Tacy ludzie powinni rozpadać się na kawałki w obliczu nadciągającego przeznaczenia.

Dirk ponownie spojrzął na ojca, jak gdyby miał nadzieję, że ten skinieciem ręki wstrzyma egzekucję. Harry popatrzył na Philipa Stonera.

Elaine podążyła oczami za spojrzeniem ojca i nachyliła się do jego ucha.

- Jego ojciec wygląda jak głaz - wyszeptwała.

Harry potaknął. Dlaczego był tu Philip Stoner? - zastanawiał się. Czy chciał w ten sposób pocieszyć syna? A jak właściwie może taki człowiek pocieszyć kogokolwiek?

Dirka zapytano, czy chciałby coś jeszcze powiedzieć.

Najpierw popatrzył na ojca.

- Nie zrobiłem niczego, co przyniosłoby wstyd mojej rodzinie - rzekł. - Chcę, żebyś o tym wiedział, tato.

Stoner spuścił głowę.

- O co mu chodzi? - wymruczał Harry do Elaine. - Chcę, żeby ojciec zmusił nas do wybaczenia mu?

Wtedy Dirk odwrócił się i skierował spojrzenie na nich.

Harry czuł gorąco na twarzy, ale nie spuszczał wzroku. Nie mógł pozwolić, żeby zawstydził go człowiek, który miał za chwilę umrzeć; nie *ten* człowiek.

- Nie zrobiłem tego i tęsknię za Farah tak samo jak wy. To pomyłka! To jakaś okropna pomyłka! - wykrzyknął.

Wydawało się, że rozpada się na kawałki, ugięły się pod nim nogi. Strażnicy musieli podtrzymać go przez chwilę. Przez salę przeszedł cichy pomruk.

Harry zaczął się podnosić.

- Nie rób tego, tato - prosiła Elaine, ciągnąc go za rękę.

- Łajdak. Chcę zmusić nas do współczucia.

- On chce, żebyś stracił panowanie nad sobą, tato. Nie daj mu tej satysfakcji.

Harry spojrzął na nią i pokiwał głową. Miała rację. Jego rozsądna, opanowana córka miała rację. Musiał się trzymać.

Zaczęto przywiązywać Dirka do kozetki. Świadkowie widzieli, jak płacze. Harry zamknął na chwilę oczy, żeby tego nie widzieć.

Elaine pogłaskała jego dłoń, po czym sama też zamknęła oczy i spuściła głowę.

Nareszcie nadchodził koniec.

Reporterzy czekali z niecierpliwością na wyjście Harry'ego i Elaine z więzienia. Popołudniowe słońce znikło i czarne cienie zdawały się jawić wokół nich niczym demony śmierci.

Światła kamer były już włączone i rozbłyskały coraz to nowe. Oślepiły na chwilę Harry'ego i Elaine.

- Nie rozmawiaj z nimi - nalegała Elaine.

Po raz pierwszy od wydania orzeczenia o winie Harry nie dbał o to, by go filmowano, ale też nie miał zamiaru nikogo lekceważyć. Ludzie mogliby to odczytać jako słabość.

- Nic mi nie jest - odparł.

- Czy mógłby pan powiedzieć, co się tam wydarzyło, panie Ross?

- Został stracony okrutny morderca - odpowiedział chłodno Harry.

- Czy jest pan zadowolony? - zawołał ktoś inny.

- Zadowolony? Wiem, że stało się zadość sprawiedliwości, ale nie będę zadowolony, dopóki moja córka nie wstanie z grobu.

Torował sobie i Elaine drogę do parkingu. Szybko wsiedli do samochodu, podczas gdy dziennikarze wciąż wykrzykiwali pytania, zasypując ich nimi jak parę młodą ryżem. Harry wziął głęboki wdech.

- Chcesz, żebym ja poprowadziła, tato?

- Nie - odparł szybko i uruchomił silnik.

Nie okazuj nikomu słabości, powtarzał sobie. Nie chciał, żeby dowiedzieli się o pustce, jaką odczuwał, i o rozczarowaniu.

- Nie dość cierpiał, Elaine - odezwał się, gdy ruszyli. - Nie było krwi, elektrowstrząsów, odgłosu karabinów czy pętli zaciskającej się na szyi wiśielca - niczego, co wskazywałoby na jego śmierć, nie licząc lekarza, który zbadał go, odczytał EKG i oświadczył, że jest martwy...

Harry trząsł się z wściekłości.

- Równie dobrze mógł umrzeć na atak serca w swojej celi i uniknąć całej tej afery.

- Daj już spokój, tato. Daj spokój - błagała Elaine.

Harry przeżywał z trudnością. Czy na to właśnie czekał przez wszystkie te lata?

- To tak, jakby Farah była tylko pionkiem w tej grze, Elaine, a jej śmierć zaledwie nieważnym posunięciem. Nie poświęcono jej choćby części tej uwagi, co Dirkowi - ksiądz, lekarz, psycholog. Nie położyła się, by zasnąć i modlić się do Boga o ocalenie duszy. Zupełnie przytomna stanęła twarzą w twarz z okrutną świadomością dopełniającego się przeznaczenia, cierpiała, bała się, była sama. Nie stał przy niej żaden ksiądz, który zapewniłby ją o życiu wiecznym. Nikt z przyjaciół czy rodziny nie mógł jej w tej chwili podnieść na duchu. Żaden urzędnik nie zapewnił jej godnego zejścia z tego świata. Kwiczała jak prosię i patrzyła, jak jej własna krew wsiąka w dywan.

- Tato, przestań! - wykrzyknęła Elaine.

Po policzkach płynęły mu łzy.

- Zatrzymaj się i pozwól, że ja poprowadzę - powiedziała.

Nagle Harry krzyknął. Wydał z siebie długo wstrzymywane, przerażające, groteskowe wycie i jak szalencie zaczął walić w kierownicę.

- Tato!

Musiał zwolnić, zjechać na pobocze i stanąć. Rzucił się na wszystkie strony, uderzając dłońmi w okna niby zwierzę w szklanej klatce, a potem zaczął walić pięściami w deskę rozdzielczą, dopóki ból ręki i ramienia nie kazał mu przestać.

Córka trzymała się od niego z daleka, aż pochylił się w przód, wycieńczony, zasapany, zaśliniony, ze skurczonym żołądkiem. Samochody mijały ich ze świstem. Elaine wysiadła, obeszła samochód i otworzyła drzwi z jego strony.

Gdy tylko to zrobiła, wychylił się z wozu i zwymiotował. Elaine podtrzymywała go, dopóki nie skończył.

- Trzeba było nie jeść obiadu - wymamrotał. - Musiałem zagrać twardego przed tobą i matką.

Oparł się z powrotem, zamknął oczy i czekał, aż przejdą fale nudności.

- Posuń się. Teraz ja prowadzę - zarządziła Elaine.

Przytomność wróciły mu jaskrawe światła odbijające się w lusterku wstecznym. Usiadł wyprostowany, podczas gdy z radiowozu wysiadł policjant drogówki i zbliżał się właśnie z latarką w ręce do ich samochodu. Snop światła padł na twarz Elaine.

- Jakiś problem, proszę pani? - zapytał policjant.

- Ojciec źle się poczuł za kierownicą, ale już mu przeszło - odparła szybko.

Funkcjonariusz oświetlił twarz Harry'ego, po czym poświecił w głąb samochodu i wyłączył latarkę.

- Pan jest.... Pan Ross, prawda?

- Tak.

Policjant spojrzał na Elaine.

- W takim razie wracacie państwo właśnie z San Quentin?

- Tak - odrzekła Elaine.

- Bardzo mi przykro. Poradźcie sobie, czy potrzebna wam pomoc?

- Nie, nic nam nie będzie - zapewniła Elaine. Popatrzyła na Harry'ego. - Dalej ja poprowadzę.

- Cóż, naprawdę mi przykro, panie Ross. Pan i pańska rodzina przeszliście przez piekło - powiedział funkcjonariusz.

Przez chwilę otoczony cieniem policjant wyglądał jak zjawą z zaświatów, senna mara, poczwara przysłana przez samego diabła, by przypomnieć

Harry'emu, że zło potrafi trwać niczym pozornie nie kończące się echo wystrzału z broni, krzyku czy zawodzenia opuszczonych żalobników.

- To prawda - rzekł Harry.

Posunął się tak, by Elaine mogła usiąść za kierownicą.

- Proszę na siebie uważać - powiedział policjant.

Elaine uruchomiła silnik i ruszyła.

Popatrzyła na wyczerpanego ojca kulącego się na swoim fotelu. Potem spojrzała w lusterko wsteczne i dostrzegła policjanta stojącego i przyglądającego się, jak odjeżdżają.

Gdzieś w najbardziej nieokiełznanych zakątkach wyobraźni zdawało się jej, że usłyszała śmiech.

2

- Czy dokonano analizy geologicznej terenu? - zapytał Feinstein.

Harry stał przy oknie w pokoju dziennym i wpatrywał się w szokująco piękny widok wąwozu Topanaga. Poranna mgła podniosła się, odsłaniając pluszową zielen wzgórz usianych drogami domami wetkniętymi w każdy skrawek gruntu podarowany przez Matkę Naturę. Ze wschodu nadlatywał pasażerski odrzutowiec, unosząc się w puchatych obłokach przypominających kłęby cukrowej waty. Roztaczał się przed nim świat pozorów.

Tak wiele w życiu stanowi dzisiaj iluzja, dumiał Harry. Oto znajdowali się w sercu show-biznesu, finansowego imperium zbudowanego na pozorach. W dawnych czasach ludzie pracowali i żyli w świecie realnym, a wolne godziny upływały im na czytaniu lub słuchaniu czytania innych. Niewiele było tych godzin, bo przez większą część dnia trzeba było pracować na utrzymanie. Teraz, przy wciąż kurczącym się tygodniu pracy, gdy każdy strzeże i hołubi swe weekendy niczym największą świętość, przy wszystkich tych płytach CD, sprzęcie wideo, elektronicznych mediach, telewizji, filmach, internecie, świat złudzeń zwyciężył nad światem realnym. Wszyscy jego znajomi zdawali się być spowici w jakieś urojenia, czy to wierność telenoweli, czy przerabianie swego wizerunku na wzór wymyślonego bohatera lub bohaterki. Nawet leki uspokajające wynaleziono po to, by wyrwały ludzi z rzeczywistości.

Nic dziwnego, że tak wiele osób traktowało to, co przydarzyło się Farah i jego rodzinie, jak serial telewizyjny. Rossowie stali się jakby postaciami

hollywoodzkiej produkcji i w związku z tym stracili coś ze swego człowieczeństwa. Było to prawie tak, jakby opinia publiczna wierzyła, iż on i Lil nie stracili tak naprawdę swojej pięknej córki. To był tylko... tylko jeden z odinków nadawanego co tydzień w wiadomościach dramatu.

- Czekamy - rzuciła pani Feinstein po dłuższej chwili ciszy. Miała przy najmniej dwanaście kilo nadwagi jak na swoje metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Jej szczupły mąż wyglądał u jej boku całkowicie potulnie i to ona zadawała większość pytań i miała najwięcej uwag. - Panie Ross?

- Tak?

Harry odwrócił się i popatrzył na nich tak dziwnie, że oboje poczuli się, jakby zapomnieli o ich istnieniu, nie pamiętał, że przyprowadził ich do tego domu. Wyglądał na tak zaskoczonego.

- Przepraszam, co pani mówiła?

- Mąż pytał o analizę geologiczną. To bardzo istotne - dodała, stwierdzając z miną pedanta to, co oczywiste.

- Ach. Tak, przeprowadzono taką analizę.

Harry podszedł do swojej teczki i zaczął przerzucać dokumenty.

- Pewnie zostawiłem ją w biurze - powiedział po chwili.

- Doprawdy? - odezwała się pani Feinstein, ściągając do tyłu ramiona i unosząc bujne piersi niby dwie armaty. Harry wyobraził sobie, że strzela do niego z sutków jak z dział. Aż się uśmiechnął. - Czy coś pana rozbawiło, panie Ross?

- Nie, tylko... coś sobie przypomniałem - odparł szybko.

Feinsteinowie spojrzeli na siebie. Brwi pani Feinstein skuliły się jak rozłoszczone gąsienice.

- Tak, cóż, to ładny dom, ale nie dla nas - powiedziała ostro. - Szukamy czegoś mniej ekstrawaganckiego - dodała. - Myślałam, że zrozumiał pan to podczas naszej rozmowy w pańskim biurze.

- Cóż, z doświadczenia wiem, że ludzie nie są do końca pewni, o co im właściwie chodzi, dopóki tego nie zobaczą - zasugerował Harry.

Kiepskie usprawiedliwienie braku przygotowania. Pan Feinstein wyglądał, jakby się za niego wstydził.

- Przykro mi - dodał Harry i zamknął teczkę. - Wróćmy do biura, a pokażę państwu inne...

- Chodźmy już stąd - skwitowała pani Feinstein.

Ruszyła w stronę drzwi, a mąż natychmiast podążył za nią, jak gdyby miał na szyi niewidzialną smycz.

Harry porwał swoją teczkę i zamknął dom. Małżeństwo siedziało już w jego samochodzie, a na rozgniewanej twarzy pani Feinstein jak wysypka

poczęło występować zniecierpliwienie. Harry wsiadł i odwiózł ich tak szybko, jak tylko się dało.

Od egzekucji Dirka Stonera minęło prawie osiem miesięcy, a Harry sprzedał zaledwie trzy posiadłości, każdą za mniej niż pół miliona. To Lil wciąż ciągnęła ich interesy. Harry stracił tak wiele chęci do życia, że chwilami wyglądał jak po lobotomii mózgu. Zdrowe współzawodnictwo, ekscytacja lukratywnymi transakcjami i wzrostem cen ziemi, szacunek, jakim niegdyś cieszył się w branży, już go nie interesowały. Robienie pieniędzy stało się nic nie znaczącą czynnością. Przypominał człowieka znudzonego samym sobą.

Tak kiepsko wypadł w nowej reklamówce, która miała pójść w regionalnej telewizji, że Lil postanowiła ją wycofać. Kiedyś byli bardzo zabawną i lubianą parą. Harry był wcześniej całkiem śmiesznym facetem. Starzy przyjaciele nazywali ich Cosby'imi świata nieruchomości. Inni - Timem Allenem i Zsa Zsa Gabor pośredników. Była więc Lil z rozmysłem wystrojona jak choinka, obwieszona biżuterią, z połyskującymi na palcach pierścionkami, prawiąca o tej czy owej luksusowo urządzonej nieruchomości, i był Harry, którego rola polegała na podkreślaniu co bardziej praktycznych aspektów, jak zabudowane szafki w garażu, możliwości podniesienia komfortu w domu.

- Kto zechciałby spędzać w garażu więcej czasu niż to konieczne, Harry? - miała droczyć się Lil.

Nawet ludzie nie zainteresowani nabyciem nowej posiadłości zmieniali kanał, żeby ich oglądać.

Jednak kamera była jak psychologiczny rentgen, odsłaniając głębię depresji Harry'ego. Jego oczy były puste, a cienie wokół nich coraz ciemniejsze. Światło, jakie gościło niegdyś na jego twarzy, znikło, zaś w głosie słychać było ciężar, który sprawiał, że każde słowo zdawało się wypowiedane z wielkim wysiłkiem. Wyglądał jak ktoś, kto chciałby powiedzieć: „A dajcie wy mi wszyscy święty spokój”.

W podobny sposób oglądał telewizję, gapiąc się w ekran jak człowiek zahipnotyzowany blaskiem. Prawie nigdy nie podązał za wątkiem przedstawianych historii. Zdawało się, że łapie go i gubi, przypominając sobie jakiś szczegół to tu, to tam, lecz nie usiłując nawet powiązać ich w całość z prawdziwym zainteresowaniem. Równie dobrze mógłby siedzieć przed wyłączonym odbiornikiem. I tak większość czasu spędzał przeglądając obrazy za własnymi powiekami, odtwarzając wspomnienia, jakby jego mózg krył nieśmiertelny magnetowid z nie kończącym się zapasem kaset.

Na początku Lil była cierpliwa. Gdy Harry odpływał pośrodku rozmowy, spokojnie powtarzała wszystko od początku. Gdy zapomniał o kliencie lub nie zadbał o to, by pokazać nieruchomości, które bez wątpienia pasowałyby mu najbardziej, po cichu przypominała mu i próbowała nadrobić wszystko, przyjmując więcej obowiązków na własne barki. Rzadko się w tych dniach kochali, a kiedy już to robili, to było tak, jak mówiła kiedyś jedna z jej przyjaciółek, skarżąc się na umierający związek z mężem: „Onanizuję się, z Gordonem w pochwie”.

Lil miała nadzieję, że Harry'emu pomogą spotkania z ich terapeutą, doktorem Stevenssem. Sześć sesji, w których sama uczestniczyła, bardzo jej ułatwiły zdystansowanie się i odnalezienie celu w życiu, a przede wszystkim uporanie się z tragedią. Z Harrym było inaczej. Miał teraz swego rodzaju kamień probierczy, za pomocą którego szacował wszystkich, i każdego, kto chciał mu coś powiedzieć, pytał: „Czy straciłeś córkę lub syna w wyniku brutalnego morderstwa?”.

Jeśli nie, to siedź cicho, dopowiadała w myśli Lil.

Przyjaciele coraz rzadziej zapraszali ich na spotkania. Przedtem mało który weekend mogli spędzić w domu i nacieszyć się własnym towarzystwem. Ich kalendarz zawsze był gęsto zapisany. Teraz weekendy w terminarzu świeciły bolesną pustką.

Chodzili do kina, od czasu do czasu na jakiś pokaz, koncert, ale cokolwiek robili i cokolwiek widzieli, zdawało się przypominać Harry'emu o Farrah, o morderstwie i o wszystkim, co po nim nastąpiło. Lil starała się unikać filmów, w których choć jedna scena przedstawiała zabójstwo. Gdy zmieniała kanały, bała się choćby jednego ujęcia z turnieju golfowego, a za każdym razem, gdy mijali w Los Angeles budynek ze znakiem przynależności do Stonera, usiłowała odwrócić uwagę Harry'ego.

Czego trzeba, zastanawiała się, żeby wyrwać go z tego i przywrócić światu żywych? Czy mają przeprowadzić się do nowego domu w innej okolicy? Czy należałoby wyjechać na długie wakacje? Czy powinni zaangażować się w działalność charytatywną?

Harry, który nienawidził środków uzależniających, który nie brał nawet aspiryny, jeśli nie było to naprawdę konieczne, nieuchronnie skłaniał się ku alkoholizmowi. Na przyjęciach zawsze wybierał wódkę. Przez lata mieszał ją z tonikiem czy sokiem owocowym, ale teraz pił czystą, jak wodę. Miała pomóc mu zasnąć, ale od dnia morderstwa nie przespał tak naprawdę ani jednej nocy, a po egzekucji bezsenność dokuczala mu jeszcze bardziej. Kiedy już udało mu się zasnąć, często nękały go koszmary, z których budził się z krzykiem lub rzucając się na łóżku. Nie chciał opowiadać swoich snów, a Lil uważała, że doktorowi Stevensowi także nie zdradził ich szczegółów.

Gdy zapytała kogoś ranka, co go tak dręczyło, powiedział tylko: - Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Dlaczego? Czy może nam się przydarzyć coś jeszcze gorszego, Harry? - spytała.

Przez chwilę patrzył na nią tymi martwymi, zimnymi oczami.

- Tak - odparł, ale nie zgodził się powiedzieć nic więcej.

Doszła do wniosku, że ich życie z trudnego zamieniało się w nieznośne. Ostatnio zaczęła zwracać uwagę na własne zdrowie psychiczne i samopoczucie. Jak długo jeszcze, zastanawiała się, sama będzie potrafiła to znieść, nie popadając w obłąd?

Lil była w biurze, gdy Harry wrócił z Feinsteinami. Razem z mężem mieli dość luksusowe biuro nad wąwozem Cold Water. Ich poczekalnia mogła konkurować z poczekalniami najlepszych lekarzy. Od prawie piętnastu lat ich sekretarką była owdowiała przed dwunastu laty Clara Weincoup. Była sprawna, lojalna i świetnie znała się na rzeczy.

Po zabójstwie Farah nawet Clara stała się obiektem uwagi mediów. Ktoregoś dnia reporterzy i kamerzyści pojechali za nią do domu i próbowali wdrzeć się do garażu, nim brama opuściła się do końca za samochodem. Nigdy nie dowiedzieli się od niej niczego poza: „Nie mam nic do powiedzenia”. Szybko dali jej spokój.

Clara miała tylko jedno dziecko, syna, który był księgowym w Pomonie. Jak gdyby rozumiejąc psychiczny niepokój Harry'ego lepiej niż jego psychoanalitik, po śmierci Farah przestała mówić o synu i rodzinie. Skupiła się wyłącznie na pracy, przez co jej relacje z Lil stały się chłodniejsze i trudniejsze.

Harry wszedł sam. Feinsteinowie odrzucili propozycję zapoznania się z opisami kilku innych nieruchomości. Pani Feinstein powiedziała tylko coś o czasie, który dla nich najwyraźniej jest znacznie cenniejszy niż dla niego. Popatrzył, jak odjeżdżają, zastanawiając się, co właściwie się, u diabła, stało tym razem? Co takiego straszego, do cholery, zrobił?

On i Lil mieli osobne pokoje. W jego gabinecie fotografie Farah, pamiętki po niej, świadectwo maturalne w ramce, listy pochwalne dotyczące jej aktorstwa i pracy modelki, zalaminowane okładki czasopism z jej wizerunkiem i inne zdjęcia, do których pozowała jako modelka, były wszędzie. Gdzieś w całym tym kramie tonął wycinek z gazety o przemówieniu Elaine, jakie, będąc prymuską, wygłosiła na zakończenie szkoły, kilka jej listów pochwalnych, włączając ten otrzymany po wygraniu stypendium. Były zdjęcia ich całej czwórki, ale nie było fotografii Harry'ego z Elaine, podczas gdy trzy obrazki przedstawiały jego i Farah.

W pokoju Lil panowała większa równowaga. Więcej było zdjęć całej rodziny i prawie tyle samo zdjęć Elaine co Farah, mimo że ta druga została modelką, wyszła za Dirka i stała się bożyszczem mediów. Taką właśnie wymówkę miał Harry, gdy Lil zarzuciła mu dysproporcję.

- A czego oczekiwałaś? Zawód Farah polegał na tym, że robili jej zdjęcia, Lil. Czy to takie dziwne, że chcę mieć wokół siebie kilka z nich? - odparował.

Nie dyskutowała z nim dłużej. Doktor Stevens sugerował, że porównywanie dwóch córek, zwłaszcza gdy jedna z nich nie żyje, byłoby w tym momencie wielkim błędem.

- Ludzie, którzy przeżyli nagłą śmierć kogoś z bliskich osób, często mają ogromne poczucie winy, a nie chce pani chyba, żeby córka, która przeżyła, zmagala się z takimi uczuciami, Lil - mówił doktor Stevens.

Miało to sens. Lil schowała swe uwagi do kieszeni i żyła dalej. Ale czy była w stanie tak żyć bez końca? Dokąd, zaczęła się zastanawiać, właściwie wszyscy oni zmierzali?

- Jak ci poszło z Feinstejnami? - zapytała, wchodząc za Harrym do biura.

Harry rzucił teczkę na biurko i wpatrywał się w nią tak długo, iż pomyślała, że wcale nie chce jej odpowiedzieć, że ma zamiar zwyczajnie ją zlekceważyć.

- Czy uwierzysz, że zostawiłem tu analizę geologiczną? - odparł pytaniem na pytanie, wciąż na nią nie patrząc.

- Tak - powiedziała pewnie. - Oczywiście, że uwierzę.

Podniósł wzrok i spojrzał ostro.

- Słucham?

- Czemu miałbyś nie zapomnieć ważnego dokumentu, Harry? W zeszłym tygodniu zupełnie zapomniałeś o spotkaniu i klient czekał na ciebie w domu przez ponad godzinę... mimo że miałeś je zapisane w terminarzu i przypominała ci o nim Clara.

- Mówiłem ci, że pomyliłem daty, to wszystko.

- To *nie* wszystko, Harry. Chodzi o... wiele rzeczy. Jeśli się nie zmienisz, przestaniemy się liczyć w branży - ostrzegła.

Na końcu języka miał: „No i co z tego?”, ale popatrzył tylko na teczkę.

- Staram się - wymamrotał.

- Samo staranie się nie wystarczy - odrzekła z nieznaną mu stanowczością.

Znowu posłał jej ostre spojrzenie.

- Możesz się starać i starać, i starać, ale po jakimś czasie, jeśli staranie nie przynosi skutków, przegrywasz.

- Cóż to ma znaczyć?
- To znaczy, że ja też umieram - odparła z wilgotniejącymi oczami. - Jeśli nie wrócisz wkrótce...

- Co? - wypalił w odpowiedzi. - Co masz zamiar zrobić, Lil?

- Zastanów się nad tym, Harry - ostrzegła, szybko wracając do normy. Miała spotkanie o drugiej.

Opadł na fotel za biurkiem jak człowiek, któremu właśnie powiedziano, że jest śmiertelnie chory.

- Nie mogę przestać o nim myśleć - wycodził drżącymi ustami.

- Harry...

- Za każdym razem, gdy patrzę przez okno, czuję się, jakbym patrzył przez szybę w tamtej sali dla świadków. Widzę tę obrzydliwie bezczelną gębę. Odebrał nam życie - jęczał Harry - i nie cierpiał żadnego bólu,

Lil.

- Został zabity - powiedziała cicho.

- Nawet o tym nie wiedział. Łatwo mu poszło.

- A jednak to śmierć, Harry. Musisz dać temu spokój, bo inaczej on zostanie to, czego chciał. To on się teraz mści, nie ty.

Harry wziął głęboki wdech, odchylił głowę i zamknął oczy.

- Masz drugą córkę, którą ignorujesz. To prawda - nie poddawała się Lil. - I ona też to czuje, Harry. Także w ten sposób Dirk dokonuje swojej zemsty. No i jestem ja...

Otworzył szeroko oczy i popatrzył na nią.

- Wiem - odparł.

- Powinieneś rozważyć pójście do psychiatry. Być może powinieneś się leczyć. Doktor Stevens ci nie pomaga.

- Tego jestem pewien - rzekł. - Wszyscy oni gównie wiedzą.

- Może to i prawda, ale dopóki nie znajdziesz innego rozwiązania, musisz spróbować poszukać pomocy. Ja nie potrafię tego ciągnąć w nieskończoność - zagroziła.

Utkwił w niej swój wzrok.

- Kocham cię i chcę, żebyś ty mnie kochał - mówiła - ale jeśli nadal będziesz pozwalał temu okropnemu człowiekowi ciągnąć cię za sobą do grobu, to ja uciekam, Harry. Nie chcę jeszcze umierać. Mam jeszcze jedną córkę, która potrzebuje matki, i chcę doczekać wnuków. Chcę dobrze jeść, chodzić do teatru, podróżować. Krótko mówiąc, chcę żyć i się bawić. I nie mam wyrzutów sumienia z powodu takich myśli. Gdybym mogła, oddałabym własne życie, żeby tylko przywrócić je Farah. Wzrastała we mnie i była częścią mnie, i jakaś część mnie umarła wraz z nią; ale też jakaś część mnie ciągle żyje. A co z tobą, Harry?

Jej oczy znowu zrobiły się szkliste. Wzięła głęboki wdech, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Mąż patrzył za nią. Potem obrócił się i wyrztał przez okno. Cywilizowanym ludziom nie wypada szukać zemsty, myślał. „Zemsta należy do mnie, mówi Pan”, pamiętasz? Odwet od wieków stanowił podstawową motywację. Ci, którzy cierpieli na skutek popełnionego przez innych grzechu, sami stawali się grzesznikami. Czy naprawdę czułby się dzisiaj lepiej, gdyby widział, jak Dirk Stoner cierpi ogromny ból, błaga o życie, zmienia się w zasmarcanego, zaślinionego imbecyla?

Czy naprawdę czułby się lepiej, gdyby w jakiś sposób stał się narzędziem niosącym Dirkowi śmierć?

Zastanowił się.

Tak, doszedł do wniosku bez najmniejszego zmieszania. Nazwijcie mnie grzesznikiem, naznaczcie literą *O* jak odwet, skażcie na piekło. Nie zaprzeczę. Czułbym się wtedy lepiej. A więc nie jestem cywilizowany. A czy Dirk był cywilizowany? Czy ktoś w ogóle jest? Może to tylko kolejna iluzja. Może po prostu nie stać nas na tak szczytne ideały. Przyznaję się. Mnie nie stać.

Już sama świadomość tego uwolniła go od jednych kajdan. Lżej mu się oddychało.

Ale co on mógł na to poradzić? Nie można zabić nieżyjącego, pomyślał, a potem przypomniał mu się pogrzeb Dirka. Nawet Lil nie wiedziała, że tam poszedł. Pojechał na cmentarz, żeby popatrzeć na żałobników, sprawdzić, czy uda mu się choćby zerknąć na twarz Philipa Stonera. Był o głowę wyższy od innych, ale Harry nie stał na tyle blisko, żeby dostrzec jego minę. Gdy wszyscy odeszli, trumnę spuszczone do grobu. Harry dotarł tam, nim zaczęto go zasypywać. Nachylił się nad dołem i napluł. Lil nic o tym nie wiedziała. Gdyby się dowiedziała, zdenerwowałaby się, pomyślał. Nie uwierzyłaby mu, gdyby powiedział, że odczuł niewielką ulgę.

To właśnie powinien teraz zrobić, pomyślał, pójść tam którejs nocy i rozwalić ten piękny marmurowy pomnik, roztrzaskać go na kawałki i wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać twarz Philipa Stonera, gdy odkryje, że ktoś to zrobił. Pewnie by mnie podejrzewał, dumiał Harry. Ciekawe, co by zrobił?

Harry niemal podjął wyzwanie.

Właściwie to mógłbym pójść i to zrobić, pomyślał. Skupił się na tym pomysłe tak bardzo, że Clara musiała zapukać do drzwi, by poinformować go, że ktoś dzwoni.

- Klient na drugiej linii, Harry - oznajmiła. - Pan Holt w sprawie posiadłości Klingerów.

- Że co? Ach, dziękuję, Claro - odparł. Popatrzył za nią przez chwilę, po czym zamknął drzwi. Spojrzał na mrugający przycisk i nie podnosząc słuchawki, wstał i wyszedł z biura.

3

Patrzeć na twarze denatów dostarczanych Wydziałowi Medycznemu Uniwersytetu Nowojorskiego zazwyczaj nie stanowiło dla Elaine żadnego problemu. Zachowywała konieczną w tej sytuacji naukową obojętność, ledwie świadoma tego, jak niektórzy koledzy z roku obserwują ją, słuchają jej rzeczowej analizy, wymienianej na chłodno listy szczegółów i kręcą głowami z zazdrością, ale i z niechęcią. Wśród męskiej części roku krążył żart, że Elaine Ross robi notatki i mówi do dyktafonu, nawet kochając się z mężczyzną, ale przynajmniej facet ma od razu z głowy badanie prostaty. Jednak od egzekucji Stonera odczuwała emocjonalną słabość. Dziś znowu, w samym środku sekcji serca, spojrzała na twarz pięćdziesięcioośmioletniego denata i wzdrygnęła się. Pomyślała - wyobraziła sobie, rzecz jasna - że ten trup patrzy na nią tępymi, szarymi gałkami ocznymi, a blade usta składają się do szyderczego uśmiechu: uśmiechu Dirka Stonera z celi śmierci. Głośno chwyciła powietrze i sama zrobiła się blada jak trup.

- Panno Ross? - odezwał się doktor Cummings. - Dobrze się pani czuje? Wszyscy na nią patrzyli.

- Hm... nie. Trochę mi niedobrze. Przepraszam - odparła.

- Panie Forster, może teraz pan - polecił doktor Cummings i niski, przysadzisty mężczyzna stojący obok Elaine szybko zajął jej miejsce.

Elaine podała mu skalpel i cofnęła się.

- Proszę zrobić sobie przerwę - wyszeptał doktor Cummings.

Kiwnęła głową i wyszła z prosektorium.

W toalecie obmyła twarz lodowatą wodą i wzięła kilka głębokich wdechów.

Kiedy to się skończy?

Stała przy otwartym oknie i wyglądała na ulicę, obserwując przez chwilę ludzi i samochody. Potem wzięła się w garść i wróciła do prosektorium. Doktor Cummings popatrzył na nią, gdy wchodziła, zaś ona uśmiechnęła się,

dając do zrozumienia, że już wszystko w porządku. Skinął głową i Elaine dołączyła do grupy. Jednakże nie patrzyła na twarz trupa. Skupiła się na zastawce i lewej komorze serca i słuchała dyskusji. Po zajęciach przeprosiła ponownie.

- Zdarza się - odrzekł doktor Cummings. - Jesteśmy tylko ludźmi.

Nie zaprzeczyła, choć w głębi serca wiedziała, że to nie jest właściwe wyjaśnienie. Wydawało się jej, iż każdy chce jej pomóc uciec od rzeczywistości w nadziei, że wkrótce, całkiem niedługo uda jej się od niej uwolnić. Ostatecznie kto przeżył coś podobnego? Kto jeszcze w tej szkole był siostrą jednej z najbardziej znanych w kraju ofiar morderstwa?

Nim minęło południe, Elaine prawie się uspokoiła. Po wykładzie zaszła się w wydziałowej kawiarence, gdzie postanowiła zjeść lunch, aby nie odrywać się zbyt od studiów.

Elaine posiadała umiejętność czytania podczas chodzenia. Potrafiła nawet - tak jak robiła to teraz - wpatrywać się w otwartą książkę na tacy z drugim śniadaniem i czytać, idąc, jakby prowadzona radarem w stronę wolnego miejsca. Nie odrywając wzroku od tekstu, usiadła, zdjęła posiłek z tacy i nie przerwała czytania, dopóki nie skończyła akapitu.

Przerzuciła kartki, znalazła jakąś ilustrację, otworzyła zeszyt i, przed wyjęciem długopisu z kieszeni fartucha, wzięła kęs kanapki z jajkiem. Przeżuwając, zaczęła robić notatki.

Dokoła niej panował hałas - gwar rozmów, brzęczenie naczyń i sztucców, śmiech, nawet czyjś śpiew przy akompaniamencie muzyki płynącej przez słuchawki z przenośnego odtwarzacza CD. Elaine nic nie słyszała i była zaskoczona, gdy siedzący naprzeciwko niej młody człowiek podniósł głos, by powiedzieć: - Przepraszam.

Wpatrywała się w niego i mrugała, jakby miało jej to pomóc wrócić do rzeczywistości. Nie zdawała sobie sprawy, że ktoś siedzi przy jej stoliku. Był to przystojny, ciemnowłosy mężczyzna o przyciągających uwagę niebieskich oczach. Tak jak ona, miał na sobie fartuch, ale nigdy go wcześniej nie widziała; pomyślała, że gdyby było inaczej, z pewnością by go pamiętała. Posłał jej delikatny, subtelny uśmiech.

- Chciałem tylko zapytać, czy wykorzystasz tę porcję cukru.

- Słucham? Ach, tak. To znaczy, nie. Proszę - odparła, posuwając cukier w jego stronę.

Wziął paczuszkę, rozerwał i wsypał zawartość do swojej mrożonej herbaty.

- Nigdy wcześniej nie widziałem równie pilnej osoby - powiedział.

Ugryzł swoją kanapkę.

- Staram się tylko nie narobić sobie zaległości. Szybko można w to wpaść - odrzekła.

- Niby jak?

Przyjrzała mu się znowu, tym razem z większym zainteresowaniem.

- Studiujesz tu medycynę?

- Raczej udaję, że studiuję - powiedział i roześmiał się.

Odłożył kanapkę, wytarł dłonie w serwetkę i wyciągnął rękę ponad stołem, żeby się przedstawić.

- Kellyn Dumbar.

- Elaine Ross.

Podala mu rękę, a on przytrzymał ją, kręcąc głową.

- Ross, Ross... Skąd ja znam to nazwisko?

Jej twarz spochmurniała i Elaine cofnęła rękę.

Na początku musiała zmagać się z faktem, że jest rozpoznawana, i sama pierwsza przyznałaby, iż zamieniło ją to w odludka. Teraz jednak, gdy minęło już trochę czasu, była nieco spokojniejsza i zaczęła zaniedbywać swą obronną postawę. Telefony ustały, a reporterzy przestali wyczekiwać pod drzwiami jej mieszkania. Któregoś popołudnia kilka miesięcy wcześniej jakiś pismak miał czelność czekać na nią w korytarzu. Pozbyła się go dopiero zagroziwszy wezwaniem policji.

- Nie mamy razem żadnych zajęć - odparła szybko, powracając do czytania.

- Nie, to akurat wiedziałem - powiedział. - A, już sobie przypomniałem.

Twoja siostra została...

- Przepraszam - przerwała mu. - Muszę to przeczytać.

- Jasne. Wybacz - przeprosił i zabrał się za kanapkę.

Od czasu do czasu zerkła na niego kątem oka. Wyglądał na urażonego.

Chyba tracę umiejętność grzecznej rozmowy z ludźmi, pomyślała. Opuściła książkę.

- Nie chciałam być dla ciebie niemiła, ale nie lubię rozmawiać o mojej siostrze.

- Rozumiem - rzekł. - Jakiś czas temu mój młodszy brat zginął w wypadku samochodowym. To było straszne. Miał tylko dziesięć lat, a facet, który go przejechał, był pijany, ale ponieważ był synem miejscowego polityka, uszło mu na sucho.

- Skąd jesteś?

- Z małego miasteczka w Kansas. Na wypadku użyły sobie oczywiście wszystkie gazety, a potem stacje telewizyjne. To była wielka sprawa w naszej okolicy. Potem, gdy tylko zdarzyło się coś podobnego, ludzie, którzy

znali mnie i moją rodzinę, mówili: „Coś takiego zdarzyło się w rodzinie Kellyna” i oczywiście musiałem powtarzać całą historię ze szczegółami, na nowo przeżywać całą tragedię. Pewnie z tobą jest podobnie.

- Dokładnie tak rano - przyznała Elaine.

- Oczywiście wszystko było tylko na małą skalę - nic, w porównaniu z ogólnokrajowym zainteresowaniem, jakie towarzyszyło sprawie twojej siostry. Teraz, gdy na ciebie patrzę, przypominam sobie, że widywałem twoje zdjęcia w gazetach.

- Nie dlatego bynajmniej, żebym tego chciała.

Pokiwał głową.

- Doskonale pamiętam ten koszmar i chociaż wszystko zdarzyło się wiele lat temu, wciąż ogarnia mnie złość, gdy myślę o naszym skorumpowanym systemie prawnym, który pozwala szumowinom takim jak ten facet wyjść ze wszystkiego obronną ręką. A ty... Jestem zdumiony, że tak świetnie się trzymasz. Pewnie ciężka praca pozwala ci nie myśleć o tym wszystkim, co?

- Owszem, ale pracuję ciężko niezależnie od okoliczności.

Roześmiał się.

Elaine znów patrzyła w książkę i kończyła kanapkę. Kellyn zjadł swoją i zabrał się za mrożoną herbatę.

- Mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie, zanim się zamknę?

Opuściła książkę i spojrzała na niego.

- Słucham?

- Pamiętam, jak czytałem, że byłaś na egzekucji. Czy odczułaś jakąś... ulgę?

- Co takiego?

- No, czy to ma jakiś sens? Jestem jednym z tych, którzy nie mogą zdecydować się w sprawie kary śmierci - dodał.

- Ujmę to tak. Nie może już nikomu zrobić tego, co zrobił mojej siostrze. Trup to trup. Powinieneś wiedzieć to z autopsji - zakończyła.

Nie chciała, by zabrzmiało to tak ostro, ale po prostu nie mogła sobie wyobrazić, jak by to było, wiedzieć, że Dirk żyje, choćby za kratkami. Wciąż rozkoszowałyby się jedzeniem, onanizowałyby się albo uprawiały jakiś zboczony seks, oglądałyby telewizję, czytał, uprawiałyby sport, oddychał... podczas gdy ciało Farahgniło w grobie.

- Taaak. Ale nie tyle chodzi mi o przestępców, co o ofiary. Czy odczuwają ulgę?

Odłożyła książkę.

- Jesteś na psychologii?

- Można tak powiedzieć - odparł. - Czy to widać?

- Nie. W tych czasach nic po nikim nie widać. I w tym właśnie tkwi problem. Zaś à propos twojego pytania, to owszem, chyba mi ulżyło, gdy uświadomiłam sobie, że znikł z mojego życia raz na zawsze - powiedziała, mimo iż pierwsza przyznałaby, że wcale tak nie jest, jeszcze nie, nie dla niej i nie dla jej ojca.

Plama, jaką dała dziś rano w prosektorium, była tego wystarczającym dowodem.

Kellyn pokiwał głową.

- Dzięki.

Usiadł wygodniej i oparł się.

- Nie masz żadnych książek? - zapytała Elaine, spostrzegłszy, że przyszedł do kawiarenki z pustymi rękami.

- Wolę, żeby posiłek był tylko posiłkiem - powiedział. - Prawdziwą przerwą. To ułatwia trawienie, a ja lubię jeść. Ty zaś sprawiasz wrażenie osoby, która je, bo musi.

Roześmiała się. - A ty dlaczego jesz?

- Bo to przyjemne, mieć w ustach coś smacznego, coś dobrego - mówił.

- Nie odmawiaj przyjemności swoim zmysłom, żadnym zmysłom - dodał. - To moje credo.

- Przynajmniej jesteś szczerzy - powiedziała Elaine, powracając wzrokiem do podręcznika.

- Czasem aż do bólu. A ty?

- Co ja?

- Jesteś szczerą?

- Na tyle, na ile muszę - odparła.

- Mówisz, jakbyś była politykiem, nie lekarzem.

- Czasem nie ma między nimi wielkiej różnicy - stwierdziła, a on się roześmiał.

- Spotykasz się teraz z kimś?

- Nie.

- Konkretna odpowiedź.

- Nie mam czasu na związki - dodała w obronie własnej.

- Hm... Co do tego stwierdzenia... sam nie wiem. Brzmi jak uchylanie się od odpowiedzi.

- Nie próbuj mnie analizować - warknęła.

Podniósł rękę.

- Gdzieżbym śmiał. Jednak jesteś bardzo interesującą osobą. Mieszkasz z kimś?

- Bo co?

- Staram się wyrobić sobie zdanie na twój temat - odparł.

Popatrzyła na niego przez chwilę.

- Nie. A o czym to według ciebie świadczy?

- O niezależności, pewności siebie. Jeździsz samochodem czy chodzisz pieszo na zajęcia?

- Co to ma być?

- Mam taki swój własny test. Stworzyłem go jako zadanie na zaliczenie. A więc, chodzisz czy jeździsz?

- Mieszkam niedaleko uczelni i nie mam samochodu.

Kellyn pokiwał głową.

- Założę się, że lubisz operę, koncerty, wszelką wysoce intelektualną rozrywkę - kontynuował.

- Mam już dość tej analizy, panie doktorze.

Wstała.

- Nie chciałem cię wkurzyć - tłumaczył się. - Szukałem tylko sposobności, żeby cię poznać, dowiedzieć się, co lubisz robić.

- Ostatnio niewiele - odparła. - Przepraszam. Zebrała ze stołu książki i tacę.

- No to cześć - usłyszała.

Skinęła głową i odeszła. Gdy dotarła do drzwi, odwróciła się i zobaczyła, że znikł. Wyszedł innymi drzwiami.

Przez resztę dnia Kellyn Dumber co jakiś czas pojawiał się w myślach Elaine. Czy to instynkt, czy jakiś szósty zmysł, ale coś ją w nim niepokoiło. Wydał się jej za grzeczny, za łatwo się poddał. Miała wrażenie, że wiedział, kim ona jest, jeszcze zanim usiadł przy jej stoliku, i że cała ta wstępna gadka była tylko przykrywką dla czegoś innego. W szkole znał ją przecież prawie każdy. No i dlaczego nigdy wcześniej go nie widziała?

Tak bardzo zakłócało to jej spokój, że przed wyjściem z budynku zatrzymała się na chwilę w dziekanacie. Sekretarka podniosła wzrok, gdy wchodziła. Choć od egzekucji Dirka minęło wiele miesięcy, wizerunek Elaine i jej rodziny, jak i cała ta nieszczęsna historia, były ciągle świeże w ludzkiej pamięci, a do tego jedno z czasopism wciąż z rzadka o sprawie przypominało. Dalej trwała debata na temat kary śmierci i nieustannie odnoszono się w niej do sprawy morderstwa Farah Ross i egzekucji Dirka Stonera.

- Dzień dobry - odezwała się Elaine. - Mam prośbę.

- Co mogę dla pani zrobić, panno Ross? - zapytała gotowa do pomocy sekretarka.

- Mam coś dać pewnemu studentowi, a zapomniałam, jaki jest jego rozkład zajęć, i nie wiem, gdzie go mogę spotkać. Nazywa się Dumber, Kellyn Dumber.

- Nie ma sprawy - odrzekła sekretarka i wcisnęła klawisz komputera. -
Dumbar?

- Tak.

Elaine stała i patrzyła, jak kobieta posługuje się klawiaturą i myszką.

- Dzięki.

- Nie ma za co... Dumbar. Mam tu Domara i Dunninga, ale obawiam się, że żadnego Dumbara. Jest pani pewna, że tak się nazywa?

- Tak.

Elaine zamyśliła się przez chwilę.

Gnojek jest pewnie dziennikarzem, pomyślała. W końcu sam przyznał, że tylko udaje studenta. Pewnie zrobili mi też zdjęcie z ukrycia. Ciekawe, gdzie się ukáže?

Nie zapomniała o sprawie. Wściekłość, że dała się nabrać, dręczyła ją przez wiele dni, narastając za każdym razem, gdy wchodziła do kawiarenki i przypominała sobie o nim. Czas płynął. Co rano zatrzymywała się przy kiosku i przeglądała brukowce. Postanowiła nawet oglądać co niektóre bzdurne wiadomości na szukających sensacji kanałach, ale nic się nie pojawiło.

Minęły tygodnie, a nic się nigdzie nie ukazało. Na uczelni już go więcej nie widziała.

Nie wiedząc czemu, zastanawiała się, kim był.

Dlaczego tak ważne były dla niego szczegóły z jej życia? Dla kogo Elaine Ross stała się nagle tak bardzo interesująca?

4

Harry Ross stał nad grobem córki, tak jak robił to już wiele, wiele razy, i odczytywał jej nazwisko, datę urodzenia i śmierci oraz epitafium będące cytatem z Byrona, widniejącym też w kronice jej klasy: „W piękno odziana chodzi niby noc”.

Chociaż tyle razy powracał w to miejsce i doskonale wiedział, że Farah nie żyje, a jej szczątki spoczywają pod ziemią bosko spowite w posłanie trumny, jego umysł nie był w stanie wykonać tego ostatecznego kroku, nie pozwalał mu do końca uwierzyć w jej śmierć. Farah przebywała teraz gdzieś daleko, ale miała kiedyś wrócić.

Jak mógł, będąc jej opiekunem, żywicielem, stróżem, do tego dopuścić? Dlaczego temu nie zapobiegł? Czemu nie było go tam owej nocy?

W niespełnionych marzeniach widział siebie, jak przybywa do jej mieszkania zaraz po Dirku. Słyszy krzyk i widzi, jak Dirk podnosi rękę, w dłoni ścisnąc ostry śrubokręt - gotów zanurzyć go w gardle i sercu Farah. Bez wahanía biegnie i chwytá śmiercionośne ramię, ciągnąc je w dół i z dala od przerażonej córki. Walczy z Dirkiem i powala go na podłogę, kładąc zgięte kolano na jego kroczu, a potem wykręcając rękę, aż śrubokręt upada na podłogę. Pięściami okłada go po twarzy, bez ustanku wali po całym ciele, aż do utraty przytomności. A potem wstaje, obejmuje córkę i uspokaja ją, całując i trzymając mocno.

- Och, tato - woła Farah. - Jak dobrze, że przyszedłeś. Dzięki Bogu.

Och, tato...

- Już dobrze, kochanie. Już dobrze.

Tysiące razy ratował ją w marzeniach, lecz w rzeczywistości stał tu w ciemnościach i wpatrywał się w nagrobek, zahipnotyzowany widokiem jej imienia i tych dat. Tak dokładnie pamiętał jej narodziny, Lil z dumą trzymającą w ramionach noworodka, ich oboje paplających bez ustanku, jak piękną mają córkę, robiących dokładnie to, czego, jak obiecali sobie nawzajem, robić nie mieli: bzikujących na punkcie swego bobasa.

Jak można stać nad grobem własnego dziecka, dumal, wspominać jego narodziny, śmiech, radosne wydarzenia i nie pomyśleć: To niemożliwe, a jeśli to prawda, to znaczy, że nie żyjemy w żadnym rozsądnym, dobrym świecie. To znaczy, że naszym światem rządzi zła siła, zaś księża, klechy, które przychodzą i próbują coś wyjaśnić, proszą go, by popracował nad szerszą perspektywą, perspektywą wiary i pogodzenia się z losem; wszyscy oni stanowią część owej złej siły, pracują dla niej, utrzymują ją przy życiu w sercach i umysłach mężczyzn i kobiet.

Harry zrobił krok naprzód i położył dłoń na grobie, jak zazwyczaj robił to przed odejściem, zamknął oczy i powtórzył przeprosiny.

- Przepraszam, Farah. Przepraszam, że na to pozwoliłem.

Postał jeszcze chwilę, jakby wierzył, że któregoś dnia naprawdę usłyszy jej głos, jej przebaczenie, wyraz jej miłości. Potem odwrócił się i w pośpiechu opuścił cmentarz, sam poruszając się jak duch, który powstał z grobu: szybko, cicho, trzymając się cienia, wpadając w kolejną strefę mroku.

Dziś miał udać się w jeszcze jedno miejsce. W swym szaleństwie, pragnieniu ulgi doszedł do wniosku, że to może pomóc. Pomysł przyszedł mu do głowy już wcześniej, więc zaplanował wszystko i przygotował się.

Wsiadł do samochodu i wjechał na autostradę. Czuł się, jakby prowadził za niego automatyczny pilot, to wjeżdżając w korki, to z nich wyjeżdżając, aż znalazł się u celu, nie pamiętając podróży. Jak udało mu się unikać

wypadku, nigdy się nie dowie. Nie czuwał przecież nad nim dobry anioł, to pewne, pomyślał. Gdyby tak było, cała ta tragedia nigdy by się nie wydarzyła.

Jechał powoli, a minawszy bramę, zgasił światła. Potem zatrzymał samochód, wyłączył silnik i odczekał chwilę. Serce waliło mu jak młotem. Czy miał dość siły, by tego dokonać? - zastanawiał się.

Wysiadł i po cichu zamknął drzwi. Czuł się bardziej jak hiena cmentarna, niż jak szukający zadośćuczynienia ojciec. Podszedł do bagażnika, otworzył go i wyciągnął nowy młot. Był cięższy, niż myślał. Zdawało mu się, że nabrał wagi, odkąd go kupił. Może to była kwestia miejsca, panującej nocy i tego, że zaraz wprowadzi swój zamiar w życie, ale młot zdawał się ważyć dwa razy tyle, co w sklepie. Właściwie to dobrze, pomyślał; tym większa będzie siła uderzenia.

Obrócił się w stronę ścieżki pomiędzy grobami. Poruszał się teraz zdecydowanie, szedł rażno, a gdy w polu widzenia pojawił się piękny nagrobek Dirka Stonera, Harry ruszył dzikim pędem, trzymając przed sobą narzędzie, w pozie prymitywnego wojownika z rozwianym włosom, wytrzeszczonymi oczami, rozciągniętymi groteskowo ustami. Gdy tylko znalazł się wystarczająco blisko, podniósł młot i, wrzeszcząc z furją, opuścił go, dokonując pierwszego udanego uderzenia. Trafił w lewy górny róg, posyłając jego odłamki w ciemną noc.

Potem okręcił się i uderzył w sam środek. Kamień zadrżał, ale nie roztrzaskał się. Zamachnął się jeszcze raz, i jeszcze, odłupując po niewielkim fragmencie płyty, sapiąc i postępując przy każdym rozmachu i uderzeniu. Ciosy wibrowały w całym jego ciele. Miał wrażenie, jakby zdolne były roztrzaskać nie tylko kamień, ale i jego własne kości, jednak nie przerywał, nawet kiedy zaczęło brakować mu tchu. W końcu odłupał wielki kawał nagrobka i zobaczył na niej większą część nazwiska i kawałek daty.

Dysząc ciężko, Harry przerwał i oparł się o młot, podczas gdy wypełniając mu nogi chłodem, który zagościł też w brzuchu i wokół serca, z wolna zaczęła docierać do niego świadomość tego, co zrobił.

- W co ty się zamieniłeś? - czaił się w nim głos sumienia i strachu.

- Co mnie to obchodzi? - odpowiedział mu. - On nie powinien mieć żadnego pogrzebu, nic poza ciemnym napisem: „Tu leży ścierwo mordercy”.

Aby zademonstrować determinację i brak skruchy, zamierzył się jeszcze kilka razy, rozbijając i żłobiąc kamień, aż zmęczył się tak, iż nie był w stanie uderzać z pożądanym skutkiem. Bolały go ramiona i żebra, był mokry od potu. I tak narobił już dość szkody, pomyślał.

Rozejrzał się, pierwszy raz zastanawiając się, czy nikogo nie było w pobliżu, czy nikt nie słyszał lub nie widział, co zrobił. Stwierdziwszy, iż był sam, rzucił ostatnie spojrzenie na dzieło swojej zemsty i popędził z powrotem, wrzucił młot do bagażnika i wsiadł szybko do samochodu.

Opuścił cmentarz i wjechał na autostradę, kierując się w stronę Los Angeles. Pot z twarzy wlewał mu się do oczu. Otarł je i oddychał głęboko, usiłując uspokoić rozkołatane serce. Nagle zdał sobie sprawę, że jedzie prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, i natychmiast zwolnił. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby mu się teraz przydarzyć, byłoby zatrzymanie przez patrol drogówki i mandat, który posłużyłby za dowód jego obecności na miejscu zdarzenia.

Patrzcie, patrzcie, powiedział do siebie i roześmiał się. Rozumuję jak przestępca; jak on; jak oni.

No i co z tego?

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, pomyślał i jechał dalej, aż znalazł stok w pobliżu drogi, który jakieś sto metrów niżej kończył się wąskim wąwozem. Zatrzymał się, wyjął młot i rzucił go. Nie będą mieli żadnych dowodów.

Gdy dotarł do domu, Lil była już w łóżku. Widać, że czytała, żeby nie zasnąć, ale książka opadła jej na kolana, a oczy były zamknięte. Harry stanął w drzwiach sypialni i przez dłuższą chwilę patrzył na nią, po czym poszedł do łazienki wziąć prysznic. Aż do momentu, kiedy się wycierał, nie przyszło mu do głowy, że od śniadania nic jeszcze nie jadł. Miło było poczuć głód; zdrowo. Czuł się jak zmartwychwstały. Rozbicie grobu Dirka podziało jak katharsis. Oczyszcilo go z części bólu i żalu. Zdał sobie sprawę, że ma w sobie więcej energii, niż przewidywał.

Owinął się w ręcznik i zjawił się w sypialni. Lil już nie spała; czekała na niego.

- Gdzie byłeś, Harry? - zapytała.

- W żadnym szczególnym miejscu - odparł. - Myślałem.

- Dzwoniła Clara. Mówiła, że opuściłeś biuro, nie odbierając telefonu od klientów. Wychodząc, nie odezwałeś się do niej ani słowem; nawet na nią nie spojrzełeś. Ona na to nie zasługuje, Harry.

- Przepraszę ją jutro rano.

- A może zamiast tego zrobisz coś innego? - ciągnęła dalej, pochylona w jego stronę, z oczami jak szparki. - Może pójdziesz do garażu, znajdziesz szmatę, oblejesz ją benzyną, której używasz do kosiarki, kawałek wepchniesz do butelki, pojedziesz do biura, podpalisz szmatę i wrzucisz butelkę przez okno? A potem wrócisz do domu...

Przez chwilę nie spuszczała z niego wzroku, po czym opadła na poduszki.

Wypuścił powietrze przez prawie zaciśnięte usta i pokiwał głową.

- W porządku, Lil. Już dobrze. Odtąd będzie inaczej. Obiecuję.

- Inaczej, Harry? Już od dawna jest inaczej.

Uśmiechnęła się.

- A ja już nie mogę znieść tego inaczej - dodała.

- Chciałem powiedzieć lepiej - poprawił się. - Słuchaj, ja potrzebuję więcej czasu niż ty. Tobie terapeuta najwyraźniej pomógł, mnie nie.

- Czemu teraz ma być lepiej, Harry? - spytała po chwili namysłu.

- Bo tak. Wiem to na pewno - rzekł. - Jestem głodny, a nie pamiętam, kiedy ostatnio czułem prawdziwy głód. Jadłem tylko, żeby jeść.

- Czekałam na ciebie z kolacją przez prawie godzinę.

- Wiem. Przepraszam.

- Nie zadzwoniłeś. Wyszedłeś jak gdyby nigdy nic, ignorując klientów i Clarę. Co ja miałam myśleć, Harry? Czy nie ukarałeś mnie już wystarczająco?- dodała.

Harry uniósł brwi.

- Ukarałem? Czemu miałbym cię karać?

- Bo zachęcałam Farah do spotkań z Dirkiem. Byłam pod wrażeniem sławy, rozgłosu, zainteresowania mediów.

- No i co z tego? Kto nie był? Czyja sam nie chciałem uczynić go swoim synem? Czy nie chodziłem z nim wszędzie? Nie winię cię, Lil. Naprawdę, przysięgam.

Lil pokiwała głową - z niedowierzaniem.

- Doktor Stevens tłumaczył mi, że to często występujący problem rodziców, którzy przeżyli śmierć dziecka. Obwiniają siebie samych i siebie nawzajem, a niekiedy jeden z rodziców obwinia drugiego bardziej, by uciec przed własnym bólem.

- To nie ja, a poza tym mówiłem ci, że nie uważam, żeby ten Stevens, czy jakkolwiek inny konował, tak naprawdę coś wiedział. Cała ta ich gadanina to zwykły bełkot, pomaga jak umarłemu kadzidło. Szkoda tylko, że wydałem na niego tyle pieniędzy - dodał.

- Dobrze, Harry - westchnęła Lil. - Dobrze. Dalej więc będziemy pędzić w dół drogą samozagłady, dopóki nie pozbędziesz się wszystkich złych duchów.

Obróciła się i wyłączyła nocną lampkę. Potem przykryła się kocem.

- Idę coś zjeść - oznajmił Harry.

- A ja idę spać. Wiem, że mi się to przyda - odburknęła.

Stał tam jeszcze przez moment, po czym poszedł do kuchni.

Sama zobaczy, pomyślał. Jutro Lil zobaczy.

Nazajutrz rano wstał bardzo wcześnie, jak za dawnych czasów. Lil była zaskoczona tym, jak poruszał się po domu. Ubrał się w jedną z lepszych sportowych marynarek i wąski, jasny krawat. Zaparzył kawę, wycisnął sok z pomarańczy i przygotowywał właśnie pełnoziarniste płatki śniadaniowe dla siebie i ze świeżymi owocami dla Lil.

- Dzień dobry - wyśpiewał. - Pomyślałem, że może zaplanowalibyśmy sobie małe wakacje i połączyli je z odwiedzinami u Elaine.

- Pojechałbyś do Nowego Jorku? Po ostatniej wizycie stwierdziłeś, że nie cierpisz tego miasta.

- Nieprawda, że go nie cierpię. Wkurza mnie tylko, gdy widzę, co stało się z okolicą, w której kiedyś mieszkałem, i innymi miejscami. Ale w końcu Elaine studiuje na Uniwersytecie Nowojorskim. Czemu miałbym to lekceważyć? - dodał. - Musimy pokazać jej, jacy jesteśmy dumni z jej osiągnięć.

Lil ściągnęła usta i pokiwała głową.

- Powtarzałam ci to przez ostatnie półtora roku, Harry.

- Wiem. Przepraszam. Załatwimy w tym tygodniu kilka transakcji, a w międzyczasie skontaktuję się z biurem podróży. Myślałem o Jamajce.

- Jamajka? Mogłabym za to oddać pół życia - odparła i usiadła.

Słońce wlewało się przez okno. Nie był to jednak tylko początek nowego dnia. Czowała się, jakby to był... początek nowego życia, ale dlaczego miało się ono zacząć właśnie teraz, nie miała pojęcia i wcale nie zamierzała dociekać.

W biurze Harry także był dawnym sobą. Wylewnie przeprosił Clarę, którą potok jego wymowy zaczął w końcu żenować. Aż Lil musiała mu przerwać. Roześmiał się i zajął pracą: rozmawiał przez telefon, umawiał klientów. Lil czuła się jakby do dusznego biura wpuszczono świeże powietrze. Ona i Clara uśmiechały się do siebie, słuchając dobrze znanych żartów telefonującego Harry'ego.

Zjedli porządną lunch w towarzystwie pary szukającej posiadłości z domem i domkiem dla gości. Mieli do pokazania trzy nieruchomości, więc umówili się na jutro i pojutrze.

Po lunchu Lil poszła na spotkanie z kolejnym klientem, zaś Harry powrócił do biura. Ledwo usiadł za biurkiem, gdy zabrzączał telefon i zdenerwowanym głosem Clara oznajmiła:

- Ma pan gości, panie Ross.

- Gościa? - Sprawdził szybko w kalendarzu i okazało się, że nie ma żadnego umówionego spotkania. - Hm, już idę.

Wstał i otworzył drzwi swojego gabinetu, by znaleźć się twarzą w twarz z Philipem Stonerem. Obaj stali tak nieruchomo, że Clara pomyślała, iż zamienili się w słupy soli. Potem przestraszyła się, że się na siebie rzucą.

- Czego chcesz? - zapytał Harry.
- Chcę porozmawiać.
- Nie mam ci nic do powiedzenia, Stoner - odparł ostro i już miał się odwrócić.
- W takim razie posłuchaj.
- Nie sądzę, żebyś mógł powiedzieć coś, co chciałbym usłyszeć.
- A więc ja będę mówił, a ty, jeśli coś uznasz za godne uwagi, posłuchasz - ciągnął Philip.

Stał nieruchomo, bliski postawie niezłomnego strażnika, tajnego agenta gotowego oddać życie za sprawę. Harry zrozumiał, że musiałyby dosłownie użyć siły, żeby go wyrzucić.

Wrócił za biurko. Philip Stoner wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

- Zabawne - powiedział, rozglądając się. - Przez cały ten czas, kiedy Dirk był mężem Farah, ty i ja nigdy się tu nie spotkaliśmy.
- No cóż, za niskie progi na twoje nogi. Nigdy nie chciałeś odwiedzić naszych slumsów.

W spojrzeniu Stonera zagościł jeszcze większy chłód.

- Nie ma sensu, żebyśmy się nienawidzili, Harry. Obaj ponieśliśmy stratę.

Harry wypuścił powietrze kątem ust i obrócił się z fotelem tak, by nie patrzeć prosto na Stonera. Philip podszedł do krzesła przy biurku i usiadł.

- Chyba nie umniejszam twojej straty ani twojego bólu, przypominając ci, że straciłem syna, co, Harry?

- Tak - odpalił Harry. - Umniejszasz, bo twój syn był zwierzęciem - bogatym, sławnym, dobrze zbudowanym, ale zwierzęciem, a ty - mówił Harry, pokazując na Stonera palcem - jesteś za to odpowiedzialny. Wychowałeś go na potwora, a potem próbowałeś wszystkiemu zaprzeczyć.

- Jesteś niesprawiedliwy, Harry. Wiesz, że jesteś niesprawiedliwy. Farah była piękną, uroczą kobietą, ale nie ideałem. Miała swoje wady, a ja nigdy nie winiłbym za nie ciebie ani Lil.

- Wady. Które z jej wad można by porównać... I nawet, gdy zrobił to, co zrobił, ty wychodziłeś ze skóry, żeby mu pomóc, może nie? No, może nie?

- Owszem, starałem się mu pomóc. Był przecież moim synem... Wiem, dowody świadczyły przeciwko niemu i był świadek, który potwierdził jego obecność na miejscu zbrodni, ale ludzie się mylą. Musiałem mieć pewność,

że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, Harry, by nie mieć wątpliwości, że nikt nie próbował go zrobić.

- O, daj spokój, daruj sobie te wymysły swoich prawników: pięć osób na miliard może mieć podobne rysy, więc *może* to nie był on. Daj już spokój.

- A do tego doszedł cały ten raban, polityczne zamieszanie, żądanie kary śmierci... - Philip Stoner kontynuował nie zmieszany. - Trzeba było zatkać gęby mniejszościom, Harry. Przecież mógł dostać dożywocie bez możliwości warunkowego zwolnienia, ale nie, musieliśmy zaspokoić żądzę krwi. Spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia.

- Z twojego punktu widzenia? - Harry roześmiał się.

- Nie wiesz, co byś zrobił na moim miejscu - zapewniał go Stoner.

- Wydziedziczyłbym go, wyrzekłbym się go. Nie chroniłbym go przed tym, na co zasługiwał - wypalił Harry z twarzą czerwoną z wściekłości. - Gdyby tylko miał nadzieję, że mu się uda, na pewno wciąż kazałby działać prawnikom. Ale twój bachor był zbyt zepsuty, żeby spędzać życie w więzieniu. Wybrał prostsze wyjście i uwierz mi, ta egzekucja okazała się farsą. Najprostszą drogą ucieczki dla kogoś takiego jak on.

- W porządku, Harry. W porządku. Nie ma sensu dyskutować nad taką hipotezą. Któregoś dnia, gdy minie dość czasu, sam przyznasz, że syn zawsze pozostaje ciałem z twojego ciała, krwią z twojej krwi i nie można go opuścić, zwłaszcza w takiej a nie innej sytuacji politycznej.

- Czy po to właśnie przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć? Bo jeśli tak...

- Nie, Harry. Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że czas zakopać topór wojenny. Pogrzebaliśmy ich oboje i obaj musimy dać sobie spokój. Teraz posłuchaj, mogę znaleźć świadka, który o pewnej godzinie widział na cmentarzu, na którym pochowany jest Dirk, pewien samochód, a policja może pójść śladem opon i sprawdzić ślady butów. Wszystko to da się zrobić, ale po co? Nie ma sensu, Harry, bo mógłbym zmieniać pomnik na grobie Dirka trzy, cztery, sześć razy dziennie, co dzień przez setkę lat, a i tak nie nadzarpnęłoby to mojego budżetu.

Harry gapił się szeroko otwartymi oczami.

- Co ty, do cholery, sugerujesz?

- Nic nie sugeruję, Harry. O nic cię nie oskarżam. Nie żalę się. Chcę ci tylko powiedzieć, że musimy przestać. Gdybym potrafił zrobić coś, żeby odstało się to, co się stało, zrobiłbym to, niezależnie od kosztów, ale nie po trafie i ty też nie potrafisz, i nie ma sensu dokładać do tej tragedii naszej własnej autodestrukcji - dodał stanowczo.

Pochylił się nad biurkiem.

- Opuść sobie - podsumował.

Potem odepchnął się od mebla i stanął prosto.

- Udało mi się zapobiec przedostaniu się tej historii z nagrobkiem do prasy, Harry. Możesz sobie wyobrazić, co by to było, gdyby stało się inaczej. Następnym razem nie pójdzie tak łatwo. Nie będzie łatwo żadnemu z nas - dodał Stoner z wyraźną nutą groźby w głosie. - Proszę - powiedział raptem z uśmiechem na ustach, zmieniając wyraz twarzy nagle jak schizofrenik - pozdrów ode mnie Lil. Zapewnij ją, że jest zawsze obecna w moich myślach i modlitwach.

Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Harry miał wrażenie, że jego gabinet stał się zamkniętą, duszną trumną. Przez moment nie mógł złapać tchu. Podeszedł do okna, otworzył je zamasyście i oddychał głęboko, dopóki serce nie zaczęło bić wolniej. Potem zatopił się z powrotem w swoim fotelu za biurkiem.

Gdy Lil wróciła i dowiedziała się, że odwiedził ich Philip Stoner, wpadła do gabinetu Harry'ego.

- Czego chciał? - spytała.

Harry siedział tyłem do drzwi i patrzył przez okno. Gdy odwrócił się do niej, wyglądał, jakby wrócił do poprzedniego stanu. Jego twarz straciła jasność, jaką promieniała rano. Był blady, oczy miał puste. Lil znowu poczuła się jak z dziurą w sercu. Strach powrócił.

- Może chciał przeprosić - odezwał się Harry po chwili. - Przed wyjściem prosił, żebym ci przekazał, iż jesteś zawsze obecna w jego myślach i modlitwach.

- Przeprosić?

Lil opadła na to samo krzesło, na którym siedział Stoner.

- Czemu akurat teraz? Po co do ciebie przyszedł po tak długim czasie? - pytała podejrzliwie.

Harry wzruszył ramionami. Nie powie jej o cmentarzu.

- Może wreszcie dotarła do niego prawda. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Lil pokręciła głową.

- Nie rozumiem, o co tu chodzi. A ty?

Popatrzył na nią przez chwilę, a potem też pokręcił głową.

- Nigdy nie rozumiałem - odparł i uświadomił sobie, że mówi także o własnych uczynkach.

Kobieta, która była jego pielęgniarką, stała z walizką w dłoni w drzwiach pokoju dziennego. Miała na sobie szary wełniany płaszcz narzucony na sięgającą do kostek granatową suknię. Jej matowe, szpakowate włosy wyglądały, jakby ktoś założył jej na głowę miskę, a potem dociął ją i dopasował. Była bez makijażu, a usta miała tak blade, że patrząc z odległości dwóch metrów, trudno je było odróżnić od reszty twarzy. Gdy widział je z bliska, kojarzyły mu się z podsuszonymi robakami. Zęby też, jak na pielęgniarkę, miała zbyt żółte. Osoba wykonująca taki zawód powinna mieć znacznie zdrowszy wygląd, pomyślał.

Nigdy nie pytał, ale tak na oko uznał, że ma jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt parę lat. Potem doszedł do wniosku, że pewnie jeszcze nie ma pięćdziesiątki, tylko tak staro wygląda. Miała małe piersi, szerokie biodra i okrągły, zwykle wzdęty brzuch, który wciskał się w uniform i sprawiał, że guziki trzeszczały w dziurkach, jakby chciały odpaść. Kiedyś śniło mu się, że wielki brzuch krył w sobie polne zwierzę, które połknęła w całości.

Ręce aż po same nadgarstki pokrywały jasne, kręcone włosy. Paznokcie miała opilowane, ale palce obrzydliwie kościste, a w knykciach nawet nieco sękate. Krótko mówiąc, nie mogli mu wynaleźć bardziej bezpłciowej kobiety. Stwierdził, że pewnie zrobili to specjalnie.

On i jego osobista pielęgniarka spędzili razem sporo czasu, ale nie czuł do niej przywiązania i wiedział, że ona także nie żywi względem niego żadnych ciepłych uczuć. Był wyłącznie jej pacjentem, ni mniej, ni więcej. Swoje obowiązki wypełniła sumiennie, a teraz nadszedł czas wyprowadzki. Pytał ją o niewiele, wręcz o nic, co dotyczyło jej osoby, zaś ona sama też się nie zwierzała. Tak naprawdę znał tylko jej nazwisko: panna Lester, Irene Lester, choć nigdy nie mówił do niej Irene.

A ona nigdy nie zwróciła się do niego inaczej jak „panie Lewis”.

- Mój samochód czeka, panie Lewis - oznajmiła. - Pójdę już.

Uniósł brwi, a przynajmniej tak mu się zdawało. Niczego nie był już pewien, zaś największe wątpliwości budziła w nim mimika własnej twarzy.

- O?

- Wiedział pan, że dziś odchodzę. Mówiłam panu wczoraj wieczorem - przypomniała mu tym samym oschłym tonem, jakim przypominała o zażyciu lekarstwa.

Pokiwał głową. Oczywiście, że wiedział. W tym miejscu niewiele się działo, więc takie wydarzenie, jak odejście pielęgniarki, było niczym historia z pierwszych stron gazet jego życia.

Panna Lester wpatrywała się w niego. Czekala na życzenia powodzenia? A może zastanawiała się, czy życzyć powodzenia jemu? Nastala dłuższa chwila milczenia, której żadne z nich nie miało zamiaru wypełnić.

- Cóż, w takim razie - odezwała się w końcu - zna pan zalecenia.

Wszystko już zostało zorganizowane i omówione.

- Tak - odparł.

- Do widzenia, panie Lewis.

- Do widzenia, panno Lester - usłyszał własny głos.

Odwróciła się i wyszła. Stojący na kominku stary miniaturowy zegar wydzwonił godzinę. Jak na urządzenie wysokości pół metra, miał zadziwiająco głośnie brzmienie, pomyślał. Zdążył już poznać każdy dźwięk w tym pieprzonym domu. Zdążył znienawidzić każdy jego kąt, każdy kawałek drewnianej podłogi, każdy dywan, każde podwójne okno i każdy fragment sufitu. Nienawidził nawet kanalizacji, która jęczała za każdym razem, gdy wypróżniał się w toalecie na górze.

Rzecz jasna, w innych okolicznościach byłby to tylko jeden z wielu cichych domków na rancho w Montanie, schronienie dla myśliwych, azyl dla pisarza, kryjówka kogoś, kto potrzebuje czasu w samotności, by podumać i przemyśleć tajemnice istnienia, i temu podobne. Dla niego jednak była to tylko kolejna część długiego koszmaru.

Wstał powoli i podszedł do okna w pokoju dziennym, by zobaczyć, jak panna Lester wsiada do czarnego lincolna. Nie obejrzała się. Znalazła się w środku i samochód ruszył pośpiesznie. Znow zapanowała cisza. Popatrzył na rozległy, płaski obszar i odległe góry. Za nimi istniał świat, za którym tak bardzo tęsknił.

Pozwolono mu na umiarkowaną aktywność fizyczną. Jednak wszelkie ograniczenia zostały jasno określone i nikt nie ostrzegał go więcej niż raz. Złamie jedną zasadę, zlekceważy jeden nakaz, nie posłucha jednej rady i zostawią go samemu sobie. Jak na razie była to bardzo poważna groźba, ale już niedługo, niedługo, myślał radośnie, będzie miał ich gdzieś.

Odwrócił się i przeszedł do niewielkiego pomieszczenia obok kuchni. Stały w nim urządzenia do ćwiczeń. Najpierw włączył muzykę: heavy metalowy zespół o nazwie „Odbyt”. Potem podszedł do urządzenia do wiosłowania, usiadł i rozpoczął rytmiczne ruchy wiosel i całego ciała. Wyglądał bardzo wdzięcznie. Widział się w lustrze. Muzyka wyła, a on zaczynał się już trochę pocić.

Tak bardzo oddał się temu zajęciu, że prawie zapomniał, gdzie się znajduje, ale nagle podniósł wzrok i zobaczył tych dwóch stojących w drzwiach. Mówił na nich The Everly Brothers*, bo na imię mieli Phil i Don. Nie cierpieli tego, ale nie pisnęli nawet słówka. Mógł nazywać ich Siki i Kupa, a też przybiegliby na każde zawołanie.

* The Everly Brothers -Phil i Don Everly, amerykańscy piosenkarze i gitarzyści odnoszący sukcesy w latach 50. i 60.

- Czego? - zapytał.

- Przenosimy się.

- Co?

- Papryka już pakuje pańskie rzeczy na górze - oznajmił Don. - Wysłała nas na dół po pana.

- Co to, kurwa...? Kiedy to postanowiono?

Phil wzruszył ramionami. Don gapił się tylko tępo.

- Postanowiono i już - odparł Phil.

Lewis rzucił wiosła i wyciągnął rękę, by ściszyć muzykę. Don podał ręcznik, a on otarł twarz i szyję.

- Gdzie się przeprowadzam?

Obaj pokręcili głowami.

- A co wy, dupki, wiecie? Wiecie, że życie?

Żaden nie odpowiedział. Phil popatrzył na Dona i podniósł ręce.

- Mówimy panu tylko to, co kazali nam przekazać, panie Lewis.

- No tak - rzekł Jonathan Thomas Lewis i wstał z niby-łodzi. Posłał im chłodny, sztuczny uśmiech.

- Dobra, w takim razie niech sam sprawdzą, o co chodzi.

Popędził po schodach na górę, z sercem wciąż szybciej bijącym od wysiłku, i zatrzymał się w drzwiach swojej sypialni.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - wypalił.

Papryka nie przerywała wyciągania z szafy ubrań i układania ich w otwartej walizce. Lewis dalej stał w drzwiach.

- Przenosi się pan - odrzekła w końcu, ale nie przestała pakować i nawet na niego nie spojrziała.

Zamiast tego zaczęła przebierać w spodniach, koszulach, marynarkach, decydując, co zostanie zabrane, a co pozostawione tutaj.

- Nie rozumiem - powiedział Lewis.

Papryka była wielką babą, chłopczycą, kulturystką zażywającą sterydy i męskie hormony. Od tyłu trudno było poznać, czy to kobieta, czy mężczyzna. Większość ludzi powiedziała by pewnie, że mężczyzna. Włosy miała krótko ścięte i wygolone z tyłu oraz za uszami. Miała odznaczające się mięśnie

trójgłowe i ramiona rozbudowane tak, że pozazdrościliby jej chyba Steve Reeves i Arnold Schwarzenegger. Prawdopodobnie zbliżała się do trzydziestki. Swój przydomek zawdzięczała maleńkim czerwonym kropeczkom na policzkach, szyi i barkach. Wyobrażał sobie, jak piegi schodzą w dół, pomiędzy przypominające piłeczki do tenisa piersi. Wiedział o niej tyle, co o innych ludziach, z którymi miał teraz do czynienia.

Kiedy się w końcu odwróciła, spostrzegł, że swoją trzydziestkę ósemkę trzyma w kaburze przy pasku. Zagapił się na broń, a jej posiadaczka spojrzała na niego tymi swoimi pełnymi pogardy oczami.

- Niech pan weźmie prysznic i się przebierze - powiedziała. - W to - dodała, wyciągając z szafy spodnie i koszulę i rzucając mu je ponad łóżkiem. - Musi pan być w czymś ciemnym.

- Czemu się przenoszę? - zapytał.

- Czemu?

Przerwała i popatrzyła na niego z taką nienawiścią, że przestraszył się, iż za chwilę wyjmie pistolet i strzeli.

- Zwykle nie płacą mi za udzielanie odpowiedzi, ale tym razem panu odpowiem. Wczoraj ponoć spotkał pan dwóch myśliwych.

- No i?

- No i? No i? Wie pan, że nie wolno panu rozmawiać z nikim oprócz nas.

- Całe spotkanie trwało może pięć minut. Zwykła rozmowa o polowaniu. W czym problem?

- Problem w tym, że pan spieprzył sprawę, ja spieprzyłam sprawę, a mnie wolno spieprzyć tylko raz - odparła i wróciła do pakowania.

- Słuchaj...

- Niech pan się szykuje - wymamrotała.

- Nie mogę sam wybrać sobie ciuchów?

- Sam może pan co najwyżej iść do kibla. Na tym koniec.

- Bzdura - stwierdził. - Ja...

- Co? - rzuciła prowokująco, odwracając głowę i wzrokiem wypalając w nim dwie dziury. - Co ma pan zamiar zrobić, panie Lewis? Chyba nie wykona pan żadnego głupiego telefonu, co? Nie poskarży się pan nikomu, co? - pytała, a w każdym słowie wyraźnie było słyhać groźbę.

Wytrzeszczył oczy, a bojowy nastrój zaczął w nim topnieć z sekundy na sekundę.

- Ja chciałbym tylko wiedzieć, co się wokół mnie dzieje - powiedział.

Mówił, jakby się rzeczywiście komuś skarżył.

- Chciałbym, żeby mnie szanowano - dodał.

Papryka roześmiała się.

- Szanowano?

- Tak - odparł, odzyskując część odwagi.

- Jedyne szacunek, jakiego może pan teraz oczekiwać, to ten, który pan sobie kupi, a szczerze mówiąc, nikt, z kim pan teraz przestaje, takim towarem nie dysponuje. Niech pan już weźmie prysznic. Założy ciuchy i liczy na swoją szczęśliwą gwiazdę.

- Jeśli nie podoba ci się ta praca, to czemu jej nie zmienisz? - zapytał.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się, jakby zadał jej najgłupsze pytanie pod słońcem. Gdy tylko je przemyślał, sam wiedział, że było niemądre i obrzydliwie szczeniackie.

- Dla szacunku - odparła i parsknęła śmiechem. Potem przestała się śmiać i zrobiła krok w jego stronę.

- Pójdzie pan pod ten prysznic sam czy mam panu pomóc?

Zwlekał chwilę tylko po to, by zachować odrobinę godności, po czym złapał rzeczy, jakie dla niego wybrała, i poszedł do łazienki. Papryka dalej pakowała ubrania.

Dwaj policjanci z rezerwatu, ociągając się, wysiedli z jeepa i patrzyli przed siebie. Żaden nie chciał spojrzeć wprost na *to*, ale będąc na patrolu, usłyszeli wezwanie i znajdowali się akurat najbliżej wysypiska śmieci w rezerwacie Crow. Ze stojącej tuż za bramą przyczepy wyłonił się ciężki, liczący jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu mężczyzna i szybko szedł w ich stronę. Jego nogi wyglądały jak dwa pnie, a gdy ciężko stawał jedną ogromną stopę przed drugą, policzki trzęsły mu się nad wystającą żuchwą, zaś skóra na karku marszczyła się jak woda w małym stawie. Wyglądał, jakby miał upaść i zbierał się w porę po każdym kroku. Taki miał chód.

Gdy się zbliżył, policjanci zobaczyli, jak jego okrągłe oczy robią się wielkie z podniecenia. Na głowie miał szopę barwy słomy z kosmykami wokół uszu, które wyglądały zupełnie jak siano. Ubrany był w luźne, wynoszone ogrodniczki i flanelową koszulę zapiętą pod szyję; w jednym mankiecie brakowało guzika i rękaw trzepał o szeroki nadgarstek.

- Maksymilian wygląda, jakby był na wojennej ścieżce - zazartował Jim Silverwater.

Henry Strongman pokręcił głową i roześmiał się.

- Prrrr, prrrrr, ogierze - zawołał.

- Kurwa, co za widok, co za widok - powtarzał Maksymilian, zbliżając się do nich.

- Gdzie to jest? - zapytał Silverwater.

- Tam. Pokażę wam. Jeszcze się kopci. Kurwa, co za widok.
- Jesteś pewien, że nie nażłopałeś się za dużo ognistej wody?
- Sami zobaczycie.
- O której to odkryłeś? - pytał Silverwater.
- Zaraz jak wyszedłem z przyczepy dziś rano. Jakąś godzinę temu.

Dwaj policjanci z rezerwatu popatrzyli na siebie i podążyli za nim.

Z Maxwella Davisa często strojono sobie żarty. Uszczęśliwiony nadzorem nad wysypiskiem, zyskał przydomek Maksymilian; śmieci były jego królestwem.

- Jak to właściwie znalazłeś? - wypytywał Silverwater.

Uruchomił się w nich swego rodzaju mechanizm obronny - rozmawiali, by nie myśleć o tym, co mieli za chwilę zobaczyć.

- Jak? - przerwał Maksymilian. - Wstałem rano, zobaczyłem dym, przypomniałem sobie, że niczego wczoraj nie podpalałem, rozejrzałem się i... kurwa, co za widok na dzień dobry - dodał.

- Gdzie?

- Nie czujecie? - Przerwał. - Patrzcie, widzicie dym? - rzucił po chwili i kiwnął głową w prawo.

Z dwustupięćdziesięciolitrowej beczki po oleju unosiła się cienka strużka dymu rozplywającego się na wietrze Montany. Policjanci zbliżali się powoli. Czuli się, jakby brodzili w kleju i każdy krok stawał się trudniejszy od poprzedniego.

Strongman schylił się i zajrzał do beczki pierwszy; zakrył dłonią twarz. Potem popatrzył Jim Silverwater i zrobił to samo.

- Jezu.
- Kurwa, co za widok, nie? - powtórzył Maksymilian.
- W nocy nic nie słyszałeś? - zapytał Strongman, cofając się.

Czuł coraz gorsze mdłości. Jim odwrócił się, zakaszał i wypluł flegmę.

- Nic. Oglądałem telewizję gdzieś do wpół do drugiej, a potem poszedłem spać. Psa nie mam od zeszłego tygodnia. Musiałem go uspić, bo cały był w guzach. Miał piętnaście lat. Zresztą i tak nic by nie usłyszał i nawet nie zaszczekał. Był prawie całkiem głuchy. Pewnie ten, kto tu przyszedł, myślał, że w pobliżu nie ma żywego ducha. Furgonetkę zaparkowałem na tyłach.

- Zawiadomimy lepiej kogo trzeba - stwierdził Strongman.

Silverwater potaknął. Pośpiesznie wrócili do wozu, by jak najszybciej oddalić się od fetoru.

Silverwater wziął radiotelefon i zameldował o tym, co widział.

- Nie mogłem rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta - powiedział do mikrofonu. - Za dużo się już spaliło. Nie zgłaszano nam żadnego zaginięcia w rezerwacie.

Przerwał i zwrócił się do Silverwatera:

- Widziałeś w beczce coś, co da się rozpoznać?
- Ktokolwiek to był, był biały.
- Silverwater uważa, że to blada twarz - zameldował Strongman.

Chrząknął.

- Tak jest - dodał. - Wódz dzwoni do FBI - oznajmił Silverwaterowi.

Wyglądał, jakby mu ulżyło. To FBI odpowiadało za ściganie przestępstw na terenie rezerwatów Indian.

- Masz wodę pitną? - zapytał Strongman Maksymiliana.
- Mam, ale mam też coś mocniejszego, jeśli macie ochotę.

Dwaj indiańscy policjanci popatrzyli na siebie.

- Może być coś mocniejszego - powiedział Strongman.

Silverman przytaknął.

Obaj spojrzeli na śmietnisko. Mała smużka dymu wiła się z beczki i dała się unieść wiatrowi daleko, daleko, niby wiadomość, jaką setki lat temu posyłali sobie ich przodkowie.

Doktor Felix Lawler cofnął się do wielkiego hallu domu w Palm Springs i uśmiechnął się.

Jenny kroczyła przez ogromne pokoje jak inspektor budowlany, a za nią, potakując jak posłuszny podwładny, podążał agent nieruchomości.

Dom był niesamowity. Gdy wchodziło się przez olbrzymie drzwi, znajdowało się skalny ogród z kaktusami i fontanną sączącą na terakotę wodę, która płynęła do kanaliku wypełnionego błyszczącymi, wielobarwnymi kamykami, by zniknąć pod podłogą w systemie recyrkulacji.

Z niektórych greckich kolumn, wznoszących się aż do zwieńczonego kopułą sufitu, zwisały się różnokolorowe klatki dla papug. Kilka świetlików czyniło hall jasnym, przewiewnym i przestronnym. Oświetlenie wprowadzało turkus w bogactwo podłogowych płytek. Wszędzie były rzeźby i wielkie obrazy olejne przedstawiające sceny z południowego zachodu. Ogromne okna w tyle udrapowane były w aksamit ze złotymi frędzlami.

Felix zdążył już obejrzeć sypialnię z obniżoną podłogą i dodatkowym pokojem dziennym z olbrzymim telewizorem wbudowanym w ścianę. Przy sypialni były dwie łazienki, dla niego i dla niej, obie z wielkimi kabinami prysznicowymi i minisaunami, wannami z jacuzzi i mosiężnymi dodatkami o różnorodnym przeznaczeniu.

Jednak najbardziej pociągał Felixa gabinet z biblioteką. Miał zamiar zacząć pisać, może thriller medyczny, może dziejący się w kręgach lekarskich kryminał. Jeszcze się nie zdecydował. Jedyne decyzje, jakie ostatnio podejmował, dotyczyły tego, na co wydać pieniądze.

Wraz z żoną posiadali okazali dom w Bel Air, ale Jenny doszła do wniosku, że powinni mieć posiadłość na pustyni, siedzibę na wakacje w krainie rozrywki, która służyłaby sławnym i bogatym z Los Angeles. Ta licząca prawie tysiąc metrów kwadratowych hacjenda położona na hektarze dzierżawionego od Indian gruntu była dość ekstrawagancka. Stanowiła jedną z najbardziej osobliwych nieruchomości w Palm Springs: położona w Indian Canyons, otoczona górami San Jacinto z jednej strony, zaś San Andreas z drugiej. W jasny dzień, patrząc na północ, można też było zobaczyć góry San Bernardino. Widoki doprawdy zapierały dech w piersiach.

Basen miał wymiary istic olimpijskie. Była też przebieralnia, wielka altana, kort tenisowy, zabudowany grill i sad złożony z drzew pomarańczowych, cytrynowych, limonkowych oraz grejpfrutowych. Po prostu Raj.

I wszystko to miało kosztować 1 850 000 dolarów.

Gdy z kuchni wyłoniła się Jenny, Felix dostrzegł niezadowolenie na jej twarzy. Jego od dwudziestu trzech lat małżonka była rudowłosą pięknoscią, którą metr sześćdziesiąt wzrostu zmuszało do nieustannej walki z wagą. Felix wciąż ostrzegał ją przed gwałtownym chudnięciem i równie gwałtownym tyciem. Wypróbowała każdą modną w danym czasie dietę, aż wreszcie mogła sobie pozwolić na osobistego trenera. Teraz rzeczywiście wyglądała szczupłej i zgrabniej niż kiedykolwiek. Wyglądała nawet lepiej niż podczas ich pierwszego spotkania!

- O co chodzi? - spytał.

- To nie jest Jenn-Air, Felix - jęknęła, mówiąc o urządzeniu kuchni. - To jakaś poślednia marka.

- A więc ją zmienimy.

Mimo stosunkowo niedawnego wzrostu ich zamożności, czy może właśnie dlatego, że był on tak niedawny, nie mogła nadziwić się sposobowi, w jaki Felix zaczął wydawać pieniądze. W całym jego życiu nic nie wydawało się tak przypadkowe, jak dokonywane teraz zakupy. Zachowywał się, jakby miał bezdenną studnię, z której mógł czerpać bez końca. Poświęcił sporo czasu, by wyjaśnić jej, jak ich inwestycje przyniosą im zysk pięciokrotnie wyższy niż jego zwykłe zarobki, ale od tego gadania o wartości aktywów, opcjach giełdowych, wolnej od podatku własności, dywidendach aż kręciło się jej w głowie. Niech jej tylko założy konto i da kilka czeków. To wszystko, czego od niego wymaga.

- Nie podobają mi się kafelki w łazienkach dla gości. Ściany i w ogóle wszystko przypomina... lata sześćdziesiąte - mówiła dalej.

Agent nieruchomości, wysoki, szczupły mężczyzna z rzednącymi włosami i dość bladą jak na mieszkańca pustyni cerą roześmiał się nerwowo. Przebiegł językiem po suchej dolnej wardze, niecierpliwie oczekując finału tak niecodziennej transakcji.

- Zapewne mógłbym skłonić obecnych właścicieli do dokonania pewnych zmian - zaproponował.

- O ile sami będziemy mogli o nich zdecydować - wtrąciła Jenny, jeszcze nim zdążył dokończyć zdanie.

- Oczywiście, pani Lawler.

Potakiwał, potrząsając głową na długiej, wąskiej szyi, na której to chowało się, to pojawiała jabłko Adama.

- Co o tym sądzisz, Feliksie?

- Jest większy, niż się spodziewałem - odrzekł. - Większy nawet, niż wyglądał na zdjęciach.

- Tak, to wielki dom jak dla dwojga ludzi. Mamy co prawda syna i córkę, ale oboje studiują na wschodzie - tłumaczyła Jenny.

Agent uśmiechnął się słabo. Zwykle w ten sposób małżeństwa wymigiwały się od kupna, uświadomił sobie ze smutkiem.

- Jest duży, ale to okazja - powiedział. - I mogę zapewnić państwu bardzo atrakcyjne terminy spłaty.

- Niepotrzebne nam żadne raty - oznajmił Felix.

Podszedł do jednej z rzeźb i przebiegł palcem po fakturze materiału.

- O? Cóż, to zawsze plus - wyjąkał agent, uśmiechając się tym razem głupkowato.

Tak bardzo zależało mu na tej sprzedaży, że prawie się ślinił. Jenny obróciła się i rozejrzała się po hallu. Felix patrzył na nią rozbawiony.

- No i? - odezwał się.

- Jest... cudowny, Feliksie.

- Tak, to prawda - zgodził się z nią mąż.

Spojrzał na agenta.

Ten dosłownie wstrzymywał oddech. Rynek nieruchomości miał się akurat nie najlepiej. Ci ludzie z łatwością mogli wytargować cenę o co najmniej ćwierć miliona niższą, a nawet o nią nie zapytali. Nie zainteresowali się też sprzedającymi, nie wiedzieli więc, jak rozpaczliwie właściciele pragnęli pozbyć się tej nieruchomości.

- Proszę przygotować dokumenty - polecił Felix, zaś Jenny klasnęła w dłonie i objęła go.

- Dziękuję ci, Feliksie. Dziękuję! - wykrzyknęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

On zaś pocałował ją bez zmieszania, mimo obecności obcego człowieka.

- Cóż, tak, dziękuję, panie Lawler. Zajmę się wszystkim, każdym szczegółem. Zrobię...

- Jestem tego pewien - odparł Felix. - Chciałbym, by nie trwało to dłużej niż trzydzieści dni.

- Oczywiście. Nie ma sprawy. Zajmę się tym osobiście. Oczywiście.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Jenny, gdy wyszli na zewnątrz i stanęli przy samochodzie agenta, by jeszcze raz spojrzeć na dom. - Jest taki piękny i będzie nasz.

- Lepiej uwierz - rzekł Felix.

- Wszystko stało się tak szybko - mówiła dalej z wrażeniem, jakby poruszali się w sennej bańce, która wkrótce pęknie.

- Bo zbyt długo na to czekaliśmy - stwierdził, choć żadne z nich, pochodząc z zamożnych rodzin, nigdy nie żyło w niewygodzie.

Jenny zachichotała jak mała dziewczynka, po czym spoważniała.

- Do mnie to ciągle nie dociera, Feliksie. To tak, jakbyś wygrał na loterii. Nie miałam pojęcia, że taki z ciebie finansowy geniusz.

- Wiele się teraz dowiemy o sobie nawzajem, Jen. Jakbyśmy się dopiero poznali.

- Tak - rzekła, szeroko otwierając oczy. - Czuję się... jak nowo narodzona.

- Oto potęga, jaką dają nam pieniądze.

Agenta nieruchomości tak zaintrygowała ich rozmowa, że przez chwilę był jak oniemiały. Rzucił się, by otworzyć im drzwi, a oni usiedli w tyle samochodu. Sam popędził na miejsce kierowcy i szybko uruchomił silnik. Zachowywał się, jakby sam miał wrażenie, że śni, i wołał zakończyć sprawę przed przebudzeniem.

Tylko Felix miał wygląd człowieka w pełni świadomego, że mocno stoi obiema nogami na ziemi.

Och, wiedział to tak dobrze.

Jimmy Silverwater i Henry Strongman stali przy radiowozie, podczas gdy biegli sądowi pracujący dla FBI zabierali szczątki. Policjanci z rezerwu woleli obserwować ich czynności z dystansu. Obaj widywali trupy, ale były to głównie zwłoki ofiar wypadków drogowych. Jimmy widział kiedyś ciało samobójcy, który strzelił do siebie z dubeltówki. Mówił teraz o jego odstrzelonej twarzy, jakby dzięki niej nabył dość doświadczenia, by poradzić sobie z tym, ale wystarczyło spojrzeć na jego minę za każdym razem,

gdy patrzył na beczkę, aby przekonać się, że niewiele w tym prawdy. Będą mu się śniły koszmary z tymi kopcącymi oczodołami.

Maksymilian siedział na zniszczonym aluminiowym krześle na równie zniszczonym betonowym placu przed przyczepą. Popijał piwo z puszki i patrzył na to, co się działo, jak na ekran swojego małego telewizora.

W końcu, niosąc dwie plastikowe torby ze szczątkami, biegli ruszyli w stronę Strongmana i Silverwatera. Obaj wciąż mieli na twarzy maski. Policjanci z rezerwatu dołączyli do nich przy ich furgonetce.

- Pilnujcie, żeby ten facet ani nikt inny nie wchodził na ogrodzony teren aż do odwołania - powiedział wyższy z nich, zdejmując maskę.

- Jasne. I co my tu mamy? - zapytał szybko Strongman.

- Robota zawodowca - odparł drugi biegły. - Ten, kto to zrobił, wiedział w każdym razie, że musi wybić zęby. Twarz wygląda, jakby użył młota kowalskiego.

- Jezu.

- Ale - ciągnął dalej z chłodnym uśmiechem facet z FBI - mamy coś.

- Co takiego? - spytał nieopatrnie Silverwater.

Biegły kiwnął głową na swojego partnera, który sięgnął do metalowej skrzynki i z dumą wyciągnął zwęglony kciuk.

- Chryste - zawołał Strongman.

- Opuszek jest nietknięty. Będziemy mieli niezły odcisk.

- Znacie pleć? - pytał Silverwater.

- Tak. To kobieta.

- Wiek?

- Nie jesteśmy jeszcze pewni.

- Wracamy do pracy - powiedział drugi agent. - Dzięki, chłopcy. Miłego dnia.

Dwaj śledczy roześmiali się i wsiedli do furgonetki. Nadbiegł Maksymilian.

- Co mówili? - spytał.

- To kobieta - odparł Strongman.

- Stara?

- Nic więcej na razie nie wiemy - rzucił Silverwater. - Nie chcą, żeby ktokolwiek grzebał na kawałku ogrodzonym taśmą.

- Cholera, a kto by się tam pchał? Wciąż nie mogę zapomnieć tego smrodu.

- FBI pewnie tu wróci, żeby cię jeszcze przesłuchać - dodał Strongman.

- Nigdzie się nie wybieram.

- To tak jak ona - powiedział Strongman, patrząc za podskakującą na żuźlowej, zaśmieconej drodze furgonetką.
- Komuś naprawdę zależało, żeby była martwa i żeby o niej zapomniano - zauważył Silverwater. - Spalili ją, wybili zęby...
- No to przywieźli ją na właściwe miejsce - stwierdził Maksymilian. Popatrzyli na niego.
- Jak to? - zapytał Strongman.
- No, na wysypisko śmieci na terenie rezerwatu Indian – odparł Maksymilian, wzruszając ramionami i zataczając ręką koło. – Tutaj wszystko jest martwe i zapomniane.

6

Po raz pierwszy od - jak mu się zdawało - wieków, Harry siedział wygodnie ze szklaneczką dżinu z tonikiem w dłoni i wpatrywał się w rozciągającą się za oknem panoramę wzgórz nad oceanem. Jedną z zalet prowadzenia cieszącej się popularnością i szacunkiem agencji nieruchomości jest to, że ma się dostęp do informacji z pierwszej ręki na temat najlepszych posiadłości. Prawie osiemnaście lat temu ów dom miał trafić na rynek, ponieważ trudniący się handlem dywanami właściciele splajtowali i nie mogli już sobie pozwolić na jego utrzymanie. Miał zostać zlicytowany przez komornika i Harry był pewien, że ktoś kupi go bardzo szybko.

A dlaczego nie mieliby tego zrobić on i Lil?

Urządzony był przez jednego z najbardziej wówczas wziętych architektów w Los Angeles. Dokładnie taki dach nad głową powinien posiadać odnoszący sukcesy agent nieruchomości, pomyślał Harry - rzucający się w oczy, efektowny, z widokiem na góry z jednej strony, a na ocean z drugiej

Dwukondygnacyjny budynek z trzema sypialniami na dole i dwiema na górze miał ogromne okna i świetliki, gdzie tylko się dało. Był jasny, radosny, pełen pozytywnej energii. I kipiał luksusem. Hall wyłożony był białym marmurem, jadalnia oświetlona wielkimi kryształowymi żyrandolami. A jednak czuć w nim było atmosferę prawdziwego domu, a nie budynku na pokaz, a to za sprawą funkcjonalnej kuchni, również jasnej i przestronnej, z ogromnym dębowym blatem do pracy pośrodku. Od południa stały szafki i kredensy, a oprócz nich spiżarnia zdolna pomieścić zapasy żywności na pięć lat.

Od frontu widać było niewielkie wzniesienie, precyzyjnie zaprojektowane szczyty i ganek z parą kolumn. Ta część domu wychodziła na ocean, ale też na ulicę. Harry wolał tył domu, który był ostoją prywatności. Nikt nie mógł postawić budynku za nimi ani nigdzie w pobliżu z prawa czy z lewa.

Mieli też ogromną sypialnię z oknami wychodzącymi zarówno na ocean, jak i na wąwóz, jednak Lil urzekł pokój dzienny z elegancko rozciągającym się balkonem i otwartością na przyległe pomieszczenia.

Był to dom stanowiący prawdziwe wyzwanie dla dekoratorów, pobudzający twórcze umysły, a przy tym zapewniający ciepło i wygodę. Kiedyś panowało tu szczęście, myślał Harry ze smutkiem. Przywoływał w pamięci wspomnienie za wspomnieniem z dzieciństwa i okresu dorastania Farah i Elaine: Farah zbiegająca po schodach z książkami pod pachą czy wołająca go z balkonu i udająca Julię. Zabawne, i jakże teraz ironiczne, jak bardzo była zafascynowana tą sztuką, miłosną tragedią. Była to praktycznie jedyna książka, którą przeczytała i z której była w stanie przytoczyć jakiś fragment. Uśmiechnął się na wspomnienie córki recytującej przy obiedzie.

Elaine usiłowała nakłonić ją do czytania innych książek, ale Farah rzadko brała sobie do serca sugestie młodszej, bardziej czytanej siostry. A mimo to układało się między nimi bardzo dobrze, nieprawdaz? Zapytał samego siebie. Był pewien, że podziwiały się nawzajem za siłę, jaką obie w sobie miały.

Kiedy to ostatnio rozmawiał z Elaine? Czas i wydarzenia minionych tygodni pamiętał jak przez mgłę. Odruchowo złapał za bezprzewodowy telefon i wystukał numer córki w Nowym Jorku. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Oczekuje pani kogoś, pani doktor?

- Słucham? Ach, to ty, tato. Nie, czytałam tylko obok telefonu. Prawdę mówiąc, przestraszył mnie i odebrałam tylko po to, żeby wyzwać dzwoniącego.

Harry roześmiał się. Elaine miała świetne poczucie humoru. Brakowało mu go.

- Która jest u ciebie godzina? - spytała.

- Ach, zupełnie zapomniałem o różnicy czasu - powiedział Harry. - Przepraszam cię.

- Nic nie szkodzi. I tak nie spałam, dotrzymując towarzystwa anatomii człowieka.

- Słucham?

- Uczę się, tato. A co wy robicie?

- W tej chwili czekam na mamę, jak co dzień od prawie trzydziestu czterech lat. Mieliśmy zjeść dzisiaj cichą kolacyjkę w domu - wino, świece, kurczak po kijowsku. Być może jeszcze ją zjemy, ale mogę się założyć, że kurczak będzie z Raju Smakosza na Barrington Avenue. Prawdę mówiąc, świetnie go tam przyrządzają, ale nie mogę powiedzieć tego twojej mamie, bo pomyślałaby, że ją krytykuję.

Zamilkł, a Elaine nie starała się wypełnić ciszy.

- Siedzę sobie na tyłach domu, sączę drinka i patrzę, jak góry okrywają się cieniem - dodał. - Wyglądają, jakby ktoś powoli naciągał na nie koc.

- Tak? A dobrze się czujesz? - spytała szybko.

- Ja? Wspaniale - odparł. - I wiesz, co postanowiliśmy? W niedzielę lećmy na Jamajkę. Spędzimy tam tydzień, a w drodze powrotnej zatrzymamy się w Nowym Jorku.

- Naprawdę?

- Taki mamy plan. Wiem, że jesteś zajęta, ale może znajdziesz czas, żeby zjeść z nami kolację... Zostaniemy w Nowym Jorku na całe cztery dni. Pójdziemy do teatru, odwiedzimy wujka Louisa i ciotkę Carol, zrobimy jakieś zakupy.

- Doskonale, tato. Oczywiście, że znajdę dla was czas.

- To dobrze. Twoja matka nie może się już doczekać.

- A ty?

- No jasne, że ja też. Rzecz tylko w tym, że nie byłem nigdzie od... Od jakiegoś czasu - dokończył szybko. - Wiesz, jak łatwo zakopać się w domowych pieleszach.

- Wiem - przyznała delikatnie.

- No, a poznałaś już jakichś niebezrobotnych heteroseksualistów? - spytał.

Był to stary żart, jakim zwykle drażnił się z nią na temat jej życia towarzyskiego, czy raczej jego braku.

- Nie spotykam się z nikim na stałe, tato, ale byłam na kilku randkach.

- Na kilku randkach? W odstępach ilu miesięcy? - dowcipkował dalej ze śmiechem.

- Czy pijesz coś mocniejszego niż colę, tato? - odparowała.

- No cóż...

- Mam nadzieję, że nie nadużywasz, co?

- Ty mi tu nie zgrywaj pani doktor, moja panno. Pamiętam, jak ty i twoja siostra malowałyście ściany zawartością pieluch. Zabawne, że robiłaś

te same rzeczy co Farah niemal dokładnie w tym samym wieku. Myślałem, że wasza matka urodziła klona. Pamiętam... - przerwał.

Było w tej rozmowie i zdarzeniach, które opisywał, coś tak znajomego. Zdał sobie sprawę, że to samo mówił Farah zaledwie kilka miesięcy przed jej tragiczną śmiercią.

- Tato?

- Nic, nic. Chyba słyszałem samochód. Pewnie mama wróciła. Lepiej przygotuję się do kolacji. Wpadnie tu jak huragan i od progu znacznie mnie musztrować: wyjmij to, tamto połóż na stole. Kiedy byliście w domu, wyręczałem się wami. Powiniennem być się postarać, żebyście zawsze miały dziesięć lat.

Drzwi z garażu do domu faktycznie się otworzyły.

- O, już jest - rzekł. - Proszę się o nic nie martwić, pani doktor.

- Cześć, tato. Dzięki, że zadzwoniłeś.

Rozłączył się i siedział dalej.

Farah nigdy nie dziękowała mu za telefony. Dla niej było to oczywiste, że zadzwoni, zaś on nigdy nie uważał, że robi to dla niej. Zawsze czuł, że robi to dla samego siebie.

- Harry?

- No, gdzie się podziewałaś? - zapytał, odwracając się.

- Kończymy sprawę z domem Rosenblattów. Zgromadziłam już dokumenty, a potem musiałam jeszcze zostać, żeby dopełnić reszty formalności. Dostaliśmy za niego osiemset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy!

- To wspaniale! - Harry klasnął w dłonie. - No to chyba mamy co świętować. Może pójdziemy na kolację.

- Nie, po drodze wpadłam do Raju Smakosza na Barrington Avenue. Wiedziałam, że masz ochotę na kurczaka po kijowsku.

- To prawda. Właśnie rozmawiałem z Elaine.

- O?

- Pomyślałem, że powiem jej o Jamajce i zatrzymaniu się potem w Nowym Jorku...

- Już o tym wiedziała - wtrąciła się Lil.

- Jak to?

- Nie powiedziała ci, że dzwoniłam do niej wczoraj?

- Nie - odparł Harry.

Patrzył przed siebie oniemiały.

- Pewnie zapomniała. Wiesz, co się z nią dzieje, kiedy się uczy - znalazła usprawiedliwienie Lil. - Zacznę rozpakowywać kolację.

Harry popatrzył, jak krząta się po domu, po czym odwrócił się i znów utkwiał wzrok w górach.

Nie chciała popsuć mi humoru, pomyślał. Oto, co było ważne dla jego młodszej córki.

Farah nigdy by tak nie postąpiła. Od razu wypaliłaby: „Wiem, tato. Mama mi mówiła!”.

Ogarnął go smutek, ale po chwili przypomniał sobie, co kiedyś mówił mu terapeuta: „Nie szukaj swojej zmarłej córki w tej, która pozostała przy życiu, Harry. To dwie zupełnie różne osoby”.

- Racja - mruknął do siebie na wspomnienie tej rozmowy.

Jednak to zdarzenie przywróciło go do zimnej, twardej rzeczywistości. Czuł się, jakby kolejny gwóźdź odcinał od niego to nikłe światełko, które tak rozpaczliwie próbowało przebić się do trumny, jaką zbudował wokół siebie.

Elaine ocknęła się, by stwierdzić, że znów zasnęła przy biurku. Przez chwilę po otwarciu oczu była zdezorientowana. Potem spojrzała na zeszyty, otwartą książkę i przypomniała sobie, że położyła głowę na skrzyżowanych ramionach, by przez kilka minut pozwolić odpocząć oczom, i podobnie jak wcześniej, zasnęła tak głęboko, że nie obudziła się przez prawie cztery godziny.

Mieszkanie znajdowało się na tyle wysoko, a biurko było na tyle oddalone od okna, że odgłosy ulicy w Greenwich Village dochodziły do niej mocno przytłumione; zresztą i tak by jej nie przeszkadzały. Potrafiłaby nie słyszeć trąb jerychońskich, nawet gdyby grzmiały w sąsiednim pokoju. Nie zdziwiła się, że tak łatwo zasnęła przy biurku.

Jednak trochę ścierpła. Bolały ją barki i krzyż, a na czole i lewym policzku miała ciemnoczerwone pręgi od ciężaru głowy trzymanej na złożonych ramionach. W gardle czuła taką suchość, że bolało ją przy przełykaniu. Sama przed sobą musiała przyznać, że zaniedbywała się ostatnio, jadła tylko jeden porządny posiłek dziennie i wypijała równowartość zaledwie dwóch szklanek wody.

Okłamała ojca. Nie była na żadnej prawdziwej randce. Dwa i pół miesiąca temu spotkała przy kasie kina Todda Astina. Todd był studentem medycyny i widywali się na niektórych zajęciach. Obejrzeni razem film, siedzieli obok siebie, ale trudno by to było nazwać randką. Todd zresztą miał kogoś w Yonkers, a poza tym nie widziała w nim kandydata na swoją miłość.

Rzecz w tym, że większość mężczyzn, jakich poznawała, to byli niedojrzali, nie potrafiący zapewnić jej poczucia bezpieczeństwa słabeusze. Potrzebowała faceta, który dobrze znałby sam siebie, kogoś, na kogo mogłaby liczyć, gdyby tylko poczuła się skrzywdzona, kogoś, komu mogłaby zaufać.

Poleganie na mężczyznach mogło być ryzykowne, była tego świadoma. Ciężar jej problemów i potrzeb z łatwością mógł ich przytłoczyć i ci, których wybierała, zwykle upadali pod tym ciężarem razem z nią.

Wiele kobiet w jej wieku i młodszych oczekiwało, że mężczyzna ich marzeń lekkim krokiem wejdzie w ich życie, porwie je i uniesie z romantycznym prądem do Jeziora Szczęśliwości, po którym będą pływać długo i szczęśliwie na tratwie miłości.

Pomyślała o własnych rodzicach - tyle lat po ślubie wciąż tak sobie oddanych. Jak to było w tej starej piosence: „Trzeba mi pani jak owa pani, co poślubiła mojego tatę”? Albo pana, który ożenił się z moją mamą? Jej rodzice, rozważała, przeszli razem przez cały ten koszmar jak dwoje rozbitków z zatopionego statku, podrzucanych na falach, trzymających się siebie nawzajem niczym kół ratunkowych podczas burzy żalu, która zatopiłaby niejedno małżeństwo.

Wiedziała, że matka bardzo martwi się o tatę, ale niezależnie od tego, co mówiła i co robiła, nigdy by go nie zostawiła, nigdy by z niego nie zrezygnowała. Elaine podziwiała ich za wzajemną lojalność i oddanie i zazdrościła namiętnego uczucia. Z ich opowieści wydedukowała, że na początku łączył ich płomienny romans. Mimo iż sama chciała uchodzić za osobę, której w głowie nie romanse, lecz kariera zawodowa, to w głębi duszy pielęgnowała te same romantyczne wizje, co większość jej rówieśniczek. Tyle tylko, że wołałaby umrzeć, niż się do tego przyznać.

Nie musiała iść do psychoanalityka, by usłyszeć o swojej niskiej samoocenie. Ponieważ jej starsza siostra była taka piękna, tak pożądana i podziwiana, Elaine czuła, że zawsze pozostawała w jej cieniu. Porównania były nieuniknione. Widziała to w oczach tych, którzy popatrzyli najpierw na Farah, a potem na nią. Spodziewali się dostrzec podobne cechy, to samo charyzmatyczne piękno.

Cóż, czekał ich zawód. Była inna, ale nie brzydka. Miała metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, zgrabną figurę i ładną cerę. Tyle tylko, że jej typu urody nie widywało się w konkursach piękności, jak sama uważała. Nie potrafiła jednak podtrzymać w sobie wiary we własną atrakcyjność i zachować pewności siebie w towarzystwie innych dziewczyn i młodych mężczyzn. Według niej, faceci bez przerwy porównywali ją z innymi i stwierdzali, że jest po prostu zbyt przeciętna - nie brzydka, ale też nic nadzwyczajnego. Byli dla niej mili, zwłaszcza gdy czegoś potrzebowali, na przykład notatek czy pomocy w nauce przed egzaminem, ale nie fascynowała żadnego tak, jak niegdyś wszystkich fascynowała Farah.

Niekiedy posprzeczała się z siostrą, gdy ta krytykowała jej wygląd, ubiór, uczesanie, makijaż, perfumy, to jak chodziła i mówiła. Farah posiadała

naturalny instynkt uwodzicielki, miała świadomość swojej władzy nad mężczyznami, bawiła się nimi, dręczyła ich, ale też lubiła ich towarzystwo. Elaine nigdy tak naprawdę nie bawiły flirty, zaloty. Wprawiały ją w zdenerwowanie.

Farah powiedziała kiedyś: „Boisz się spotkać kogoś, kto cię pokocha, Elaine. Boisz się, że musiałybyś z czegoś zrezygnować”.

Elaine uznała to nawet za trafne spostrzeżenie. Zatkęło ją na chwilę. Od tamtej rozmowy patrzyła na siostrę inaczej. Farah nie była naiwna. Mogła zgrywać Marilyn Monroe, ale tak naprawdę wcale nie była ani głupia, ani rozpuszczona.

Dziwne - pomyślała - nie poznałyśmy się bliżej, dopóki nie dorosłyśmy, a potem... zanim zdążyłyśmy zostać prawdziwymi siostrami...

Zamknęła oczy, żeby powstrzymać napływ bólu. Znowu przypomniały się jej okoliczności śmierci Farah, to, jak Dirk Stoner zakuł ją, jej przebite tętnice, rana mięśnia sercowego, upływ krwi, spadek ciśnienia, utrata przytomności. Elaine czytała raport z sekcji zwłok; sądziła, że będzie potrafiła podejść do tego bez emocji, ale nie mogła nie myśleć o siostrze, nie widzieć wielokrotnych ciosów, jakie jej zadano.

Zwłoki ledwo przypominały Farah. Elaine ostrzegała ojca, żeby na nie nie patrzył. Opisała mu, co zobaczy, w nadziei, że mu to wyperswaduje, ale on jakby chciał się ukarać za to, czemu nie zapobiegł.

- Nie wiem, kto to jest - wybełkotał do niej potem. - To nie Farah. Musieli pomylić ciała. Możesz to sobie wyobrazić? - mówił.

Zachowywał się tak niezwykle, że pomyślała, iż przyjdzie im stracić także i jego.

- Zapamiętaj ją taką, jaka była, tato.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Tak, racja. Elaine ma rację - powiedział jej matce. - Tam, to nie jest nasza córka. Ona jest tu - stwierdził, pokazując na swoją głowę. - Tego nam ten łajdak nie zabierze, prawda?

- Prawda, tato.

- O tak, o tak, o tak - powtarzał jak szaleniec.

Cóż to był za koszmar, te pierwsze dni po morderstwie: ojciec nie spał, włóczył się po domu, wydzwaniał do mieszkania Farah, żeby sprawdzić, czy mu się to wszystko nie przyśniło, przesiadywał w jej dawnym pokoju, brał do ręki jej zabawki, zdjęcia, przesiewając wspomnienia jak ktoś, kto przesiewa piasek przez palce w nadziei odnalezienia zagubionego na wielkiej plaży drogiego klejnotu.

- Obawiam się - mówiła do niej matka - że śrubokręt, który Dirk wbił w ciało Farah, przeszył ją na wylot i ugodził w serce twego ojca.

Elaine zawsze wiedziała, że Harry'emu bliższa była Farah niż ona. Przyczyny, dopatrywała się w tym, że Farah była jego starszą córką, ale uważała też, że siostra, w przeciwieństwie do niej samej, pasowała do wizerunku kobiety, jaki nosił w sercu ich ojciec: rzadko się o cokolwiek kłóciła, rzadko się buntowała, no, chyba że chodziło o ograniczenia w jej życiu towarzyskim. Dla niej tata był królem. Jego poglądy polityczne, i nie tylko, były jej poglądami.

To Elaine zawsze rozpoczynała dyskusje przy stole, to ona krytykowała i sugerowała zmiany. Czasem - nawet dosyć często - matka zgadzała się z nią, ale wtedy ojciec skarżył się, że siła złego na jednego, i Farah natychmiast stawała po jego stronie, więc był remis.

Elaine chciała, żeby ojciec kochał ją tak samo, jak kochał Farah, ale nie miała zamiaru o tę miłość żebrać czy godzić się na choćby niewielkie kompromisy, bo dla niej oznaczało to tyle samo, co kupowanie uczucia. Miłość winna przychodzić tak naturalnie i bezwarunkowo, jak przychodziła do jej siostry.

Teraz Elaine była jedyną córką, jaka mu została, i miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Może ona też mogła zapobiec jakoś śmierci Farah - zachowywać się bardziej jak siostra, dać jej odczuć swoją bliskość, troskę. Może Farah czuła się osamotniona i przez to stała się łatwym celem. Elaine żałowała, że ostatni raz rozmawiała z nią przeszło dwa tygodnie . przed śmiercią. I była za mało wrażliwa na cierpienie siostry. Prawda jest taka, że trzeba było mniej się obrażać, a więcej ją kochać.

Takie myśli doprowadziły ją do łez. Ojciec pewnie nie wierzył, że Elaine zdarza się jeszcze płakać, ale ona też spędziła wiele bezsennych nocy i wiele wieczorów, kiedy to wpatrywała się w ciemność, błagając siostrę o wybaczenie, tak jak w jej wyobrażeniu często robił to ojciec.

- Nie jesteśmy tacy różni, jak ci się wydaje, tato - wyszeptwała.

Przeciągnęła się i wstała, a potem przez chwilę popatrzyła przez okno na ciemną ulicę.

Nikt nie wiedział o jej nocnych koszmarach, przerażających wizjach w czasie sekcji zwłok na uczelni, a już na pewno nie wiedzieli o nich rodzice. Tego by tylko brakowało, pomyślała, żeby powiedziała matce, a ta zaraz ruszyłaby na ojca z siekierą, wykrzykując: „Mówiłam ci, że tak będzie. Po coś ty ją brał na tę egzekucję?”

Uśmiechnęła się do tych myśli, a potem znów spoważniała. To niezwykle, że tata nie wyobraża sobie nawet, iż zdolna jestem do takich uczuć, pomyślała. Uważa mnie za żelazną damę, czy coś takiego. Gdyby tylko wiedział, jak bliska załamania byłam wtedy, w więzieniu, i jak często nawiedza mnie ostatnie, nienawistne spojrzenie Dirka.

Te oczy... te przekłete, przesywające, hipnotyzujące... Jak to jest, że źli ludzie mają taką moc?

Dostrzegła ciemną, zamazaną postać przechodzącą przez jezdnię i zmierzającą do jej budynku i serce zaczęło jej walić jak młotem. Ostatnio, zwłaszcza od spotkania w kawiarence z tajemniczym mężczyzną, zdarzało się jej to coraz częściej; nagle nieuzasadnione skoki ciśnienia, wrażenie dotyku lodowatych palców na karku, utrata tchu na widok podobnej twarzy, okładki plotkarskiego czy sportowego czasopisma, przy jakiegokolwiek wzmiance o golfie.

A jednak jakoś się zemścił, tato. Nie trzeba było tam iść i na niego patrzeć. Błąka się teraz bez końca po najgłębszych pokładach naszej podświadomości i wraca do życia przy każdym najmniejszym, nic nie znaczącym skojarzeniu.

- Niech cię szlag trafi! Zdechnij wreszcie, łajdaku! – wykrzyknęła w mrok.

Zamknęła oczy i dochodziła do siebie przez moment.

- Muszę się trochę przespać - wymamrotała i udała się do sypialni. Wgramoliła się pod koc, zamknęła oczy i dała się ponieść do ciemnego tunelu snu, poza rzeczywistość, coraz dalej i dalej od jej własnej rozdygotanej świadomości i lęków.

7

Jonathan Thomas Lewis przyglądał się rosnącemu w oczach pasowi startowemu podczas miękkiego lądowania samolotu. Na pokładzie cenny był już wprawdzie nie raz, podobnie jak na pokładach wielu innych prywatnych odrzutowców, ale zawsze wtedy wiedział, dokąd leci. Tym razem atmosfera rodem z filmu kryminalnego zaczynała mu już działać na nerwy. Wiedział, że nie ma prawa narzekać, lecz powinny istnieć pewne granice tego, jak go traktowano. Któregoś dnia, gdy się to wszystko skończy, ci ludzie... Co to za brednie? Ci ludzie? Nigdy ich już więcej nie zobaczy. Krzyż im na drogę, pomyślał.

Przyjrzał się światłom. Dostrzegł w tym miejscu coś znajomego. Już tu kiedyś był, na pewno. Phil i Don siedzieli za nim; wciąż jeszcze spali. Gdy samolot na dobre się zatrzymał, z kabiny pilotów wyszła Papryka i zbliżyła się do niego.

- Gdzie jesteście? - zapytał.

- Na miejscu. Niech pan wychodzi i szybko wsiada do samochodu - nakazała.

- Jezu, jest ciemno. Kto by mnie tu rozpoznał?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Dobrze pan znalazł warunki, kiedy nas zatrudniano, panie Lewis. Nie rozumiem tego szczeniackiego zachowania. Chociaż... może jednak rozumiem.

- Akurat!

Papryka wyszczerzyła zęby w sztucznym uśmiechu. Phil i Don obudzili się i czekali na jej polecenia.

- Pomóżcie zabrać jego rzeczy - powiedziała. - Niech pan wstaje i wychodzi - nakazała Jonathanowi i stanęła przodem do otwartych drzwi.

Wyszła pierwsza i zaczęła przy limuzynie. Lewis zatrzymał się w drzwiach samolotu i rozejrzał wokół, zwlekając, na złość Papryce. Wsiadłszy do samochodu, dostrzegł na tylnym siedzeniu niskiego, łysego mężczyznę, pięćdziesięciopięć, może sześćdziesięcioletniego. Miał na sobie ciemny garnitur bez krawata i koszulę zapiętą pod samą szyję.

- Kim pan, do diabła, jest? - wypalił Jonathan, nim tamten zdążył się przedstawić. Siadł naprzeciwko gościa, a po obu stronach miał już po chwili Phila i Dona.

- Nazywam się Faraday, panie Lewis. Będę pańskim logopedą - odparł gość z wazeliniarskim uśmiechem.

- Logopedą? Nie mam żadnej wady wymowy.

- To prawda. Ale należałoby ją zmienić i to właśnie mnie powierzono owo zadanie. Będziemy pracować bardzo intensywnie, by osiągnąć cel w krótkim czasie, jaki jest nam dany - to znaczy, jeśli zechce pan współpracować.

Faraday mówił ostrym tonem, z rozmysłem, wyraźnie oddzielając słowa i podkreślając każde tym swoim obrzydliwie słodkim uśmiechem.

- No i jak minęła podróż, panie Lewis? - wyśpiewał nagle z zadziwiająco poprawnym, autentycznie brzmiącym irlandzkim akcentem. - Tuszę, iż przebiegła spokojnie.

- O co tu, do diabła, chodzi? - dociekał Jonathan.

- Zwykle uczę gwiazdy filmowe różnych akcentów. Chciałem się popisać... żeby zyskać pańskie zaufanie. Myślę, proszę pana, że zrobimy z pana mieszkańca okolic Bostonu. Łatwiej będzie panu popracować nad wydłużeniem samogłosek. Wie pan, o czym mówię: Zaparkowałem samochód tuż oobok.

Roześmiał się.

Jonathan pokręcił głową i popatrzył prosto przed siebie. Znajdowali się już na bardzo ciemnej autostradzie i oddalali się od jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności.

- Gdzie my, do cholery, jesteście? - zapytał.

- Gdzieś w Ohio - odparł Faraday. - Sam dokładnie nie wiem.

Popatrzył na Phila i Dona siedzących bez ruchu jak manekiny - z rękoma na kolanach, oczami jak szklane kulki.

- Organizacja uważa, że każdy powinien wiedzieć jak najmniej. W ten sposób są większe szanse...

- Szanse na co? - spytał Jonathan.

- Nie spieprzyć tego wszystkiego, panie Lewis - znów roześmiał się Faraday. - Nie waham się użyć przekleństwa, gdy to konieczne. To, w istocie, najbarwniejsza część naszego języka. Wiele z nich pochodzi jeszcze od Anglosasów, wie pan?

- Wiem, że wszystkim wam odpieprzyło - wymruczał Jonathan. - Tylko tyle wiem.

- W rzeczy samej, proszę pana, w rzeczy samej. To mój ulubiony cytat z Sydneya Greenstreeta - uśmiechnął się Faraday. - No, wie pan, „Sokół maltański”, „Casablanca”...

- Wiem, kim był - odparł Jonathan, mimo że wcale nie wiedział.

Siedząca z przodu Papryka odsunęła dzielące ich od kabiny kierowcy okno i popatrzyła na pasażerów.

- Jak się dogadujecie? - spytała z tym swoim wkurzającym uśmiechem osoby, która zjadła wszystkie rozumy.

- Doprawdy, panno Papryko - odrzekł Faraday, tym razem udając plantatora bawełny z Virginii. - Dziwi mnie to pytanie. Prawdziwi dżentelmeni zawsze się dogadują.

- Dlatego zapytam jeszcze raz, jak się dogadujecie?

Roześmiała się i zamknęła okno.

- Kiedyś - odezwał się Jonathan - wymaluję na tej parszywej gębie inny uśmiech.

- Odpowiadam tylko za pański głos i akcent, panie Lewis, ale obawiam się, że komentarze tego typu prędzej czy później wpędzą pana w kłopoty - zauważył Faraday, kiwając głową.

Nagle stracił fizjonomię miłego starszego pana i przybrał wygląd psychopaty. Nawet Jonathan poczuł dreszcz, choć widział w swoim życiu wielu świrów.

Skręcili w zwirową drogę i jechali teraz przez zalesioną okolicę. Kilka minut później skręcili ponownie i wjechali na podjazd prowadzący do wiejskiego domu. Posiadłość była ogrodzona i po swojej lewej stronie Jonathan

dostrzegł krowy, zaś po prawej kilka koni. Po chwili zauważył budynki gospodarze i coś, co wyglądało jak domek dla gości.

- To farma? - zapytał.

Papryka otworzyła okno.

- Pomyślałam, że chciałby się pan nauczyć doić krowy i macać kury, Jonathanie - rzekła. - Nie wybrał pan sobie jeszcze nowej profesji, a wiejskie życie to samo zdrowie.

Phil i Don zachichotali, potrząsając szerokimi ramionami. Lewis patrzył na Paprykę, dopóki ta nie odwróciła się znowu.

- Musi pan zachować poczucie humoru - poradził Faraday. - To wielka siła, sam pan wie.

- Mam poczucie humoru, kiedy coś jest śmieszne.

Limuzyna zatrzymała się przed domkiem gościnnym i otworzono drzwi. Jonathan wysiadł na rześkie, wieczorne powietrze, zauważając brak gwiazd; czuć było zbliżający się deszcz. Patrzył, jak kierowca podchodzi do bagażnika i wyjmuje jakieś torby, wręczając je Philowi i Donowi.

- Tędy - nakazała Papryka. - Ma pan pokój na górze, panie Lewis. Panie Faraday, pana umieścimy na parterze, w tylnej części domu. Myślę, że będzie wam wygodnie.

- Jak długo mam tu zostać? - zapytał Jonathan, zatrzymując się przy drzwiach.

- Aż do wyjazdu - odparła i z rozmachem otworzyła drzwi.

Cofnęła się i pozwoliła wejść Jonathanowi Thomasowi Lewisowi.

Rozejrzał się po niewielkim pokoju dziennym po prawej stronie. Wyglądał na ciepły i przytulny: gruby dywan, wysłużone już skórzane rude fotele i kanapa, na ścianach olejne obrazy przedstawiające wiejskie sceny i mały kamienny kominek, w którym strzelały teraz płonące żagwie. Przy jednym z foteli stała lampa z wypłowiałym żółtym abażurem; na stoliku i w stojaku obok fotela ułożone były gazety i czasopisma.

Jonathan podszedł powoli do schodów i tam stanął.

- Jutro będzie mógł pan zwiedzać obejście, ile dusza zapagnie, panie Lewis - oznajmiła Papryka. - Teraz chodźmy na górę. Ktoś na pana czeka.

- Że co? Czeka na mnie? Kto? - wyrzucił z siebie Jonathan, patrząc w górę schodów.

Czy to możliwe? Czy podjąłby takie ryzyko i przyjechałby tu do niego?

- Ktoś, kogo pan zna - dodała jego strażniczka. - Proszę, panie Lewis - rzekła, pokazując na schody.

Ruszył w górę z walącym sercem, wielce zaintrygowany. Don i Phil podążyli za nim z walizkami.

- Na prawo - poinformowała Papryka, gdy dotarli na piętro.

Jonathan odwrócił się i stanął rozczarowany.

- Witam, panie Lewis. Jak się pan miewa?

Jonathan chrząknął.

W drzwiach stał doktor Felix Lawler. Mężczyźni patrzyli na siebie dłuższą chwilę, po czym Lawler usunął się, by przepuścić Jonathana. Ten stanął tuż za progiem i rozejrzał się po nowym otoczeniu. W pokoju panowały warunki spartańskie w porównaniu z tymi, w których dane mu było przebywać wcześniej i w jakich zwykł był niegdyś żyć. Znajdowało się w nim podwójne łóżko przykryte szarą kapą i wysoka mahoniowa toaleta wyglądająca na kupioną w sklepie z rupieciami - podobnie zresztą jak dwie szafki nocne. Szafa była mała, a łazienka na korytarzu. Za wezłowiem łóżka zauważył dwa wąskie okna. Zasłony były zaciągnięte, a rolety spuszczone. Pokój oświetlała tylko jedna, zawieszona pod sufitem, blado-żółta lampa pełna martwych owadów.

Otwarta torba doktora Lawlera spoczywała na mało wygodnym, cienko wyściełanym fotelu na klonowym stelażu. Podłoga wykonana była z wytartych desek, na których pod łóżkiem leżał brązowy dywan. Na pokrytych nieciekawą orzechową tapetą ścianach nie było żadnych obrazów.

- Jezu - wymamrotał Jonathan.- Całkiem jak w Ritzu.

Don i Phil precyzyjnie się koło niego i postawili walizki na podłodze obok szafy. Spojrzeli na lekarza i szybko opuścili pokój.

- Gdyby pan czegoś potrzebował, doktorze, będę na korytarzu - oznajmiła Papryka.

Felix potaknął. Papryka zamknęła za sobą drzwi.

Jonathan odwrócił się, a Lawler posłał mu szybki, skąpy uśmiech.

- To jak się pan czuje, panie Lewis? Jakież bóle, dyskomfort?

- Czuję się parszywie - odparł Jonathan. - Niech pan na to spojrzy. Zupełnie, jakby wynajdowali dla mnie najbardziej paskudne miejsca na ziemi.

- Jestem pewien, że mają swoje powody. Może usiądzie pan na łóżku i nieco się odpręży?

Felix wyjął aparat do mierzenia ciśnienia.

- Proszę zdjąć marynarkę i koszulę.

Jonathan wykonał polecenie.

- Widzę, że dba pan o kondycję - zauważył doktor, owijając mu przedramię rękawem ciśnieniomierza.

Obaj patrzyli sobie w oczy, gdy lekarz pompował rękaw. Potem odczytał wynik i uniósł brwi.

- No i jak tam? - spytał szybko Jonathan.

- Bardzo dobrze. Sto dziesięć na dziewięćdziesiąt. Biorąc pod uwagę napięcie, w jakim pan żyje, podróże i wszelkie inne okoliczności, całkiem nieźle. Tętno też jak u atlety. Czy miewa pan problemy z zasypianiem?

- Nie - rzucił ostro.

Czuł się, jakby zadano mu bardzo osobiste pytanie, wykraczające poza ramy kontaktów między lekarzem a pacjentem. Felix pokiwał tylko głową.

- A jak tam pańskie trawienie? Nie ma pan problemów?

- Zważywszy na świństwa, którymi mnie karmią, o dziwo nie.

Felix pozwolił sobie na dłuższy, szerszy uśmiech.

Potem zaczął dokładniej badać Jonathana: dotykał szyi i węzłów chłonnych, sprawdził za uszami, pod włosami, znowu za uszami, wokół oczu, upewniając się, czy nie wdała się gdzieś infekcja. Zadowolony z wyniku badania odszedł od pacjenta, schował stetoskop i ciśnieniomierz do torby i zamknął ją.

- Wygląda pan całkiem nieźle, panie Lewis. Chyba jest pan moim najlepszym dziełem, jeśli wolno mi się pochwalić.

Odwrócił się do niewielkiego lustra nad toaletką i popatrzył na odbicie Jonathana.

- Wręcz arcydziełem.

- Przywieźli pana taki kawał drogi tylko po to?

- To część umowy, panie Lewis. Chyba jednak mogę pana zapewnić, że ja swoją część roboty wykonałem. Wątpię, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy - stwierdził.

Żaden z mężczyzn nie wydawał się z tego powodu szczególnie zmartwiony.

Jonathan wzruszył ramionami.

- A co z ćwiczeniami i wysiłkiem fizycznym? - zapytał. - Czy wciąż muszę być ostrożny?

- Nie widzę powodu, by jakoś pana ograniczać. Proszę robić to, co pan lubi, i tak często, jak pan sam ma na to ochotę.

- W takim razie jestem taki jak dawniej - z dumą rzekł Jonathan Thomas Lewis.

- Tego chyba nie można powiedzieć. Tego chyba już *nigdy* nie będzie można powiedzieć - odparł Felix Lawler.

Podniósł torbę i uśmiechnął się.

- Cóż, czas więc na mnie...

- Tak - uciał Jonathan. - Czas na pana.

Felix skinął głową, odwrócił się i wyszedł. Jonathan wstał i podszedł do okna, żeby podnieść roletę i wpatrzeć się w mrok. Po chwili weszła Papryka.

- Lekarz wystawił panu szóstkę z plusem. Brawo, panie Lewis - powiedziała.

Z łatwością podniosła walizki i rzuciła je na łóżko.

- Mogę zejść i się napić, czy muszę czekać na pozwolenie i nowe rozkazy?

- Kuchnia jest zaopatrzona we wszystko, co pan lubi. Naszym celem jest pańskie zadowolenie - zakpiła Papryka i parsknęła śmiechem. - Niech pan idzie. I pofolguje sobie.

Otworzyła walizki i zaczęła wypakowywać jego rzeczy. On zaś wyszedł z pokoju, zszedł szybko po schodach, a na dole skręcił w lewo. Minął małą jadalnię, która bardziej przypominała zwykły aneks kuchenny, i trafił do kuchni. Don i Phil siedzieli przy stole, a przed nimi stały otwarte puszki z piwem. Faraday pochylał się nad filiżanką herbaty. Wszyscy trzej spojrzeli na niego.

- Chce pan piwa? - spytał szybko Don.

- A jest coś mocniejszego?

- A wolno panu? - zatroszczył się Phil.

- Lekarz mówi, że jestem taki jak dawniej - odparł pewnie Jonathan, zaznaczając tym samym, że nikt nie ma prawa mu niczego odmówić.

- Jest wódka, dżin, tequila i mieszadełka, o, tam.

Phil pokazał na szafkę po lewej stronie lodówki. Jonathan znalazł wódkę, tonik i szklankę. Z zamrażalnika wyjął trochę lodu i przygotował sobie mocnego drinka, mieszając go energicznie. Obliznął mieszadełko i zamknął oczy: brakowało mu tego, oj, brakowało... Potem przyjrzał się swoim dwóm goryłom i Faradayowi.

- Co my tu, do diabła, mamy robić? - zapytał.

- Pan i ja będziemy pracować po kilka godzin każdego ranka i kilka po południu - odpowiedział Faraday.

- A potem co?

- Może pan pojeździć samochodem, popływać łodzią po stawie. Chyba może pan też pojeździć konno - odrzekł Phil - o ile Papryka się zgodzi i nie przekroczy pan ogrodzenia.

- Istny obóz harcerski - zadrwił Jonathan i pociągnął drinka. Potem przeszedł do pokoju dziennego.

Okno z boku wychodziło na dom. Zauważył podskakującą na nierównej drodze furgonetkę, która po chwili zatrzymała się przed wejściem. Wysiadła z niej dość potężna kobieta o biuście Dolly Parton, nawet z takiej odległości

wyraźnie widocznym pod flanelową koszulą. Zdjęła z odkrytego bagażnika coś, co wyglądało na torby z zakupami, i weszła do domu.

Jonathan usłyszał idącą po schodach Paprykę, a gdy się odwrócił, ona stała w wejściu do pokoju dziennego.

- Kto tam mieszka? - zapytał, kiwając głową w stronę domu.

- Pańscy gospodarze, George i Brenda Meredith.

Jonathan mocno się zdziwił, że tak chętnie udzieliła mu informacji.

- Jesteś pewna, że powinnaś mi to mówić?

- To nie są ich prawdziwe nazwiska. Myślałam, że się pan domyśli. Nie są autentycznymi farmerami. Żyją z dala od ludzi i zapewnią nam wszystko, czego trzeba.

- A dzieci? - zapytał, odwracając się plecami do okna.

- Nie ma żadnych dzieci. Tylko małżeństwo farmerów, niewielkie stadko krów, parę koni, jakieś kury i kilka świń. Wszystko zapewnione przez centrum dowodzenia.

Lewis spojrzął na nią. Nie żartowała.

- Naprawdę zapewnacie mi różnorodność atrakcji. Jestem pod wrażeniem - powiedział, pokazując głową na dom.

- Wreszcie. Wyczuwam w pana głosie uznanie. Może jeszcze jest dla pana nadzieja, panie Lewis.

- Oczywiście, że jest dla mnie nadzieja.

- W takim razie jest nadzieja dla każdego.

Uśmiechnął się sztucznie i odwrócił, okazując swoje lekceważenie, ale jej już nie było. Postąpił tam jeszcze chwilę, wpatrując się w dom i pociągając drinka. Potem włączył telewizor i znalazł najwygodniejszy, jak mu się zdało, fotel.

Chwilę później stało się to, czego się spodziewał: zaczął padać deszcz, rzęsimy i zimny bębnił w szyby niczym palce... palce stwora, który chętnie by go dopadł.

Nie powiedział o tym lekarzowi. Nie chciał mówić o niczym, co mogło przedłużyć ich kontakty, ale wcale dobrze nie spał. Nawiedzały go koszmary. Ściagała go pewna osoba. Będzie go ściagała już zawsze. Nawet tu i teraz.

Będzie musiał coś z tym zrobić. Prawdę mówiąc, zaczął już przygotowywać sobie grunt. Nikt z nich o tym nie wiedział, a on cieszył się, że mógł jeszcze coś zrobić sam, bez ich cholernego pozwolenia.

Sączył drinka i kiwał głową do telewizora.

Nikomui się z tym nie zdradził, ale był pewien. Tak, zrobi coś, jak tylko będzie mógł.

Wtedy - dopiero wtedy - będzie czuł się bezpiecznie.

*

Prywatny odrzutowiec, który przywiózł Jonathana Thomasa Lewisa, czekał na doktora Felixa Lawlera. Lekarz przyjechał limuzyną, po czym pośpieszył w górę stopni do kabiny pasażerskiej. Zapiął pasy i oparł się wygodnie, chcąc jak najszybciej wrócić do domu. Jutro razem z Jenny pojedą do swojego nowego domu w Palm Springs i zaczną planować jego urządzenie. To takie ekscytujące, pomyślał.

Usłyszał startujące silniki i poczuł, że samolot zaczyna się poruszać. Kilka minut później oderwali się od pasa startowego. Zamknął oczy i założył ręce na brzuchu w nadziei, że będzie mógł się zdrzemnąć.

- Przepraszam, doktorze.

Drugi pilot wyszedł z kabiny i stał w przejściu z telefonem w dłoni.

- Telefon do pana.

- O? Dziękuję - rzekł i wziął słuchawkę. - Tak, Felix Lawler. - Posłuchał przez chwilę. - Tak, proszę pana. Wszystko w porządku. Fizycznie jest już w bardzo dobrej formie. Gotów jestem zamknąć jego sprawę... Tak, proszę pana, jestem bardzo zadowolony ze swego dzieła i jestem pewien, że pan także będzie.

Słuchał, uśmiechając się do pilota, który stał na tyle daleko, żeby go nie słyszeć.

- Cóż, dziękuję panu. I również życzę powodzenia - dodał Felix.

Skinął na mężczyznę, który szybko zabrał telefon i wrócił do kabiny.

Felix z powrotem zamknął oczy. Nie czuł wyrzutów sumienia. Wszystkie rządy, wszystkie systemy, wszystko było skorumpowane. On zwyczajnie pragnął dla siebie tego, co najlepsze; tak jak każdy.

Moralność, doszedł do wniosku, to wymysł słabeuszy służący ich ochronie. Nic więcej.

Patrzył przez okno, gdy samolot wznosił się ponad deszczowe chmury i pędził w stronę zimnych, oślepiających gwiazd.

8

Nie pasuje do żadnych danych z komputerowego rejestru osób zaginionych - stwierdził Billy Powell.

Billy był największym cybermaniakiem w delegaturze FBI w Los Angeles. Mimo że przeszedł szkolenie dla agentów, osiągając jedne z najwyższych wyników, wolał pracować przy komputerze w charakterze pomocnika.

Agent specjalny Ted Andrews myślał niekiedy, że ten czarnoskóry młodzieniec ma mikroprocesor Pentium w miejscu serca. Zdawał się osiągać ten sam poziom podniecenia, zmagając się z wyzwaniem myślącej maszyny, co inni mężczyźni w jego wieku, usiłując zdobyć piękną kobietę.

- Ale mam jej życiorys - dodał, wręczając Andrewsowi wydruk.

Raport z Montany nadszedł rano. Dział Identyfikacji FBI dopasował odciśnięcie kciuka kobiety i ustalił jej tożsamość: Irene Lester, czterdziesto-czteroletnia niezamężna pielęgniarka.

- A więc, Billy - odezwał się Ted, patrząc na informacje na swoim biurku - naszym zadaniem, czy tego chcemy, czy nie, będzie odkrycie, dlaczego pielęgniarkę z Los Angeles znaleziono w kopczącej beczce po oleju na wysypisku śmieci w Montanie.

- Że co? - wydukał Billy.

Ted Andrews podniósł wzrok i uśmiechnął się. Jego rozbrajający uśmiech zwykle wprawiał rozmówców w stan odprężenia i bez troski. Był jednym z najbardziej lubianych agentów, zadbanym, atrakcyjnym, tak przystojnym, że koledzy z pracy żartobliwie wołali na niego Redford. Miał te same filmowe oczy i blond włosy.

Ted był jednak wyższy od Roberta Redforda: miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szczupłą sylwetkę i długie ramiona. Wyglądał raczej jak lekkoatleta - ku własnej niewygodzie wbity w elegancki garnitur - niż jak stróż prawa. Co prawda, należał kiedyś do ważniejszych zawodników w drużynie futbolowej Uniwersytetu Południowokalifornijskiego i zagrał w większości meczów na ostatnim roku, ale jako czterdziestoletni agent miał też wiele innych mocnych stron. Przełożeni najbardziej cenili jego umiejętność zadawania właściwych pytań, instynktowne wycucie tego, dokąd zmierzać i jak tam dotrzeć z podejrzanym lub świadkiem. Bez niego nie zamknięto by z powodzeniem wielu dochodzeń w sprawie seryjnych morderstw, a w zeszłym roku pomógł zlikwidować dwa narkotykowe kartele.

Ojciec Teda był agentem tajnych służb, który odchodząc na emeryturę, miał za sobą pracę z piątką prezydentów. W związku z tym Ted i jego młodsza siostra, Anette, dorastali w Waszyngtonie, z którego Ted wyjechał dopiero zdobywszy stypendium sportowe na Uniwersytecie Południowokalifornijskim. To tam poznał swoją żonę, Toni, która wtedy robiła specjalizację z psychologii, a teraz pracowała na pół etatu w poradni małżeńskiej. Gdy tylko doszło między nimi do jakiejś sprzeczki, żartował zawsze, że szewc bez butów chodzi, zazwyczaj kończąc w ten sposób kłótnię. Toni miała temperament i łatwiej jej było dawać rady, niż je przyjmować, zwłaszcza zaś dotyczyło to tych porad, których udzielała innym.

A jednak ich małżeństwo było udane. Mieli dwoje dzieci: dziewięcioletnią Melissę i o dwa lata młodszego Erika. Posiadali ładny dom na granicy Beverly Hills i West Hollywood, skąd biuro Toni było oddalone o zaledwie dziesięć minut drogi.

Podobnie jak każda stojąca na straży prawa instytucja, FBI było przeładowane robotą, ale Ted Andrews nie chciał zaniedbać żadnej sprawy i często nakładał na siebie zbyt dużo obowiązków. Nierzadko śmiał się sam do siebie na wspomnienie analizy Toni, ale wiedział, że ów śmiech wynika z tego, iż nie chce się sam przed sobą przyznać, że być może żona ma rację. A zakwalifikowała go jako osobowość obsesyjną.

- We wszystko, co robisz, Ted, wkładasz całą swoją duszę. Nazywam to kompleksem rekina. Odkrywasz, że masz coś w zębach, i nie spocznesz, dopóki tego nie pożresz. Któregoś dnia to coś pożre ciebie - ostrzegęła.

- Czy to się odnosi także do miłości do ciebie?

- Mam nadzieję - przyznała i oboje roześmiali się, ale żona nie przestała się o niego niepokoić.

Wiedział o tym, bo taki sam był jego ojciec, którego w końcu powalił atak serca.

I teraz Ted znowu nie miał czasu pomyśleć o sobie. Biuro FBI w Montanie było bezradne. Nie potrafili połączyć ofiary z nikim ani z niczym w okolicy. Dochodzenie wstępne zaowocowało wnioskiem, że denatka nie była w żaden sposób powiązana z rezerwatem Indian w pobliżu Billings w stanie Montana.

- No dobrze - powiedział Ted, opierając się i siłąc się na powagę. - Co tam dla mnie masz, Billy? Wiem, że te czarodziejskie palce potańczyły trochę po klawiaturze...

Billy Powell uśmiechnął się i spojrzał na swoje notatki. Był w głównej mierze samoukiem wychowywanym przez babkę od strony matki. W szkole średniej wykazał się wielkim zamiłowaniem do komputerów i pomógł nawet stworzyć program do nauki matematyki. Potem zdobył stypendium college'u i zainteresował się instytucjami strzegącymi prawa. Ciekawiły go możliwości, jakie informatyka mogła zaoferować policji, a na ostatnim roku studiów zyskał uznanie za projekt stworzony na użytek Departamentu Policji Los Angeles.

- Przez ostatnie pół roku nie korzystała z usług żadnych linii lotniczych, a już na pewno nie leciała do Montany. Karty kredytowej ostatni raz użyła w butik w zachodnim Los Angeles i było to ładnych parę miesięcy temu. Przez ostatnie kilka miesięcy jej stałe opłaty były regulowane przez bank przelewami z konta.

Billy przerwał i uniósł brwi.

- Ale... Przez ostatnie dwa miesiące w tym samym banku co tydzień ktoś wpłacał na jej rachunek pięć tysięcy dolarów.

- W jaki sposób?

- Ktoś zwyczajnie przynosił je do okienka. Korzystała z usług jednego z tych bezosobowych bankowych molochów. Rozmawiałem z dwiema różnymi osobami i żaden z moich rozmówców nie pamiętał jej za dobrze.

- Wpłaty na rachunek dokonywano czekiem czy gotówką?

- Gotówką.

- Kto dziś płaci gotówką, oprócz... tych, których lubimy najbardziej? - zauważył Ted. - Poza tym pielęgniarki chyba tyle nie zarabiają.

- W zeszłym roku wykazała dochód w wysokości osiemdziesięciu dwóch tysięcy dolarów brutto. Często pracowała na specjalne zlecenia głównie z gabinetu chirurga plastycznego, doktora Felixa Lawlera.

- Skąd ty to wiesz?!

Jak wielu komputerowych analfabetów, Ted zafascynowany był magią elektronicznej poczty i cyberprzestrzeni.

- Kilka z jej ostatnich zleceń wytropiłem przez konto w banku, wszedłem też do szpitalnych kart jej pacjentów i sprawozdań finansowych - wyrecytował Billy, wzruszając ramionami, jakby zadanie to było równie proste jak kupno gazety. - Proszę, tu są informacje o jej wykształceniu, wcześniejszych posadach, żyjącej rodzinie, aktualny adres, telefon, numer prawa jazdy i marka samochodu...

- A grupa krwi? - wtrącił Ted.

- Jasne - odparł Billy, lecz zaraz spostrzegł, że Ted żartuje. Uśmiechnął się.

- Chce pan też wyniki jej ostatniego badania ginekologicznego?

- Świetnie, Billy. Widzę, że się naprawdę rozkręcasz - rzekł ze śmiechem Ted. - Dobrze, daj mi teraz to wszystko, to zabiorę się do roboty - dodał.

Billy wręczył mu wydruki. Ted przejrzał je szybko i wstał. Zatrzymał się i popatrzył na młodszego kolegę ze współczuciem. Billy Powell był jakby skazany na oglądanie świata przez monitor komputera, na kontaktowanie się z resztą ludzkości za pomocą łączy. Było to ograniczenie, które sam sobie narzucił, ale ileż to razy, dumiał Ted, dokonujemy, zdawałoby się, rozsądnych wyborów, a potem ich żałujemy. Chociaż od czasu do czasu ogarniają nas wątpliwości, pomyślał właściwie o samym sobie.

- Jak chciałbyś się do tego zabrać, Billy? - zapytał.

- Zabrać się? To znaczy, iść z panem w teren?

- Pewnie. Myślę, że mała odmiana dobrze ci zrobi, podniesie twoje kwalifikacje w tym, co przez większość czasu dla nas robisz. No wiesz,

zobaczysz, jak wykorzystywana jest twoja praca w praktyce. Coś w tym stylu. Co o tym sądzisz?

- Tak - odparł Billy, kiwając głową. - Chyba mi się to podoba. Dzięki. Wezmę tylko kurtkę.

- I broń, Billy Odslaniamy się - dodał Ted, kiwając głową w stronę drzwi, jak gdyby te otwierały się na szpital dla psychopatów.

- Tak, racja - rzekł Billy. - Racja.

Popędził po swoje rzeczy. Ted roześmiał się, po czym powrócił do czytania zgromadzonych materiałów, aby się przygotować i obmyślić strategię.

Zaczęli od wizyty w mieszkaniu Irene Lester, będącym częścią otynkowanego na różowo domu w West Hollywood - jednego z tych budynków, którym przydałoby się malowanie, naprawa popękanych, dziurawych chodników dokoła i porządny ogrodnik, który wymieniłby schorowane krzewy na nowe. Basen wyglądał na zaniedbany, od dłuższego czasu wymagał solidnego czyszczenia, a niektóre leżaki wokół niego do niczego się nie nadały. Na tyłach posesji znaleźli mieszkanie dozorca.

Nazywał się Walter Kantor. Miał co najwyżej czterdzieści lat, ale wyglądał na równie zniszczonego i zmęczonego, jak budynek, którym się opiekował. Włosy miał niemal całkiem siwe i mocno przerzedzone, a oprócz tego popsute zęby i chorą stopę; twierdził, że cierpi na artretyzm. Jego mieszkanie było zagracone i brudne. Najwyraźniej był starym kawalerem, uznał Ted. Żadna kobieta by go raczej nie zechciała.

- Irene Lester? Tak, znam ją. No i co? - powiedział, gdy Ted i Billy pokazali mu legitymacje. - Jest szpiegiem, czy co? - Zaśmiał się, ściskając usta i prychnąwszy. - Myślałem, że jest pielęgniarką.

- Interesuje nas, kiedy ją pan ostatnio widział - rzucił Ted.

Kantor zastanowił się chwilę i pokręcił głową.

- Nie wiem. Jakiś czas temu. Jej samochód stoi w garażu - oznajmił. - Zarósł kurzem, bo dość dawno nim nie jeździła. Taak. Teraz sobie przypominam, że patrzyłem na niego i myślałem, że to dziwne. Chciałem nawet sprawdzić, czy się nie popsuł.

- Czy pani Lester płaci czynsz?

- Nie wiem. Ja nie pobieram czynszu. Lokatorzy przesyłają pieniądze do agencji, która zarządza posesją... Beck, Levy i Taylor.

- Ma pan ich adres i telefon? - zapytał Ted.

- Jasne.

Kantor przyniósł je z kuchni i wręczył agentowi.

- Ale o co chodzi?

- Kiedy ostatnio widział pan Irene Lester, czy była z kimś? Czy miała tu przyjaciół?

- Nie wiem. Nie pamiętam, żebym ją z kimś widział, to jest z facetem, jeśli o to panu chodzi - dodał z uśmiechem. - Nie wtykam nosa w ich prywatne życie. Mamy tu pedałów, lesbije, nawet transwestytę, ale to nie moja sprawa, o ile nie sprawiają kłopotów innym. Nikogo nie dyskryminujemy - dodał, jakby przypomniał sobie, że lepiej to zaznaczyć.

- Chciałbym zobaczyć jej mieszkanie - rzekł Ted.

- A wolno wam? To znaczy, nie potrzebujecie nakazu sądowego, jej pozwolenia czy czegoś takiego?

- Uzyskanie jej pozwolenia jest niemożliwe.

Kantor otworzył szeroko oczy.

- Czemu?

- Została zamordowana. W Montanie.

- Ta pielęgniarka? O kurczę.

- Dlatego ważne jest dla nas wszystko, co może pan nam o niej powiedzieć - podkreślił Ted.

Kantor pokiwał głową z powagą malującą się na jego twarzy jak przy bólu zęba.

- No cóż, mieszkała tu przez jakieś trzy lata, ale z tego co wiem, była bardzo skryta. Nie widziałem jej nigdy przy basenie i nigdy się na nic nie skarżyła. A, raz musiałem pójść na górę i naprawić jej lodówkę. Wystarczyło tylko dobrze puknąć. Zdawało się, że to miła kobieta, całkiem przyjemna. Kurczę. Raz poradziła mi coś na wysypkę na twarzy. Poleciała mi lekarstwo i wysypka zginęła. Zamordowana. Kurczę.

- Najpierw niech mi pan pokaże jej samochód - poprosił Ted.

- Dobrze. Zamordowano ją w Montanie? Tak pan mówił? Czemu, u diabła, w Montanie?

- Też chcielibyśmy to wiedzieć. Znała tam kogoś? O kimś wspominała?

- Nie przy mnie.

- Proszę się zastanowić, panie Kantor. Kiedy dokładnie ją pan widział ostatnio?

Pokręcił głową.

- Głowy sobie uciąć nie dam, ale chyba przeszło miesiąc temu. Tak, może nawet dwa - odparł.

- Coś mi przyszło do głowy - przerwał im Billy. - Zaraz wracam.

Ted popatrzył, jak kolega biegnie do ich wozu. Potem zwrócił się do Kantora.

- Chodźmy do garażu - poprosił.

Ted przyjrzał się samochodowi i potwierdził to, o czym mówił Kantor: wyglądał na nie używany od dłuższego czasu. Gdy opuszczali garaż, by pójść na górę, powoli podszedł do nich Billy z szerokim uśmiechem na ustach.

- Co takiego? - spytał Ted.

- Nie doceniamy amerykańskiej poczty. Ted uśmiechnął się. - Mów dalej.

- Przyszło mi do głowy, że jeśli miała zamiar wyjechać na dłuższy czas, to jej korespondencja...

- Prawda, powinna była ją zablokować.

- I zrobiła to, dokładnie dwa miesiące i pięć dni temu - rzekł Billy. - Jednak...

- Co takiego?

- Nie podała adresu, na jaki mieliby przysyłać jej pocztę. Wszystkie ważniejsze sprawy załatwiane były elektronicznie. A pozostałe... - Billy wzruszył ramionami.

- Dziwne - zauważył Kantor.

Obaj agenci spojrzeli na niego.

- Jeśli nie zostawiła nowego adresu, jak załatwiała sobie pracę?

Mężczyźni z FBI uśmiechnęli się do siebie.

- Chodźmy zobaczyć jej mieszkanie, panie Kantor - powiedział Ted.

Wyszli z garażu i dozorca poprowadził ich za róg budynku, do zbudowanej z betonu i metalu klatki schodowej wiodącej do bocznego wejścia.

- Na pierwszym piętrze. O, tam - pokazał stróż.

Gdy szli już korytarzem na pierwszym piętrze, otworzyły się drzwi i ukazał się w nich szczupły mężczyzna w ogrodniczkach i podkoszulku. Stał do nich tyłem.

- Hej! - wrzasnął Kantor. - To mieszkanie pielęgniarzki!

- Chwileczkę - zawołał Ted.

Mężczyzna, na oko dwudziestoparoletni, spojrzął w ich stronę, po czym rzucił się w kierunku schodów po drugiej stronie budynku.

- Co jest, do...

Ted ruszył do przodu, a za nim pognął Billy.

- Stać! - krzyknął Ted, ale mężczyzna przewiesił się przez poręcz i dosłownie pofrunął w dół klatki schodowej, uderzając w drzwi i otwierając je na oścież jak taranem.

Ted znalazł się na dole w momencie, gdy drzwi się zamknęły. Uderzył w nie równie mocno i wypadł na chodnik. Rozejrzał się po ulicy, w prawo i w lewo. Billy był tuż za nim, zasapany, z czerwoną twarzą.

- Tędy - Ted wskazał głową na płot.

Popędzili chodnikiem i skręcili w chwili, gdy chłopak przeskakiwał przez płot. Spadł po drugiej stronie i rzucił się biegiem w kierunku wyjątkowo ruchliwego skrzyżowania Kings Row z Santa Monica.

Był szybki. Zanim Ted i Billy znaleźli się na chodniku, facet znikł za rogiem.

- Zgubimy go tam - zauważył Ted, pokazując na ruchliwą ulicę.

Mimo to pobiegli do zakrętu. Gdy do niego dotarli, mężczyzny nigdzie nie było.

- Mógł wejść do każdego z tych sklepów, wsiąść do samochodu albo skręcić gdzieś w boczną ulicę - próbował zgadnąć Billy.

- No trudno; wrócimy tam i zobaczymy, co robił w jej mieszkaniu - orzekł Ted.

Kantor czekał w drzwiach domu.

- Macie go?

- Nie, uciekł. Mieszkała sama, tak? - spytał Ted. - Nie żyła tu z żadnym facetem?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł dozorca i powiódł ich na górę, do mieszkania.

W środku zobaczyli powyciągane z szafek szuflady, ich zawartość po-przewracaną. Szafa stała wybebeszona, ubrania rozrzucone po podłodze, półka wyrwana, pudełka na buty puste. W kuchni szuflada spod telefonu leżała na podłodze, opróżniona ze wszystkich dokumentów, rachunków i notatek.

- Czego on, do diabła, szukał? - zastanawiał się na głos Kantor, a po chwili rozpromieniał, domyśliwszy się, jak sądził, odpowiedzi. - Prochy? Na pewno szukał prochów. Była przecież pielęgniarką, no nie?

- Być może - odrzekł Ted.

Zwrócił się do Billy'ego:

- Zadzwoń po naszych. Niech zdejmą odciski palców.

- Tak jest.

Młodszy agent podszedł do telefonu na ścianie.

- Kurczę! - westchnął Kantor, rozglądając się dookoła. - Całkiem jak w telewizji.

Gdy Billy skończył rozmowę przez telefon, usiadł na podłodze w kuchni i zaczął uważnie przeglądać papiery.

Ted kazał Kantorowi pójść do swojego mieszkania i wrócić, gdyby coś sobie przypomniał, sam zaś przeczesał resztę mieszkania, łącznie z łazienką i drugą sypialnią. Tu także szuflady leżały powywracane, lecz nic w nich nie było.

- Bingo - usłyszał Billy'ego Powella.
Popędził do kuchni.
- Co?
Billy wymachiwał wyciągiem bankowym.
- Miała drugą kartę kredytową - oznajmił z uśmiechem. - I to na inne nazwisko. Może, a nuż, uda nam się je powiązać z czymś albo z kimś w Montanie.
- Na inne nazwisko? Miała więc inną tożsamość - powiedział Ted.
Kiwając głową, popatrzył na Billy'ego.
- Ale ktoś musiał jej pomóc wszystko załatwić.
- Owszem, choć w dzisiejszych czasach nie jest to takie trudne. Włącza się komputer, włamuje się pod kilka adresów, tworzy nowy numer ubezpieczenia, zdobywa nowe prawo jazdy... W bankach nie miała żadnych problemów, sprawdziłem to - stwierdził Billy. - Chciała więc tylko ukryć swoje prawdziwe dane...
 - Czego nie zrobiłaby, gdyby nie zależało jej tak bardzo, by nikt nie wiedział, co robi - dodał Ted.
 - I cokolwiek to było, robiła to w Montanie.
Ted skinął głową.
 - Zostań tu, zadbaj, żeby nikt niczego nie dotykał, i czekaj na ekipę. Kiedy przyjadą, powiesz tu trochę, powypyj innych lokatorów. Ja złożę wizytę tamtemu lekarzowi.
 - Dobrze - powiedział Billy, wdzięczny za przydzielenie mu zadania i zaufanie Teda, który zostawił go samego.
 - Przekonasz się, że łatwiej wyciągnąć informacje z internetu, niż od żywych ludzi - ostrzegł Ted.
 - Wiem. Mam też przyjaciół wśród ludzi - zażartował Billy.

9

Szybko się pan uczy, panie Lewis. To dobrze - pochwalił Faraday po kolejnych trzech godzinach pracy. - Czynimy znaczne postępy, i to szybciej, niż się spodziewałem. Tak więc przygotowałem dla pana te oto kasety. Byłoby z korzyścią dla pana, gdyby zechciał pan słuchać ich w wolnym czasie i powtarzać to, co pan usłyszy.

- W wolnym czasie? Teraz mam *tylko* wolny czas - rzucił Jonathan bez ogródek.

- Doskonale - rzekł Faraday, przebijając parówkowymi palcami. - Dodatkowa praca może panu bardzo pomóc. Musi pan więcej robić samodzielnie.

- Takie zadanie domowe, co?

- Właśnie.

Niski mężczyzna klepnął się po kolanach i wstał. Przez ostatnie dwa tygodnie on i Jonathan Lewis byli praktycznie nierozłączni, razem spożywali posiłki, spacerowali i rozmawiali, a Faraday tworzył jego nowy akcent, dopasowując spółgłoski i samogłoski niczym językowy krawiec, spinając sylaby, gdy uczeń wypowiedział je ze zbytnim naciskiem i przesadą, i każąc mu je rozciągać, kiedy były wymówione za szybko, za krótko.

Kilkakrotnie Jonathan stracił cierpliwość do nieskończonego opanowania nauczyciela. Zdawało się, iż tego człowieka nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi. Zamykał tylko oczy, brał głęboki oddech i zaczynał od nowa, powtarzając, że Jonathan zrobi wszystko jak trzeba, gdy tylko bardziej się skoncentruje.

- To bez sensu - stwierdził kiedyś uczeń. - Jaki człowiek zastanawia się nad każdym wypowiedzianym przez siebie słowem?

- Niewielu ludzi to robi i dlatego popadają w tarapaty - odparł Faraday z nadętymi policzkami i uśmiechem ukazującym małe, błyszczące zęby.

Jonathan pomyślał, że facet wygląda, jakby jego wzrost został zahamowany przez olbrzymią, mocną rękę, którą położono mu na głowie, wgniatając w ziemię. Przypominał niskiego, krępego chłopaka z podstawówki, o którym mówi się, że łatwiej go przeskoczyć niż obejść.

- Sposób mówienia świadczy o osobowości nawet bardziej niż o miejscu pochodzenia i zamieszkania. Istnieje wyraźna różnica w mowie ludzi pewnych siebie i ludzi nerwowych, bojaźliwych. Zakładam, że nigdy nie będzie pan chciał wyglądać na nerwowego ani bojaźliwego, panie Lewis. Proszę mi uwierzyć, z czasem będzie pan mówił swoim nowym głosem bez zastanowienia.

Jeszcze raz błysnął uśmiechem i zostawił Jonathana w małym pokoju dziennym.

Dochodziła piąta po południu, ale ciężkie chmury dawały wrażenie godziny znacznie późniejszej. Jonathan wstał i podszedł do okna, by popatrzeć na dom stroniących od nich farmerów. Widział ich tylko kilka razy w przelocie, ale zdążył zauważyć, że kobieta pracowała prawie równie ciężko jak jej mąż.

Jak można lubić takie życie? - pomyślał. Dla niego oboje byli jak muły.

Poza Philem i Donem, z którymi od czasu do czasu grał w karty, widywał tylko Paprykę i Faradaya. Papryka wyjeżdżała i przyjeżdżała, ale niewiele wieści przywoziła z zewnętrznego świata, jak zwykł był go teraz określać. Wydawało się, że udzielanie enigmatycznych, niekonkretnych odpowiedzi na pytania dotyczące jego przyszłości, a niekiedy wręcz traktowanie go jak powietrze, sprawiało jej ogromną przyjemność. Zaczynał wierzyć, że Papryka nienawidzi go równie mocno, jak on ją.

Brak porządnego towarzystwa, siedzenie wciąż w tym samym miejscu, intensywne prace nad wymową i niepewność przyszłości zaczynały zbierać żniwo. Jonathan nie mógł spać, nie smakowało mu jedzenie, stracił zapał do ćwiczeń i nudziło go wszystko, co miała do zaoferowania telewizja.

Trzeba mi kobiety, pomyślał. Nie wiedział tylko, jak napomknąć o tym Papryce. Może i postąpił jak tchórz, ale powiedział Philowi i Donowi, żeby jej o tym wspomnieli. Lekarz stwierdził, że jest w stu procentach sprawny. Przyszedł czas na zabawę.

- Mogłaby kogoś przyprowadzić, jakąś dziewczynę z agencji. One są dyskretne - rzucił do swych goryli.

Don i Phil spojrzeli na niego, jakby mówił w nieznanym im języku.

- Laski, seks, bara-bara! - dodał. - Zapomnieliście czy może nigdy tego nie robiliście?

Roześmiali się i obiecali, że porozmawiają z szefową.

Najwyraźniej dotrzykali obietnicy. Następnego dnia Papryka otworzyła drzwi kabiny, gdy akurat brał prysznic. Rozwścieczyła go tym zamachem na jej prywatność.

- Myślałam, że przyłapię pana na marszczeniu fredda - powiedziała ze śmiechem. - Słyszałam, że zachciało się panu damskiego towarzystwa. Do tego co tu pan ma?! - wypaliła, nim zdążył zareagować. - Lepiej jak pan to zawiąże sobie na supeł - dokończyła i zasunęła drzwi.

Wpadł w taką furję, że prawie poślizgnął się i upadł. Wyszedł spod prysznica, owinał się w ręcznik i poszedł jej poszukać, ale Papryka była już na zewnątrz: wsiadła do samochodu i odjechała. Otworzył frontowe drzwi i, wyrażając pięścią, zawołał: - Ty kurwo!

- O co chodzi, panie Lewis? - zapytał Phil.

Jonathan obrócił się do niego.

- Ta suka - odparł - to faszystowska sadystka.

Phil roześmiał się.

- Dokąd pojechała?

- Mówiła, że jedzie pooglądać rasowe konie - powiedział Phil, wzruszając ramionami.

- Chryste - jęknął Jonathan, przyciskając dłonie do skroni. - Chyba oszaleję. Żadnych konkretnych informacji, tylko rozkazy. Równie dobrze mogli mnie...

Za Philem pojawił się Don i obaj spodziewali się, że Jonathan dokończy zdanie. Patrzył to na jednego, to na drugiego. Tylko czekali, żeby popełnił taki błąd, żeby mu się coś wymknęło. Donieśliby, komu trzeba, i miałyby areszt domowy na kolejne sześć miesięcy.

- Kurwa - zaklął.

Machnął rękami i wrócił na górę przebrać się do kolejnej drętwej kolacji, podczas której uczył się od Faradaya, jak wymawiać nazwy poszczególnych składników jedzenia na stole.

Tysiące kilometrów od Montany doktor Felix Lawler wypoczywał nagi na leżaku przy swoim basenie w Palm Springs. Ponieważ nie docierały tu światła miast, na nocnym niebie nad pustynią widział więcej gwiazd niż gdziekolwiek i kiedykolwiek przedtem. Wyraźne konstelacje, spadające z rzadka meteory, czytelna smuga Drogi Mlecznej i suche, ciepłe nocne powietrze wprawiały w błogi nastrój. Oto, co znaczy być wypoczywającym Kalifornijczykiem. Nie myślał nawet o swej praktyce, interesach, inwestycjach, o niczym. Czyż życie mogło być jeszcze piękniejsze?

Jenny weszła do domu przygotować kolację w swojej nowej kuchni. Tak jak chciała, wyposażyli ją w zabudowę Jenn-Air i była w siódmym niebie. Jenny świetnie gotowała. Najbardziej lubiła kuchnię włoską. Przygotowywała sosy, dzięki którym mogła stawać w szranki z najlepszymi restauratorami w Los Angeles, i chciała wydawać w swojej luksusowej rezydencji mnóstwo proszonych kolacji.

- To dom stworzony do prowadzenia życia towarzyskiego, Feliksie. Będziemy zapraszać przyjaciół z miasta i bawić się przez całe weekendy. Co parę tygodni będziemy gościć kogo innego - oznajmiła. - Wkrótce za prośzeniem od Lawlerów będzie wysoko cenione - dodała z przechwałką w głosie.

Felix śmiał się z jej dziecinnego podekscytowania. Ten dom, pieniądze, władza, jaką im dawały, myślał, zdawały się lepszym lekarstwem na starość niż sztuczki, jakie wykonywał swymi artystycznymi palcami.

Nie będą musieli już tyle pracować, choć wcale nie przestał lubić tego, co robił. Wciąż cieszyły go reakcje pacjentów, kiedy po operacji zobaczyli swoje nowe nosy, implanty piersi, pozbawione fałd brzuchy i pośladki, powieki bez zmarszczek. Po kolagenowym szaleństwie z ustami, wśród pacjentów nastąpiła moda na operacje oczu.

Zdał sobie sprawę z tego, że życie jest krótkie. Miał zamiar bawić się przez pięć dni w tygodniu, a pracować przez dwa, zaś Jenny popierała go w tym całym swym sercem i duszą. Chciała podróżować, chodzić do teatru i na pokazy mody, robić szalone zakupy.

- Będziemy zepsuci do szpiku kości - mówiła. - Bo czemu nie? Zaslugujemy przecież na to, prawda, Feliksie?

- Jasne - odpowiadał.

A potem myślał: każdy tak mówi. Każdy uważa, że na to zasługuje. Ale czy rzeczywiście tak jest? Nic nie przychodzi do kogoś, kto nie prze do przodu i nie chce brać, doszedł do wniosku.

Może on sam nie do końca parł do przodu i ciągnął w swoją stronę, ale nadarzyła się sposobność, a on miał dość zdrowego rozsądku, żeby ją wykorzystać. Na jedno wyszło. Inni - właściwie to większość tych, których znał - nie zgodziliby się z nim. Powstrzymałaby ich moralność. Oni to byli oni, a on to był on. Schował swoją moralność do kieszeni i wysnuł nową teorię dobra i zła, którą oparł na rzeczywistości, a nie na czyichś wywodach filozoficznych.

Uśmiechnął się do mrugającej gwiazdy. Czy to Wenus? Czuł się jak w Obserwatorium Griffitha albo Planetarium Haydena. Wszechświat odgrywał przed nim prywatny spektakl, tylko dla niego - taki był wyjątkowy!

Roześmiał się do własnych myśli i schylił się po szklaneczkę z ponczem. Lód już się roztopił, ale napój wciąż był zimny. Dokończył go jednym haustem i popatrzył za siebie na krzątającą się w kuchni Jenny. Ona także nic na sobie nie miała.

Swą nagość zawdzięczali właśnie jej. Byli otoczeni murem i zabawnie było udawać, że są na plaży nudystów. Pieścili się wcześniej i kochali pod gwiazdami. Było przyjemniej niż zwykle. Potem wskoczyli do basenu i pluškali się jak dzieci. Czuli się, jakby wypili ze źródła młodości i zaczęli wszystko od nowa.

Ciepłe nocne powietrze zdążyło już osuszyć jego ciało. Może to za sprawą rumu, ale było mu bardzo gorąco. Wykąpię się jeszcze przed kolacją, pomyślał. Zastanawiał się, czy nie zawołać Jenny, żeby do niego dołączyła, ale zaczynał też odczuwać głód. Nie chciał odwlekać posiłku przez wyciąganie jej z kuchni. Doszedł do wniosku, że popływają razem po kolacji.

Od tej chwili mogli robić praktycznie, co chcieli i kiedy chcieli. Miał wrażenie, że posiadał cały świat; ograniczała go tylko własna wyobraźnia.

Podniósł się, rozejrzał dookoła, po czym podbiegł do krawędzi basenu i wskoczył. Chłodna woda dawała uczucie srebrzystej gładkości. Jęknął z rozkoszy, rozpruwając jej powierzchnię, dotknął dna, po czym wzbil się w

górze, wyskakując ze śmiechem ponad wodę. Postanowił przepłynąć kilka długości basenu na plecach. Na studiach był w drużynie pływackiej. Nie bił wprawdzie żadnych rekordów, ale był całkiem niezły. Przypomniawszy sobie o tym, bardziej skupił się na technice. Poruszał kończynami z wdziękiem, obracając głowę i zataczając ramionami kręgi w niezłym, jego zdaniem, jak na faceta w tym wieku, tempie.

Dotknął ściany basenu i zaczął płynąć z powrotem.

- Felix! - zawołała Jenny.
- Tak? - krzyknął, nie zatrzymując się.
- Chodź i zjedz sałatkę.
- Zaraz przyjdę. Przepłynę tylko jeszcze jedną długość - odparł i przyspieszył, by dopłynąć do brzegu.

Gdy znów dotknął ręką betonu, rozluźnił się i, z uczuciem dumy, wziął głęboki oddech. Daleko mu było do starszego pana. Tego był pewien.

Nagle coś chwyciło go za nadgarstek. Tak go to zaskoczyło, iż pomyślał, że tylko mu się zdawało. Potem odwrócił się, spodziewając się zobaczyć Jenny, która, jak zakładał, zakradła się po cichu i płatała mu figle. Jednak gdy się przekręcił, usłyszał plusk i poczuł na ramionach parę rąk. Palce trzymały go jak szpony.

- Co...

Poszedł pod wodę, walcząc z popychającą go siłą, która jednak okazała się niezwykle potężna, a potem, ku jego ogromnemu zdziwieniu, coś złapało go za kostki i trzymało. Płuca zaczęły go piec. Wyciągał się w górę i do tyłu, ale ramiona, które go trzymały, były jak ze stali. Nawet nie drgnęły i choćby nie wiadomo jak wierzgał, nie mógł pozbyć się uścisku wokół kostek.

Z wytrzeszczonymi oczami wciąż wił się rozpaczliwie, wykręcał biodra, próbował unieść nogi, ale był jak w łańcuchach. Podjął jeszcze jedną desperacką próbę, po czym poddał się tajemniczej sile i konieczności otwarcenia ust, i wypuszczenia powietrza. Woda zalała mu płuca. Sapnął, zakrztusił się i przekręcił nieco głowę, by popatrzeć na cudowne nocne niebo, które szybko traciło ostrość, aż stało się zupełnie czarne, a gwiazdy zgasły jak węgielki.

Jego ciało, ze zwieszoną głową i ramionami, uderzyło o dno. Mroczne postaci opuściły basen i ruszyły w stronę muru szybko jak rzucane przez chmury cienie. Po chwili przeskoczyły przez ogrodzenie i znikły.

Doktor Felix Lawler pozostał pod wodą z wybaluszonymi oczami, spoglądającymi w twarz śmierci.

Jenny stanęła w drzwiach i popatrzyła na basen. Nie dochodziły ją odgłosy pływania i nie widziała, by mąż kręcił się gdzieś w pobliżu.

Noc była taka spokojna, po dworze igrał tylko leciutki wietrzyk.

- Feliksie, kolacja gotowa! Feliksie! - wołała zdenerwowana z rękoma na biodrach.

Zaczekała chwilę, po czym poczuła delikatny dreszczyk i mrowienie w żołądku. Pochodziły od instynktownego strachu w dole brzucha, który rozszerzał się i promieniował do serca, wprawiając je w szybsze bicie.

- Felix!

Cisza, która jej odpowiedziała, sprawiła, że serce zaczęło jej walić jeszcze mocniej. Podniosła rękę do gardła i bardzo powoli ruszyła z miejsca.

- Biada ci, jeśli stroisz sobie żarty, Feliksie Lawlerze. Mówię poważnie - zagroziła i pomaszerowała w stronę basenu.

Była zaledwie kilka kroków od krawędzi, gdy zobaczyła go w wodzie z plecami i pośladkami barwy kredy.

- Felix? Felix!

Weszła do wody. Mój Boże, on się nie rusza, pomyślała. Podpłynęła i szturchnęła go. Nie poruszył się. Krzycząc i wołając po imieniu, doholowała męża do brzegu basenu. Był za ciężki, żeby go wyciągnąć. Musiała dowlec go do płytszego końca, chwycić pod pachy, wejść tyłem po stopniach, ciągnąc go aż na brzeg, gdzie usiadła ciężko, a ciało Felixa opadło jej na kolana.

Spojrzała na jego twarz: oczy szeroko otwarte, usta rozchyłone jak u pozabawionej wody ryby. Co robić? Czemu nie poszła na ten kurs pierwszej pomocy, kiedy miała okazję? Przeciągnęła ręką po jego klatce piersiowej, naciskając to tu, to tam, i uświadomiła sobie, że mąż umiera, o ile już nie był martwy.

I krzyknęła. A jej głos niósł się i niósł bez końca...

Gdzieś z tyłu głowy czaiła się myśl: Jak to możliwe? Przecież dopiero zaczęli swoje nowe życie! On nie miał prawa umrzeć!

10

Nie jest pan dziś szczególnie rozmowny - rzekł Faraday, zatapiając swe bobrowe zęby w świeżym pączku. - Jeśli nie będzie pan mówić, nie będzie pan ćwiczyć - dodał, przeżuując.

Wszystko, co dotyczyło tego człowieka, zaczynało budzić w Jonathanie Lewisie wstręt. Wpatrywał się w niego, nienawidząc sposobu, w jaki mięśnie

twarży Faradaya poruszały jego żuchwą, nie mogąc znieść maleńkich kropelek potu na jego czole.

- Nie mam nic do powiedzenia - odburknął Jonathan.

- Nieźle to panu wyszło - ocenił Faraday, kiwając głową. - Naprawdę.

Jonathan uśmiechnął się sztucznie i wracając do sportowych stron gazety, usiadł wygodniej i zaczął popijać kawę. Papryka jeszcze nie wróciła. Siedział długo tamtego wieczora, nie mogąc doczekać się konfrontacji. Nawet teraz nasłuchiwał odgłosu samochodu lub otwierających się drzwi.

Spokój, brak porządnego ruchu i wrażeń, niezmienna monotonia i rutyna, i wciąż te same twarze męczyły go. Jego zakończenia nerwowe były jak lonty syczące ostrzeżeniem, że ruszą w stronę kręgosłupa, a potem w górę do mózgu, gdzie w końcu nastąpi eksplozja.

- Może mi pan coś przeczyta? - poprosił Faraday. - Cokolwiek.

Jonathan rzucił mu spojrzenie znad gazety i spostrzegł, że nauczyciel jest śmiertelnie poważny, a jego twarz zastygła w oczekiwaniu.

- Może wyniki meczów baseballu? Kiedyś kibicowałem Cubsom - ciągnął Faraday. - A pan? - dodał jak pasażer pociągu lub samolotu, któremu strasznie zależy na podtrzymaniu konwersacji.

Właściwie to obaj byli w swego rodzaju podróży, pomyślał Jonathan Lewis z nadzieją, że wkrótce dobiegnie ona końca.

- Nie kibicuję teraz żadnej drużynie.

- Aha - mruknął Faraday, kiwając głową i zabierając się z powrotem za jedzenie.

Jonathan złożył gazetę i popatrzył na niego.

- Robił już pan kiedyś coś podobnego?

Faraday uśmiechnął się.

- Proszę posłuchać, panie Lewis. Zna pan przecież zasady. Lepiej, żebyśmy wiedzieli o sobie jak najmniej. Pojawiłem się w pańskim życiu i z niego zniknę, i prawdopodobnie nigdy się już nie zobaczymy, a gdyby się tak zdarzyło, pod żadnym pozorem nie możemy dać po sobie poznać, że się już kiedyś spotkaliśmy.

- Znów jak w filmie kryminalnym - mruknął Jonathan.

- Słucham?

- Nieważne. Wychodzę - oznajmił.

Akurat gdy wstawał, frontowe drzwi uchyliły się i odwrócił się, spodziewając się ujrzeć w nich Paprykę.

Zobaczył jednak Phila i Dona powracających z porannego polowania. Don trzymał za ogon całkiem pokaźnego królika, którym najwyraźniej chciał się pochwalić. W jego karku ziała krwawa dziura.

- No i? Co pan o tym sądzi?
 - Wspaniały - odparł z przekąsem Jonathan.
 - Mówiliśmy, żeby pan z nami poszedł - powiedział Phil. - Rano tam jest naprawdę przyjemnie.
 - Tak, niczego tak bardzo nie pragnę, jak uganiać się po polach za Królikiem Bugsem - wymamrotał.
 - Gospodyni obiecała przygotować pieczeń, jeśli przyniesiemy porządnego królika. No i przynieśliśmy - chwalił się Phil.
 - Pieczeń z królika? Niezbyt mi się to podoba - wtrącił się Faraday. - Króliki przywodzą mi na myśl gryzonie. Czułbym się, jakbym jadł szczura.
 - Pieprzenie i tyle - wypalił rozżłoszczony Phil.
- Jonathan wybuchnął śmiechem.
- Spojrzeni na niego wszyscy.
- Idę się przejść.
 - Dobrze - usłyszał Faradaya, podnoszącego się z fotela i ocierającego usta serwetką.
 - Sam - zaznaczył Jonathan.
- Spojrzenie miał zimne jak zabójca, twarz jak z kamienia.
- Ależ... to strata czasu, panie Lewis. Dostałem za to niezłe wynagrodzenie, a...

- Jezu! Potrzebna mi jakaś cholerna przerwa. Niech się pan wyluzuje, co? - odpysskował Jonathan.

Wściekłość na jego twarzy wystarczyła, by wprawić Faradaya w przerażenie. Nawet Phil i Don cofnęły się z przejścia. Logopeda opadł na siedzenie niczym balon, z którego uszło powietrze. Zaciśnął miękkie usta, jak by się bał, że język ośmieli się go zdradzić.

Jak burza minął goryli, którzy rozdzielili się szybko, żeby go przepuścić. Niemal wyrwał klamkę z drzwi, zatrzasnął je za sobą i wyszedł na niewielki ganek. Stał tam chwilę z sercem walącym jak oszalałe, co z kolei wprawiało kości w drżenie odbijające się echem w jego głowie.

- *Kurwa!* - wrzasnął, rozdzierając ciszę rozciągającej się przed nim wiejskiej scenerii.

Nie licząc furkotu skrzydeł kilku wróbli, które uciekły w popłochu na rosnące przed domkiem drzewo, nic się nie poruszyło. Usłyszał jednak, że gdzieś zamknęły się drzwi, i spojrzał na dom farmerów. Potężna kobieta zeszła szybko po stopniach ganku, a jej ciężkie piersi podskoczyły jak wypełnione piaskiem poduszki.

Miała na sobie dżinsy, które, jak wyobraził sobie Jonathan, naciągnęła na uda z takim samym trudem, z jakim ktoś inny naciągałby na nogi buty z

długimi, wąskimi cholewami. Włosy związała w kucyk, a do dzinsów założyła męską flanelową koszulę. Nie spojrzała w jego stronę, jak gdyby Jonathana, ten domek, jak i wszystko, co działo się w nim i wokół niego, nie istniały w jej strefie czasowej. Lewis nie dostrzegł nawet cienia zainteresowania. Doszła do obory i znikła w środku.

Papryka objęła jego rozmowy z farmerami kolejnym zakazem, ale miał już dość jej cholernych zasad, dręczącego uczucia ciężaru jej stopy na własnej twarzy. Nie żałując swojego nieposłuszeństwa, zszedł po stopniach i ruszył ku oborze. Obejrzał się za siebie tylko raz, aby się upewnić, że Phil i Don nie wyszli za nim. Nikt się nie pojawił, stwierdziwszy zapewne, że lepiej dać mu chwilę oddechu.

Przez chwilę stał przed oborą, wahając się i nieco się siebie brzydząc. Do czego to doszło, pomyślał. Jestem tak zdesperowany, że rajcowałaby mnie nawet rozmowa z grubą wiejską babą.

Żebracy nie wybrzydząją, powiedział sobie i wszedł do obory.

Z początku jej nie zauważył. Potem usłyszał wodę napuszczaną do koryt niektórych krów. Farmerka stała nachylona, wypinając w jego stronę pokazny zadek. W powietrzu czuć było łajno, paszę, siano i zwierzęta. Bydło patrzyło na niego tymi tępymi, wylupiastymi ślepiami i przeżuwało bez większego zapachu. Polna mysz czmychnęła pod kopkę siana, potem pokazała się i pognąła w ciemny kąt.

Kobieta wyprostowała się, zakręciła wodę i podniósłszy wzrok, ku swemu zdziwieniu ujrzała zbliżającego się Jonathana. Trzy górne guziki miała rozpięte i między połami koszuli wyraźnie widać było głęboką, długą bruzdę oddzielającą piersi. Jego spojrzenie powędrowało do niej jak spojrzenie zagłodzonego człowieka spragnionego kromki chleba.

- Dzień dobry - powiedział i niechętnie przeniósł wzrok na otoczenie. - Chyba ciężko pani pracuje.

Przez chwilę zdawało się, że mu nie odpowie, zignoruje go i nie przerwie pracy, ale w końcu nieznacznie skinęła głową.

- Lekko nie jest - odparła.

Mówiła z brytyjskim akcentem, co przypomniało mu o jego własnej narzuconej bostońskiej wymowie.

- Pani z Anglii?

- Pochodzę stamtąd. Ale myślałam, że już straciłam akcent.

Miała życzliwe, miłe, jasnobłękitne oczy - i ładną twarz. I nie uważał tak tylko z braku laku, wmawiał sobie. Gdyby zrzuciła jakieś dwadzieścia kilogramów...

- Prawdę mówiąc, zdziwiłem się, widząc gospodarstwo rodzinne. Sądziłem, że wszystkie farmy są już własnością wielkich korporacji.

- Nie zostało nas wielu - zgodziła się. - Ale ja i George jakoś się tu trzymamy.

- George to pani mąż?

- Tak.

Wzięła się za wydzielanie paszy.

- Mogę pani w czymś pomóc?

Kobieta odwróciła się i popatrzyła na niego, jakby zadał wyjątkowo nie-dorzeczne pytanie. Uśmiechnęła się lekko.

- Nie, dziękuję. Nie mam tu wiele do roboty. Muszę wracać na łąkę. Zbieramy dziś siano.

- Kapitalna sprawa - mruknął.

- Słucham?

- Ach, nic. Myślę, że jest w tym coś ekscytującego...

Uniosła brwi i uśmiechnęła się szerzej, tak że jej usta zmieniły się w wąskie kreski. Gdy się poruszała, Jonathan przyglądał się, jak jej piersi ocierają się o flanelę, napinając koszulę tak, jakby miały z niej odpaść pozostałe guziki. Nie miała stanika, a on wyobraził sobie największe, najbardziej soczyste sutki. We własnej fantazji przez całe pół godziny już przygryzał je i lizał. Ta myśl przyjemnie poruszyła jego bezwładnego, samotnego członka.

- Powiedziano nam, żebyśmy nie kontaktowali się z ludźmi z domku - rzekła. - Przykro mi.

- Nic się nie stało. To ja prowadzę całą operację, ja podejmuję decyzje i wydaję rozkazy.

- O? A ja myślałam...

- Pozostali pracują dla mnie. Tak więc - dodał z uśmiechem - pani pewnie też do nich należy.

Patrzyła na niego bez słowa. Krowa po jego lewej stronie zaczęła oddawać mocz.

Chryste, co ja tu robię? - pomyślał.

- Jak tu odpoczywacie, nie licząc patrzenia w sufit? - zapytał.

- Słucham?

- Od czasu do czasu próbujecie się chyba jakoś rozerwać?

- Ach, tak. Mamy telewizję satelitarną. Antena stoi za domem.

- Macie kanał Playboya?

- Playboya? Tak, ale my tego nie oglądamy - powiedziała, rumieniąc się.

Zrobiła się czerwona u nasady szyi, a potem rumieniec poszedł w górę, obejmując żuchwę i policzki tak szybko, że zdawało mu się, iż widzi krew wędrującą przez żyły.

- Jest pani za ładna, żeby tu tkwić. Nie świerzbi pani czasami...?
- Świerzbi? Nie - odparła z krótkim, nerwowym śmiechem. Usiłowała na niego nie patrzeć.

- Z George'a musi być kawał chłopca.

- Oj tak.

- Ze mnie też nie ułomek - chwalił się Jonathan, zbliżając się krok po kroku, aż znalazł się tylko kilka centymetrów od niej. - Wygląda pani na kobietę, której potrzeba więcej niż jednego.

- Więcej niż jednego czego? - zapytała, odchylając głowę odrobinę do tyłu.

Oczy Jonathana powędrowały do bruzdy między jej piersiami. Zauważyła to spojrzenie i szybko się zapięła.

- Niech pani tego nie robi - powiedział. - Proszę.

Zrobiła krok do tyłu i oparła się o ogrodzenie.

- Nie zrobię pani żadnej krzywdy. Chcę tylko... Zarobiliście tu chyba dzięki nam niezły kawałek grosza, co? - dokończył szybko. - Założę się, że dostaliście więcej, niż harując przez cały rok. Pani i Georgie Wielki, co? Możecie zarobić jeszcze więcej.

- Muszę już iść - oznajmiła nerwowo. - George czeka na mnie w...

- Na łące. Wiem. Siano nie zajac, nie ucieknie. Ma pani niezłą parę reflektorów. Pewnie pokazują George'owi drogę w ciemności - dodał niezwykle dowcipnie, jak mu się zdawało.

Uśmiechnął się, a ona przerażona się jeszcze bardziej.

- Proszę - powiedziała, wypatrując drogi ucieczki po jego prawej stronie.

Jonathan szybko ją zastawił.

- Powiem ci coś. Dostaniesz pięćset dolców za dwie minuty. - Pokręciła głową.

Przysunął się bliżej.

- Proszę - błagała.

- Pięćset dolców. Założę się, że nie zarobisz tyle, harując dziś cały dzień, co?

- Muszę iść.

- To nic strasznego. Naprawdę - zapewniał, podnosząc palce do jej koszuli. - Rozepnę tylko te guziki.

Zaczął manipulować przy zapięciu. Położyła dłoń na jego przegubie, lecz nie naciskając za mocno, by przestał. Rozpiął kolejny guzik, a potem jeszcze jeden, drugą ręką podnosząc lewą pierś tak, że bruzda między nimi stała się jeszcze głębsza.

Lewis oblizwał wargi. Jego oddech stał się szybszy.

- Nie - słabo jęknęła sparaliżowana strachem kobieta.
- Już dobrze. Pięćset dolców - wymruczał i rozchylił poły koszuli, odsłaniając pełne piersi z sutkami tak wielkimi, jak sobie wyobrażał.

Gdy tylko za nie chwycił, wrota obory otworzyły się gwałtownie.

Farmerka krzyknęła i skuliła się, otulając się z powrotem koszulą. Jonathan odwrócił się, by ujrzeć swój wymiar sprawiedliwości, Paprykę we własnej osobie, stojącą z dłońmi na biodrach, z ustami wykrzywionymi w grymasie obrzydzenia.

- Panie L. - odezwała się z pełnym złości uśmiechem - szukaliśmy pana wszędzie.

Szła w jego stronę. Miała na sobie lekką skórzaną kurtkę, ogrodniczki i wysokie czarne buty.

Żona farmera rzuciła się do ucieczki i pognąła w stronę drzwi obory. Papryka uśmiechnęła się do niej i skinęła głową, a kobieta wyszła szybko. Gdy tylko znikła, Papryka zwróciła się do niego, a pełen złości uśmiech zamienił się teraz w maskę wściekłości.

- Ryzykuje pan wszystko, czego dokonaliśmy... dla *tego*?

Prawą ręką ścisnęła niewielki drewniany młotek.

- Wie pan, ilu ludzi jest w to zaangażowanych, ile wydano na pana pieniądze?

- Odpieprz się - rzekł, mimo że odczuwał raczej strach niż chęć buntu.

Ruszył z miejsca, chcąc ją wyminąć, ale zagroziła mu drogę.

- I co ma pan zamiar teraz zrobić? Uderzyć mnie w twarz? - powiedział ze złośliwym uśmiechem.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, nic nie sugerując, wpakowała mu w kroczę kolano. Ból przeszył go jak nóż, torując sobie drogę od jąder przez brzuch do serca. Nogi się pod nim ugięły i usiadł, oplatając się ramionami, z twarzą wykrzywioną grymasem cierpienia.

Papryka schyliła się, złapała go za włosy, ciągnąc tak mocno, że niektóre zaczęły wychodzić razem z cebulkami. Jej twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jego. Zobaczył jej żółte zęby, owionął go jej czosnkowy oddech i dostrzegł nawet najdrobniejsze żyłki w białkach jej oczu.

- Nie mogę bić pana po twarzy, panie Lewis. Ale jeśli spróbuje pan to kiedyś powtórzyć, wykastrowuję pana gołymi rękami.

Chwyciła go za gardło, zaciskając palce jak szczytce homara, gniotąc mu tchawicę. Poczul, jak twarz oblewa mu gorąco, i zaczął się dusić. Trzymała, jakby nie miała zamiaru go uwolnić, jakby naprawdę chciała go w tej chwili zabić, a szaleństwo, wściekłość, furia i prymitywna dzikość nie pozwalały jej

na żadne ostrzeżenie. Po piersi Jonathana rozlał się strach o własne życie. Oczy przepelniły się błaganiem o litość.

Uśmiechnęła się i powoli rozluźniła uścisk. Lewis upadł na bok, dysząc ciężko. Stała nad nim z rękoma na biodrach, z ustami wykrzywionymi tak, że utworzyły dołek w prawym policzku. Potem nachyliła się do niego.

- Niech pan wstaje i wraca do domku. Popracuje pan teraz z Faradayem. Jest drogi i nie należy marnować jego czasu. Potem pójdzie pan do swojego pokoju, wybrandzluje się i nigdy więcej nie zbliży do tej kobiety, zrozumiano?

- Suka - wymamrotał.

- Słucham, panie Lewis? Chciał pan coś powiedzieć?

Powstrzymał się. Zdolna była go zabić. Opiekę nad nim zlecieli szalonej babie, a on nie mógł się nawet nikomu poskarżyć; z nikim nie mógł zamienić słowa. Wariatka kontrolowała jego życie.

- Czy napięcie w pańskim fiucie opadło nieco? Czy pomogłam uspokoić małego sabotażystę?

Roześmiała się.

- Niech pan wstaje, panie Lewis.

To feministyczna sadystka. Podoba jej się to. Chciałaby mnie wykastrować.

- Wstawać - rozkazała.

Poczuł, że ból ustępuje, i usiadł prosto, wciąż oddychając głęboko.

- Czy mam wyciągnąć pana stąd za włosy? - zagroziła.

Popatrzył na nią. Gapiła się na niego z góry, dopóki nie zaprzeczył ruchem głowy.

- Dobrze. Znowu zaczynamy więc współpracować. Oto dawny pan Lewis, którego kochamy i cenimy tak bardzo - powiedziała ze swoim zimnym uśmiechem.

Jonathan pokiwał głową i dźwignął się na nogi. Popatrzyła na niego z obrzydzeniem, po czym odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Oczy Lewisa powędrowały do wideł. Działał odruchowo, tak samo odruchowo jak wtedy. Złapał je, obrócił i pchnął w nią, wbijając długie, zardzewiałe zęby w kark, jednym beznamiętnym ruchem oddzielając rdzeń kręgowy od mózdzku.

Wyrzuciła w górę ręce i przez moment Jonathan utrzymywał ją widłami w pozycji stojącej. Potem ciało zaczęło ciążyć i upuścił narzędzie. Papryka upadła na siano. Jej głowa uderzyła o deski, podskoczyła i spoczęła na boku. Widły, ciągle tkwiące w karku, nie pozwalały jej opaść całkiem na plecy.

Oczy miała szeroko otwarte, usta poruszały się bezgłośnie.

- Możesz uważać się za zwolnioną - powiedział Jonathan.

Wywróciła oczy, a krótkie wydechy nadymały jej policzki. W końcu skończyła.

To było utonięcie - zameldował przez telefon Tedowi Andrewsowi koroner z Riverside County. - W płucach miał pełno wody, a we krwi 1,2 promila alkoholu.

- I co pan o tym sądzi? Upił się i utopił?

- Jak pan wie, agencie Andrews, przy utonięciach do przyczyny dochodzi się drogą eliminacji, bazując na okolicznościach śmierci. Zwykle dość trudno stwierdzić, gdzie mamy do czynienia z wypadkiem, a gdzie z morderstwem, jednak w tym przypadku mam coś, co nasuwa pewne przypuszczenia - oznajmił oficjalnym tonem koroner.

- To znaczy, doktorze...?

- Wokół kostek widać wyraźnie ślady przemocy. Coś lub ktoś musiał go tam mocno ścisnąć.

- Żeby przytrzymać pod wodą?

- Prawdopodobnie. Nie ma natomiast śladów po uderzeniach. Żona denata nie wie nic na temat sińców wokół kostek.

- Rozumiem. Kiedy to się wydarzyło?

- Około dwudziestej dwadzieścia.

- W porządku. Dziękuję - powiedział Ted i odłożył słuchawkę.

Wiadomość o śmierci doktora Felixa Lawlera dotarła do biura późnym wieczorem i nią właśnie przywitał go Billy Powell zaraz po przyjściu do pracy.

Recepcjonistka Felixa Lawlera poinformowała go, że doktor pojechał na wydłużony weekend do nowego domu w Palm Springs, i Ted zastanawiał się właśnie nad wycieczką na pustynię. Biegli znaleźli w mieszkaniu Irene Lester mnóstwo odcisków palców, ale jak dotąd nie dostarczyły one żadnych użytecznych informacji, a Billy nie dowiedział się też niczego znaczącego od sąsiadów pielęgniarki. Ich zdaniem kobieta trzymała się na uboczu.

- Prawdę mówiąc - wyznał Billy'emu lokator z mieszkania naprzeciwko Lester - traktowała nas, jakbyśmy wszyscy mieli AIDS, wie pan, o czym mówię?

Najwyraźniej Irene Lester nie żyła najlepiej także z rodziną. Miała siostrę w Nowym Jorku, która twierdziła, że ostatnio rozmawiała z Irene kilka miesięcy temu i to tylko dlatego, że sama do niej zadzwoniła. Oboje rodzice

nie żyli, a na horyzoncie nie było żadnych kochanków byłych ani obecnych, ani też żadnych dzieci.

Irene Lester należała do tych nic nie znaczących mieszkańców miast, ludzi z anonimowymi twarzami, którzy chadzali ulicami metropolii jak ciała bez dusz, dumał Ted.

Po rozmowie z koronerem otrzymał od Billy'ego kolejną wiadomość.

- Odkryłem, że z karty kredytowej z fałszywym nazwiskiem korzystano w domu towarowym w Billings w Montanie.

- To pierwsze odkrycie, które zdaje się mieć jakieś znaczenie - stwierdził Ted.

- Ale nie ma po niej śladu w żadnym motelu, hotelu, pensjonacie... nie mamy też tropu, gdy chodzi o to, *jak* znalazła się w Montanie. Albo dojechała tam samochodem, albo poleciała prywatnym samolotem.

- I skończyła, kopiąc w rezerwacie Indian. Co kupiła w tym domu towarowym?

Billy spojrział na wydruk.

- Bieliznę, dwanaście par pończoch, szczotkę do włosów, pięć bluzek, pięć spódnic i dwie pary butów.

- Chyba nie zabrała ze sobą za wiele - myślał głośno Ted.

- Szafy i szuflady w mieszkaniu wyglądały na pełne - zgodził się Billy.

- Może nie planowała długiego pobytu.

- Miał być na tyle długi, że wstrzymała korespondencję, ale pewnie nie zamierzała spędzić tam reszty życia - powiedział Billy.

Ted parsknął śmiechem. Lubił Billy'ego Powella coraz bardziej. Wszyscy postawili na nim krzyżyk, uważając go za zagubionego w cyberprzestrzeni elektronicznego mnicha napychającego sobie głowę megabajtami, ale Ted dostrzegał w nim prawdziwego człowieka.

- A więc co mamy? Pielęgniarka pracująca dla chirurga plastycznego zostaje zamordowana, a jej ciało znajdujemy podpalone w metalowej beczce na wysypisku śmieci w rezerwacie Indian w Montanie.

- Dokąd udała się pod przybranym nazwiskiem - dodał Billy.

- Do tego lekarz, dla którego pracowała, tonie we własnym basenie i niewykluczone, że tu także mamy do czynienia z morderstwem - podsumował Ted i powtórzył to, co usłyszał od koronera.

- Komuś nie spodobał się wynik operacji? - zasugerował półzartem Billy.

Ted oparł się z rękoma założonymi za głowę i wzrokiem utkwionym w sufit. Gdy pierwszy raz usłyszał o tej sprawie, pomyślał, że może to część jakiegoś prymitywnego indiańskiego rytuału. Pluł sobie teraz w brodę, że

uległ wierze w stereotypy. Przecież to właśnie Indianie byli tu ofiarami. Ich kraina stała się kryjówką, cmentarzem dla zamordowanej białej kobiety. Nie - doszedł do wniosku - ten przypadek był znacznie bardziej ponury niż zwykłe rytualne zabójstwo.

- Pamiętam jeden film: chirurg plastyczny zmienia twarz mordercy. Jest teraz jedynym człowiekiem, który zna tożsamość faceta. Przestępca wie o tym, więc go zabija - opowiedział Ted.

- Pana teoria podoba mi się bardziej od mojej - stwierdził Billy - i wiem, o co mnie pan zaraz poprosi.

- Tak? A o co?

- Żebym zdobył listę tych pacjentów doktora Lawlera, którzy w ostatnim czasie przeszli operację twarzy. Mam rację?

Ted kiwnął głową.

- Tak, ale zastanawiam się też, czy nie wykonał zabiegu, który nie znajduje się na tej liście.

- Znalazłem coś, co może nam pomóc.

Wręczył Tedowi kolejny wydruk.

- Przelewy. Ze Szwajcarii. Całkiem pokaźne kwoty! - skomentował Ted, przyglądając się liczbom.

- Coś mi właśnie przyszło do głowy - rzekł Billy. Czekał, jakby grali w słówka.

- No, mów.

- Może pielęgniarkę zabrano do Montany, żeby tam asystowała przy operacji. Czy pana zdaniem to możliwe?

- Na tym etapie śledztwa - oczywiście. A zatem?

- Pogrzebię w Internecie i sprawdzę, do jakiego rodzaju medycznej infrastruktury mieli dostęp w Billings i okolicach. Operacji plastycznych nie wykonuje się na kuchennym stole.

Ted uśmiechnął się.

- I zobaczymy, czy doktor Lawler nie podróżował do Billings.

- Proszę dać tym czarodziejskim paluszkom tylko kilka godzin - powiedział Billy.

Ted znowu oparł się z rękami założonymi za głowę. Komputery naprawdę ułatwiały życie. Starsi ludzie, którzy narzekali na bezosobowość współczesnego świata, nie doceniali czasu i wydatków, jakie pozwoliła zaoszczędzić nowoczesna technologia. Same komputery, rzecz jasna, nie rozwiązywały sprawy. Niestety, pomyślał Ted. Gdyby tak było, więcej czasu mógłby spędzać w domu i jego żona byłaby szczęśliwsza.

Jonathan Lewis stał nad Papryką, rozkoszując się widokiem jej dogorywania i wypełniających się śmiercią oczu, szybko zmieniających się w szklane kulki. Gdy było po wszystkim, klęknął i przeszukał kieszenie jej skórzanej kurtki, próbując znaleźć kluczyki do samochodu. Gdy mu się udało, zaciągnął ciało do zagrody, celowo rzucając je twarzą w gnój.

- No, teraz jesteś u siebie - zadrwił i roześmiał się.

Potem wyszedł z obory.

Dokoła nikogo nie było. Phil i Don, jak przypuszczał, byli w domku i grali w karty. Faraday najprawdopodobniej czekał na niego w pokoju dziennym. I tak niczego stamtąd nie potrzebował. Nie było sensu zwlekać.

Wsiadł do samochodu Papryki, uruchomił silnik, jeszcze raz spojrzął w lusterko wsteczne i odjechał, przyspieszając, gdy tylko znalazł się za ogrodzeniem, i ciągnąc za sobą chmurę kurzu i brązowego dymu z rury wydechowej.

Na szczęście rano wepchnął do kieszeni spodni portfel. Miał w nim dokumenty, nowe karty kredytowe i bankomatowe. Pieniądze nigdy nie stanowiły problemu; nie miał powodu martwić się o nie teraz. Zbliżając się do bardziej ruchliwej drogi, uświadomił sobie, że nie wie, gdzie się znajduje. Pierwszy drogowskaz także mu nie pomógł. Nie miał pojęcia, gdzie jest Lancaster, aż skręcił na autostradę międzystanową i przypomniał sobie, że jest w Ohio. Ruszył w stronę Columbus. Kiedyś już tam był, ale to było całe wieki temu.

Jadąc coraz szybciej i oddalając się od farmy, zaczął odczuwać cudowną *joie de vivre**, * *joie de vivre* (franc.) - radość życia. Coś, czego nie doświadczał już przez bardzo długi czas. Rozkoszował się uczuciem wyzwolenia, nieskrępowanej swobody. Mógł teraz jechać, gdzie chciał, i robić, na co miał ochotę. Nie miał go kto szpiegować, nie miał kto wydawać rozkazów. Tak jakby świat stał się ogromnym centrum handlowym; każde miasto, każde miasteczko, każda wioska stały przed nim otworem i mógł z nich brać, na co mu tylko przyszła ochota.

Czuł, że przerósł sam siebie. Był wielki, nieśmiertelny, niezniszczalny. Jak łatwo było zabić Paprykę. Nigdy nie powinien był dać się jej zastraszyć; nigdy nie powinien był przestać jej peszyć, prowokować. Zasłużyła na to, co dostała, bo ośmieliła się z nim zadrzeć i skazać go, jakby była jakąś świętą, a on tylko zwierzęciem. Za kogo, u diabła, się uważała, żeby go osądzać?

Dotarłszy na lotnisko, odstawił samochód na długoterminowy parking i popędził do hallu. Wyszukał najwcześniejszy lot do Los Angeles i kupił bilet pierwszej klasy.

Teraz to już zawsze będzie pierwsza klasa; dokładnie tak jak dawniej.

Zanim udał się na odprawę, postanowił zadzwonić. Co to za wspaniałe uczucie, robić coś tak zwyczajnego: iść do telefonu, wybierać numer i nie ukrywać się czy martwić, że się zostanie przyłapanym.

- To ja - odezwał się, gdy tylko mężczyzna po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

Zawahał się przez moment.

- Jonathan - dodał.

- Ach, tak. Już prawie postawiłem na panu krzyżyk. Dawno pan nie dzwonił.

- A więc?

- Mówiłem, że nietrudno będzie dowiedzieć się tego, o co pan prosił.

- Ja też nie twierdziłem, że będzie trudno. Chciałem tylko, żeby wszystko było załatwione, zanim...

Prawie powiedział „zanim wyjdę”.

- Zanim sam będę gotów. Teraz jestem.

- W porządku. Chwileczkę.

Usłyszał odgłos wysuwanej szuflady.

- Mam tu jej nowojorski adres. Mieszka sama. Na uczelnię chodzi pieszo. O ile mi wiadomo, nie ma chłopaka. Ale to się mogło zmienić. Rozmawiałem z nią tylko raz.

- W porządku. Sam się tego dowiem. Proszę dalej - polecił i wysłuchał pozostałych informacji.

- To była bułka z masłem - padło na koniec.

- Dobrze się pan spisał - pochwalił Jonathan. - Pieniądze doszły?

- Tak, dziękuję. To miła dziewczyna - dodał.

- To dlatego, że nie zna jej pan tak dobrze jak ja - stwierdził Jonathan i odwiesił słuchawkę.

Pospieszył na odprawę.

Pokazując swój dowód tożsamości ze zdjęciem, poczuł delikatne ukłucie strachu. Czy się uda? Czy istnieje możliwość, że się *nie* uda? Czy ktoś go może rozpoznać?

Wykorzystał swój bostoński akcent, wychodząc ze skóry, żeby nie przesadzić, ale jednocześnie zastanawiając się nad każdym słowem, zanim wypowiedział je na głos. Stwierdził, że Faraday byłby z niego dumny.

- Dobry wieczór, panie Lewis - powitała go stewardesa.

Nie była piękna, ale całkiem milutka. Taka tam, pannica.

- Chciałby się pan czego napić?

- Poproszę wódkę z tonikiem i limonką - powiedział, oślepiając ją swym nowym uśmiechem.

Stewardesa rozpromieniła się i poszła przygotować drinka.

Obrócił głowę i popatrzył na swe odbicie w szybie. Na swój sposób wyglądał teraz lepiej. Nos miał prostszy, a napięta skóra na żuchwie dodawała mu siły i męskości. Nie był już pięknym chłopcem, a raczej przystojnym mężczyzną, pomyślał. Poza tym nieważne, jak wyglądał, ale jak potrafił wykorzystać to, co otrzymał. Wciąż miał pociągające oczy i wiedział, jak ich użyć, prawda?

Nie mógł się już doczekać, żeby zacząć działać. Czuł się dosłownie jak światowej sławy bokser, który za długo trzymał się z dala od ringu. Niewiele czasu będzie mu potrzeba, żeby odzyskać dawną formę. To tak jak z jazdą na rowerze. Wszystko samo wróci.

Stewardesa wręczyła mu drinka i podkładkę pod szklankę. Podała mu też menu.

- Stek wołowy. Brzmi smakowicie - powiedział.

- Jest rzeczywiście niezły - odparła i nachyliła się, by dodać: - jak na potrawy serwowane w samolotach.

Jonathan roześmiał się, zalotnie oblizał mieszadelko i w geście toastu wznosił szklankę, po czym wziął pierwszy łyk. Dostrzegł błysk w oczach stewardesy. Będzie go rozpieszczała przez całą drogę do Los Angeles. Tego był pewien. Mógł nawet spróbować ją poderwać. Może nawet się z nią prześpać.

Potem pomyślał: „Nie, lepiej zachować ostrożność w nawiązywaniu znajomości. Lepiej nie zwracać na siebie zbytnej uwagi, przynajmniej na razie”.

Był pewien, że za nim przyjadą, i to wcale nie z powodu tego, co zrobił Papryce. Ona nie była niezastąpiona. Nikt nie będzie po niej płakał. Będą go ścigać, bo ich zdaniem nie był jeszcze przygotowany. Prysnał, bo nie mógł już tego dłużej znieść. Gdyby nie wyjechał, oszalałby i na co zdałby się cały ten wysiłek i wszystkie koszty, co? Zrozumieją go i przekonają się, że sobie radzi, a wtedy się odczepią.

Rozluźnił się, zamknął oczy i oparł się wygodnie, rozkoszując się lotem, posiłkiem i zalotnymi spojrzeciami młodej stewardesy. Czuł się jak w czasie rund eliminacyjnych. Wkrótce znów będzie walczył o tytuł i wygra. Był tego pewien.

Po wylądowaniu w Los Angeles natychmiast ruszył do telefonu i wystukał numer Carli Morgan, mając nadzieję, że nie miała powodu, by go

zmienić, i modląc się, żeby nie okazała się mężatką. Nie, Carla nigdy nie wyjdzie za mąż, pomyślał, podczas gdy telefon w jej domu dzwonił i dzwonił. Kiedy odezwała się automatyczna sekretarka, poczuł się, jakby ktoś przepruł mu pierś. Zawiedziony wypuścił z ust powietrze i słuchał nagranego powitania. Ale głos należał do niej. Przynajmniej wiedział, że nie zmieniła numeru, no i nie wspominała o jakimkolwiek towarzystwie - o żadnym mężczyźnie ani o współlokatorce.

- Witaj, Carla - powiedział, idealnie wydłużając sylaby. - Jestem znajomym jednego z twoich dobrych przyjaciół. Spędziliśmy razem sporo czasu i zanim odszedł, sporo mi o tobie opowiedział. Zaintrygowało mnie szczególnie to, co robiliście na dachu za gołębnikiem. W każdym razie...

Odebrała.

- Kim, do diabła, jesteś?

- Carla? Czy to ty?

- Kim, do diabła, jesteś? - powtórzyła.

Wyobrazil sobie jej wściekle oczy. Niewiele było kobiet, którym pieprzenie sprawiało więcej przyjemności niż Carli. Zawsze się trochę opierała, twierdząc, że ma go dość, ale w końcu ulegała i to z wielką przyjemnością.

- Nazywam się Jonathan Lewis. Mam dla ciebie list. I to dość cenny. Jesteś jedyną osobą, do której zechciał napisać. Czy zgodziłabyś się, żebym wpadł do ciebie, powiedzmy, za godzinę?

- Czy to jakiś żart? Bo jeśli tak, to cholernie głupi.

- Tylko ty możesz stwierdzić, czy to żart, czy nie, Carla, ale pozwól, że opiszę ci inną noc, w hotelu w Waszyngtonie. Założyłaś jego majtki i wsadziłaś w nie skarpetę. Co to w niej było? Resztki pieczywa ze zjedzonej w pokoju kolacji?

- Kim jesteś? - zapytała słabym głosem, najwyraźniej osłupiała z wrażenia.

- Posłańcem z zaświatów - odparł. - Za jakąś godzinę, w porządku?

Nie odpowiedziała.

- Nie mam za wiele czasu - dodał. - Jestem w Los Angeles przejazdem.

- Mówisz, że masz list?

- Napisany własną ręką, nie na maszynie. Bardzo szczegółny. Powiedział nawet, że go możesz sprzedać, jeśli zechcesz.

- Jezu. No dobrze. Jestem w domu. Mieszkam...

- Znam twój adres, Carla. Wiem o tobie więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Rozłączył się.

Będzie niezła zabawa, pomyślał. Jestem naprawdę... niepokonany.

Przez otwarte okno w pokoju dziennym Phil, Don i Faraday usłyszeli szelest opon czarnego lincolna na żwirze przed domkiem. Po jakiejś godzinie gry w karty ochroniarze zareagowali wreszcie na zatroskanie Faradaya o miejsce pobytu Jonathana Lewisa.

- W domu go nie ma - stwierdził Faraday. - Tracę tylko czas, siedząc tutaj. Nie możecie go poszukać i zobaczyć, co robi? - poprosił wkurzający facecik.

Dwaj goryle niechętnie wstali od stołu i wyszli. Nie widzieli nikogo, ale zauważyli otwarte drzwi obory.

- Może doi krowę - odezwał się Phil.

Don roześmiał się i obaj ruszyli w stronę budynku.

Wewnątrz nie dostrzegli nic niezwykłego i już mieli wyjść, gdy Don zauważył na sianie coś, co przypominało krew. Podeszedł, klęknął, dotknął, powąchał i jego oczy spoczęły na zagrodzie, w której leżało ciało Papryki.

- Jasna dupa - zawołał.

Ochroniarze wpatrywali się w jej zwłoki i twarz umazaną gnojem.

- Co on jej, do diabła, zrobił? - zapytał Phil.

Wyciągnęli ją z zagrody, odwrócili i zobaczyli ziejące rany u nasady szyi. Don znalazł widły z zakrwawionym zębem.

- Tym ją potraktował.

- Dlaczego?

- Kto to, do cholery, wie? Nigdy się nie lubili. Lepiej zadzwońmy, gdzie trzeba. Nie ma jej samochodu. Facet zwał.

- Chryste, powiedzą, że to nasza wina.

- Skąd mieliśmy wiedzieć, co się stało? Nie mogliśmy trzymać go za rękę dniami i nocami. Nie wiedziałem nawet, że Papryka wróciła, a ty? - jęczał Don.

- Nie.

- Więc z jakiej racji ma to być nasza wina. Facet jest pierdolnięty. To ich wina - argumentował Don, choć ani on, ani Phil nigdy nie ośmieliliby się wyrazić takiej opinii w obecności innych osób.

Phil jeszcze raz spojrział na Paprykę i razem z Donem poszli zadzwonić. Potem, wraz z Faradayem trzęsącym się w fotelu naprzeciwko nich, siedzieli cierpliwie i czekali tam, gdzie im kazano.

Trzasnęły drzwi samochodu. Dwaj goryle spojrzeli na siebie ze strachem. Usłyszeli kroki w ganku, po czym otworzyły się drzwi i stanęli w nich dwaj wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni, obaj co najmniej tak wielcy jak

Phil i Don. Jeden był Murzynem o wyjątkowo jasnej skórze, lodowatych szmaragdowych oczach i kruczoczarnych włosach. Ubrany był w srebrzystobłękitny garnitur. Drugi, w granatowym ubraniu, miał jasno-brązowe włosy obcięte jak w wojsku. Postawę też miał żołnierską, a twarz jak wyciętą z granitu.

- Gdzie jest ciało Papryki? - zapytał jasnoskóry Murzyn.

- W oborze, panie Washington - szybko odparł Phil.

- Weźcie prześcieradło i idźcie ją zawinąć - nakazał ten drugi. - Potem zapakujcie do swojego bagażnika.

- Tak jest - wstając, powiedział Phil.

Don podniósł się szybko, ale obaj przybysze nie ruszyli się nawet, żeby przepuścić.

- Jak to się stało, że odjechał jej samochodem, a wy, głąby, o niczym nie wiedzieliście? - zapytał Washington.

- Byliśmy w domku. Nawet nie wiedzieliśmy, że wróciła. Nie pokazała się tu. Pewnie zobaczyła, jak pan Lewis wchodzi do obory, i poszła za nim - wyjaśnił pośpiesznie Phil.

- Powinna była przyjść i kazać nam go znaleźć - dodał Don.

- Czemu niby miała po was przychodzić? Dlaczego nie byliście z nim przez cały czas? - pytał chłodno i spokojnie mężczyzna o wojskowej posturze.

- Byliśmy. Tylko że on... wykiwał nas, panie Adams - jęczał Phil. - Sprawiał problemy. Wciąż narzekał, chciał łamać zasady - dodał i popatrzył na Dona, oczekując wsparcia.

Don szybko pokiwał głową.

- Tak było.

- Jeżeli nie dawaliście sobie rady z robotą, trzeba nas było zawiadomić - powiedział Adams.

Patrzył przez moment wzrokiem płonącym z wściekłości. Potem spojrzał na Faradaya.

- Nie pracował pan z nim przez cały czas?

- Czekałem na niego. Gdybym nie poprosił ich, żeby poszli go poszukać, wciąż byśmy tu siedzieli, nie wiedząc o niczym - szybko wyrecytował przygotowane oświadczenie.

Don i Phil poczuli, jak krew się w nich gotuje, jakby Faraday wbijał im w czoła gwoździe. Sami przeszli go spojrzeniem ostrym jak sztylet, ale on wpatrywał się w tym czasie w mężczyzn przy wejściu.

- Zabierzcie ciało - polecił Washington i odsunął się na bok, by Don i Phil wiedzieli, że czas ruszyć tyłki.

- Jaki postępek pan z nim poczynił? - zapytał Adams Faradaya.

- Szło mu dobrze... wręcz bardzo dobrze. Gdybyśmy mieli jeszcze tydzień lub dwa...

- Gdy go znajdziemy, przywrócimy pana do sprawy - oznajmił Washington.

Faraday kiwnął głową.

- Mam więc poczekać tutaj? - zapytał.

- Zobaczymy.

Washington spojrzął na Adamsa, który zaraz podszedł do stojącego na stoliku przy oknie telefonu. Wybierając numer, patrzył na Dona i Phila spieszących z prześcieradłem przez podwórze do obory.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział przez telefon. - Jest dokładnie tak fatalnie, jak się spodziewaliście.

Słuchał ze wzrokiem utkwionym w oczy Washingtona.

- Zrozumiałem - zameldował i odłożył słuchawkę. - Mamy tu poczekać. Będą wiedzieli za niecałą godzinę.

- A co z naszym panem...?

Washington przerwał i spojrzął na Faradaya, zdając sobie sprawę, że nie może mówić dalej w jego obecności. Jednak Adams zrozumiał.

- Nie chcę go informować, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne - odparł.

- No tak. Napijmy się więc kawy - zaproponował Washington. - Panie Faraday?

- Dobrze - odparł Faraday, wyskakując z fotela. - Chętnie sam się napiję. Ostrzegalem ich - kontynuował, gdy wyszli razem z pokoju. - Mówilem, że facet jest niespokojny i powinni na niego bardziej uważać.

Popatrzył na dwóch mężczyzn, szukając u nich aprobaty, ale ich twarze pozostały bez wyrazu. Całkiem jakby dostroili się do innego wymiaru i już go nie słyszeli ani nie widzieli. W tym momencie pomyślał, że to chyba nawet dobrze.

12

Billy Powell, jak zawsze, dotrzymał słowa i wróciwszy po kilku godzinach, zdał relację ze swoich poszukiwań.

- W czasie ostatnich kilku miesięcy doktor Lawler nie korzystał z usług żadnych komercyjnych linii, które zabrałyby go do Montany ani w ogóle nigdzie. Oto lista jego pacjentów. Ci, którzy przeszli operację twarzy, są

zaznaczeni gwiazdką, ale, jak pan widzi, tylko jedna nie mieszka w Los Angeles - ściśle mówiąc, w Beverly Hills - i przyjechała z Phoenix.

- Zgadza się - rzekł Ted, przeglądając listę.

- Mam też listę miejsc, w których ewentualnie można by przeprowadzić operację.

Ted wziął papier.

- Klinika weterynaryjna?

- Czemu nie? Tam też musi być sterylna sala operacyjna.

- Bardzo sprytne, Billy. Dobrze.

Starszy agent dostrzegł dziwny błysk w oczach Billy'ego Powella.

- Masz jeszcze coś, prawda, Megabajtowy Człowieku?

- Tak jest. Tak mi się wydaje. Skoro nie mogłem znaleźć żadnego potwierdzenia, że doktor Felix Lawler leciał samolotem komercyjnych linii, sprawdziłem jego adresy w korporacjach taksówkowych. Nie znalazłem nic pod adresem domowym, ale gdy podałem adres gabinetu...

- No?

Billy podał mu kolejną kartkę.

- Pojechał na lotnisko w Santa Monica? To bardzo małe lotnisko.

- Przeznaczone głównie dla prywatnych samolotów jednosilnikowych, ale też dla prywatnych odrzutowców. Porównałem więc datę kursu taksówki z oficjalnym planem lotów.

- Czuję się, jakbyś rozdawał karty do gry - powiedział Ted, sięgając po kolejną kartkę.

Przeczytał szybko.

- Korporacja Rainback? A cóż to takiego?

- Firma inwestycyjna, oferująca zarządzanie pieniędzmi, emerytury i zarządzanie zasobami ludzkimi megabogaczom w całych Stanach, co zmusza ich do posiadania własnego odrzutowca.

- Sądysz, że leciał tym samolotem Felix Lawler?

- Pilot udostępnił mi plan lotów, z którego wynikało, że tego dnia samolot leciał do San Francisco.

- San Francisco? Co to ma wspólnego z...?

- Udostępnił mi też inny plan lotów, z datą o cztery dni późniejszą, a tam figurował lot do... Billings w Montanie - dodał Billy, wręczając Tedowi następny skrawek papieru i robiąc krok do tyłu, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Ted wolno pokiwał głową.

- Doskonale. Świetna robota, Billy. Wystąpię dla ciebie o podwyżkę.

- Lepiej od razu o dwie - powiedział Billy i wyciągnął z kieszeni koszuli kolejny świstek papieru.

Ted pokręcił głową i wziął kartkę.

- Jezu.

- No właśnie. Doszedłem do wniosku, że skoro pielęgniarka zostawiła samochód w garażu przy mieszkaniu, to może także wzięła taksówkę.

- Irene Lester pojechała na lotnisko w Santa Monica tego samego dnia co doktor Lawler. Mogła więc wsiąść do tego samego samolotu do San Francisco i polecieć do Billings cztery dni później.

Billy potaknął. Ted oparł się.

- Musimy dowiedzieć się więcej o tej Korporacji Rainback - powiedział.

- Już ich sprawdzam. Za godzinę będę miał część ich dokumentów, informacje o członkach zarządu, bankach, siedzibach...

- Idę spotkać się z recepcjonistką Lawlera. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć - oznajmił Ted, podnosząc się z miejsca. - Wrócę za parę godzin.

- Będę na pana czekał z tym, co nam potrzebne - zapewnił Billy.

- I oczekuję, że mnie nie zawiedziesz - rzekł Ted.

- To kwestia z „Casablanki” - wypalił Billy. - Major Strasser do kapitana Renaulta.

- Widziałeś „Casablankę”? To ulubiony film mojej żony. Skąd go znasz?

- Z internetu. Czasem surfuję po filmowych stronach, jak nie mam co robić.

- A więc jak nie masz co robić, to też nie możesz oderwać się od komputera, tak?

Billy wzruszył ramionami.

- Uważaj, żeby nie popaść w obsesję, Billy - ostrzegł Ted, grożąc palcem. - Moja żona mówi, że to bardzo podstępne zjawisko.

Billy znów tylko wzruszył ramionami.

- Jak mój twardy dysk będzie pełny, to przestanę - powiedział. Ted nieźle się uśmieł. Naprawdę lubił tego chłopaka.

- No to na razie - powiedział i wyszedł.

Gabinet Lawlera znajdował się w bocznej ulicy od Rodeo Drive w Beverly Hills. W luksusowo urządzonej poczekalni stały skórzane kanapy i fotele, szklany stolik z secesyjną rzeźbą pośrodku, piękne sztuczne kwiaty w wazonach, na ścianach wisiały współczesne obrazy.

Gdy Ted wszedł, zobaczył w recepcji pielęgniarkę i recepcjonistkę, jak siedziały cicho i z ponurymi minami popijały kawę. Recepcjonistka pamiętała

go, rzecz jasna, ale podniosła się i powitała go raczej niechętnie. Pomyślał, że wygląda wręcz na wystraszoną.

Była mniej więcej trzydziestopięcioletnią atrakcyjną brunetką, a jej nos mógłby reklamować gabinet chirurgii plastycznej. Jej nazwiska po prostu nie mógł zapomnieć: Marlo Andrews. Zażartował nawet, że może są krewnymi. Wtedy zdawała się mieć niezłe poczucie humoru, ale śmiech pozostał dla niej najwyraźniej tylko odległym wspomnieniem.

Pielęgniarka, której nie było, gdy Ted wpadł tu za pierwszym razem, także miała trzydzieści parę lat, jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy i figurę, której nie sposób było ukryć nawet pod stosunkowo luźnym uniformem. Na identyfikatorze widniało nazwisko Diane Wilson.

Podniósłszy się, Marlo nachyliła się do Diane. Dość głośnym szeptem powiedziała: - To człowiek z FBI.

Potem zwróciła się do Teda.

- Dopiero co wyszła stąd policja - poinformowała go ostro. - Powiedziały im o Irene Lester. Wyglądało na to, że o niczym nie wiedzieli - dodała z błyskiem podejrzewania w oku.

- Jak już pani mówiłem, tylko FBI zajmuje się tą sprawą, jako że ciało zostało znalezione na terenie rezerwatu Indian. Takie sprawy podlegają nam.

- Czy pańskim zdaniem morderstwo Irene Lester i śmierć doktora Lawlera są ze sobą powiązane? - szybko zapytała Diane Wilson, wstając z krzesła.

- Nie wiem.

- Czy doktor Lawler rzeczywiście został zamordowany? - spytała Marlo Andrews. - Policjanci nie chcieli nam powiedzieć.

Obie stały obok siebie, czekając na odpowiedzi.

- Tego jeszcze nie możemy stwierdzić na pewno - odparł - ale mamy powody do podejrzeń.

Ted wyjął listę pacjentów i położył ją na kontuarze przed recepcjonistką.

- Nie wie pani, czy ktoś z tych ludzi ma dom w Montanie?

Marlo popatrzyła na kartkę; Diane spoglądała ponad jej ramieniem.

- Skąd pan to wziął? Ja panu tego nie dałam - powiedziała recepcjonistka, ze strachem rozkwitającym na jej twarzy jak kwiatowy pąk.

- Jestem z FBI, proszę pani - odparł cicho Ted, jakby to miało wystarczyć za wyjaśnienie.

Wystarczyło. Chyba jej ulżyło; kiwnęła głową i spojrzała na listę.

- Oczywiście nie jestem pewna, ale tutaj nikt z nich nie wspominał o Montanie. Co znaczą gwiazdki przy niektórych nazwiskach?

- Przeszli operację twarzy.
- Dlaczego ma to znaczenie? - spytała Diane.
- Tylko coś sprawdzamy - odrzekł Ted pośpiesznie. - Czy wiecie panie, dlaczego doktor Lawler i Irene Lester polecili do San Francisco, a stamtąd do Montany?

- Pytał mnie już pan o Irene Lester - odparła Marlo. - Mówiłam panu, że nie wiem nic na temat jej podróży ani innych zajęć.

Wyrecytowała odpowiedź prawie tak, jakby była ona odruchem bezw warunkowym.

- U nas nie miała żadnego zlecenia, które wymagałoby podróży do San Francisco i Montany - dokończyła.

Zdanie zabrzmiało, jakby było końcówką przygotowanego wcześniej oświadczenia.

- A doktor Lawler?

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała Marlo.

Spojrzała na Diane Wilson, która potem popatrzyła na niego i pokręciła głową.

- Przy mnie nigdy nie wspominał o żadnej podróży - oznajmiła. - Od czasu do czasu jeździł do San Francisco, ale głównie dla przyjemności, nie w interesach.

- Czy znała pani Irene Lester? - zapytał ją Ted.

- Niezbyt dobrze. Widywałyśmy się tylko w tym gabinecie.

- Czy kiedykolwiek mówiła pani o kimś w Montanie?

- Nie. Ona była...

Diane spojrzała na Marlo Andrews.

- Jaka?

- Nieszczerólnie miła. Zawsze uważałam, że nie ma powołania do tej pracy. Przypominała mi urzędniczkę z Wydziału Ruchu Drogowego - dodała, a Ted roześmiał się.

- Dobrze, zadam jeszcze jedno pytanie. Czy wiadomo paniom o kimś, kto mieszka lub pracuje jako lekarz w Montanie - zwłaszcza w Billings i okolicach - a kogo mógł znać doktor Lawler? Chodzi mi o to, czy dysponujecie panie listami lub dokumentami od lekarza lub instytucji medycznej w Montanie?

Marlo Andrews wpatrywała się w niego przez chwilę.

- Czy musimy odpowiadać na te pytania?

Ted uśmiechnął się.

- Nie. Ale nie widzę powodu, dla którego nie miałybyście tego zrobić. Prowadzę oficjalne dochodzenie z ramienia FBI dotyczące przestępstwa, jakiego dokonano w rezerwacie Indian w Montanie. Pewne podejrzania

przywiodły nas tutaj, a teraz prawdopodobnie mamy do czynienia z jeszcze jedną nienaturalną śmiercią. Dlaczego miałybyście panie odmówić mi udzielenia informacji?

Recepcjonistka niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę.

- Nie chciałabym utrudniać śledztwa, ale adwokat doktora Lawlera, Lawrence Klugger, zadzwonił dziś z samego rana i polecił mi nikomu nie udzielać żadnych informacji i nie wydawać dokumentów bez nakazu prokuratora. Dlatego zdenerwowałam się, gdy pokazał mi pan tę listę pacjentów.

Przygryzła dolną wargę, a do oczu napłynęły jej łzy.

- W porządku, pani Andrews. Zdobęde wszelkie wymagane nakazy i nie będzie już pani musiała się denerwować.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziś i jutro będę w gabinecie informować o wszystkim pacjentów doktora, a w przyszłym tygodniu przyjdę zrobić porządek w aktach.

- Czy pan Klugger prosił panią o jakieś dokumenty?

- Nie. Kazał mi tylko trzymać wszystko pod kluczem, dopóki nie zostanie mi przedstawiony stosowny nakaz - rzekła, papugując prawnika. - Mówił, że karty pacjentów są ściśle tajne. Nie chce, żeby uwikłano nas w jakieś procesy sądowe.

- Lepiej zapobiegać, niż potem naprawiać szkody - wtrąciła Diane Wilson.

- A któż ma to lepiej wiedzieć, jeśli nie pielęgniarka? - Ted uśmiechnął się i opuścił gabinet.

Gdy wychodził z budynku, zabrzączał jego pager, zadzwonił więc do Billy'ego z samochodu.

- Znalazłem dwie ciekawe rzeczy w rachunku za telefon doktora na miesiąc przed wycieczką na lotnisko w Santa Monica.

- Tak?

- Pierwsza to numer telefonu w Oakland. Dość niezwykły - dodał Billy.

- Hm?

- Niech pan się tylko nie śmieje. To numer Zakładu Pogrzebowego „Pola Elizejskie”.

Ted jednak się roześmiał.

- Czyżby w swej ostatniej woli ktoś zażyczył sobie, żeby na jego szczątkach wykonano operację plastyczną?

- Nie wiem.

- A co to za druga ciekawostka?

- Teraz ja się pośmieję - powiedział Billy. - Telefon z Kliniki dla Zwierząt Big Sky w Billings.

- Żartujesz.

- Nie, proszę pana. Nie ośmieliłbym się.

- Chyba już czas, żebym wybrał się do San Francisco, a potem do Montany. To znaczy, żebyśmy *obaj* się tam wybrali. Pakuj się, Billy. Może nas tu trochę nie być.

- Tak jest.

- I nie zapomnij komputera - dodał Ted.

- Nigdzie się bez niego nie ruszam.

Ted roześmiał się.

Jak długo będzie ze mną Billy, pomyślał, niepotrzebne mi będą żadne nakazy.

Jonathan Lewis wysiadł z taksówki i spojrzął w górę na kompleks apartamentów w Westwood. Sporo czasu minęło, pomyślał; całe życie. Podeszedł do głównego wejścia. Budynek nie miał strażnika, ale goście musieli korzystać z domofonu. Szybko znalazł nazwisko Carli i wcisnął guzik. Kamera zainstalowana nad domofonem zaświeciła się, przesyłając jego obraz do monitora Carli. Uśmiechnął się.

- Tak? - usłyszał.

- Nazywam się Jonathan Lewis. Rozmawialiśmy przed chwilą na temat listu, który dla ciebie przywiozłem.

Usłyszał brzęczyk, wszedł i niewielkim korytarzem dotarł do windy. Wsiadłszy do niej, wyjął z kieszeni kopertę i spojrzął na list. Napisał go w taksówce po drodze z lotniska. Był nawet całkiem niezły, pomyślał. Bardzo wiarygodny i... naprawdę mógł być coś wart dla szmatławych gazet i czasopism.

Gdy drzwi windy otworzyły się, wyszedł z niej i zobaczył, że drzwi do mieszkania Carli są otwarte. Patrzyła na niego, jak powoli idzie wzdłuż korytarza. Hebanowe włosy upięła na czubku głowy, nałożyła trochę różu, szminkę, oczy podkreśliła konturówką i założyła rubinowy orientalny szlafrok. I była bez kapci.

Cała ona, pomyślał; malować się o tej porze...

Carla była recepcjonistką w Aston, Hershfield i Godden, firmie zajmującej się public relations, a w każdym razie pracowała tam, gdy się ostatnio widzieli. Była atrakcyjna i inteligentna, ale dla większości mężczyzn zbyt cyniczna i naburmuszona. Wielu po prostu się jej bało. Lubiła się zabawić, ale brakowało jej stałości, żeby wytrwać w związku. Jonathan wiedział, że dwa razy była zaręczona, lecz za każdym razem sama oddawała pierścionek

i to wcale nie dlatego, że była jedną z tych goniących za karierą kobiet. Zwyczajnie ceniła swoją niezależność, a mężczyźni, z którymi wtedy była, stali się zbyt wymagający.

Na swój sposób przypominała mu jego samego i być może właśnie dlatego tak bardzo lubił z nią być. Była dyskretna, nieskomplikowana, oczekiwania niewiele i o niewiele prosiła, a mimo to niezłe się razem bawili. Jego zdaniem była idealna.

- Cześć - powiedział.

Przytrzymała uchylone drzwi i przyglądała mu się badawczo.

- Nie znam pana - odparła.

- Bo niby skąd? Nigdy się nie spotkaliśmy, a poza tym dopiero przyjechałem do miasta. Przywiozłem to - dodał, pokazując kopertę.

Spojrzała na nią, a potem, po dłuższej chwili, otworzyła szerzej drzwi i pozwoliła mu wejść. Wzięła kopertę i zamknęła drzwi.

Stał tam na brązowej marmurowej podłodze przedpokoju i przypominał sobie mieszkanie. Carla dokonała w nim niewielu zmian, może nawet żadnych. Nad beżową kanapą w pokoju dziennym wisiał ten sam obraz. Na okrągłej szklanej ławie spostrzegł rzeźbę, którą jednego roku przywiózł jej ze Szkocji. Właściwie to kupił ją dla Farah, lecz w ostatniej chwili spontanicznie подарował Carli.

Stała, czytając list. Pomyślał, że ładnie wygląda, ale z drugiej strony, teraz rajcowałaby go chyba każda kobieta. Zawsze pociągały go jej oczy, głębokie, czarne euroazjatyckie spojrzenie; była córką Anglika i Wietnamki. Przypomniał sobie jej piersi - małe, lecz jędrne - i ten cudowny alabastrowy tyłeczek, tak gładki w dotyku, gdy wielokrotnie przesuwiał po nim dłonią zauroczony ciepłem, delikatnie prowokującą krzywizną tam, gdzie pupa łączyła się z udami, i obietnicą przyjemności, jaka go czekała.

- Nie rozumiem - odezwała się, przejrzawszy list. - Skąd pan to wziął? Dlaczego tak dużo czasu zajęło panu doręczenie?

- Mogę się czegoś napić? - odparł w odpowiedzi.

Wypróbował swój nowy uśmiech.

Podeszła do barku i odwróciła się.

- Na co ma pan ochotę?

- Na wódkę z tonikiem i plasterkiem limonki.

Popatrzyła na niego przez chwilę, obróciła się i przygotowała mu drinka. Siedział na taborecie i wciąż rozglądał się po mieszkaniu.

- Ładnie tu - stwierdził, kiwając głową. - Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem.

- Naprawdę? - rzekła sucho i postawiła przed nim szklanekę.

Oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona pod piersiami.

- Nigdy nic na ten temat nie mówił, gdy tu był. Dziwne, że rozmawiał o tym z panem.

- Zdziwiłaby się pani dopiero, gdybym powiedział, o czym rozmawia się w takich sytuacjach.

Oblizał mieszałeczko i wziął łyk drinka.

Carla uniosła brwi, a na jej twarzy pojawiło nowe podejrzenie i nerwość.

- W jakich sytuacjach? Kim pan, do diabła, jest? - wypytywała.

- Spokojnie, Carla. Wszystko w swoim czasie - powiedział. - Niech mi będzie wolno trochę się tym nacieszyć. Dawno nie piłem nic mocniejszego.

Wziął kolejny łyk i zamknął oczy.

- Więc był pan w więzieniu?

- Można tak powiedzieć.

Carla rozłożyła ramiona i najwyraźniej zaczynała tracić cierpliwość, więc szybko dodał: - Jako strażnik.

- Strażnik? Strażnik więzienny?

Potaknął.

- Dlaczego więc dawno nie pił pan nic mocniejszego? Strażnicy więzienni mogą przecież pić, podróżować...

- Coś mi się przydarzyło i przez dłuższy czas wracałem do zdrowia.

- O? Co się panu stało?

- Wypadek, ale już wszystko w porządku. Prawdę mówiąc, czuję się teraz lepiej niż kiedykolwiek.

Przez chwilę zastanowiła się nad jego odpowiedzią, po czym spojrzała na list.

- Nie czytałem go - powiedział Jonathan. Czekał, a ona czytała.

- Czy ma duże znaczenie?

- Nie ma w nim nic, czego wcześniej nie mówił - odparła, kładąc list na barku. - Nigdy nie dzwonił, nigdy nie pisał i bardzo mi to odpowiadało. Kto, do cholery, chciałby dać się w to wciągnąć?

- Rozumiem.

- Naprawdę? To dobrze, bo ja nie - powiedziała, unosząc kącik górnej wargi.

Roześmiał się.

- W tych czasach niełatwo cokolwiek zrozumieć - skomentował z miną filozofa.

Carla przygotowała sobie mały dzin z tonikiem, obeszła barek i usiadła na taborecie tuż za nim. Dotarła do niego woń znanej mu wody toaletowej

Gautiera, którą przysłał jej z Paryża. Podobało mu się, że wciąż jej używa, że nie pozbyła się rzeczy, które od niego dostała, że się od wszystkiego nie odzegnała. Ba, była przecież zbyt zimna i wyrachowana, żeby zrobić coś tak głupiego, pomyślał.

Tak przyjemnie było teraz na nią patrzeć. Miała małe usta o doskonałym kształcie. Zawsze widział coś egzotycznego w wysokich kościach policzkowych i tych oczach, przesuwających się podejrzliwie po jego twarzy, wykrywających kłamstwa, a potem odpakowujących je powoli, wyciągających z niego prawdę niczym pielęgniarka pobierająca krew w gabinecie zabiegowym, aż wyrzucił w górę ręce i przyznawał się do wszystkiego. Zawsze działało się to w łóżku, zawsze przerywała i zmuszała go do błagania o spełnienie. Lubił jednak te wyrafinowane tortury i chętnie jej na nie pozwalał.

Kiedys oświadczyła mu, że jest dokładnie takim łajdakiem, jaki, według niej, siedzi w każdym facecie, z tą tylko różnicą, że on nie udaje, iż jest inaczej. Och, jak ona potrafiła go rozbawić, pomyślał.

- Więc co pan teraz porabia? Odwiedza w jego imieniu jego dawne przyjaciółki?

- Przyjaciółki?

- Jestem pewna, że było więcej takich jak ja.

Wzięła łyk drinka.

- O, założę się, że nie ma wielu takich kobiet jak pani. W każdym razie on mi o innych nie wspominał.

- No tak. Wie pan, rozmawiałam kiedyś z jego żoną - mówiła po cichu. - Właściwie to było mi jej żal. Bałam się, że dowiedzą się o tej rozmowie i zaciągną mnie na salę sądową, ale jakimś sposobem udało mi się tego uniknąć. Pewnie nie dzwoniła do mnie z domu, więc nie znaleźli mojego numeru na jej rachunku.

- Żartuje pani. Naprawdę do pani dzwoniła? Po co?

Rozbawiła go ta myśl.

- Czego chciała?

- Myśle, że chciała się upewnić, że ją zdradzał. Mówiła jak kobieta, która lubi pławić się we własnym nieszczęściu. Powiedziałam jej, żeby wycięła go ze swego życia jak złośliwy nowotwór, a potem on poszedł i zrobił to z nią. I to dosłownie - dodała.

- A więc nie wierzy pani w to, co napisał w liście? - spytał, kiwając głową w stronę koperty.

- Mówił pan, że go nie czytał - odparowała.

Uśmiechnął się.

- Powiedziała pani, że pełno w nim tych samych starych twierdzeń, więc zakładam po prostu...

- Nie, nie wierzę w to, co mówił, ani w to, co pisał. Nigdy za bardzo nie wierzyłam jego słowom.

- Nigdy nie było go pani żal?

Roześmiała się.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby było mi żal jakiegokolwiek faceta, a już na pewno nie jego - stwierdziła, odstawiła drinka i wstała. - Muszę się już położyć - oznajmiła. - Pracuję.

- Wciąż w tej samej firmie?

- Oczywiście. Oparła ręce na biodrach.

- Czy jest coś, czego panu o mnie nie powiedział?

- Nie wiem. Będę musiał odkryć to sam - odparł z zalotnym błyskiem w oczach.

- Nie dziś i nie jutro. Dzięki za list, choć dostałam go tak późno.

Ruszyła w stronę drzwi. Gość nawet nie drgnął.

- Jeśli nie zrozumiał pan, o co mi chodzi, to proszę, żeby pan wyszedł.

- W porządku. Chciałbym jeszcze tylko zerknąć na scenę wspomnień.

Wstał i ze szklanką w dłoni poszedł w stronę sypialni.

- Tak dużo słyszałem o tym miejscu i to w takich szczegółach, że czuję się, jakbym już tu kiedyś był.

Otworzył drzwi sypialni i zajrzał do środka, zobaczył ogromne łóże z ciemnego dębu i także dębowe komody. Patrząc na toaletkę, uśmiechnął się do wizji Carli siedzącej tam nago, szczotkującej włosy, do jej idealnie zgrabnych, gładkich pleców.

- Zadowolony? - zapytała spod wejściowych drzwi.

- Nie, ale, jak sądzę, będzie musiało mi to wystarczyć.

- Dobrze pan sądzi.

Podszedł do barku i odstawił szklankę.

- Panie Lewis...? - powiedziała, widząc, że się ociąga.

- Proszę do mnie mówić Jonathan - rzekł z uśmiechem.

- Będę do pana mówić panie Lewis - odparła i otworzyła drzwi.

Zrobiła krok do tyłu.

Zbliżył się, pamiętając, jak wiele razy otwierała je przed nim i stała w tej samej orientalnej podomce, ze wzrokiem pełnym pasji i pożądania. Któregoś razu zwyczajnie wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, zamieniwszy przedtem ledwie dwa słowa. Kochali się wtedy wyjątkowo namiętnie, aż

oboje padli wykończeni. Co za pyszne wspomnienie... i jakie podniecające, pomyślał.

Przystanął, spojrzął na nią, popatrzył w te jej oczy. Odwzajemniła spojrzenie, a pewność na jej twarzy zmąciło ukłucie strachu, który spłynął po jej kręgosłupie jak kropla z kostki lodu. Dostrzegła w jego oczach coś ciemnego i niepokojącego, coś mrocznie znajomego.

Zauważył, że jej wyobraźnia szaleje, że zaczyna wszystko rozumieć.

- Czy nie mówił: „Nasze usta są dla siebie stworzone”? Czy nie uśmiełaś się wtedy i nie przyznałaś mu racji? Czy nie przycisnęłaś swych warg do jego i nie wbiłaś paznokci w jego tyłek tak, że krzyknął z bólu?

- Proszę... wyjść - powiedziała słabo, czując, jak w żołądku zaczyna rodzic się drzenie i wędrować w dół nóg.

- Czy nie lubił przyciskać tego małego znamienia pod twoją prawą pierś i udawać, że to guzik, którym włącza się twoje podniecenie? Zawsze reagowałaś, jakby tak było naprawdę.

- Nie mogę uwierzyć, że mówił panu takie rzeczy - wyszeptwała chrypliwie. - Musiał zupełnie zwariować.

- Mógłbym bez końca przytaczać szczegóły, jakimi mnie raził, ale raczej to sobie daruję. Ze względu na niego - powiedział.

Carla pokręciła głową.

- Przynajmniej to mogę zrobić, *możemy* zrobić - dodał.

- Chcę, żeby pan wyszedł - powiedziała z całą stanowczością, na jaką było ją w tej chwili stać.

Serce waliło jej jak młotem. Zastanawiała się, czy nie zacząć krzyżeć albo może wybiec z mieszkania i walić do drzwi sąsiadów.

Przerwał jej wewnętrzną dyskusję zatrzaśnięciem drzwi, nim mogła podjąć jakiegokolwiek działanie. Zaprotestowała, gdy wziął ją na ręce, zakopał twarz w jej piersiach i ze śmiechem zaniósł przez pokój dzienny do sypialni.

- Proszę - płakała cicho.

- Nie bój się - powiedział. - Wróciłem do ciebie.

Pokręciła głową.

- Przecież nie jesteś...

- Ależ jestem - przerwał jej z uśmiechem.

Gdy tylko rzucił ją na łóżko, wiedziała, że krzyki na nic się nie zdadzą. Miała tylko nadzieję, że jej nie zabije.

Doktor Michael Byron i jego żona Julia wyszli przed dom na Pacific Heights w San Francisco i przystanęli na chwilę na schodach, po czym zeszli do limuzyny, jaką dzieci, Charles i Amanda, wynajęli, by zawiozła ich na jego pożegnalne przyjęcie, przed emeryturą. Był wyjątkowo piękny wieczór. Na niebie błyszczało więcej gwiazd niż zwykle; w powietrzu czuć było świeżość i rześkość.

Michael wziął głęboki oddech, jak nurek, który właśnie wypłynął nad taflę wody. Nie to, żeby czuł się w domu uwięziony. Wręcz przeciwnie; wraz z Julią mieszkali tu przez trzydzieści lat swojego trzydziestopięcioletniego małżeństwa. Wychowali tu dzieci. Zresztą sam niemal odebrał poród Charlesa w ich własnej sypialni. Dzieciaki nazywały dom zamkiem, bo spadzisty dach pośrodku ukryty był za mniejszymi zadaszeniami i wieżą. Zbudowany pod koniec dziewiętnastego wieku, stanowił doprawdy unikalne dzieło architektury. Rzecz była w tym, że Michael poczuł się wreszcie wolny od zmartwień i odpowiedzialności. Emerytura to było dla niego prawdziwe wyzwolenie.

Julia ścisnęła czule jego rękę i uśmiechnęła się. Mimo iż miała pięćdziesiąt pięć lat - była młodsza od męża zaledwie o pięć wiosen - nikt nie dałby jej więcej jak czterdzieści pięć. Podobnie jak jej matka, miała niezwykłą, pozbawioną zmarszczek kremową cerę. Wszyscy znajomi byli pewni, że przeszła kilka operacji plastycznych, ale Julia nigdy nie korygowała chirurgicznie żadnej części ciała. Mimo pięknej twarzy i doskonałej figury, była zwyczajnie nie dość próżna, by się tym przejmować. Żadna z jej rówieśniczek nie była równie beztroska jak ona, gdy chodziło o wiek. Może właśnie dlatego starzała się tak powoli, stwierdził Michael z miłym jego sercu sarkazmem.

Zaczynał pracę jako lekarz rodzinny, zrobił specjalizację z kardiologii, po czym, dzięki politycznym koneksjom, przyjął posadę w kalifornijskim zakładzie karnym znanym jako San Quentin. Propozycja nadeszła we właściwym momencie jego zawodowej kariery i życia, gdy akurat został pozwany do sądu za błąd w sztuce. Pech chciał, że błędnie odczytał EKG pacjenta i zalecił leczenie, które nie tylko przyspieszyło jego następny zawał, ale też najprawdopodobniej go spowodowało.

Szkody w reputacji Michaela Byrona nigdy nie dało się naprawić. Zastanawiał się nad opuszczeniem San Francisco, ale i syn, i córka mieli już

rodziny i mieszkali właśnie tu. Popadł w głęboką depresję, a jego praktyka ucierpiała jeszcze bardziej. Wtedy okazało się, że ma wpływowego przyjaciół, i przez powiązania z politykami dostał posadę w San Quentin, co okazało się wtedy najlepszym rozwiązaniem. Jego dochody, rzecz jasna, znacznie się uszczupliły, ale zawsze udawało mu się utrzymać styl życia na poziomie wyższej klasy średniej.

Niemniej jednak, Michael zawsze czuł, że życie potraktowało go okrutnie i niesprawiedliwie. Wierzył zwłaszcza, iż padł ofiarą bezwzględnych, chciwych prawników, speców od procesów o błąd w sztuce lekarskiej, którzy zwęszyli kozła ofiarnego i rzucili się na niego jak sfora psów. Jego wiara w wymiar sprawiedliwości została podkopana. Prawo stanowiły siła i władza. Ideały były dla młodych, naiwnych, takich, którzy mieli czas do stracenia. Nie dla niego.

Julia uśmiechnęła się i pociągnęła go za rękę niczym zniecierpliwione dziecko.

- Zmieniłeś zdanie, Michael?

- Ależ skąd.

- A więc nie ociągajmy się, doktorze. Chyba nie chcemy się spóźnić - powiedziała, a wesołe iskierki zaigrały w jej oczach.

Był w nich błysk niewinnej radości, pewne zadziwienie, dzięki któremu zawsze robiło mu się cieplej wokół serca i które zamieniało go z powrotem w młodego mężczyznę. Julia zawsze była dla niego taka dobra. Była dla niego prawdziwym powodem do życia. Trwała przy nim wiernie, niemal go ubóstwiając. W obliczu takiego oddania musiał być silny. Musiał pozbierać się po wszystkich klęskach i katastrofach i uczynić ją szczęśliwą.

Zaś uszczęśliwi ją w sposób, jaki przejdzie jej najśmielsze wyobrażenia - pomyślał radośnie.

- Pozwolisz, moja droga?- rzekł, podając jej ramię, by zaprowadzić do limuzyny.

Michael przez całe życie walczył z tuszą. Przy metrze siedemdziesięciu wzrostu, miał dobre dziesięć kilogramów nadwagi. Zawdzięczał ją głównie wcześniejszym kłopotom w pracy i depresji, lecz nigdy potem nie zdołał się jej pozbyć. Julia starała się, jak mogła, trzymać go z dala od tłuszczu i kalorii, ale on sam nie praktykował tego, czego nauczał. Oczywiście nie musiał pouczać nikogo o odchudzaniu we własnym domu, lecz często mówił o tym pacjentom.

Kierowca otworzył drzwi.

- Dobry wieczór, doktorze. Pani Byron.

- Dobry wieczór - odpowiedział. - Gdzie jest ta restauracja, do której wszystkich zaciągnęli?

- W North Beach, proszę pana - odparł szofer.

- To miała być niespodzianka, Michaelu - przypomniała mu Julia.
- A, racja. Mam nie wiedzieć, ilu ludzi będzie. No więc ilu? - zapytał z chytrym uśmiechem.
- Wsiadajże już, Michaelu Byronie.
- Julia wsiadła, a po niej ze śmiechem usadowił się w samochodzie mąż.
- Łód jest w kubelku, proszę pana. Wina, szampan i whiskey z prawej strony - informował kierowca.
- Dziękuję - rzekł Michael. - Masz ochotę na koktajl, Julio?
- Napiję się tylko Chardonnay. Chcę być przytomna, gdy będziesz się dziś wygłupiał.
- Och, cóż za nieuprzejma odpowiedź! - wykrzyknął z udawanym oburzeniem.
- Pal licha. Wiem, jak długo czekałeś na ten wieczór. Patrzyłam, jak skreślasz dni w kalendarzu, niczym uczeń, który nie może się doczekać Gwiazdki.
- Tak - westchnął, nalewając jej kieliszek wina. Pokiwał głową i uśmiechnął się.
- To będzie jak Gwiazdka.
- Podał jej wino, a sobie nalał szkockiej z wodą sodową.
- Nasz pierwszy toast wzniesiemy sami - oświadczył. - Za nasze nowe życie, za nasze odrodzenie.
- Julia przechyliła nieco głowę.
- Nowe życie? Odrodzenie? O co tu chodzi, doktorze Byron?
- Przyjrzała mu się dokładnie.
- Wyglądasz jak ktoś, kto zna wielką tajemnicę i nie potrafi jej utrzymać. Szykujesz jakąś niespodziankę, mężu?
- Obiecuję ci, Julio. Każdego dnia czeka nas teraz inna niespodzianka.
- Wziął długi, przyjemny łyk ze szklaneczki. Julia zawahała się, a potem wypila.
- Jaka jest ta pierwsza?- zapytała.
- Poszperał w wewnętrznej kieszeni smokingu i wyjął bilety lotnicze.
- Miałem zamiar pokazać ci je później, ale pomyślałem, że teraz będzie lepiej, bo jesteśmy sami.
- Wzięła od niego niewielki plik i otworzyła na planie podróży.
- Paryż? Przerzucała kolejne kartki.
- Potem Rzym? A potem Ateny!
- Tam też rozpocznie się nasz rejs.

- Rejs? Dokąd?
- Turcja, Bliski Wschód, Malta, a koniec na Francuskiej Riwierze. Do domu wylecimy z Nicei.

- Michael, to będzie kosztowało... tysiące!

Wzruszył ramionami.

- Michael?

- Miałem kiedyś niewielkie jajeczko, które rozrosło się do rozmiarów jaja dinozaura - odparł. - Pieniądze nie stanowią dla nas problemu, Julio. Zaufaj mi.

Popatrzyła na niego, spojrzała na bilety i pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

- Wszędzie będziemy się zatrzymywać w pięciogwiazdkowych hotelach - ciągnął, myśląc, że równie dobrze mógłby jej teraz o wszystkim opowiedzieć.

- Jak długo nas nie będzie? - zainteresowała się i znów spojrzała na plan podróży. - Pięć tygodni!

- W krótszym czasie nie da się tego zrobić jak należy.

- Michael, ile to będzie kosztowało? - domagała się odpowiedzi, myśląc o emeryturze, oszczędnościach i funduszach powierniczych.

- Julio, chciałbym, żebyś mi coś obiecała - poprosił stanowczo. - Chcę, żebyś obiecała mi, że nigdy nie będziesz pytała o pieniądze, nie będziesz się o nie martwiła, na niczym nie będziesz oszczędzała, niczego nie będziesz sobie odmawiała, bo inaczej...

- Co inaczej?

- Inaczej nie pójde na emeryturę - zagroził. - Pójde do pracy w jakimś miejskim szpitalu. Więc pomóż mi - powiedział, unosząc prawą rękę.

- Szantażujesz mnie, Michaelu Anthony Byronie? - zapytała, mrużąc oczy i zaciskając usta.

- Oczywiście - odrzekł i parsknął śmiechem.

Popatrzyła na bilety, z niedowierzaniem pokręciła głową i oddała plik kartek mężowi.

- Wariat z ciebie - powiedziała.

Michael się roześmiał. Julia wzięła łyk wina i oparła się w oczekiwaniu na atrakcje, jakie przygotowały dla nich na dzisiejszy wieczór dzieci.

W czasie jazdy Michael wyglądał przez przyciemniane okna, ale niewiele widział. Zagubił się już w labiryncie wyobraźni i we własnych myślach. Zrobił dokładnie to, czego od niego zażądali. Nie wydał za dużo pieniędzy. Nie zrobił nic, co zwróciłoby uwagę na jego styl życia. Nie licząc wywiadów, na które sami się zgodzili, nie mówił publicznie o egzekucji Dirka Stonera.

Julia też nigdy go o nią nie pytała, zaś dzieci wołały udawać, że ojciec nie ma nic wspólnego ze znanymi przestępcami, a już w szczególności z człowiekiem, którego czekała kara śmierci. Był obecny przy pięciu egzekucjach; wszystkie wykonane były przy pomocy zastrzyku z trucizną. Przygotowywał śmiertelność mieszaną, a potem, po straceniu, odczytywał EKG i stwierdzał czas zgonu.

Jego siostra Eleonora, przeciwniczka kary śmierci, była jedyną osobą w rodzinie, która nie kryła swego do niego żalu, a przy pewnej okazji powiedziała mu: - Lekarz powinien ratować życie, a nie je odbierać.

Nic nie dało wyjaśnianie, że obecność przy egzekucji praktykującego lekarza jest po prostu konieczna. W jej mniemaniu kara śmierci była czymś niewłaściwym i równie niewłaściwe było to, że w egzekucjach uczestniczył jej brat.

Któregoś razu, kiedy rozpętała się wyjątkowo zażarta dyskusja, Julia musiała się wtrącić i prosić Eleonorę, żeby się uspokoiła.

- Czy myślisz, że dla Michaela to łatwe? - spytała.

- Po co więc się w to angażuje? - odparła Eleonora.

- Wszystkim nam zdarza się robić coś, z czym wolelibyśmy nie mieć nic wspólnego - powiedziała pewnie Julia.

Jego żona nie była typem wojowniczką, nie była agresywna ani kłótliwa. Woląла raczej usunąć się na bok, przemilczeć coś, uśmiechnąć się i zmienić temat. Była kobietą spokojną, delikatną, kochającą, kobietą chętną do poświęcenia i kompromisu, żeby tylko inni ludzie, ludzie, których kochała, byli szczęśliwi. To uszczęśliwiała także ją.

Cóż, teraz już z tym koniec. Od tej pory aż do końca ich dni już jego w tym głowa, żeby każdy, kto się z nimi zetknął, żył tylko dla szczęścia Julii. Ten cel usprawiedliwiał w jego mniemaniu to, co zrobił.

- Michael?

- Tak?

- Nie odzywałeś się przez dłuższą chwilę. Chyba nie posmutniałeś z powodu dzisiejszego wieczoru? Sam zdecydowałeś, że gdy skończysz sześćdziesiąt lat, odejdiesz na emeryturę.

- Oczywiście, że nie - oświadczył.

Nie powiedział jej, rzecz jasna, że jego wiek emerytalny został uzgodniony i zaplanowany prawie dwa lata temu.

- To dobrze - powiedziała.

Objął ją ramieniem i przytulił mocno.

- Tak jak ci powiedziałem, czuję się jak nowo narodzony, Julio. Myślę, że wkrótce zaczniemy pić z fontanny młodości - dodał i jednym haustem dokończył drinka.

- Spokojnie, panie Gruba Ryba, bo jeszcze jutro będziesz pan pił z fontanny wielkiego kaca - ostrzegła.

Roześmiał się, mając ochotę na nieposłuszeństwo, rzeczywiście czując się znów jak dziecko. Potem scałował z jej twarzy niepokój i uśmiechnął się do własnej wizji wydarzeń, jakie ich czekały.

Zakład „Pola Elizejskie” położony na peryferiach Oakland był dwukondygnacyjnym szarym budynkiem z końca dziewiętnastego wieku. Ted pomyślał, że wyglądał iście jak dom pogrzebowy. Łączył w sobie styl romantyczny i wiktoriański, z wykuszowymi okienkami w dachu i iglicami od frontu. Gzymsy i okna z ciężkimi, półokrągłymi zwieńczeniami były w stylu włoskim. Był też mały ganek, na którym zawsze panował cień. Na niewielkim trawniku znajdowała się prosta złotobrazowa tablica z napisem: „Dom Pogrzebowy, Pola Elizejskie”.

Ted i Billy zatrzymali się na podjeździe i wysiedli z samochodu. Niebo północnej Kalifornii było niemal całkowicie zasłonięte, a znad Pacyfiku wciąż nadciągały złowieszcze, ciemne chmury. W powietrzu czuło się chłód i zaczynał się zrywać wiatr. Gdy szli brukowaną ścieżką w stronę niewysokich schodów, spojrzeli na karawan zaparkowany przy drzwiach po wschodniej stronie budynku.

- Jeden z tych zawsze intratnych interesów, co, Billy?

- Pewnie tak. Nie słyszałem jeszcze o bankructwie domu pogrzebowego.

Obaj weszli do zakładu.

- Te miejsca zawsze pachną tak samo - wyszeptał Ted.

- Pewnie wszędzie ustawiają te same kwiaty - zauważył Billy.

Gdy wchodzili, na tyłach budynku zabrzączał dzwonek. Usłyszeli, jak ktoś otwiera drzwi, i po chwili pojawił się wysoki, może czterdziestoletni mężczyzna. Miał bujne, kędzierzawe, jasnobrazowe włosy, granatową marynarkę i niebieski krawat w białe prążki. Gdy podszedł bliżej, Ted zauważył, że ma jasnoniebieskie oczy i ładnie opaloną skórę. W ogóle nie pasował do stereotypu grabarza, pomyślał Ted.

Mężczyzna uśmiechnął się łagodnie, zyczliwie.

- Witam panów - powiedział cicho.

Przerwał i popatrzył na Billy'ego. Już od początku Ted wiedział, że on i Billy stanowią dość niezwykłą parę, choć w San Francisco nie powinni chyba budzić wielkiego zdziwienia.

- Dzień dobry - odparł Ted. - Jest pan właścicielem... kierownikiem...?

- Synem właściciela. Lee McDouglas. Czym mogę służyć?

Ted pokazał legitymację.

Przedsiębiorca pogrzebowy skinął tylko głową. Nie było tej typowej reakcji zaskoczenia, jaką zwykle Ted widział u ludzi, gdy ci dowiedzieli się, że jest agentem specjalnym FBI. Na pewno nie dostrzegł w jego twarzy strachu, winy ani poczucia osaczenia.

- Może przejdziemy do saloniku - zaproponował Lee McDouglas i wskazał pomieszczenie po prawej stronie.

Pokój był zbytkwownie urządzony: na podłodze leżała gruba brązowa wykładzina, stały miękkie wiktoriańskie kanapy i fotele, u sufitu wisiały bogato zdobione lampy, a w oknach pluszowe zasłony przewiązane złotymi szarfami. Na ścianach znajdowały się wczesnorenesansowe ryciny w nieco kiczowatych ramach. Gdy weszli, pomieszczenie było słabo oświetlone. McDouglas włączył dodatkową lampę i wskazał głową na kanapę. Billy i Ted usiedli, zaś McDouglas zajął miejsce naprzeciwko nich, skrzyżował ręce na brzuchu i uśmiechnął się. Była w nim siła spokoju, delikatność niemal religijna, błogostan, który wskazywał na osobę pozostającą w absolutnej harmonii ze wszystkim, co duchowe.

- Cóż więc przywiodło agentów FBI do zakładu pogrzebowego? - zapytał.

- Interesuje nas, co łączyło państwa z doktorem Felixem Lawlerem z Los Angeles - oznajmił Ted.

Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się. Oparł się, przyłożył końce palców do skroni i myślał. Potem pokręcił głową.

- Nie mogę przypomnieć sobie nikogo o tym nazwisku.

- Mamy dowód, że z tego miejsca wykonano przynajmniej jeden telefon do doktora Lawlera - powiedział Ted. - Wkrótce po nim doktor poleciał do Oakland.

Lee McDouglas skinął głową.

- Nie mam powodu wątpić w pańskie słowa, agencie Andrews. Pójdę do mojego gabinetu i sprawdzę w naszych rejestrach. Jak wszyscy w obecnych czasach, wszelkie dane mamy w komputerze. Wrócę za kilka minut. Czy mogę panom zaproponować coś do picia... coś bezalkoholowego? Sok?

- Nie, dziękujemy - odparł Ted. - Mówił pan, że jest pan synem właściciela. Czy zastaliśmy pańskiego ojca?

- Chodzi panom pewnie o moją matkę - sprostował Lee z nieco szerszym uśmiechem. - Przejęła ten interes. Ojciec zmarł w zeszłym roku.

- Aha. A czy ona jest tutaj?

- Nie, właściwie to prawie wcale się tu nie pokazuje. Teraz akurat jest w Saint Moritz. Może jednak to ja spróbuję odszukać potrzebne panom informacje? - powiedział, wstając.

- Dziękujemy - rzekł Ted.

Popatrzeli, jak wychodzi. Billy odwrócił się do Teda i wytrzeszczył oczy.

- Gej?

- Aseksualny - stwierdził pytany. - Pod tą atrakcyjną powłoką siedzi mnich.

Billy roześmiał się. Potem wstał i jął oglądać książki na regale. Jedną wyjął i przyjrzał się jej bliżej.

- Niektóre wyglądają jak łup bibliofila. Ta na przykład była wydana w 1840 roku i jest w doskonałym stanie.

- Ten interes to kopalnia złota - stwierdził Ted. - Ludzie życie oddają, żeby się tu dostać.

Billy roześmiał się i wrócił do półek z książkami. Dziesięć minut później pojawił się Lee McDouglas. W ręce trzymał plik perforowanego papieru. Wchodząc, pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie ma go w naszych rejestrach. Oto wydruk danych naszych klientów z ostatnich pięciu lat, nazwiska i adresy.

- Jesteśmy absolutnie pewni, że dzwoniło od was - odezwał się Billy.

- Może ktoś po prostu skorzystał z naszego telefonu, ktoś z żałobników - zasugerował Lee.

- To była dość długa rozmowa. Czy nie zauważylibyście, że ktoś wam wisi na linii? - spytał Ted.

- Niczego takiego sobie nie przypominam. Przykro mi.

- Kto jeszcze jest tu zatrudniony?

- Pan Lucy, balsamuje zwłoki. Gerry Langer i Bob Thorton - kierowcy karawanów. Pani Matthews, nasza księgowa od dwudziestu czterech lat.

- Od jak dawna pan Lucy zajmuje się u was balsamowaniem?

- Od dziesięciu, jedenastu lat.

- Czy jest tutaj? - zapytał Ted.

- Tak, przygotowuje właśnie drogich zmarłych.

- A czy jest obecna któraś z pozostałych osób?

- Obawiam się, że tylko pan Lucy.

- Chcielibyśmy się z nim zobaczyć - oznajmił stanowczo Ted.

Lee uniósł brwi i uśmiechnął się.

- Tędy, proszę - rzekł i poprowadził ich korytarzem do pokoju po prawej stronie.

Lee McDouglas cofnął się i otworzył przed nimi drzwi. Wchodząc do tego pomieszczenia, poczuli się, jakby przeszli z wieku dziewiętnastego do

dwudziestego. Było jasno oświetlone. Ściany były gołe, a podłoga betonowa i pomalowana na biało.

Sheldon Lucy, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, niewysoki, prawie łysy, nie licząc kilku kępek siwych włosów, odwrócił się od ceramicznego stołu do balsamowania, na którym na plecach leżało ciało starszej kobiety. Lucy miał założoną maskę chirurgiczną i gumowe rękawice. W ręce trzymał gąbkę i był w trakcie przemywania ciała płynem odkażającym. Nad jasnymi, krzaczastymi brwiami zwisał fałd skóry. Zobaczył, jak wchodzi.

- Przepraszamy na chwilę, panie Lucy - odezwał się Lee, obchodząc Teda i Billy'ego. - To jest agent specjalny Ted Andrews z FBI i... Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska - zwrócił się do Billy'ego.

- Agent Powell - przedstawił się.

Sheldon Lucy odszedł od stołu i zsunął maskę. Miał pociągłą twarz, a żuchwa łączyła się z szyją tak, jakby nie miał podbródka.

- Chcieliby zadać panu kilka pytań.

Pracownik zakładu rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby odłożyć gąbkę, i w końcu położył ją na spuchniętym brzuchu denatki.

Ciemna skóra Billy'ego zaczęła blednąć. Lucy wepchnął w nozdrza starsuszki watę, trochę jej jednak wystawało. Środek do dezynfekcji mocno cuchnął. Billy poczuł, że go skręca. Pozostał przy drzwiach.

- Chcielibyśmy wiedzieć, czy mówi panu coś nazwisko doktora Felixa Lawlera - powiedział szybko Ted.

- Nie - odparł Lucy. - W zasadzie to nie pamiętam nazwisk - dodał. - Było ich zbyt wielu.

- Lawler nie był... jak by to powiedzieć, pacjentem?

- Drogim zmarłym - odpowiedział Lee.

- Nie był jednym z nich. Czy przypomina pan sobie przypadek związany z chirurgiem plastycznym z Los Angeles?

- Chirurgiem plastycznym?

Lucy zastanowił się przez chwilę.

- Jakiś czas temu mieliśmy ofiarę wypadku samochodowego. Rodzina zażyczyła sobie, żeby zrekonstruować mu twarz.

- Czy pamięta pan nazwisko rodziny? Daty?

- Przykro mi - powiedział, kręcąc głową. - Nie pamiętam, ale może jest coś w rejestrze.

- Nie ma tam wzmianki o doktorze Lawlerze - wtrącił się Lee.

Sheldon Lucy pomyślał przez chwilę i pokręcił głową.

- Nie lubię podchodzić do nich zbyt osobiście, więc nie zwracam uwagi na nazwiska.

- Rozumiem. Dziękuję - powiedział Ted.

Sheldon Lucy kiwnął głową, z powrotem założył maskę i powrócił do zwłok.

Billy ucieszył się, że może wrócić do wieku dziewiętnastego.

- Jeśli ktoś wynajął chirurga plastycznego z powodów, które opisał pan Lucy, czy nie powinno się to znaleźć w pańskim rejestrze? - zapytał Ted Lee McDouglasa.

- Nie, jeśli zwrócili się bezpośrednio do niego. Przyjrzyjmy się jeszcze raz tej dacie - zaproponował i Billy podał mu plik papieru.

Przedsiębiorca pogrzebowy przekartkował wydruk i przebiegł palcem w dół kartki. Pokręcił głową.

- Nie. W tamtym tygodniu nie mieliśmy nikogo, a tydzień wcześniej tylko osiemdziesięciolatka, który pewnie zmarł na zawał serca. Żadnego kandydata do operacji plastycznej. Proszę, możecie panowie sprawdzić sami - dodał, wręczając wydruki Billy'emu.

- W porządku, dziękujemy - powiedział Ted. - Gdyby coś przyszło panu do głowy...

Podał Lee McDouglasowi swoją wizytówkę.

- Zawiadomię pana - odparł przedsiębiorca pogrzebowy.

Billy popatrzył na Teda, który zauważył, że ten czuje się coraz gorzej.

- Jeszcze raz dziękuję - rzekł i obaj wyszli.

Rychło w czas, bo nim dotarli do samochodu, Billy pozwolił swemu lunchowi ponownie ujrzyć światło dnia.

14

Obudził się przy zwłokach. To wszystko, czym się teraz dla niego stała. Jej osobowość już według niego nie istniała. Sam ją zniszczył. Czemu nie? Jemu także odebrano tożsamość.

Gdy usiadł, zaczęła go boleć głowa. Czuł się, jakby miał w czaszce kręgielnię, po której toczyły się z hukiem wielkie, ciężkie kule, wpadały w kręgle i toczyły się znowu. Wykrzywił twarz i poczuł palącą suchość w gardle. Nie ma co mówić, za bardzo sobie pofolgował wieczorem, ale upłynęło sporo czasu, odkąd mógł wypić tyle, ile chciał, żeby nikt nie zaglądał mu przez ramię. Pewnie w końcu zacznie nadużywać swej nowo odkrytej wolności. No i co z tego? Co innego ma niby robić przez resztę życia, jeśli nie nadużywać wszelkich przyjemności?

Próbował się roześmiać, ale ból pod powiekami za bardzo mu dokuczał. Musiał wziąć aspirynę. Z wielkim wysiłkiem dźwignął się z łóżka i z zamkniętymi oczami powłókł się do łazienki. Tam prawie wyrwał drzwi szafki z zawiasów, pozrzucał wszystko z półek, aż znalazł fiolkę z aspiryną i połknął kilka tabletek. Popił wodą z kranu i prawie zwymiotował od smaku, jaki poczuł w ustach.

- Muszę się napić czegoś porządnego - stwierdził i wciąż nagi wyszedł do kuchni.

Włączył ekspres do kawy, nalał soku grejpfrutowego i znalazł całkiem świeżą drożdżówkę. Kawa właśnie zaczynała bulgotać, kiedy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi. Zamarł w bezruchu i nasłuchiwał.

- Hej, już jestem - usłyszał wołanie mężczyzny.

Najciszej jak potrafił, podszedł do wyjścia z kuchni i wyjrzał.

Mężczyzna chyba po pięćdziesiątce - szpakowate włosy, krawat, marynarka, dopieszczony jak reklama biura maklerskiego na Wall Street - stał tuż przy drzwiach wejściowych. Trzymał małą paczkę owiniętą w błyszczący papier.

- Mam dla ciebie prezent - dodał.

Więc nie powiedziałaś mi wszystkiego, Carla. Nie zdradziłaś, że masz kochanka, któremu dałaś klucze do mieszkania. Niegrzeczna dziewczynka, bardzo niegrzeczna, myślał, podchodząc do szuflady w kuchni, otwierając ją cicho i wyjmując duży nóż do pieczywa. Potem celowo uderzył patelnią o wierzch szafki.

- Hejże, ślicznotko - rzekł džentelmen, ruszając w stronę kuchni. - Co ty, u diaska, tam robisz? Nie słyszałaś, że wchodzię?

Jonathan zajął miejsce zaraz przy wejściu. Cronin nauczył go sztuki posługiwania się kosą. Rozmawiali o tym w czasie więziennych spacerów. Cronin popełnił wszystkie cztery morderstwa za pomocą noża. Liczący metr dziewięćdziesiąt wzrostu neandertalczyk miał takie oczy, że ten, na którego spojrzał, kulił się ze strachu, a kiszki skręcały mu się w jeden wielki węzeł. Cronin przebywał w bloku śmierci najdłużej ze wszystkich w San Quentin. Na nieszczęście dla państwa został skazany na podstawie poszlak, a świadkowie oskarżenia byli niewiele lepsi od samego oskarżonego. Nieustanne problemy ze znalezieniem adwokata nie pozwalały zarówno jemu, jak i państwu, wygrzebać się z papierów, ale nawet on sam przyznawał, że widać już koniec sprawy.

- Zanim mnie dostaną, sam wykończę jednego z nich - odgrażał się. - Tylko na to czekam.

W jakiś sposób udało mu się wykombinować ostre narzędzie z metalu formującego podeszwę buta.

- Nie należy nikogo dźgać ot tak sobie - tłumaczył. - Można wtedy nie trafić w żaden ważny narząd. Trzeba trafić tu albo tu - mówił, wtykając długi, kościsty palec tak mocno, że aż bolało. - Potem należy lekko pociągnąć i obrócić, żeby trafić w tętnicę. Rozumiesz?

Mówił o mordowaniu tak, jakby to była nowa dziedzina sztuki albo dyscyplina sportu, która miała trafić na olimpiadę.

Jonathan przyjął pozycję. Dżentelmen zawahał się tuż przed wejściem do kuchni.

- Carla? Co to za żarty? - zapytał i pchnięciem otworzył drzwi do kuchni.

Ujrawszy jego stopy, Jonathan wychylił się. Przybysz odwrócił się i na widok czekającego na niego nagiego faceta doznał szoku. Nim zdołał jakoś zareagować, Jonathan wbił mu nóż pod serce, pociągnął go i obrócił, zgodnie z instrukcjami Cronina. Oczy mężczyzny prawie wyskoczyły z oczodołów. Wydał krótki, głuchy okrzyk. Nasadą otwartej lewej dłoni Jonathan uderzył go w twarz. Nieproszony gość upadł na wznak, a jego głowa podskoczyła na kafelkach. Po chwili już nie żył.

- Dzięki, Cronin - rzekł Jonathan.

Kłęknął przy trupie, żeby przeszukać mu kieszenie. Znalazł portfel.

- Niech mnie diabli - mruknął. - Carla ruszyła w wielki świat.

Jej kochanek, Frank Goldsborough, był wiceprezesem jednego z kalifornijskich banków. Ze zdjęć znalezionych w portfelu Jonathan wywnioskował, że jest żonaty i ma trójkę nastoletnich dzieci. Żona wyglądała starszej od niego.

- Pewnie właśnie dlatego wpadałeś czasem do Carli, co, Frank? Ale jak to teraz wyjaśnisz świętemu Piotrowi? Jezu - rzekł Jonathan do twarzy z zastygłą maską zaskoczenia i śmierci. - A najlepsze jest to, że tacy faceci jak ty zasiadają w ławach przysięgłych decydujących o życiu lub śmierci innych ludzi.

Wyjął gotówkę i zostawił portfel na piersi Franka. Potem wyszedł z kuchni i rozejrzał się po mieszkaniu.

- Naprawdę tęskniłem za tym miejscem - mruknął pod nosem. - No cóż. - Wzruszył ramionami. - Czas wracać do domu.

Ubrał się szybko i wyszedł z mieszkania. W windzie na szczęście nikogo nie było. Podobnie na korytarzu. Wiedział aż za dobrze, co znaczy wpaść na potencjalnego świadka zaraz po popełnieniu przestępstwa.

Opuścił budynek i idąc żwawym krokiem, skręcił w prawo. Doszedł do wniosku, że w Los Angeles nikt nie chodzi daleko piechotą, a nie miał zamiaru jechać autobusem. Będzie musiał albo wynająć samochód, albo wezwać taksówkę.

Wynajmę samochód, postanowił. Jest sporo miejsc, które muszę odwiedzić.

A ja myślałam, że z wiekiem nabierzesz rozumu - rzekła Julia Byron, stojąc w nogach łóżka.

Michael jęknął i obrócił się, naciągając na głowę poduszkę.

- Nie wspomnę już, że jako lekarz powinienes wiedzieć, jakie są skutki nadmiernego spożycia alkoholu - ciągnęła dalej Julia.

Mocniej przycisnął poduszkę do twarzy, żeby zagłuszyć reprimendę.

- Nie mogłam zganić cię wczoraj, Michaelu, bo byłeś tak nieprzytomny, że i tak nie usłyszałyś ani słowa.

Obrócił się powoli i zsunął poduszkę.

- Nie masz litości? Gdzie się podziało słynne miłosierdzie Julii Byron?

Roześmiała się.

- Ciekawe, czy pamiętasz cokolwiek z tego, co robiłeś i mówiłeś. Przede wszystkim popełniłeś ten błąd, że pokazałeś Diedre Logan plan naszej podróży. Zanim doszedłeś do baru po kolejnego drinka, znali go już wszyscy goście.

- Naprawdę?

- Tak. A od kiedy to nasz dom jest na sprzedaż?

- Cóż, właściwie to jeszcze nie jest, ale...

- Chcesz, żebyśmy teraz zaczęli szukać czegoś nowego? Wiesz przecież, jak bardzo wzrosły koszty związane z obrotem nieruchomości, odkąd nabyliśmy ten dom. Nigdy nie kupimy niczego lepszego, jeśli go teraz sprzedamy.

- Julio - odezwał się Michael, siłąc się na opanowanie. - Prosiłem cię, żebyś nie myślała o pieniądzach, żebyś się o nic nie martwiła.

- Dlaczego? Nigdy nic przede mną nie ukrywałaś w ciągu całego naszego małżeństwa. Czemu nagle zaczęłaś się zachowywać, jakbyśmy zostali milionerami?

Jęknął i znów zakrył się poduszką.

- Dobrze już. Dobrze. Gdy będziesz gotów sensownie ze mną porozmawiać, chętnie cię wysłucham. Nie zapomnij, że dzieci przychodzą dziś na kolację. Ja jadę na zakupy, a tobie proponuję, żebyś wziął dwudziestominutowy zimny prysznic.

- I kto tu się teraz zachowuje, jakby skończył medycynę? - wymamrotał.

- Lekarzu, lecz się sam - nakazała i opuściła pokój.

Doktor Byron odczekał moment, ściągnął z twarzy poduszkę i przekręcił się. Po chwili już spał.

Gdy się przebudził, był przekonany, że upłynęło sporo czasu. Przetarł oczy i z niedowierzaniem popatrzył na zegarek. Stał? Przyjrzał się bliżej i stwierdził, że wskazówka odmierzająca sekundy porusza się. A jednak mógłby przysiąc, że słyszał wchodzącą do domu i krzątającą się Julię. Usiadł, wyteżył słuch i nic nie usłyszawszy, wzruszył ramionami.

Musiało mi się przyśnić, pomyślał i przeciągnął się.

Chwilę później usłyszał syrenę. Jej odgłos przybliżał się. Zaciekawiony nachylił się, by odsunąć zasłonę, i wyjrzał na zewnątrz. Karetka zwolniła koło ich domu. Coś się stało u sąsiadów? Był wypadek na ulicy?

Julia! W panice wyskoczył z łóżka. Wciąż w piżamie i boso wypadł z pokoju i popędził w dół schodów. Był w połowie drogi do drzwi, kiedy usłyszał głos.

- Jak miło.

Okręcił się. Zobaczył przed sobą uśmiechniętego, krępego Chińczyka, niższego od siebie o kilkanaście centymetrów, za to z potężnym karkiem. Niósł coś, co wyglądało jak torba lekarska. Ubrany był w granatowy garnitur, a pod prawym okiem miał bardzo widoczne znamię.

- Przynajmniej nie musimy iść po pana na górę - dodał.

- Kim pan, do diabła, jest? - zapytał Michael Byron, gdy już oprzytomniał.

Zanim Chińczyk zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi. Dwaj sanitariusze wtoczyli do domu nosze. Pierwszy z nich był wysoki, umięśniony, miał ryże włosy i piegi na czole, spiczasty nos i obwisłą żuchwę, która ściągała dolną wargę, ukazując żółte od nikotyny zęby.

- Co to, do cholery, znaczy? - domagał się odpowiedzi Michael. - Nikt tu nie wzywał karetki!

Zamiast odpowiedzieć, sanitariusz zbliżył się i złapał go. Michaela zaskoczył bolesny uścisk palców na ramieniu, gdy łapiduch odpychał go od wyjścia. Drugą ręką wciągał do domu nosze. Kolega pomógł mu je wprowadzić, po czym zamknął drzwi. Drugi sanitariusz był niższy, szczuplejszy i miał ciemne włosy opadające bezładnie na czoło i skronie.

Pierwszy łapiduch ścisnął Byrona za nadgarstki.

- Co jest? O co chodzi?

- Spokojnie, doktorze Byron. Wszystko będzie dobrze - zapewniał Chińczyk.

Michael odwrócił się i dostrzegł w jego ręku strzykawkę.

- Co to ma być, u diabła!

Drugi sanitariusz objął Michaela i trzymał go, a Chińczyk podszedł, ściągnął mu górę pizamy i wbił w ramię igłę.

Michael krzyknął i próbował walczyć z potężnymi łapami, które ścisnęły go jak metalowe obręcze. Pierwszy sanitariusz złapał go za stopy i razem z drugim wrzucili go na nosze.

Mimo że wciąż się opierał, wyglądał tak, jakby był im całkowicie posłuszny. Mieli ogromną siłę.

- Wkrótce wszystko będzie w porządku, doktorze Byron - uspokojał Chińczyk.

- Co... czekajcie! To pomyłka!

- Proszę spróbować zachować spokój - odparł chłodno Chińczyk.

- Co mi pan wstrzyknął? - pytał Michael.

Usiłował usiąść, ale rudy natychmiast położył ręce na jego barkach i przywrócił do pozycji leżącej, a jego kolega zaczął przywiązywać go do noszy.

- Nie! Nic mi nie jest. Mówię wam, że to pomyłka! - krzyczał.

Rudy wciąż przyciskał mu ramiona, zmuszając do leżenia. Na kostkach Michaela pojawiły się pasy.

Przycisnęli mu ramiona do boków i przymocowali drugim pasem. Tak poprzypinany, nie mógł się już dłużej opierać. Obaj sanitariusze odetchnęli.

- Nie słyszycie? To pomyłka! - krzyczał z takim wysiłkiem, że twarz pociemniała mu od krwi, która napłynęła pod skórę.

Kąciki ust pozostały jednak białe jak mleko.

Zamknął oczy i przez moment próbował złapać oddech. Serce waliło mu jak młotem, a każde uderzenie niosło się przez całe ciało.

- Proszę się uspokoić, doktorze Byron - powtarzał Chińczyk.

Stał nad nim, patrząc z góry. Skośnooka fizjonomia robiła się to zamglona, to na powrót wyraźna, głos zniekształcony. Michael poczuł pot na czole i rozpoznał objawy.

To był zawał!

- Co mi wstrzyknęliście? - krzyknął.

Chińczyk uśmiechnął się.

- Tylko chlorek potasu, doktorze. Ironia losu, nieprawdaż? Ileż to razy stosował go pan w czasie egzekucji?

Rudy ukląkł i przycisnął prawą dłoń do lewego policzka Michaela.

- Jakby zimny - powiedział do swojego partnera.

- Tak? No to chyba mamy szczęście, że przyjechaliśmy tak szybko, co?

Cała trójka roześmiała się.

Michael przeknął ślinę i wykrztusił: - Czemu... mi to robicie?

- Tak będzie dla pana lepiej, doktorze. W ten sposób pańska rodzina będzie bezpieczna - odparł Chińczyk.

Michael poczuł silny ból i wykrzywił się. Wywrócił oczy.

- Tracimy go - rzekł rudy i uśmiechnął się. - Chyba lepiej dam mu szybko tlen.

Doktorowi Byronowi zdawało się, że krzyknął, ale nie usłyszał własnego głosu; na twarz założono mu maskę. Przy rozdzierającym bólu usiłował złapać oddech.

Ale przecież zrobiłem wszystko, o co mnie poprosiliście - pomyślał.

I była to jego ostatnia myśl.

Drzwi wejściowe otworzyły się i sanitariusze zaczęli wytaczać nosze na zewnątrz. Załadowali je do karetki. Kiwnęli głowami do Chińczyka, który pośpieszył do zaparkowanego na ulicy najnowszego modelu mercedesa.

Sanitariusze wsiedli do karetki, włączyli światła, syrenę i ruszyli.

Chińczyk poczekał, aż ambulans zniknie za rogiem, po czym wziął do ręki samochodowy telefon, wybrał numer i czekał.

- Wszystko załatwione bez przeszkód - zameldował. - Doktor Byron odszedł na emeryturę.

Roześmiał się z czegoś, co usłyszał, i rozłączył się. Uruchomił silnik, spojrzął w lusterko wsteczne i odjechał z myślą, że dom Byronów wygląda jak zamek.

Jonathan wysiadł z wypożyczonego samochodu na rogu Montana, dwie ulice od mieszkania w Santa Monica. To właśnie tam parkował przed laty, a teraz wydawało mu się, że było to zaledwie wczoraj. Czas, jaki od wtedy upłynął, niewyraźny stał za mgłą. Niewiele się tu zmieniło. I tak właściwie nigdy się nie rozglądał, więc nie był pewien, czy ta restauracja już tu była, a czy tamten sklep dopiero otworzyli. To i tak nie miało znaczenia.

Przystanął na chwilę, żeby zobaczyć, czy nie zwraca na siebie niepożądanej uwagi. Potem przeszedł spokojnie ulicą z miłym uśmiechem zadowolenia na twarzy. Ludzie, którzy go mijali, a zwłaszcza kobiety, kiwali do niego. Niektórzy mówili nawet dzień dobry, jakby go znali. Rozbawiło go to, jak bardzo ludzie chcieli być życzliwi, chcieli ufać nieznanym. Pragnęli tego tak bardzo, że nieświadomie stawali się łatwym celem, w głupi sposób narażali się na niebezpieczeństwo.

To ich problem, nie mój, pomyślał i skręcił w znajomą ulicę. Domy i bloki wyglądały tu tak doskonale, tak spokojnie i bezpiecznie. Okolica rodem

ze snu o Ameryce. Na podwórkach widział zabawki, huśtawki, czyste, polyskujące samochody na podjazdach, kolorowe kwiaty w pełnym rozkwicie, niewielkie łąki trawników, przyszczyżonych i soczycie zielonych, wyłożone kamieniami lub płytami jasne chodniki, wszystko uporządkowane, doskonale w każdym calu, pierwsze ujęcie filmu o dawnych dobrych czasach.

Roześmiał się i stanął na wprost tego budynku. Nie był to typowy blok, raczej kamienica złożona z czterech mieszkań, z których jedno stało się sławne. Wszystko wyglądało tak samo, ale dopiero gdy ruszył znanym mu korytarzem, uświadomił sobie, że minęło mnóstwo czasu i że najprawdopodobniej mieszkają tam całkiem obcy ludzie. Czemuż, u diabła, nie pomyślał o tym wcześniej?

Przystanął, spojrzął na skrzynki na listy i pod numerem i zobaczył nazwisko Sherman. Po co właściwie tu wrócił? Czy oczekiwał, że ją tu zastanie, że będzie na niego czekać? Czy miał nadzieję, że przeżył tylko długi koszmarny sen?

Zdawało mu się, że to ważne, żeby tutaj przyszedł, rozejrzał się. Rozpaczliwie pragnął dostać się do środka.

Drzwi garażu sąsiadującego z należącym niegdyś do niej otworzyły się i wyjechała czarna mazda miata ze składanym dachem, prowadzona przez nieznaną mu rudowłosą młodą kobietę. Dziewczyna zatrzymała się przy wyjeździe na ulicę, spojrzała na niego z zaciekawieniem, a potem dodała gazu, skręciła w prawo i odjechała, wciąż na niego zerkając.

Czy mieszkał tu jeszcze ktoś z dawnych lokatorów? - zastanawiał się. Tylko nazwisko Carden brzmiało znajomo. Jak to zrobić? Wciąż bez pomysłu podszedł powoli do drzwi mieszkania numer 1. Pamiętał, że nie tędy wszedł tamtej nocy.

Po lewej stronie była wąska ścieżka między ścianą a wysokim żywopłotem przyszczyżonych oleandrów. Znajdowała się z tej samej strony budynku co klimatyzator, skrzynka z bezpiecznikami i liczniki energii. Ścieżka prowadziła na tyły domu. Nie było tam basenu, ale niewielkie podwórko wspólnego użytku. Mieszkania na parterze miały wejścia także z podwórka, do pozostałych dwóch, na piętrze, prowadziły z dziedzińca krótkie schody. Tamtej nocy wszedł od tyłu.

Niezauważenie prześlizgnął się za róg i szybko przeszedł obok klimatyzatora na tył budynku, gdzie na podwórku stały leżaki. Wyglądały na sfatygowane i wypłowiałe od słońca. Nikogo tam nie było; wszędzie panowała cisza. Stał przez chwilę z mocno bijącym sercem. Czuł się jak odbywający podróż w czasie podglądacz. Chciał zajrzeć przez okno i stać się świadkiem wydarzeń, które miały miejsce lata temu.

Cicho, równie ostrożnie jak wtedy, podszedł do drzwi od podwórza prowadzących wprost do pokoju dziennego. Zasłony - ciemne z tandetnym pomarańczowym wzorem - były zaciągnięte. Dotknął klamki, wziął głęboki wdech i pchnął drzwi. Oczywiście były zamknięte na klucz, nie tak jak tamtego wieczora.

Przycisnął twarz do szyby, by móc zajrzeć przez wąską szparę między zasłonami. Słońce w swej podróży ze wschodu na zachód stało akurat za nim. Pewnie dlatego jego cień padał tak wyraźnie. On jednak tego nie wiedział. Stał i oglądał meble, ale nie te, które tam faktycznie były. Widział pomieszczenie urządzone po staremu. Ona zaraz przejdzie przez pokój do kuchni. On wejdzie do pokoju, poczeka po lewej stronie drzwi, a potem też wejdzie do kuchni. Ona odwróci się zaskoczona, a on wbije w nią śrubokręt, nim zdąży krzyknąć.

Jakby wierzył, że zobaczy rekonstrukcję zdarzeń i upewni się, że to się rzeczywiście stało. Dlatego tu przyjechał, pomyślał, żeby przeżyć to jeszcze raz.

Nagle zasłony rozsunęły się i spojrzał na niego mężczyzna mniej więcej jego wzrostu, ale tęższy, z brzuchem wystającym między brzegiem podkoszulka a sportowymi spodenkami. Jego twarz ziała wściekłością.

- Co ty tu, kurwa, robisz? - wydarł się przez szybę.

Jonathan cofnął się z głupkowatym uśmiechem.

- Spieprzaj stąd, zboczony sukinsynu. Intruz podniósł ręce i wzruszył ramionami.

- Szukałem kogoś - powiedział.

Mężczyzna sięgnął gdzieś prawą ręką i wyciągnął mały kij baseballowy. Ściskając go jak jaskiniowiec, otwierał drzwi.

Za nim, w drzwiach pokoju stanęła niska, ciemnowłosa kobieta w okularach.

- Kto to jest? - krzyknęła z twarzą wykrzywioną ze strachu.

- Następny zboczeniec. Myślałem, że skończyliśmy już z takimi jak ty. Spadaj stąd, bo zawałam policję.

Pomachał pałką. Jonathan wpatrywał się w niego, mrugając szybko.

- Nie pasujesz tutaj - rzekł, wytykając mężczyznę palcem.

- Co?

- Dzwonię na policję - oznajmiła kobieta i znikła.

Facet nie zrobił ani kroku. Powstrzymało go coś niezwykłego w spojrzeniu Jonathana. Zamiast tego zamknął drzwi.

- Nie pasujecie tutaj! - wrzasnął Jonathan i ruszył na drzwi.

Uderzył w nie raz, za to z taką siłą, że drzenie wywołało mrowienie najpierw w przedramieniu, a potem wyżej, aż w barku.

- Jezu Chryste - usłyszał gospodarza.

Wtedy uciekł. Pognął za róg budynku, ścieżką koło klimatyzatora, na ulicę. Gdy już się tam znalazł, ruszył szybko do skrzyżowania i skręcił w ulicę, na której zaparkował wóz.

Prędko wsiadł, odetchnął i zamknął oczy. Usłyszał syrenę nadjeżdżającego od południa radiowożu. Odpalił, ruszył i pojechał na wschód.

Naprawdę czas już było wracać do domu.

15

Agent specjalny James Reynolds czekał na Teda i Billy'ego na lotnisku w Billings. Miał czterdzieści parę lat, jakieś metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, brązowe włosy i wyraz twarzy pracoholika, który zmusił Teda do refleksji nad własną postawą i wyglądem. Billy, jak zwykle, zdawał się bardziej pochłonięty aparaturą na lotnisku niż ludźmi, których spotykał. Gdy się już sobie przedstawili, wszyscy wsiadli do samochodu Reynoldsa. Była 16.45, ale na letnim niebie pozostało jeszcze dość światła.

- Klinika dla Zwierząt Big Sky wydaje się działać legalnie - zaczął Reynolds. - Od piętnastu lat właścicielem jest pięćdziesięcioletni weterynarz Herbert Gerson. Przedtem pracował w Jackson w stanie Wyoming... Jest jednak coś - kontynuował Reynolds, przyspieszając. - Ostatnio Gerson nabył - nie wziął w leasing, lecz kupił - mercedesa 520 ze składanym dachem. Nie zdołaliśmy wytropić pieniędzy; wygląda na transakcję gotówkową.

- To już brzmi mniej legalnie - stwierdził Ted.

- Tutaj ludzie wciąż trzymają pieniądze w skarpecie.

- Nawet ci wykształceni, jak weterynarz? - upierał się Ted. - Po co tracić odsetki, które można zyskać?

- Jeśli rząd ich nie zwęszy, nie płaci się od nich podatku - zażartował Billy, patrząc w okno.

Reynolds spojrział na Teda i obaj uśmiechnęli się.

- Co jeszcze może pan nam o nim powiedzieć? - spytał Ted.

- Żonaty, dwoje dzieci. Dwudziestosześcioletni syn ma ciężką padaczkę i mieszka z rodzicami. Córka jest na pierwszym roku studiów w Antioch.

- A żona Gersona?

- Pracuje w klinice. Zajmuje się księgowością, prowadzi biuro, zapisuje pacjentów. Są szanowaną rodziną. Nie notowaną.

- Kto zajmuje się synem, gdy oboje są w pracy? - pytał Ted.

- Starsza siostra Herberta, wdowa. A skąd przypuszczenie, że chirurg plastyczny z Los Angeles przyjechał tu i skorzystał z kliniki weterynaryjnej? - spytał dla odmiany Reynolds.

- Jasne - odparł Ted. - Komu strzeliłoby do głowy szukać dowodu na operację odbytą na człowieku w przychodni dla zwierząt? Billy'emu, oczywiście.

Kiwnął głową w stronę młodszego kolegi.

Reynolds popatrzył na jego odbicie w lusterku wstecznym.

Billy wzruszył ramionami.

- Przypomniała mi się operacja psa mojej mamy - wyjaśnił.

Gdy przybyli do Kliniki dla Zwierząt Big Sky, Ted pomyślał, że przez swoje położenie była wymarzoną miejscem dla konspiracyjnej działalności. Leżała przy drodze wśród lasów, na uboczu i wyglądała bardziej jak dom niż jak przychodnia weterynaryjna.

- Trochę na odludziu - zauważył.

- Tak jak wszystko tutaj - odparł Reynolds.

Nowy mercedes stał zaparkowany przed budynkiem wraz z dwoma znacznie mniej kosztownymi samochodami osobowymi i jednym dostawczym. Trzej agenci wysiedli i weszli do kliniki. Była tym, na co wyglądała: domem przerobionym na gabinety, laboratorium i dwie sale operacyjne. Za budynkiem znajdowały się boksy dla zwierząt, które musiałyby zostać tu na noc, zaś w środku klatki dla tych, które musiały pozostać wewnątrz. W sporym korytarzu stały trzy niewielkie kanapy, waga, długi stolik zavalony czasopismami, z których większość dotyczyła opieki nad zwierzętami, i trzy fotele. Na ścianach wisiały plakaty z informacjami o czworonogach. Po prawej stronie okienka, za którym siedziała Glenna Gerson, widniała wystawka zalecanych artykułów i karm dla zwierząt.

W poczekalni siedział tylko starszy pan w kombinezonie, a u jego stóp leżał owczarek niemiecki. Mężczyzna spojrział z zainteresowaniem, gdy trójka agentów podeszła do okienka. Billy jako jedyny uśmiechnął się i skinął głową.

Glenna Gerson otworzyła okienko.

- Czym mogę służyć? - zapytała z miłym uśmiechem.

Wyglądała na osobę dobijającą do pięćdziesiątki, miała włosy koloru mocnej kawy, obcięte równo poniżej uszu. Biały, nieco zbyt obcisły uniform ujawniał miejsca porażki w walce z tłuszczem na biodrach.

Ted i James pokazali legitymacje. Glenna otworzyła szeroko oczy, których jasnozielone, brązowo nakrapiane tęczęwki pociemniały ze zdziwienia, a agenci dostrzegli w nich ten niepokój, który zwykle widywali w ludzkich oczach, gdy tylko się przedstawili.

- Jak mogę panom pomóc?
- Chcielibyśmy porozmawiać z doktorem Gersonem - rzekł Ted.
- Jest u niego pacjent.

Ted uśmiechnął się, słysząc „pacjent” w odniesieniu do zwierzęcia.

- Może pójde sprawdzic, jak dlugo to jeszcze potrwa.

Wyszła z biura.

Starszy pan skrzywił się z niezadowolenia, że będzie musiał dłużej czekać z powodu tego, co ci dwaj, wyglądający na składających służbową wizytę, pokazali pani Gerson. Billy zagadał go na temat psów, w szczególności owczarków. Ted pokręcił głową, zadziwiony ilością wiedzy zgromadzoną w tym elektronicznym mózgu.

Glenna Gerson wróciła z uśmiechem na swoim miejscu, ale teraz wyglądającym nieco sztucznie.

- Mąż twierdzi, że zajmie mu to jeszcze najwyżej pięć minut. Proponuje, żebyście panowie zaczekali w jego pokoju - dodała i otworzyła drzwi.

Trzej agenci podążyli korytarzem za nią. Stała przy następnych drzwiach i cofnęła się, żeby ich przepuścić.

Pokój był niemal tak wielki jak poczekalnia, wyłożony orzechową boazerią i grubą wykładziną, z regałami na jednej ścianie wypełnionymi podręcznikami weterynarii i psychologii zwierząt. Za ogromnym wiśniowym biurkiem wisiały dyplomy, nagrody i wycinki z prasy dotyczące doktora Gersona. Były też jego zdjęcia z championami, ze świniami, psami i końmi.

Na zdjęciach Ted widział, że Herbert Gerson to potężny, dobrze zbudowany, przystojny mężczyzna, fotogeniczny niczym model. Miał słomkowe, dość długie włosy. Po porównaniu z innymi ludźmi na zdjęciach, Ted doszedł do wniosku, że Gerson ma przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Proszę się rozgościć, panowie - rzekła Glenna Gerson. - Mąż zjawi się, jak tylko będzie mógł.

- Dziękujemy - odparł James Reynolds.
- Czy mogę panom coś podać? Kawę? Zimne napoje?
- Nie, dziękujemy, pani Gerson - w imieniu całej trójki odmówił Reynolds.

Glenna wyglądała na coraz bardziej zażenowaną i zdenerwowaną. Przed samym jej wyjściem James i Ted wymienili spojrzenia. Billy już rozpracowywał komputer.

- Gateway Tower - oznajmił.

Monitor był włączony. Billy popatrzył na Teda i wcisnął klawisz... a potem następny...

- Podłączony do sieci - zameldował.

- Lepiej daj sobie na razie spokój, Billy - polecił Ted, widząc, że Jamesowi Reynoldsowi nie bardzo podoba się jego majstrowanie.

Billy kiwnął głową i podszedł do półek z książkami. James usiadł w skórzanym fotelu po prawej stronie biurka, a Ted na kanapie.

Niecałą minutę później zjawił się doktor Gerson. Wyglądał na nieco starszego niż na zdjęciach, ale bicepsy pod rękawami białego fartucha, mocna klatka piersiowa i wąska talia świadczyły o wciąż doskonałej kondycji. Patrzył zaskoczony, niewinnie zaciekawiony.

- Panowie - odezwał się. - Jestem doktor Gerson. W czym mogę pomóc?

Gdy wszedł, jego żona pozostała w drzwiach. James i Ted wstali.

- Prowadzimy dochodzenie w dość skomplikowanej sprawie morderstwa - zaczął Ted. - Ciało ofiary zostało znalezione na terenie rezerwatu Indian. Była pielęgniarką pracującą dla chirurga plastycznego, doktora Lawlera z Los Angeles.

Doktor Gerson kiwnął głową i przeszedł za biurko.

- Proszę spocząć - powiedział. - Glenno, powiedz, proszę, Markowi, żeby zajął się szczepieniami i sprawdził prawe biodro Hawkeye'a - polecił żonie, wyraźnie zawiedzionej, że ją odesłał.

James i Ted usiedli. Billy nadal stał.

- A więc - kontynuował Gerson, odchylwszy się do tyłu z oparciem fotela - co mam z tym wspólnego?

- Jak długo zna pan doktora Lawlera? - spytał szybko Ted.

Takie przeskakiwanie pewnych etapów w zadawaniu pytań często przynosiło niezłe efekty. Ludzie zakładali, że coś już wie i woleli nie przeciągać struny.

- Doktor Lawler? Nie przypominam sobie nikogo o tym nazwisku i - dodał z uśmiechem - ani ja, ani moja żona nie przechodziliśmy żadnej operacji plastycznej.

- Wiemy, że doktor Lawler dzwonił do pana kilka miesięcy temu i odbył całkiem długą rozmowę - oznajmił Ted. - Mamy to na wydruku jego rozmów - dodał z naciskiem.

- Dzwonił do mnie?

Herman Gerson przekreślił fotel nieco w prawo i wyglądał, jakby się zamyslił. Pokręcił głową.

- Naprawdę nie pamiętam żadnej takiej rozmowy. Czemu miałby do mnie dzwonić?

- Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć od pana, doktorze. Wiemy też na pewno, że krótko po tym telefonie doktor Lawler przybył do Billings z San Francisco. Czy nadal utrzymuje pan, że nie zna Felixa Lawlera? - spytał Ted tonem bardziej agresywnym i oficjalnym.

- Felix Lawler - powtórzył Gerson. - Teraz, kiedy dodał pan imię, brzmi znajomo. Felix Lawler. Tak. - Oczy mu pojaśniały i pokiwał głową. - Jednak nigdy nie wspomniał, że jest lekarzem - kontynuował, nieco ożywiony. - Ktoś poradził mu, żeby do mnie zadzwonił. Teraz mi się przypomina. Mówił, że on i jego żona mają siedmioletniego pudła, który zwraca wszystko, co zje. Weterynarz zalecił uspienie psa, co bardzo ich zdenerwowało.

Doktor Gerson uśmiechnął się, dodając:

- Ktoś powiedział mu, że jestem jednym z najlepszych weterynarzy w kraju, więc do mnie zadzwonił. Niewiele mogłem zrobić przez telefon, więc poleciłem mu innego lekarza, Charlesa Brookera, z którym byłem na studiach i który ma gabinet Woodland Hills w Kalifornii.

- W takim razie po co doktor Lawler tu przyjechał? - spytał James Reynolds.

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałem.

Tymczasem wróciła pani Gerson.

- Glenna, czy przypominasz sobie rozmowę z mężczyzną o nazwisku Felix Lawler?

Zastanowiła się chwilę i pokręciła głową.

- A co mówi o tej rozmowie doktor Lawler? - spytał Gerson.

- Nic. On także został niedawno zamordowany - odparł sucho Ted.

- Hm, hm - wymruczał Gerson.

Wyglądał, jakby właśnie dostał w brzuch. Spuścił wzrok i trochę zbladł. Próbował się szybko pozbierać, ale spojrzał na żonę, a Ted pomyślał, że chyba naprawdę się przejął.

- Istnieje możliwość, że ktoś próbuje zatuszować wydarzenia i czyny, które miały miejsce właśnie tutaj, doktorze Gerson. Jeśli wie pan coś o tych ludziach, czy kiedykolwiek się z nimi zetknął, powinien nam pan o tym powiedzieć. Niewykluczone, że może się pan stać kolejnym celem. Nie wiemy jeszcze wystarczająco dużo, by wystarać się o ochronę dla kogoś - poinformował Ted.

Odczekał chwilę, a potem dodał:

- Ten, kto jest w to zaangażowany, najwyraźniej ma wielkie możliwości.

Herman Gerson popatrzył na niego przez moment, po czym pokręcił głową.

- Naprawdę nie mogę dodać nic więcej. To wszystko, co wiem.

- Nigdy nie spotkał pan pielęgniarki Irene Lester? - zapytał zniecierpliwiony James.

- Nie.

Aby brzmieć bardziej wiarygodnie, pokręcił głową.

- A doktora Felixa Lawlera nigdy nie było w tym gabinecie? - dodał Ted.

- Nie przypominam sobie takiej wizyty i nie figuruje ona w żadnym z moich rejestrów. Kochanie? - zapytał żonę.

Pokręciła głową.

- Nie - powiedziała z zatroskaną miną.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Ted popatrzył na Billy'ego, który zdawał się zaprzętnięty zupełnie czym innym.

- Doktorze Gerson, czy słyszał pan kiedyś o Korporacji Rainback?

Glenna pisnęła cichutko jak mysz i podniosła rękę do ust. Tedowi zdało się, że mąż rzucił jej karcące spojrzenie i dopiero wtedy zwrócił się do niego.

- Owszem, słyszałem - odparł. - To firma, która zarządza moimi pieniędzmi, głównie planem emerytalnym. Co oni mają z tym wspólnego?

- Być może nic. Sprawdzamy tylko ślady - powiedział niedbale Ted. - Czy doktor Lawler mógł dowiedzieć się o panu od kogoś z tej firmy?

- Nie rozumiem w jaki sposób ani dlaczego. Nigdy nie rozmawiałem o weterynarii z moimi doradcami od emerytury, no chyba że dotyczyło to inwestowania. Poza tym już panom powiedziałem...

- Kto jest pańskim doradcą w Rainback? - spytał Reynolds.

Gerson zawahał się.

- Niechętnie zdradzam nazwiska. Nie chciałbym, żeby panowie pomyśleli, iż próbuję utrudniać śledztwo, ale w obecnych czasach, gdy tak powszechne są procesy sądowe, zawsze rozsądniej jest skontaktować się najpierw z adwokatem - odparł.

- Te informacje nie są objęte ochroną danych - wtrącił się Billy. - Nie-trudno je uzyskać, proszę pana.

- Więc niech je pan uzyska - Gerson rzekł buntowniczo.

Nastąpiła chwila absolutnej ciszy.

- Oto moja wizytówka - powiedział Reynolds, wstając w końcu. - Gdyby przypomniał pan sobie coś, czego nie trzeba konsultować z adwokatem, albo na co uzyska pan zgodę swojego prawnika, proszę do nas zadzwonić.

Gerson wziął kartkę, przyjrzał się jej i wstał.

- Przykro mi, że niewiele panom pomogłem, ale to wszystko, co pamiętam.

- Kto wspomniał o panu Felixowi Lawlerowi? - zapytał Ted już na stojąco. - Ta informacja z pewnością nie podlega ustawie o ochronie danych.

Doktor Gerson zastanowił się przez chwilę. - Wie pan, to było tak dawno, że nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

- Czy nie powinien to być ktoś z Kalifornii? - odpowiedział Ted.

- Mam sporo klientów zarówno stąd, jak i z innych miejsc, nie wyłączając Kalifornii. Może był to ktoś z nich. Może Kettlemanowie albo Don Taylor. Nic ci nie przychodzi do głowy, Glenno?

- Gene i Mary Kaiser mieszkają w Beverly Hills, prawda?

- Racja. Może to oni.

- W porządku. Dziękujemy, doktorze - powiedział Ted.

Trzej mężczyźni opuścili gabinet, a za nimi wyszła Glenna Gerson. Skinęła im głową, a Ted odwrócił się i uśmiechnął.

- I co o tym sądzicie? - spytał, gdy wszyscy siedzieli już w samochodzie Reynoldsa.

James przez chwilę patrzył na budynek.

- Myślę, że musi być z niego kawał świetnego weterynarza - rzekł, na co Ted roześmiał się głośno. - Coś tu nie gra. Nie mam pojęcia co, ale coś tu jest nie tak - dodał już poważnie.

Wszyscy pokiwali głowami i popatrzyli na siebie.

Nagle twarz Billy'ego rozjaśniła się.

Harry Ross siedział na tarasie Klubu Paradise w Montego Bay i oglądał zachód słońca. Lil brała jeszcze prysznic. Przyjechali, zameldowali się i od razu poszli na plażę. Po paru godzinach opalania i kilku szklaneczkach piña colada* wrócili do swojego apartamentu i kochali się. Drinki, egzotyka miejsca, ekscytacja podróżą sprawiły, że było im lepiej niż w domu, ale wciąż nie tak dobrze jak za dawnych czasów.

* piña colada - koktajl składający się z soku ananasowego, mleka kokosowego i rumu.

Lil uważała podobnie, ale nie odezwała się ani słowem. Kiedy już było po wszystkim, odwróciła się, zdrzemnęła chwilę, a potem wstała i poszła pod prysznic. Harry nalał sobie colę z rumem, nałożył szlafrok i usiadł na tarasie. W zapadającym zmierzchu ocean wyglądał jak czekoladowokawowa polewa na torcie. Był tak gładki. Harry nie widział już żadnych jachtów,

tylko gdzieś na horyzoncie majaczył nieruchomy, najpewniej zakotwiczony tankowiec. Słońce obniżało się, a na statku rozbłysły małe światełka. Potem gdzieś na prawo Harry zobaczył inny statek handlowy rozpoczynający swą wędrówkę przez coraz to ciemniejszy ocean.

Gdzieś w dole przechadzały się po plaży pary, przeważnie młodsze od niego i Lil; trzymając się za ręce, ludzie śmiali się tak lekko, jakby sami byli zrobieni z mydlanych baniek i lada moment mogli pęknąć i zamienić się w morską mgiełkę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio byli z Lil równie beztroscy. Może nigdy. Może zawsze byli poważni, zatroskani, odpowiedzialni. Było coś tak wspaniale radosnego w spontaniczności i pogoni za przygodą. Widział to, pragnął tego, ale nie pamiętał, by sam zaznał kiedyś czegoś podobnego.

Czyżbym się w końcu zestarzał? - zastanawiał się. Wydarzenia postarzały nas prędzej niż czas. Czas był jak ten ocean: przemierzaliśmy go, ale to przeżycia, przeszkody zbierały swoje żniwo, nie ocean, nie minuty i nie godziny.

Ile z tych kochających się par tam na plaży będzie miało dzieci czy mężów, czy żony, które zginą tragicznie? Gdyby ktoś z nich przystanął i rozważył wszystkie ciemne ewentualności zagrażające ich przyszłości, ilu odwróciłoby się na pięcie i uciekło w samotną, lecz bardziej bezpieczną egzystencję? Czy on sam zrobiłby tak, gdyby wcześniej wiedział, co go spotka?

- Mój Boże, ależ tu pięknie - westchnęła Lil, podchodząc do niego od tyłu.

Ona także była już w szlafroku. Wycierała włosy ręcznikiem. Potem pozwoliła im opaść luzno. Stanęła i spojrzała ponad balustradą na morze.

- Całkiem jakbyśmy znaleźli się na widokówce, prawda, Harry?

- Tak - odparł.

Wziął łyk drinka.

Lil odwróciła się i spojrzała na niego.

- Głodny jesteś?

- Troszkę.

Wzięła głęboki oddech i popatrzyła ponad horyzontem.

- Powinniśmy zrobić zdjęcie - rzekła, kiwając głową w stronę szybko obniżającej się kuli błyszczącej bananowej żółci.

- Mamy dziesiątki takich zdjęć - odparł. Lil spuściła głowę.

- To przykre, że tak piękne rzeczy przestają robić na tobie wrażenie.

- Och, nie powiedziałem, że to nie robi na mnie wrażenia. Tylko że z tej podróży chciałbym przywieźć jakieś bardziej oryginalne fotografie - powiedział szybko, próbując naprawić popełnioną gafę.

Lil nie odwróciła się. Oboje milczeli dłuższą chwilę.

- Chcesz drinka? - zaproponował Harry.

- Zaraz. Najpierw się ubiorę. Obróciła się i uśmiechnęła do niego.

Harry wziął głęboki oddech i westchnął. Dokładnie pod nimi, na głównym tarasie hotelu, rozbrzmiewała muzyka reggae. Jednostajny rytm przeniknął podłogę ich piętra i stopy Lil.

Zaczęła się kołysać.

- Co takiego? - zapytała z pełnym nadziei uśmiechem, gdy twarz Harry'ego zdawała się rozjaśniać.

- Myślałem tylko... o czasach, kiedy to zabieraliśmy na takie wakacje dziewczynki.

- A ja myślałam o naszej podróży poślubnej - odparowała.

To było jak policzek, który miał go wyrwać z depresji. Wykręciła nieco bark i pozwoliła szlafrokowi zjechać i odsłonić więcej ciała.

W łagodnym świetle zmierzchu Lil rzeczywiście wydała mu się młodsza, a jej oczy elektryzująco namiętne i pełne podniecenia. Zaczęły zalewać go wspomnienia; tryskały przez zatłkane otwory w mózgu, zatapiając go wizjami uśmiechów, śmiechu, przyrzeczeń. Z powodów, których sam nie rozumiał, poczuł się winny i odwrócił wzrok.

Lil zrobiła krok w przód, nie pozwalając się zbyć, a on obrócił się znowu twarzą do niej.

- Ja też mam swoje potrzeby, Harry. Przywiozłeś mnie tutaj z wielkim apetytem. Nie wstydzę się przyznać, że potrzebuję twojej miłości i uwagi i mam zamiar walczyć o nie ze wspomnieniami o własnej córce. Nie wiem, czemu ja wciąż żyję, a ona nie, ale tak już jest. Chcę, żebyś mnie znowu kochał, Harry, żebyś kochał mnie tak jak dawniej.

- Nic już nie może być jak dawniej. Ale staram się. Dlatego chciałem, żebyśmy tu przyjechali.

- Lepiej było zostać w domu, Harry. Tam łatwiej mi znieść twoją obojętność. Ale tu, w tej romantycznej scenerii...

Jej oczy napełniły się łzami i wyglądały, jakby Lil miała wielkie szkła kontaktowe.

Nagle oświeciło go, że jego żona wciąż miała marzenia i potrzeby młodej kobiety, że pragnęła jego całkowitej uwagi prawie tak samo mocno jak wtedy, gdy się poznali, a może nawet mocniej. Czy byli w stanie znów odczuwać przyjemność nie zaprawioną szczyptą bólu? Nic z tego, co mówiła, nie było niewłaściwe ani okrutne. Nic nie bezcześciło pamięci jego córki. Chodziło raczej o to, żeby dał sobie spokój, żeby porzucił żalobę i pozwolił swym

oczom wypełnić się pożądaniem, ustom cieszyć się dotykiem jej ust, gruczołom oszaleć z podniecenia, szczerze, bez zahamowań. Uśmiechnął się do niej.

- Przepraszam, Lil - powiedział.

Z chytrym już teraz uśmiechem zdjął i odłożył okulary. Rozwiązał pasek własnego szlafroka i wyciągnął do niej rękę. Była zaskoczona i szczęśliwa, gdy posadził ją na kolanach, rozchylając podomkę coraz dalej i dalej, aż mógł przesunąć dłońmi po jej żebrach, w stronę piersi, chwycić je, kciukami drażnić sutki i całując. Jęknęła i poczuła, jak wchodzi w nią jego twardy członek. Muzyka pod nimi zdawała się stawać głośniejsza wraz z narastającym w nich pożądaniem.

Kochali się tam, na tarasie, tym razem bez zahamowań. O dodatkowy dreszczyk przyprawiły ich uczucie wyzwolenia i spontaniczność. Gdy się tak poruszali, dotykali, całowali i delikatnie przygryzali, jednocześnie wspinali się na szczyty podniecenia dzięki świadomości, że jest dobrze, jest nawet lepiej, niż było, zanim wydarzyło się nieszczęście. Było tak jak na początku.

Lil krzyknęła z rozkoszy, a potem zagłuszyła własne jęki, przyciskając usta do jego głowy, podczas gdy w obojgu gotowała się tęsknota i głód. Przez długą cudowną chwilę pozostali złączeni. Potem ona podniosła głowę i roześmiała się.

- Mam nadzieję, że nasi sąsiedzi nie siedzą na tarasach - powiedziała.

- Założę się, że siedzą, i założę się, że coś sobie o nas pomyślą, o ile jeszcze tego nie pomyśleli.

- A jeśli nie pomyśleli, to po co tu właściwie przyjechali - stwierdziła Lil.

Tym razem roześmiał się Harry.

- No - rzekł, kiwając mocno głową: - Teraz to jestem naprawdę głodny.

16

Philip Stoner nie wszystko zawdzięczał wyłącznie sobie. Ojciec zostawił mu w spadku nieco ponad milion dolarów, ale Philip mniej się bał ryzyka niż jego rodzic, który zwykle był w interesach bardzo ostrożny i marnował wiele okazji, bo w inwestycjach widział więcej potencjalnych klap niż

potencjalnych sukcesów. Był niedowiarkiem, a Philip zawsze mawiał, że dla niedowiarka nie ma miejsca na giełdzie, w obrocie nieruchomości ani na rynku inwestycji budowlanych. Najlepszym miejscem dla niedowiarka jest przedsiębiorstwo pogrzebowe.

Choć do hazardzistów z prawdziwego zdarzenia Philip także nie należał. Nigdy nie wchodził w interes, jeśli na jego korzyść nie przemawiało przynajmniej 70-80 procent czynników z tym interesem związanych. Różnica między nim a innymi inwestorami polegała na tym, że najpierw sam pracował na to, by te 70-80 procent osiągnąć. Przygotowywał swe przyszłe inwestycje z dużym wyprzedzeniem. Zanim kupił grunt pod nieruchomość, pomagał otworzyć zakład, który przyciągnąłby kupców, handlowców, usługodawców, zaś im przydałaby się ziemia, której miał stać się właścicielem.

Philip zaczął tworzyć sieci na długo, zanim stało się to modne. Nie potrzebował, skomplikowanych komputerów, zamiast nich wołał kontakty osobiste. Jeśli w danym momencie popierał jakiegoś kongresmena, to robił to dlatego, że wiedział, iż pewnego dnia będzie potrzebował jego głosu w sprawie projektu, który akurat w tym momencie chodził mu po głowie.

Inni biznesmeni chętnie uczestniczyli w tym, co obmyślał Philip. Niektórzy ufali mu ślepo i nie pytając o nic, powierzali swe fundusze, gdy tylko o to poprosił. Philip wykorzystywał tych inwestorów mądrze, przesuwając jak pionki na szachownicy, spiskując, planując, przewidując wydarzenia, które uczyniłyby go bogatszym, możniejszym, dałyby jeszcze większą kontrolę nad siecią. Jego apetyt na sukces w interesach był nienasycony. Poczucie się spełnionym, powiedział kiedyś dziennikarzowi, to znaczy umrzeć.

Dirk był jego jedynym dzieckiem. Żona, Natasha - piękna brunetka, którą poznał w Londynie i do której zalecał się przez ocean, dopóki go nie poślubiła - zginęła w wypadku małego samolotu, gdy ich syn miał zaledwie sześć lat. Tylko dlatego, że nie chciała, by Dirk opuścił dwa dni szkoły, nie było go w samolocie razem z nią.

Natasha była jedynym naprawdę delikatnym i ślicznym obiektem uczuć w życiu Philipa. Kochał ją bez pamięci, tak że w średniowieczu byłby oskarżony o bluźnierstwo - miłość do żony tak wielką, że nie pozwoliłaby mu czcić żadnej świętości. Zresztą i tak nigdy nie był wierzący. Zapytany, mienił się deistą. Wierzył, że Bóg stworzył świat, a potem udał się na bezterminowy urlop, bo zdał sobie sprawę, że uporał się z tym zbyt szybko i takie dzieło przyniesie mu tylko wstyd.

Moralność, reguły zachowania i tak wzięły się z tego, co niezbędne i fundamentalne w prowadzeniu interesów, nie zaś z wierzeń religijnych.

Ze względu na biznes powstała policja, rząd, coraz lepsze drogi i mosty, służba zdrowia, ubezpieczenia społeczne, emerytury, nawet same religie. Kiedy w dziejach świata i człowieka religia stanowiła tak wielki interes, jak teraz? Ogromne sumy pieniędzy przepływały przez powstające jak grzyby po deszczu elektroniczne kościoły.

Jednakże nie miał nic przeciwko kościołom jako fabrykom pieniędzy. Dawały ludziom pracę, podatkami napełniały kasę państwa, napędzały rozwój, tworzyły państwa i władze, dawały jemu i wielu innym ludziom powód do życia.

Czułym ojcem Philip stał się dopiero po śmierci Natashy. Wiedział, jak bardzo żona kochała ich synka, i czuł bardzo silną więź z nieżyjącą małżonką tylko poprzez własne przywiązanie do dziecka. Jakaś jej część wciąż żyła w Dirku i z tego powodu chciał go kochać i rozpieszczać.

Po śmierci Natashy kobiety stały się dla Philipa Stonera po prostu innym rodzajem towaru. Prawda jest taka, że czuł niechęć do każdej piękności, jaką widział, i do każdej, która się z nim kochała. Czuł do nich niechęć za to, że żyły. Życie za bardzo go skrzywdziło, żeby mógł zainwestować swą czułość i miłość w istotę ludzką inną niż syn. Ryzyko odniesienia tak głębokiej rany po raz drugi było zbyt wielkie.

Philip wiedział, że w tradycyjnym pojęciu nie jest dobrym ojcem. Rzadko zabierał Dirka na mecze, pomagał mu w lekcjach czy rozmawiał poważnie jak ojciec z synem. W zamian za to otaczał go najlepszymi korepetytorami, najlepszymi opiekunkami. Gdy stało się jasne, że Dirk ma talent sportowy, Philip tego nie krytykował ani nie lekceważył. Zrozumiał, że w ten sposób jego syn będzie mógł zarobić pieniądze, i pomyślał, że to całkiem niezłe. Philip nauczył go, jak inwestować wygrane, i uczynił go milionerem jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności.

Wiedział, że Dirk to donżuan. Z początku nie przywiązywał do tego większej uwagi; właściwie nawet go to bawiło. Po jakimś czasie, gdy syn zaczął schodzić na psy, Philip wkroczył do akcji i wygłosił kazanie na temat strat.

- To niszczy twoją koncentrację - mówił. - Nie odniesiesz sukcesu, na jaki cię stać, i przegapisz mnóstwo okazji. Ustatkuj się. Kobiety nie są takie ważne.

Ojciec zawsze Dirkowi imponował. Syn bał się go i szanował, ale niewiele było w tym czułości. Ojciec stanowił zbyt wielką tajemnicę, za bardzo był opanowany i skupiony na obranym celu, by go można kochać. Był niemal nieprawdziwy. Gdy Dirk przedstawił mu Farah i oznajmił, że chyba się z nią ożeni, ojciec zdawał się to aprobować, a jego aprobaty potrzebował

nade wszystko. To było tak, jakby wszystko, co robił, musiało być zatwierdzone przez Boga.

Philip Stoner nie czuł się w najmniejszym stopniu odpowiedzialny za brutalne zachowanie syna. Przyznawał się jedynie - i to wyłącznie przed samym sobą - że za mało czasu poświęcił problemom małżeńskim jednaka. Gdy potem z nim rozmawiał, poznał zresztą drugą stronę medalu. Dirk opowiedział mu, jak Farah go dręczyła, zdradzała go, drażniła się z nim, a w końcu chciała go wykorzystać. Philip odkrył, że stoi po stronie syna. Zdawało mu się, że słyszy głos nieżyjącej żony błagający z zaświatów, by pomógł ich dziecku. Z biegiem dni uwierzył, że Dirk cierpi niesłusznie, że stał się kozłem ofiarnym, i postanowił uczynić co w jego mocy, by zapobiec egzekucji. Gdy wszelkie próby zawiodły, zrobił to, co w tej sytuacji było najlepsze. Sprawił, że ludzie o wszystkim zapomnieli.

A przynajmniej tak mu się zdawało.

Po tym, jak Dirk został osądzony i skazany - i po tym, jak wyrok wykonano - Philip sprzedał dom syna w Beverly Hills. Zbył też jego samochody i większość rzeczy. Czego nie zdołał sprzedać, rozdał albo umieścił w magazynach. Potem, jakby mógł wyrwać kartę z książki swego życia i zacząć od nowa, sprzedał własny dom w Bel Air i kupił inny, w Palos Verdes, z widokiem na ocean, położony na tyle wysoko i na tyle daleko od innych domów, by zapewnić samotność i prywatność. Aby być ich w stu procentach pewnym, kazał wybudować wokół posiadłości mur i zatrudnił ochronę.

Czterej strażnicy pilnujący na zmianę domu w dzień i w nocy tak naprawdę niewiele mieli do roboty, w związku z czym nieco się rozwydrzyli. Starali się wyglądać na zajętych, gdy Philip był w domu, ale przez większość czasu spali, oglądali telewizję i gadali przez telefon. Jeden z nich stwierdził nawet, że ich praca to jak opieka nad martwym dzieckiem.

Stoner miał kucharza, kamerdynera, dwie pokojówki, a także ogrodnika na cały etat. Był przyzwyczajony do życia w samotności i zapraszał gości tylko wówczas, gdy nuda dokuczyła mu do tego stopnia, że zaczynał odczuwać potrzebę rozrywki. Co prawda, wydawał imponujące uroczyste kolacje, na których bywali politycy, gwiazdy kina, najbogatsi biznesmeni, ludzie mediów, a od czasu do czasu jakiś dyplomata. Jeszcze nim zaczęły się problemy Dirka, dwa razy urządził nawet bal charytatywny.

Były czasy, kiedy jego dom był ekscytującym miejscem, ośrodkiem rozrywki, obiektem wymienianym w kronice towarzyskiej jako odwiedzany przez sławnych i bogatych. To jednak należało do przeszłości. Philipowi trochę tego brakowało, ale nie był człowiekiem, który długo opłakiwał straty. Porażka była dla niego bodźcem do szukania innego rozwiązania. Była

wyzwaniem, swego rodzaju próbą, a wyzwanie w zasadzie jako jedyne nadawało jeszcze sens jego życiu. Szukał konkurencji, z otwartymi rami-
onami witał przeciwników, często nawet specjalnie postępował tak, by
ich sobie przysporzyć.

Obecnie, wróciwszy z pracy do domu, nierzadko spędzał o zmierzchu fi-
lozoficzną godzinę, wpatrując się w ciemny ocean, który przypominał teraz
zakrzepniętą krew. Światła niewielkich łodzi i większych statków napępniały
go głębokim poczuciem samotności. Popijał drinka i zastanawiał się, czy nie
oznacza to, że sam Bóg jest jednostką wielce osamotnioną. Nigdy nie uwa-
żał za arogancję porównywanie się do Boga.

Ten wieczór zachęcał do takich obserwacji. Wcześniej otrzymał niepo-
kojący telefon i wyczekiwał, czując się jak człowiek, który wygląda własnego
przeznaczenia. Nadeszło w postaci cienia człowieka skradającego się za
domem, przemykającego w ciemności i ukazującego w skąpym świetle rzu-
canym zza okien przez lampy w domu.

Gdy cień stanął przed nim, Philip tylko popatrzył i kiwnął lekko głową,
jakby przez cały czas wiedział, że tam był, czał się w ciemności, czekając na
właściwą okazję.

- Cześć, tato - powiedział Jonathan Lewis.

- Jesteś większym głupcem, niż się spodziewałem - odpowiedział Philip
bez złości, jakby zwyczajnie stwierdzał fakt. - Czy zdajesz sobie sprawę, ile
ryzykujesz? I nie mówię teraz o pieniądzach.

- Nie mogłem już dłużej wytrzymać i byłem gotowy. Udowodniłem to w
ciągu tych ostatnich dwóch dni, tato. Nikt absolutnie niczego nie podej-
rzewał. Nic mi się nie stało. Wszystko będzie dobrze.

- Nie jesteś gotowy - odparł Philip. - Wszystko dopiero się zaczynało.
Musisz się jeszcze wiele nauczyć, przeciwzyć. A zgodziłeś się na wszystko,
zwłaszcza na terapię.

- Nie potrzebuję terapii.

- Oczywiście, że potrzebujesz. Chcę, żebyś wrócił - powiedział Philip. -
Nalegam, żebyś wrócił.

- Nie wracam, tato.

- Już samo to, że wciąż nazywasz mnie tatą, świadczy, iż musisz prze-
być jeszcze daleką drogę. Rodzice pana Lewisa nie żyją - przypomniał mu.

Dirk roześmiał się.

- A kto właściwie wymyślił to kretyńskie nazwisko? Jonathan Lewis?

- To nie jest nazwisko, które ktoś sobie ot tak wymyślił. To uważnie do-
brane dane odpowiadające naszym potrzebom, a twój beztroski do nich

stosunek to kolejny dowód na to, że wyjeżdżając, popełniłeś wielki błąd. Po części spodziewałem się, że tu przyjedziesz. Właściwie to miałem nadzieję, że będziesz miał dość rozumu, żeby tego nie robić, ale...

- A ja miałem nadzieję, że mój widok cię ucieszy. Masz rację. Chyba zwariowałem.

Philip zamilkł i skupił się na nowej twarzy swojego syna. Dopiero teraz zauważył zmiany. Łatwo mógł minąć Dirka na ulicy i nie mieć pojęcia, kogo spotkał. Felix Lawler był czarodziejem wartym każdego centa, jaki mu zapłacił, pomyślał, ale nie godnym nieskończonego zaufania. Jego śmierć była konieczna. Z doświadczenia Philip wiedział, że w takich ludziach zawsze budzi się chciwość i pojawiają się z nowymi żądaniem, z kolejnymi szantażami. W pewnym sensie ta decyzja była niezależna od niego, była nieuniknionym ogniwem w łańcuchu zdarzeń.

- Twój widok ucieszy mnie, kiedy będzie to bezpieczne - odezwał się w końcu.

- Jest bezpieczne teraz - upierał się Dirk.

Philip Stoner pokręcił głową.

- Chcę, żebyś wrócił. Każę komuś odwieźć cię na lotnisko i wsadzić do samolotu.

- Nie wracam. Mam ciekawsze rzeczy do roboty.

- Co takiego? Gdzie się wybierasz? Nie dałeś im szansy ułożenia ci nowego życia!

- Choćbyś nie wiem co dla mnie zrobił, choćby nie wiem co z tego ostatecznie wyszło, nie będę w stanie funkcjonować ze świadomością, że oni gdzieś tam są. To oni stanowią jedyne realne zagrożenie.

- Kto?

- A komu najbardziej zależało na mojej śmierci?

Philip popatrzył przez chwilę. Poczul zimną falę obmywającą mu stopy i wędrującą w górę nóg, by zatopić serce. Śnił o tym w koszmarach: ucieczka od kostuchy skrzywiła psychikę Dirka. Stoner nigdy do końca nie wierzył w tego więziennego lekarza i jego specyfiki, które rzekomo nie miały powodować żadnych skutków ubocznych. A jeśli medykamenty uczyniły z niego szaleńca?

Co, jeśli zamiast wykorzystać szansę i zostać lepszym człowiekiem, Dirk, muśnięty kosą śmierci, stał się jeszcze bardziej posępny i niebezpieczny?

- Nikt ci nie zagrozi, jeśli będziesz postępował tak, jak ci mówią, i wbijesz sobie do głowy to, czego cię uczą - powiedział Philip.

- Miałem nadzieję, że już o to zadbałeś - rzekł Dirk.

- Zadbałem o co? O czym ty mówisz?

- Nieważne, tato. Przyszedłem przede wszystkim po to, żebyś odwołał te psy. Powiedz, żeby dali mi spokój. Będę Jonathanem Lewisem i zacznę od nowa, ale powiedz im, że na moich warunkach. Wiem, że pewnie tu za mną gonią, i obaj wiemy, że możesz ich powstrzymać. Przekonali się już chyba, że nie mają do czynienia z człowiekiem, który nie potrafi się bronić.

- A więc to prawda. Zabijeś jedną z nich. Dlaczego?

- Ona była potworem. W końcu to ona by mnie zabiła.

- Chcę, żebyś wrócił - nalegał Philip.

- Jeśli ich nie odwołasz, to się nie skończy dobrze ani dla mnie, ani dla ciebie - oznajmił chłodno Dirk.

Philip czuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- Grozisz mi? Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Mówię ci tylko, jak jest. Nie zostanę tutaj. Wiem, że się denerwujesz. Życz mi szczęścia - powiedział i wycofał się w mrok.

- Zaczekaj! Nie mogę ich powstrzymać. Mają własny plan. Czeka!

Philip stał, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknął. Zobaczył przesuwający się cień, a potem nastąpiła cisza i taki bezruch, że zdawało mu się, iż cała ta rozmowa była wytworem jego własnej wyobraźni.

- A niech to - powiedział i popędził do domu.

Podszedł do telefonu na barze.

- Właśnie stąd odszedł - oznajmił głosowi, który usłyszał w słuchawce po jednym sygnale.

- Tak myśleliśmy. Będziemy tam za moment.

- Pospieszcie się. On jest... niebezpieczny - dodał. - Nie jest jeszcze na to przygotowany.

- Wiemy. Namierzaliśmy go w wypożyczalni samochodów, a potem u dawnej znajomej.

- Jakiej znajomej?

- U Carli Morgan. Nasi ludzie właśnie stamtąd wyszli. Nieźle narozrabiał.

- Jak to, narozrabiał? Czy ona...?

- Tak, proszę pana. Podobnie jak ktoś, kto najwyraźniej zjawiał się tam o niewłaściwej porze. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby to zatuszować, sprawić, żeby wyglądało na włamanie.

- Jezu. Po co on... Pewnie jakoś go rozpoznała - odpowiedział na własne niedokończone pytanie. - Nawet o tym nie wspomniał. Jest gorzej, niż myślałem.

- Zajmiemy się tym.

- Lepiej tak - powiedział Philip i rozłączył się.

Potem odwrócił się i popatrzył na zdjęcie nieżyjącej żony. Nieczęsto się uśmiechała. Jej usta miały w sobie łagodność Mony Lisy, czy tajemniczą czułość, delikatność, która zawsze zamieniała go w dziecko.

Jak potoczyłoby się życie nas wszystkich, gdyby nie zginęła w tamtym wypadku? - zastanawiał się.

A potem skarcił sam siebie za to, co uważał za słabość u innych - żalowanie własnych błędów, rozdzieranie szat.

To był tylko kolejny problem, który należało rozwiązać. Powróciła dawna pewność siebie i Philip zdecydowanym krokiem wyszedł z domu, by wylącać strażnika za nieschwytnie intruza, gdy tymczasem na poboczu drogi w pobliżu domu ojca Dirk siedział w swoim samochodzie i czekał. Nie chciał, by ktokolwiek widział, jak odjeżdża. Na potwierdzenie własnych podejrzeń ujrzał czarny, najnowszy model forda pędzący w górę wzgórza pod dom Philipa Stonera.

- Nie mogę ufać nawet własnemu ojcu - wymamrotał.

Ruszył i odjechał powoli z tą myślą, że lepiej nie odlatywać z lotniska LAX. Lepiej pojechać na Ontario, stwierdził. Tego nie będą w stanie przewidzieć.

Niewiele ponad godzinę później wchodził na lotnisko Ontario. Nie zwrócił samochodu do wypożyczalni, bo wtedy mogliby go namierzyć, trafić za nim na lotnisko i wiedzieliby, dokąd mógł polecieć. Zostawił wóz na strzeżonym parkingu i ruszył po bilet do Nowego Jorku.

Gdzież mógłby polecieć?

Tam, gdzie była ona.

Wczesnym przedpołudniem drugiego dnia pobytu w Billings, Ted Andrews wrócił wraz z Jimem Reynoldsem do biura tego drugiego z wysypiska w rezerwacie Indian. Billy wciąż zajęty był komputerem. Od Maksymiliana dowiedzieli się niewiele więcej niż pierwsi agenci, którzy się tam pojawili. Powiedział, że kilka dni wcześniej widział nieznany mu nowy model jakiegoś czarnego samochodu. Według niego mógł to być lincoln. Stał zaparkowany w pobliżu wysypiska, ale Maksymilian nie widział twarzy ani kierowcy, ani pasażera, choć wydaje mu się, że byli to mężczyźni. Ted zauważył na wysypisku inne dymiące jeszcze popieliska, a Maksymilian wyjaśnił mu, że czasem przychodzą tam dzieciaki i rozpalają małe ogniska.

- Udają, że wysyłają sygnały dymne - tłumaczył Maksymilian. - Dzieciaki często tu przychodzą strzelać do szturów, tak dla zabawy. Przeganiam je. Mogłyby trafić w moją przyczepę - podkreślił.

Nie potrafiłyby jednak zidentyfikować żadnego z małych Indian.

Reynolds, który już wcześniej był w rezerwacie i spotkał się z wodzami plemion, postanowił, że umówi się na rozmowy z rodzinami mieszkającymi w pobliżu i zapyta, czy któreś z dzieci czegoś nie zauważyły. Ted i James siedzieli w biurze i opowiadali o swoich doświadczeniach, aż zapukał i wszedł Billy.

- Mam dobrą wiadomość i złą wiadomość - oznajmił. - Która pierwsza?
- Dobra. Wtedy zła wyda się mniej zła - zaproponował Reynolds.
- W porządku. Sprawdziłem dystrybutorów zaopatrzenia medycznego i w końcu natknąłem się na dostawę do Big Sky.

- No i co z tego? Przecież to klinika weterynaryjna - skwitował Reynolds.

- Dobrałem się do faktur i sprawdziłem rodzaj towaru. Właściwie to zebrałem nazwy i przesłałem do szpitala. Większość tych materiałów weterynarzowi na nic się nie przyda...

- Ciekawe. Będziemy musieli poprosić Gersona, żeby nam to wyjaśnił.

- A jaka jest zła wiadomość?

- Nie mogę dobrać się do danych Korporacji Rainback. Nigdy nie widziałem takich zabezpieczeń. Całkiem jakby chcieli wpuścić w maliny każdego, kto spróbuje do nich zajrzeć. Pełno tam ślepych zaułków, komputerowych wirusów, a jeden z nich może praktycznie skasować cały twardy dysk włamywacza - dodał, spoglądając na Reynoldsa. - Żadnych nazwisk, nic. To musi zająć więcej czasu, niewykluczone, że dużo więcej.

- Ciekawe. A trafiłeś na jakiś ślad Felixa Lawlera w pobliskim hotelu albo motelu?

- Nie.

- A co z prywatnymi telefonami Gersona? Dzwonił do Los Angeles? - spytał Reynolds. - Mógł dzwonić z domu - zwrócił się do Teda.

- Racja. A więc, Billy?

- Żadnych połączeń z Los Angeles ani w ogóle z Kalifornią.

- A komórki? - odpowiedział Reynolds.

Ted odwrócił się do Billy'ego.

- Lawler miał aktywację tylko na Kalifornię. Tu też nic nie znalazłem.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej, zanim wrócimy do doktora Gersona - powiedział Reynolds. - Może próbować znaleźć jakieś wytłumaczenie dla zakupu sprzętu medycznego.

- Mam parę pomysłów - uspokoił go Billy.

Ted skinął, a Billy podał mu faktury i wyszedł.

- Dobry jest - stwierdził Reynolds. - Mógłby tu zostać.

Ted roześmiał się.

- To nieważne, gdzie się w danej chwili znajduje. I tak przez cały czas istnieje w cyberprzestrzeni.

- Fakt.

Zadzwoił telefon i Reynolds podniósł słuchawkę. Posłuchał przez chwilę.

- Tak, jest tutaj - odparł, otwierając szeroko oczy, by pokazać, pod jakim jest wrażeniem.

Wręczył słuchawkę Tedowi.

- Andrews - przedstawił się Ted i słuchał. - Już jadę - rzekł i wstając, podał telefon Reynoldsowi.

- O co chodzi? - spytał James. - Czy to był naprawdę Jack Bradley, asystent dyrektora?

- We własnej osobie. Mam się z nim spotkać tu niedaleko - oznajmił Ted i ruszył do drzwi.

- Jest tutaj? Gdzie?

- Nic więcej nie mogę powiedzieć. I tak mam wrażenie, że nie powinienem być mówić nawet tego - dodał Ted i wyszedł.

Dwadzieścia pięć minut później zatrzymał samochód na parkingu przed przydrożnym motelem „Czarny Niedźwiedź”, który zdawał się stać dość wysoko w rankingu tego typu miejsc. Składał się raczej z wolno stojących domków niż połączonych ze sobą pokoi. Skierował się do wejścia 4C, tak jak mu kazano. Ted zapukał i otworzył mu młody, jasnowłosy agent o szmaragdowych oczach, bez marynarki, z wystającą z boku bronią. Cofnął się o krok i Ted wszedł do pokoju.

Jack Bradley, czterdziestoletni mężczyzna, którego Ted widział tylko przez chwilę w Akademii FBI w Quantico, wytarł ręce w serwetkę i wstał, żeby go przywitać. Jadł akurat smażonego kurczaka. Czuć nim było w całym pokoju. Gdy Ted witał się z Bradleyem, z łazienki wyszedł kolejny agent, w garniturze.

Bradley był jakieś trzy centymetry niższy od Teda. Wyglądał na starszego, bardziej zżartego przez stres i odpowiedzialność niż wtedy, gdy Ted widział go po raz pierwszy, ale wciąż był człowiekiem, którego sylwetka robiła wrażenie - szeroki w barkach, muskularny, o dłoniach, które Ted nazywał rękami gracza w rugby. Oczyścił do końca żyłaste palce o dłoń zaproszonego agenta i ścisnął ją mocniej, prezentując swą władzę i pewność siebie. Ted poczuł się, jakby Bradley mógł go złapać niczym wrzcionowatą piłkę i rzucić nim przez pokój.

Z ciemnych, wąskich, przenikliwych oczu Bradleya bila arogancja. Jego uśmiech był uśmiechem dobrego polityka - ukazującym prawie wszystkie zęby, miękkie usta z kącikami rozchylonymi, jakby szycował się do następnego kęsa. Twarz miał pociągłą, a skórę na zuchwie mocno napiętą. Ciemnobrązowe włosy były dobrze ostrzyżone, ale nie krótkie jak u rekruta.

Ted nie mógł nic poradzić na zdenerwowanie, o jakie przyprawilo go to prywatne spotkanie. Bradley miał względy u dyrektora, bywał na zebraniach z udziałem kierownictwa, koordynował co ważniejsze akcje egzekwujące prawo i kontaktował się z senatorami, kongresmenami, a nawet głowami państwa. Czegóż, u licha, mógł chcieć od Teda?

- Ted, dziękuję, że tak szybko pan przyjechał. Chce pan kurczaka? Jeden znajomy, mieszkający tu niedaleko, polecił mi to miejsce i nic więcej nie powiedział. A oto moja słabość, prawdziwy południowy smażony kurczak.

Ted wiedział, że Bradley pochodził z Alabamy, ale daleko mu było do miana chłopka-roztropka. Wychowywał się też w Waszyngtonie i okolicach, a urodził się w rodzinie dyplomatów. Plotka głosiła, że tak naprawdę był nieślubnym synem dyrektora, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego w obecności innego agenta, bo ten mógłby sprzedać się za trzydzieści srebrników, żeby tylko przypodobać się człowiekowi, od którego zależał jego los.

- Nie, dziękuję. Bardzo lubię smażonego kurczaka, ale zjadłem właśnie potężny lunch.

- Ach tak, cóż, naszym zegarom chyba się wszystko popieprzyło. Co to my teraz mamy, śniadanie czy lunch, Ralph? - spytał Bradley agenta blondyna.

- Slunch - usłyszał.

- Niech pan siada, Ted - zaprosił i wskazał na krzesło przy stole.

Sam usiadł naprzeciwko i spojrzął na swoich dwóch agentów. Ci bez słowa wyszli z pokoju.

- Słyszałem o panu wiele dobrego, Ted - mówił dalej Bradley, gdy tylko zamknęły się drzwi. - Odpowiedni ludzie tam, na zachodzie, mają o panu jak najlepsze zdanie. Podoba się tam panu?

- Owszem.

- Ma pan rodzinę?

- Tak. Żonę i dwoje dzieci, dziewięcioletnią córkę i siedmioletniego syna.

Bradley pokiwał głową. Ted był pewien, że doradca samego szefa doskonale o wszystkim wie. Zagadywał go tylko, żeby obaj mogli się rozgrzać

przed decydującym starciem. Bradley nie należał jednak do ludzi cierpliwych.

- Przejdę od razu do rzeczy, Ted. Parę godzin temu doszło moich uszu, że tutejsze biuro wykorzystuje dostęp do komputera, żeby zapukać do drzwi firmy znanej jako Korporacja Rainback.

- To prawda. Mój asystent jest komputerowym maniakiem... geniuszem i dzięki bieganiu palców po klawiaturze udało mu się dotrzeć do kilku bardzo istotnych informacji - wyjaśnił Ted.

- Czemu zależy wam na informacjach o Rainback?

Ted krótko opowiedział o sprawie, o tym, jak udało im się wytropić doktora Lawlera i jego pielęgniarkę Irene Lester na lotnisku w Santa Monica, jak przeszledzili plany lotów i doszli do wniosku, że oboje polecili odrzutowcem będącym własnością Rainback najpierw do San Francisco, a stamtąd do Billings.

- Dzięki rejestracji połączeń telefonicznych odkryliśmy, że Lawler kontaktował się z Domem Pogrzebowym „Pola Elizejskie” niedaleko Oakland. Wtedy wydało mi się to bez sensu, ale mój kolega zasugerował, że być może wezwano tam chirurga plastycznego, bo miał wykonać jakąś pracę, do której wykorzystał dom pogrzebowy. Mój asystent jest także wielbicielem kina i przypomniało mu się, jak Marlon Brando w „Ojcu chrestnym” kazał człowiekowi zajmującemu się przygotowywaniem zwłok pozszywać postrzelonego syna. Pojechaliśmy tam, ale syn właścicielki niczego konkretnego nam nie powiedział. Jednak zakładając, że lekarzowi towarzyszyła w Oakland pielęgniarka, obaj doszliśmy do wniosku, że zabieg musiał dotyczyć żywej osoby. Nie mamy pojęcia, dlaczego miał zostać wykonany w domu pogrzebowym, no chyba że ktoś nie chciał, aby ktokolwiek inny o tym dowiedział. Dalej więc szukaliśmy w rejestrze połączeń, co doprowadziło nas do kliniki weterynaryjnej Big Sky. Wczoraj rozmawialiśmy z jej właścicielem i...

- Dobra robota - wtrącił zniecierpliwiony Bradley.

- Jednak mój komputerowy geniusz oznajmił mi właśnie, że natrafił na gruby mur wokół Korporacji Rainback - dodał szybko Ted.

- Zgadza się. A ja oczekuję, że nie uda mu się tego muru przeniknąć i że w ogóle przestanie próbować - rzekł Bradley z uśmiechem, lecz niezwykle stanowczo.

Wyraźnie należał do ludzi, którzy nie uznawali za konieczne tłumaczenia się z rozkazów podwładnym.

- Informacje na temat Korporacji Rainback są tajne, jak mało co w tym kraju, Ted, ale skoro pan i pański kolega zaczęliście łączyć jedno z drugim,

zdradzę panu coś, lecz nie może to opuścić tego pokoju. Czy to jasne?

- Tak jest - odparł bez wahania Ted.

- Dobrze. A więc Korporacja Rainback należy do nas. Zajmuje się rządowym programem ochrony świadków. Koniec, kropka.

Ted popatrzył przez chwilę, po czym skinął głową.

- Jak już mówiłem, zostało popełnione morderstwo, które miało związek z rezerwatem Indian, zaś ofiara często pracowała dla doktora Lawlera zamordowanego później w Palm Springs - wyjaśnił Ted - szliśmy więc tym tropem, który...

- Który zaprowadził was do Korporacji Rainback. Odkryliście więc, że mamy problem - powiedział Bradley - problem, który sami rozwiążemy. Wykonaliście świetną robotę. Bardzo nam pomogliście - dodał, podnosząc się.

Ted wstał szybko.

- Niech pan wraca do domu. Nacieszy się rodziną i wykreśli to wszystko ze swego kalendarza.

- To znaczy, że mam zostawić sprawę?

- Tak. Zajmie się nią ktoś inny, bo jest powiązana z czymś jeszcze.

Bradley wyciągnął rękę.

Ted podał swoją.

- Czy mam coś powiedzieć agentowi Reynoldsowi?

- Niech pan nic nikomu nie mówi. Jeśli już ktoś będzie pytał, zostało panu przydzielone inne zadanie. Zaczyna pan natychmiast - odparł Bradley z tym swoim uśmiechem doskonałego polityka.

Objął Teda ramieniem i odprowadził do drzwi.

- Szef zostanie poinformowany o pańskiej współpracy i pomocy. Wkrótce się do pana odezwiemy i chyba pana uszczęśliwimy. Nie będę ukrywał, że poleciłem pańskim przełożonym nagrodzić pana tygodniem dodatkowego urlopu. Proszę sobie zrobić małe wakacje.

- Dziękuję.

- Na pewno nie chce pan kawałka kurczaka? Jest naprawdę świetny

- Nie, dziękuję - odparł Ted.

Bradley otworzył drzwi. Ku zaskoczeniu Teda dwaj agenci stali tuż przy wejściu niczym pałacowa straż. Spojrzeli na Bradleya. Ted dostrzegł aprobujące spojrzenie i strażnicy rozluźnili się.

- Dobrze. Proszę ode mnie pozdrowić Martina Selzera - zawołał, gdy Ted wsiadał do samochodu.

- Oczywiście.

Bradley pozostał w drzwiach i patrzył, jak Ted uruchamia silnik i wycofuje samochód z parkingu. Pomachał ręką, a potem rzucił spojrzenie swoim dwóm agentom, którzy szybko schowali się do środka.

- „Mamy problem” - mrucał do siebie Ted - „problem, który sami rozwiążemy”? Cóż to, u diabła, miało znaczyć?

Akurat w tej chwili nie miał ochoty się tego dowiedzieć.

17

Wciąż w laboratoryjnym fartuchu założonym na jasnoniebieską bawełnianą bluzę i dżinsy, Elaine Ross wyszła z budynku i zbiegła po schodach. Pod pachą trzymała dwie książki i zeszyt. Październikowy wieczór był rześki, a powietrze przejrzyste. Miło było nim odetchnąć po prawie całym dniu spędzonym w dusznym laboratorium. Zaczynał się trzydniowy weekend. Musiała wprawdzie trochę popracować, ale obiecała sobie, że tym razem znajdzie wreszcie czas wyłącznie dla siebie. Miała nadzieję, że w końcu uda jej się zabawić.

Pierwszy raz od miesięcy uległa i dała się namówić Kathy Du Bois na spotkanie w Underground, jednym z klubów w SoHo. Kathy pochodziła z Lafayette w stanie Luizjana i była najbardziej interesującą dziewczyną, jaką Elaine spotkała na studiach. Miała francuskich przodków, jednych z pierwszych osadników w Ameryce, ale jakoś udało jej się pokonać pewne uprzedzenia i przeszkody i przekonać rodzinę, by pozwoliła jej studiować na Uniwersytecie Nowojorskim. Mówiła, że oni tam nie mają zaufania do niczego, co z północy, i chcieli, by studiowała w Nowym Orleanie.

- A jednak zawsze wierzyli, że dokonam czegoś w medycynie - opowiadała Elaine. - Urodziłam się leworęczna, a to znak od Opatrzności. Moja babka była znachorką. Nie śmieję się. Niektóre z jej naturalnych metod leczenia i ziołowych leków działają! Chociaż nie ośmieliłabym się wspomnieć o tym profesorowi Englemanowi - dodała, na co Elaine wybuchała śmiechem.

Kathy była wyjątkowo atrakcyjną brunetką o przepięknych czarnych oczach osadzonych miękko w jasnokarmelowej karnacji. W lewym policzku miała maleńki dołeczek, który to pojawiał się, to znikał, gdy mówiła. Większość mężczyzn z północy fascynował jej głos i śpiewny południowy akcent. Elaine była pewna, że mogła mieć każdego faceta, jakiego by zechciała, ale

Kathy zależało na karierze zawodowej chyba jeszcze bardziej niż jej.

- Mogłybyśmy być Thelmą i Louise Akademii Medycznej, wiesz? - powiedziała kiedyś Kathy. - Mamy teraz taki właśnie stosunek do facetów: nie odpowiada nam ich towarzystwo, nie odpowiada też jego brak, ale odpowiada to, że im brakuje naszego towarzystwa. Czy to ma jakiś sens?

- Nie - odparła Elaine, ale roześmiała się.

Obecność Kathy dobrze na nią wpływała. Ta dziewczyna zawsze kipiała życiem i radością.

Elaine musiała przyznać, że po śmierci Farah zakopała się w pracy, wykorzystując ją jako tarczę w walce z załamaniem i strachem. Ostatnio harowała jeszcze bardziej, chcąc zmęczyć się tak, żeby nie myśleć, nie pamiętać. W końcu doszła do wniosku, że czas stawić temu czoło. Powstawała na nowo, powracała z wygnania, na które sama się skazała, wypelzała ze skorupy, zdecydowana znów oddychać wolno.

Pośpieszyła chodnikiem, przebiegła przez jezdnię i dosłownie potruchtala dalej do mieszkania, niepomna na ruch na jezdni, ludzi i hałas dookoła. Nie było mowy, żeby zauważyła, że ktoś ją śledzi. Nikt jej nie zagadnął, nie zawołał ani nie zwrócił na siebie jej uwagi, aż weszła do kamienicy, a potem do kawalerki na trzecim piętrze. Był to jeden z tych starszych domów bez windy, ale dobrze utrzymany, cichy i przytulny, a większość pozostałych lokatorów stanowili starsi ludzie. Mieszkało się jej tutaj spokojnie i bezpiecznie.

Dopiero gdy usiadła przed lustrem i zaczęła myśleć o przygotowaniach do wyjścia, powróciły myśli o Farah. Ileż to razy siadała na jej łóżku albo u jej stóp i przyglądała się, jak siostra robi sobie makijaż, rozprawiając o znaczeniu uważnie nakładanych kosmetyków. Farah za każdym razem traktowała swoją twarz jak czyste płótno. Patrzyła na siebie w pewien szczególny sposób, przyglądała się sobie uważnie, oceniała rysy jak ktoś, kto nigdy wcześniej siebie nie widział; i tak za każdym razem.

Elaine przyjrzała się własnej twarzy. Może wcale nie była taka przeciętna. Może ona także była ładna. Może była podobna do starszej siostry bardziej, niż się jej kiedykolwiek wydawało. Siedziała tam, poruszając ramionami, wydymając usta, przewracając oczami tak, jak często widziała to u Farah. Roześmiała się, a po chwili znowu posmutniała.

- Tęsknię za tobą, siostrzo - wyszeptła do własnego odbicia. - Bardziej, niż bym się tego spodziewała.

Wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie, jak Farah pouczała ją o zaletnych spojrzeniach i intrygujących uśmiechach.

„Wypełnij swój umysł cukrową watą - mawiała. - Słodkie myśli to słodki wygląd. I nie bądź poważna. Faceci nie cierpią zawsze poważnych kobiet”.

- Słyszę cię, Farah. Tak, tak, naprawdę słyszę - wyszeptała znowu i zaczęła się malować.

Gdy podeszła do szafy, żeby znaleźć coś do ubrania, jej wzrok, jakby przyciągnięty przez swoisty magnes, padł na sukienkę, którą pożyczyła od Farah na kilka miesięcy przed morderstwem. Zwykle nie mogły nosić tych samych rzeczy, ale ta czarna dzianina dopasowywała się do figury, a do tego, przylegając do ciała, była bardzo seksowna. A jednak Elaine jeszcze nigdzie się w niej nie pokazała. Pożyczyła ją, przymierzyła, a potem straciła odwagę. Farah nawrzeszczała na nią i kazała trzymać suknię, dopóki przynajmniej raz jej nie założy.

Niewiele pozostawiała do odgadnięcia; raczej pobudzała męskie fantazje, myślała Elaine. Na pewno; pobudzała przecież nawet jej własną wyobraźnię. A jednak gdy założyła ją na stanik i majtki, wyglądała nieciekawie. Nie mogła ubrać pod nią biustonosza, a majtki... musiałaby założyć te stringi, które dostała od siostry. Serce załomotało jej na samą myśl, że miałyby to zrobić. Czemu bała się własnej atrakcyjności? Sama nie miała pojęcia. Nie poszła z tym do psychoanalityka i nigdy nikomu się z tego nie zwierzyła, nawet Kathy.

Najprostsze wyjaśnienie, jakie przychodziło jej do głowy, to takie, że zawsze bała się wszystkiego, co pozbawiało ją pełnej kontroli nad własnym życiem. Nigdy nie próbowała palić trawki, nie myślała nawet o kokainie i zawsze ograniczała się do jednego tylko drinka, choćby nie wiadomo jaka była ku temu okazja. Odkąd po raz pierwszy przeżyła orgazm, czuła, że w walce z namiętnością staje się całkiem bezradna.

Patrząc na to z punktu widzenia nauki, doszła do wniosku, że nie ma w przyrodzie popędu równie silnego, jak popęd płciowy. Opanowywał i pożerał, miał na to swoje sposoby, a w jej wyobraźni seks przypominał śpiącą bestię, która raz szturchnięta, huczała we krwi, wstrząsała całym ciałem i ścisnęła ofiarę tak silnie, że ta mogła się tylko poddać jej głodowi i pragnieniu.

Skutkiem takiego przekonania wciąż była dziewicą, choć przez cały czas robiła, co w jej mocy, by uchronić za obytą, wyrafinowaną, doświadczoną. Wielu mężczyzn zniechęcała swym wyniosłym, protekcyjnym zachowaniem. Zdawało im się, że wie o miłości, seksie, całym tym kramie, więcej od nich. Żaden z poznanych przez nią facetów nie rozumiał, że to tylko fasada, za którą kryje się młoda dziewczyna drżąca ze strachu przed samą sobą.

Nawet Farah wierzyła, że Elaine miała za sobą jakieś seksualne doświadczenia. Posunęła się nawet do tego, że pytała Elaine o zdanie z jej naukowego punktu widzenia, zawsze przekonana, że siostra zna zagadnienie z autopsji i potrafi lepiej je ująć w słowa i wyjaśnić. Elaine umiała cytować książki, rozkładać uczucia na części pierwsze, potrafiła rozwiązywać problemy, ale niczego nie знаła z własnego doświadczenia.

I znów, zamiast stawić problemowi czoła, wolała zakopać się w pracy i nauce. Snuła rozważania, wiele sobie obiecywała, odkładała związki na później, wyrabiając sobie opinię osoby o ustalonej hierarchii wartości, która, w przeciwieństwie do innych dziewczyn w jej wieku, była mądra i nad wszystkim panowała.

Jestem kobietą zawodowego sukcesu, a nie tylko kobietą, której przypadkiem udało się odnieść zawodowy sukces, myślała.

A jednak coraz częściej zdarzało się jej pragnąć miłości i coraz bardziej chciała być taka jak siostra.

Z zadumy wyrwał ją telefon.

- Halo - rzuciła łamiącym się, ku jej własnemu zaskoczeniu, głosem.

- To tylko ja. Chcę się upewnić, że mnie nie wystawisz - powiedziała Kathy.

- Przyjdę.

Serce Elaine biło coraz mocniej. Dodała:

- Powiedziałam, że przyjdę, więc przyjdę. Ale nie oczekuję zbyt wiele.

- Dobrze, więc się nie rozczarujesz, za to będziesz wdzięczna - stwierdziła Kathy. - Mój dziadek zawsze tak mawiał, gdy szedł łowić krewetki.

Elaine roześmiała się.

- Na razie - pożegnała się i wróciła do przygotowań: nieco bardziej zdecydowana, nieco bardziej skora, znacznie bardziej wystraszona.

W dole po drugiej stronie ulicy Jonathan Thomas Lewis, jak go teraz nazywano, stał oparty o zaparkowany samochód i patrzył w górę na okna mieszkania Elaine. Dzięki niedrogemu detektywowi niewiele czasu potrzebował, by ją odnaleźć. Co rusz dostrzegał jej cień poruszający się po pokoju na tle drogich koronkowych firan. Zastanawiał się, czy nie wejść na górę, ale coś, jakiś instynkt sprawił, że się zawahał. Ostatnio lubił się w niego wsłuchiwać. Poruszać się jak zwierzę, myśleć jak zwierzę, reagować jak zwierzę, powtarzał sobie. W takich chwilach, uświadomiwszy sobie, że jest zarówno myśliwym, jak i zwierzyną, wiedział, że warto zachować niektóre prymitywne cechy.

Zawsze trzymał się cienia, poruszał się miękko, chytrze, szybko i ukradkiem, nieustannie wypatrując kogoś, kto mógłby wyglądać, jakby na niego polował. Wszyscy oni mieli taki sam zimny, wyrachowany wyraz twarzy, myślał. Nietrudno będzie ich poznać. Sztuka polegała tylko na tym, żeby rozpoznać ich, zanim oni rozpoznają jego. Czy byli na tle dobrzy, żeby przewidzieć każdy jego ruch, domyślić się, dokąd się uda i co zechce zrobić?

To była cicha ulica; z łatwością można było na niej dostrzec czającego się osobnika. Pozostawał praktycznie w bezruchu, prawie niezauważalny, zlewał się z otaczającą go ciemnością. Gdy u Elaine zgasły światła, jego serce zabiło szybciej, a on sam skoncentrował się bardzo, oczekując samochodu, który zatrzymałby się przed kamienicą. Był weekend, z pewnością więc szykowała się na spotkanie. Chciał się teraz o niej jak najwięcej dowiedzieć, przeprowadzić własne śledztwo, żeby dosłownie poczuła jego oddech na własnym karku. Jakże zaskoczony, acz wdzięczny był, gdy zobaczył ją wychodzącą z domu i zmierzającą szybko do rogu ulicy. Nic nie mogło mu bardziej ułatwić zadania i przyspieszyć jego wykonania.

Stał zbyt daleko, by zauważyć szczegóły, ale chyba była wystrojona. Miała ułożone włosy, buty na wysokich obcasach i lekki płaszcz rozchylony na tyle, by mógł zobaczyć czarną sukienkę. Na skrzyżowaniu zatrzymała się, zeszła z krawężnika i kiwnęła na taksówkę. Jonathan zauważył, że jedna jedzie też i w jego stronę. Szybko wyszedł na jezdnię i przywołał ją. Samochód stanął i Jonathan wsiadł.

- Dokąd, panie? - zapytał hinduski kierowca w turbanie.

Jonathan wsunął mu przez okienko studolarowy banknot.

- Widzi pan tę dziewczynę czekającą na taksówkę?

- Tak, panie.

- Niech pan poczeka, aż jakąś złapie, a potem jedzie za nią. Jeśli się panu uda, dostanie pan jeszcze stówę.

Kierowca popatrzył na banknot, a potem na niego, żeby sprawdzić, czy mówi poważnie.

- O, udało jej się. Niech się pan lepiej przygotuje - ostrzegł Jonathan.

Kierowca wziął pierwszą setkę i odwrócił się. Gdy Elaine wsiadła do taksówki, ruszył za nią.

Jonathan oparł się wygodnie. Za pieniądze można mieć wszystko. Zawsze tak było i zawsze będzie.

Przypomniał sobie, że Elaine nigdy nie dbała o pieniądze. Zniechęciła go od pierwszego wejrzenia i nic nie obchodziło ją jego bogactwo. Dobrze też pamiętał jej kpiny, jej prowokacje, jej przekłete feministyczne podejście do

życia. Gardził nią, bo potrafiła go przejrzeć. Jednak jak na ironię, tym bardziej go to poruszało. Nie była tak piękna jak Farah, ale Farah nie stanowiła dla niego wyzwania. Czasami flirtował z Elaine i raz czy dwa zdawało mu się, że się zarumieniła albo spojrzała na niego z erotycznym zainteresowaniem, ale gdy tylko się zorientowała, opędzała się od tego natychmiast. Nie mógł wtedy powstrzymać się od fantazji na jej temat. Stanowiła dla niego owoc zakazany, a owoc zakazany zawsze kusi najbardziej. A poza tym, czy było w jego życiu coś, czego pragnął, a w ten czy inny sposób nie zdobył? Czemu Elaine Ross miałyby być wyjątkiem tylko dlatego, że był mężem jej siostry?

Śmiał się teraz z tego wszystkiego. Otrzymał drugą szansę i nie miał zamiaru jej zmarnować. Nie mógł sobie pozwolić na porażkę. Nigdy by się z nią nie pogodził.

Jechał za nią, a gdy jej taksówka zatrzymała się przed klubem, kazał swojemu kierowcy stanąć jakieś trzysta metrów dalej. Wręczył mu drugą setkę, po czym popatrzył z zaciekawieniem, jak Elaine wchodzi do klubu.

Uśmiechnął się do siebie. Dobrze było poczuć znowu to erotyczne wyzwanie. Był napalony i na wszystko gotowy. Charakterystycznym dla siebie niedbałym krokiem wszedł powoli do Undergroundu i zjawił się na, jak mu się zdawało, polu bitwy.

Elaine zatrzymała się zaraz za drzwiami. Doskonała nazwa dla takiego klubu, pomyślała z pogardą. Schody prowadziły głęboko w dół, w przejściu było ciemno jak w jaskini i wszędzie czuć było stęchłą wymieszaną z papierosowym dymem i potem.

Elaine popatrzyła przed siebie. Pomieszczenie wyglądało jak piekło - jaskrawe różowe, niebieskie, czerwone i żółte światła migotały ponad tłumem i padały na zdobione sztukaterią ściany. Posadzka pokryta była warstwą szkła, pod którą bulgotała rubinowa ciecz, dając hulającym wrażenie, że tańczą na rzece wina albo... krwi. Dym z papierosów spowijał ich i oplatał, tworząc sieć, chwytając jak w pułapkę w czarną chmurę ich własnej produkcji.

Elaine nigdy nie czuła się dobrze w barach i na imprezach, zwłaszcza w takich miejscach jak to. Głośna muzyka, wódka, cała ta atmosfera zmieniała ludzi czy może wyzwalala dzikość i zło, które wcześniej spokojnie w nich drzemały. Na przykład ta wysoka, chuda brunetka w obcisłej miniówce przemykająca jak gryzoń w stronę resztek jedzenia. Aż dostała wytrzeszczu oczu. Albo ta hoża rudowłosa w push-upie, z falującym biustem, krążąca wokół swego partnera niczym gotów do skoku kot, zarzucająca mu na szyję ręce z palcami wygiętymi niby szpony.

Elaine oczywiście wiedziała, co powiedziałyby na to Kathy: te dziewczyny przynajmniej tańczą; mają partnerów i najpewniej nie wyjdą stąd same. Kathy niestety miała rację, ale Elaine poczuła w brzuchu lekkie łaskotanie paniki. Zaczynała tracić odwagę.

Nie wiem, czemu zgodziłam się przyjść, pomyślała. Ledwo postawiła tu nogę, a w jej mózgu już się zakotłowało. Była pewna, że wszyscy na nią patrzą. Gdzie się podziały Kathy? Uświadomiła sobie, że nie może stać tam bez końca. Powędrowała wzrokiem w głąb pomieszczenia, wypatrując najciemniejszego, najbardziej odosobnionego miejsca przy barze, i nerwowo zaczęła grzebać w torebce, próbując znaleźć pieniądze.

- Spokojnie - usłyszała.

Podszedł do niej tak szybko, jakby wszedł tam razem z nią.

- Niepotrzebne ci tutaj pieniądze.

- Słucham? Wyłonił się z cienia.

- Powiedziałem, że niepotrzebne ci tutaj pieniądze. Czego się napijesz?

Popatrzyła na intruza, oszołomiona jego bezpośredniością. Jej pierwszą reakcją była złość na jego bezczelność, ale potem uspokoiła się i powiedziała sobie, że musi mieć do facetów mniej negatywny stosunek, że powinna spróbować pomyśleć, co zrobiłaby na jej miejscu Farah. Roześmiałyby się pewnie i zamówiła drinka.

- Chciałaś się czegoś napić, prawda? - powiedział z uśmiechem.

Przy jego zmysłowych ustach wyglądało to na coś więcej niż tylko przyjacielski uśmiech. To niezwykle atrakcyjny, pewny siebie, przystojny mężczyzna, pomyślała. Może powinna się zabawić w oczekiwaniu na Kathy. Może powinna poigrać z ogniem.

- Ach, tak. Poproszę kieliszek Chardonnay.

- Chardonnay. Pewnie jesteś z Kalifornii - powiedział, siadając obok niej. - Kieliszek Chardonnay i Absolut z tonikiem i plasterkiem limonki - rzucił ostro barmanowi.

Potem wyprostował się, a jego twarz znowu spowił cień.

- Dziękuję - powiedziała.

Zaskoczyła samą siebie i przestraszyła tym spontanicznym wyczynem.

- Nie ma sprawy. Przez chwilę wyglądałaś na odrobinę zagubioną i pomyślałem, że znalazłem kogoś, kto czuje się podobnie jak ja.

Znów pochylił się w przód i uśmiechnął się.

- Jestem tu obcy - dodał.

- O.

Parsknęła śmiechem, słabym i delikatnym - śmiechem, który zadziałał jej na nerwy, bo tak bardzo wydawał się wymuszony.

- Cóż, jeśli mam być całkowicie szczerą, nie byłam pewna, czy w ogóle powinnam tu przychodzić. Nawet jak już weszłam. Mam się spotkać z przyjaciółką i miałam nadzieję, że będzie tu przede mną - dodała, jakby to miało wyjaśnić wszystko, całe jej życie, to, dlaczego była sama, dlaczego wyglądała i czuła się tak, a nie inaczej.

- Cieszę się, że miałaś się spotkać z przyjaciółką, a nie z przyjacielem - powiedział z krótkim, niemal bezgłośnym śmiechem.

Dirk się tak śmiał - przypomniało się jej - prychnąc powietrzem przez nos.

Barman przyniósł jej wino i jego wódkę z tonikiem. Dirk też to pił, pomyślała i natychmiast skarciła się za wyszukiwanie podobieństw do Dirka Stonera w każdym napotkanym mężczyźnie. Dokładnie tego każdy mógł się po niej spodziewać.

- Czemu powiedziałaś, że pewnie jestem z Kalifornii? - zapytała.

Nie podobało się jej, że gdy siedział, cień padał na jego twarz jak maska zakrywająca oczy. Zawsze czuła się nieswojo, gdy nie widziała oczu rozmówcy. Dirk uwielbiał nosić lustrzane okulary przeciwsłoneczne, nawet nocą. Pewnie, żeby ukryć żądze i zło, jakie w nim siedziały.

- Byłem kiedyś w Kalifornii i wszystkie kobiety, jakie poznałem, zamawiały Chardonnay.

- Nie jestem owcą pędzącą za stadem. Piję to, co lubię, a nie to, co zamawiają wszyscy.

- Ups. Nie miałem zamiaru cię urazić.

Pochylił się. Było wokół jego oczu coś, co nadawało mu wyraz rozbawienia. Nos miał zbyt prosty, by mógł być dziełem natury, zaś w pełnych ustach było coś dziwnie znajomego w tym, jak unosił prawy kącik.

- Widzę, że łatwo cię rozdrażnić.

- Niezupełnie - odparła, biorąc łyk wina, po czym odwróciła się i rozejrzała po tłumie za Kathy.

Zobaczyła ją, jak wchodzi, i pokiwała ręką.

- Przyjaciółka przyszła?

- Tak - rzekła uszczęśliwiona.

Muzyka stała się głośniejsza. Kathy podeszła szybko i dziewczyny uściślały się.

- Przepraszam, że tak późno. Nie mogłam złapać taksówki.

Jej wzrok powędrował do Jonathana, który siedział tam, uśmiechając się do niej.

- Cześć - powiedział. - Niepokoił się o ciebie.

- Słucham?

Elaine uśmiechnęła się.

- Nie wiem nawet, jak ma na imię. Postawił mi tylko kieliszek wina, a potem mnie obraził.

- To nieprawda - zaprotestował.- Zauważyłem tylko, że wszystkie poznane przeze mnie kobiety z Kalifornii piły Chardonnay - sprostował, wymawiając nazwę wina, jakby było jakimś wyjątkowym szampanem.

Kathy uśmiechnęła się i spojrzała na Elaine.

- Mogę postawić ci coś do picia? Chardonnay?

- Nie, ja pijam coś, co nazywają mrożoną herbatą.

- Ach tak - rzekł Jonathan. - Wiem, co to jest.

Kiwnął na barmana.

- A zatem - zaczęła Kathy, zerkając na Jonathana - kim jest ten hojny mężczyzna?

- No właśnie, kim jesteś? - spytała Elaine.

- Jonathan Thomas Lewis - przedstawił się, wyciągając rękę. Elaine podała swoją, a potem przywitali się z Kathy.

- Zawsze tu tak tłoczno? - zapytał.

- Tak - odparła Kathy. - Ostatnio. Wiesz, jak to jest, gdy jakiś klub staje się miejscem, w którym należy bywać - dodała, wzruszając ramionami.

- Wiem.

Było coś intrygującego w tym, jak odrzucał głowę, gdy skończył mówić, coś w tym uśmiechu. Elaine nakazała sobie nie gapić się i nie dopatrywać się podobieństw. Oczyścić umysł, odprężyć się - pouczała się. Zaczynaj coś, co będzie przypominało normalną rozmowę, na litość boską.

- A więc *kim* jesteś? - spytała, gdy barman przyniósł mrożoną herbatę Kathy. - To znaczy, co porabiasz, gdy nie stawiasz drinków nieznanym młodym kobietom?

- Handluję sprzętem sportowym. Dlatego dużo podróżuję. Mamy swój zjazd w Nowym Jorku, ale chciałem odpocząć od interesów i trochę się rozerwać - wyjaśnił.

Zamieszał drinka, wyjął mieszadło i oblizał. Elaine przeszedł dreszcz.

Dirk zawsze tak robił - jakby pieścił mieszadło; przytrzymał je w ustach i posłał jej wymowne spojrzenie.

- Po południu spytałem kogoś o najbardziej odjazdowe miejsce w mieście i dowiedziałem się, że powinienem przyjść tutaj - kontynuował Jonathan. - Zjawiłem się zaledwie kilka minut przed wami - dodał, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

- Naprawdę? - powiedziała Elaine i odwróciła się do Kathy.
- Ładną sukienkę założyłaś - pochwaliła koleżanka, pokazując głową na to, co udało się jej zobaczyć pod płaszczem.

- Dzięki. Pożyczyłam od siostry - odparła cicho Elaine.

Kathy pokiwała głową i zdjęła okrycie. Sama była ubrana w spódnice przed kolano i sweterek z jasnoniebieskiej bawełny. Rytm muzyki wprawiał w drżenie podłogę.

- Nie wiem, jak można w takich miejscach w ogóle myśleć - zauważyła Elaine.

- Ludzie nie przychodzą tu, żeby myśleć - odparł Jonathan. - Przycho-
dzą, żeby potańczyć i się zabawić.

Elaine kiwnęła głową.

- A co *ty* na to? - zapytał.

- Na co?

- Nie chciałabyś zatańczyć?

- Zatańczyć?

- Zdaje się, że to tutaj dość popularne zajęcie - dowcipkował.

Elaine popatrzyła na przyjaciółkę.

- Idź - nakazała Kathy.

Zawahała się. Kathy pomogła jej zdjąć płaszcz.

- Nie jestem w tym za dobra - ostrzegła Elaine.

- Nie wierzę - odparł Jonathan, ześlizgując się ze stołka i chwytając ją za łokieć.

Rzuciła Kathy spanikowane spojrzenie, a ta uśmiechnęła się tylko i pomachała zaraz do kogoś znajomego.

Elaine pozwoliła poprowadzić się na parkiet. Sposób, w jaki ją trzymał, zdradzał stanowczość i pewność siebie. Popatrzył jej prosto w oczy i zaczął się poruszać. Elaine też zaczęła tańczyć, próbując go naśladować i wyglądać równie dobrze jak on. Był taki pełen wdzięku i atrakcyjny, prawie tak atrakcyjny jak... Szybko wybiła sobie z głowy to porównanie i zamknęła oczy, pozwalając ponieść się muzyce. Była pewna, że wygląda dziwacznie i pokracznie.

- Dobra jesteś - powiedział, nachylając się do jej ucha.

Położył rękę na wysokości jej talii i zaczął kołysać, obracając się wraz z nią i zmuszając ją do podjęcia kroku. I już poruszała się tak jak on, imitując jego ruchy, czując się coraz pewniej.

Straciła poczucie czasu i zapomniała o kłębiącym się dokoła tłumie. Taniec nigdy nie był dla niej bardziej podniecający, nigdy nie czuła się w nim bardziej spełniona i zaspokojona. Prawie nie rozmawiali, ale zauważyła, że on nie spuszcza z niej wzroku. Trochę ją to speszyło, ale też było niemalym

pochlebstwem. Po chwili poczuła się, jakby wślizgnęła się w ciepły kokon - kokon, który on utkał wokół niej swym spojrzeniem, ruchami, wilgotną zmysłowością swoich ust.

Kilka razy wracali do baru, by pokrzepić się kolejnymi drinkami. Szybko odkryli, że Kathy tańczy z dwoma mężczyznami. Pomachała im i uśmiechnęła się.

- Wygląda na to, że się nieźle bawi - zauważył Jonathan przy barze.

- Tak, to niezwykle radosna osobowość. Pokiwał głową i spojrzał na nią.

- A ty pewnie należysz do tych poważnych?

- Chyba tak. Ale skąd wiesz? Mam to wypisane na czole?

- Znam się na ludziach. Muszę, jeśli chcę odnieść sukces w interesach - rzekł. - Ale to nic nie szkodzi - dodał. - W powadze nie ma nic złego. I tak uważam, że poważne kobiety są najbardziej interesujące.

Elaine uśmiechnęła się kokieterystycznie.

- Niezły z pana bajerant, panie Lewis.

- Wolę, jak mówisz Jonathan, no i w ogóle, jak do mnie mówisz...

Znowu się uśmiechnęła. Miał te same powiedzenia co... Nieważne, pomyślała. Daj spokój tym porównaniom.

Wrócili na parkiet i gdy poruszali się w takt muzyki, nagle przyszło jej do głowy, iż to niezwykle, że w ogóle nie zadaje jej pytań. Nie zapytał, co robi, skąd pochodzi. Tak jakby... jakby ją znał. Może tak to już dzisiaj jest, pomyślała. Ludzie nie chcą tak naprawdę za dużo o sobie wiedzieć. Boją się powiedzieć coś, co może zostać wzięte na poważnie.

Wreszcie wykończeni, ale napełnieni dziwną energią, Elaine, Jonathan, Kathy i kolega ze studiów Curt Kaplow usiedli przy stoliku na tyle oddalonym od parkietu, że słyszeli się nawzajem i mogli porozmawiać. Curt zadał Jonathanowi więcej pytań niż Elaine.

- Z akcentu wnioskuję, że pochodzisz z Nowej Anglii - dociekał Curt. - Skąd dokładnie?

- Z małego miasteczka niedaleko Bostonu - odparł szybko, spuszczać wzrok.

- Dość dobrze znam okolice Bostonu - oznajmił Curt. - Jak się nazywa to miasteczko?

- Na pewno go nie znasz. To dziura zabita dechami.

- Zobaczysz, że znam. Spróbuj.

Jonathan popatrzył na niego.

- Philipsport - odparł.

- Masz rację. Nigdy o nim nie słyszałem - powiedział Curt. - To na wschód od Bostonu, bardziej w stronę Przyłądka?

- Na południe. Południowy zachód.

Odwrócił się rozszłoszczony pytaniami. Elaine zauważyła, że gdy się złościł, w kącikach ust występowały mu białe plamki.

Przyjrzała mu się dokładniej. Skórę na zuchwie miał bardzo napiętą. Przy jasnym świetle chwilami wyglądała na prawie przezroczystą, zaś kości policzkowe na nienaturalnie wystające. Jego gesty budziły w niej dziwny niepokój - to, jak podkurczał mały palec, kładąc ręce na stole, jak pochylał się do przodu i rozglądał dokoła. Nosił go, był przepełniony nerwowością, która nagle przestała się jej podobać.

I wtedy dostrzegła to coś. W lepszym świetle, tuż pod włosami z tyłu głowy zobaczyła maleńkie znamię, ledwo zauważalne. Nie miała wątpliwości, że je widziała. A może... Czy to możliwe, że światła i cienie zagrały na jej wyobraźni?

Popatrzyła na Kathy, która dostrzegła już jej niepokój.

- Robi się późno - powiedziała Elaine.

Kathy kiwnęła głową.

- Może poszlibyśmy wszyscy gdzieś na kawę? - zaproponował Jonathan. - Ja stawiam.

- Nie, ja nie mogę - odpowiedziała Elaine. - Jestem wykończona.

- Gdzie się zatrzymałeś? - zapytał Curt.

- W Waldorfie - warknął Jonathan. - Mogę odwieźć cię do domu? - zwrócił się do Elaine. - Zawołam taksówkę.

- Nie, dziękuję.

- To żaden problem. W końcu zrobiłaś mi tę przyjemność i wytrzymałaś ze mną przez cały ten rock-and-roll - dodał.

- Rock-and-roll? - powtórzył Curt i parsknął śmiechem. - Już dawno nie słyszałem takiego określenia.

- Taki ze mnie trochę staroświecki facet - odpalił Jonathan tonem ostrym jak brzytwa.

Elaine nastawiła uszu. Zauważyła, że tracił akcent, gdy się zdenerwował. Dziwne.

Wlepił w nią wzrok.

- A więc? - powiedział. - Mam zawołać taksówkę?

- Nie, dzięki - wtrąciła Kathy. - Elaine i ja pojedziemy razem.

- Cóż, przykro patrzeć, jak taka piękna przyjaźń kończy się tak szybko. Może mógłbym zadzwonić do ciebie jutro? Zaprosić cię na kolację?

- Przykro mi, ale jutro jestem zajęta - odrzekła Elaine.

Podniosła się, a Curt pomógł jej założyć płaszcz. Jonathan siedział z bardzo niezadowoloną miną. To, jak przytrzymał dolną szczękę, znów sprawiło,

że wzdłuż kręgosłupa przemaszerowały jej mrówki napięcia i lęku. Czują, że musi wyjść.

- Chyba też już pójdę - powiedział.

- Ja jeszcze trochę zostanę - oznajmił Curt. - Miło było cię poznać, Jonathan - dodał i wyciągnął rękę.

Jonathan podał swoją i pożegnał się szybko, cofając rękę niemal w tym samym momencie, co ją podał. Curt odwrócił się do Elaine, pokazując jej zdziwioną minę, po czym wrócił na parkiet.

Elaine i Kathy, z Jonathanem tuż za swoimi plecami, zaczęły kierować się ku wyjściu.

- Czy naprawdę nie będzie mi wolno zachować się po rycersku i zwołać ci taksówki? - zwrócił się do Elaine.

- Nie, dziękuję.

Doszły do rogu budynku i Kathy rozejrzała się po ulicy. Gdy Elaine odwróciła głowę i spojrzała na Jonathana, ten wyglądał na rozwścieczonego; wzrok wlepił w nią tak, że serce zaczęło jej skakać.

- Cóż, pozostaje mieć nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy - powiedział.

Wyciągnął rękę. Elaine niechętnie podała mu swoją, a on ścisnął ją mocno.

- Byłaś naprawdę niezła, E Lame* - rzekł i wypuścił jej dłoń.

* lame (ang.) - chromy, kaleki.

Krew w żyłach Elaine zamieniła się w skałę.

Nie spojrzał na nią ponownie. Odszedł szybko w górę ulicy. Kathy przywołała taksówkę. Spojrzała na Elaine akurat, gdy samochód zatrzymał się przy krawężniku.

- Co jest? - zapytała. Elaine pokręciła głową.

- *Co się stało?* - spytała znów Kathy, zbliżając się do niej.

- Ja... nie mogę złapać tchu.

18

Kierowca otworzył drzwi limuzyny Philipa Stonera; Lamar Browne wsiadł i szybko usadowił się naprzeciw niego. Drzwi zamknęły się. Przez chwilę dwaj mężczyźni tylko się sobie przyglądali.

Browne był o dwadzieścia pięć lat młodszy od Philipa, ale gdy się na nich patrzyło, różnica wieku wcale nie wydawała się oczywista. Ciemnobrązowe włosy prawie całkiem mu już posiwiwały. Był o co najwyżej dwa centymetry niższy od Philipa, za to znacznie potężniejszy, i szczylił się dość widocznym brzuchem. Jego twarz też zestarzała się szybciej niż Philipa. Bruzdy na czole miał głębsze, a zmarszczki wokół oczu sięgały kości policzkowych. Ratowały go tylko jasnoniebieskie oczy, które dodawały twarzy młodości i wigoru.

Niewiele osób wiedziało, kim był i co robił, gdzie żył i dokąd zmierzał. Nie było bardziej tajemniczego człowieka w całej Ameryce.

- Źle się dzieje, Philipie - odezwał się w końcu. - Chyba nie muszę ci mówić, jak bardzo źle.

- To twoi ludzie spartaczyli robotę, Lamar.

- Nie mnie sądzić, kto zawinił, ale twoi współpracownicy, wynajęci przez ciebie amatorzy popełnili fatalny błąd, gdy pozbyli się pielęgniarki Dirka, pozostawiając jej ciało na terenie pobliskiego rezerwatu Indian. Powinieneś wiedzieć, że w takim wypadku śledztwo prowadzone jest przez FBI. Na szczęście dochodzenie zostało umorzone, zanim zaszło za daleko, jednak coś zostało odkryte i to w najbardziej nieodpowiednim momencie... Wiesz, że od jakiegoś czasu musimy opierać się pewnym naciskom. Od przeszło dwudziestu lat Kongres nie przeprowadził pełnej kontroli naszego programu, a ostatnie przesłuchanie komisji nadzorującej Rządowy Program Ochrony Świadców miało miejsce w roku 1982. Teraz jest wokół tego dużo hałasu. Liberałowie atakują całe przedsięwzięcie, krzycząc, że nie jest ono należycie kontrolowane. Trudno się nie zgodzić z ludźmi narzekającymi, że umieszczamy w ich sąsiedztwie przestępców, nikogo o tym nie informując, nawet lokalnej policji. Pomyśl tylko, co za piekło rozpętałoby się, gdyby to wyszło na jaw! Sytuacja naprawdę wymknęła się spod kontroli.

- To znaczy?

- Nie możemy go przywrócić do programu, Philipie. Przykro mi. Chętnie zwrócę ci tyle pieniędzy, ile uznasz za stosowne.

Browne popatrzył przez przyciemniane okno.

- Nie chcę zwrotu żadnych pieniędzy, za to wy *przywróćcie* go do programu - zażądał Philip.

Lamar pokręcił głową.

- Nie zrozumiałeś mnie. Nie było najmądrzejszą rzeczą pozbywanie się każdego, kto mógł coś wyjawić. Ustanowiłeś prawie swego rodzaju jasny schemat. Nie mówiłeś mi, że masz plan B - dodał. - Gdybyś mi go przedstawił,

a ja bym na niego przystał, moglibyśmy omówić lepsze metody i uniknąć demaskacji.

- To byli moi ludzie. Zrobiłem z nimi to, co należało. Ty masz swoich ludzi, a oni spieprzyli robotę. Nieprzywrócenie go do programu w ogóle nie wchodzi w rachubę. Macie go namierzyć i umieścić we właściwym miejscu w ciągu dwudziestu czterech godzin - rzekł Stoner stanowczo.

- Nadal mnie nie rozumiesz, Philipie. Do Kongresu dotarł jakiś przeciek z FBI, które zazdrości nam autonomii w Biurze do spraw Egzekucji Prawa w Wydziale Sprawiedliwości. To bardzo delikatny program, polegający na zawieraniu korzystnych umów ze znanymi gangsterami. Pamiętasz, co się stało po tym, jak Marion Puett zeznał przeciwko zabójcy swojego kolegi z celi. Zmieniono mu tożsamość, a on załukł młotkiem swoją konkubinę. Członkowie Komisji Sędziowskiej Izby Reprezentantów chcieli skończyć z programem.

- Nie mam ochoty słuchać tych bzdur, Lamar. To są twoje problemy. Mamy układ, a ja nie mam zwyczaju renegecjonować umów i nie pozwolę nikomu renegecjonować ich ze mną.

- Nie mam już kompetencji, które pozwoliłyby mi zrobić to, czego sobie życzysz. Prawdę mówiąc, myślę o odejściu na emeryturę.

- W takim razie wynoś się z mojego samochodu - nakazał Stoner - żebyś mógł porozmawiać z kimś, kto ma odpowiednie kompetencje.

Lamar popatrzył na niego.

- Posłuchaj, Philipie...

- Tracisz czas - przerwał Stoner. - Mówiłem ci, że mam obawy, co do jego zamiarów. Podczas gdy siedzę tu i słucham twoich jęków, być może szykuje się znacznie większe nieszczęście. I nie myśl, że uratuje cię emerytura. Nawet ty, szef tego wszystkiego, nie będziesz w stanie się ukryć.

Philip Stoner przerwał i skrzywił się, widząc bezgraniczne zdziwienie na twarzy Lamara Browne'a.

- Jak, u licha, mogłeś do tego dopuścić? - kontynuował ochryplym szeptem. - Chroniłeś i zmieniałeś tożsamość najgorszych szumowin w naszym społeczeństwie, i udawało ci się, a mój syn... - Stoner pokręcił głową. - Wynoś się.

- Posłuchaj. Nic nie możesz zrobić, do nikogo zadzwonić.

Stoner roześmiał się.

- Zawsze znajdzie się ktoś, do kogo mogę zadzwonić, Lamar. Nie wiesz nawet, jak daleko sięgam - odparł i, jakby chcąc zademonstrować swój zasięg, przechylił się i otworzył drzwi limuzyny. - Wynoś się.

Lamar wysiadł, a kierowca zamknął za nim drzwi. Stał tam przez chwilę i patrzył, jak szofer zasiada za kierownicą. Gdy limuzyna ruszyła, wrócił do swojego samochodu i swojego człowieka.

- Podaj mi telefon - warknął.

Kierowca znalazł komórkę.

Lamar z furią wduszał przyciski.

- Tak jak się umówiliśmy - powiedział, gdy tylko usłyszał głos w słuchawce - i tak jak postanowiliśmy.

Podał aparat szoferowi.

Na końcu długiej, pięknej kalifornijskiej ulicy limuzyna Philipa Stonera skrzyła i znikła, zaś w górze niewielki samolot ciągnął transparent z reklamą kremu do opalania z wysokim faktorem.

Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie.

Elaine nie mogła pozbyć się dreszczy. Kathy odprowadziła ją do domu, a nawet weszła z nią do mieszkania. Przygotowała jej mocnego drinka z mleka, masła, miodu i whiskey według przepisu swojej babci i dopilnowała, żeby Elaine wypła wszystko po wejściu do łóżka.

- Mogę zostać na noc - zaproponowała.

- To bez sensu. Niepotrzebna mi niańka - odparła Elaine, szczękając zębami.

- Wiesz równie dobrze jak ja, Elaine, że przeżywasz załamanie nerwowe. Musimy cię uspokoić. Dalej, dopij to. Moja babcia klnie się na wszystko, że to działa. Jest dobre na wszystko, od gruźlicy po trądzik.

Elaine próbowała się roześmiać, ale zdobyła się tylko na słaby uśmiech. Pokręciła głową.

- Nikt inny nigdy nie nazywał mnie E Lame, Kathy. Nawet Farah. Wiedziała, że mnie to drażni.

- Dajesz się ponieść wyobraźni. Kim on twoim zdaniem jest? Duchem? Kolejnym wcieleniem?

Kathy odstawiła pustą szklanekę na szafkę nocną i wzięła Elaine za rękę.

Elaine zamknęła oczy, a po chwili otworzyła je.

- Wciąż widzę jego twarz, nie twarz tego... tego Jonathana Lewisa. - Usiadła. - Widzę Dirka!

- Proszę cię, Elaine. Chcę, żebyś się odprężyła. No już. Połóż się, odpocznij - nakazała Kathy, kładąc dłonie na ramionach Elaine.

- Te jego oczy... i inne drobiazgi - mówiła rozgorączkowana. - Gesty, to, jak poruszał wargami, jak trzymał głowę. Jest tej samej postury co Dirk,

wiesz? I mogę przysiąc, że widziałam to znamię pod włosami z tyłu głowy!

Zdenerwowana Kathy odsunęła się do tyłu z rękami na biodrach.

- Elaine, co ty wygadujesz?

- Sama nie wiem, co wygaduję - przyznała.

- To pierwsze rozsądne zdanie, jakie od ciebie usłyszałam po wyjściu z klubu. Zamknij oczy, oddaj się medytacji i idź spać. Zostaję na noc, choćbyś nie wiem jak się buntowała. Będę spała na kanapie.

- Ale...

- Koniec, kropka. Wykąpiemy się rano. Pożyczę sobie od ciebie jeden z tych kostiumów, których ci tak zazdrościłam, i zjemy razem porządne śniadanie w Country Kitchen. Rano, gdy znów będziesz przy zdrowych zmysłach, sama dojdiesz do wniosku, że to głupota. W porządku?

Znów usiadła obok Elaine i wzięła ją za rękę.

Elaine pokiwała głową i opadła na poduszkę. Zamknęła oczy.

- Nikt inny nigdy mnie tak nie nazywał - wymamrotała.

Potem poruszyła ustami, ale nic już nie powiedziała.

Kathy poczekała, aż oddech Elaine stanie się lżejszy, bardziej miarowy. Delikatnie uwolniła rękę z uścisku i podniosła się. Przez chwilę stała i przyglądała się jej ze współczuciem. Nie potrafiła sobie wyobrazić bólu po stracie siostry w tak brutalnych okolicznościach, przy całym cyrku, który miał miejsce po fackie i szarpał nerwy rodzinie Elaine.

- Na twoim miejscu wcale nie zachowywałabym się lepiej, koleżanko - mruknęła pod nosem.

Po chwili poszła do kuchni i naląła sobie czystej whiskey. Znalazła koszulę nocną Elaine, udała się do łazienki, a później przy pomocy koca i poduszki posłała sobie na kanapie. Zanim się położyła, przystanęła i pomyślała chwilę, przypominając sobie tego mężczyznę, jego arogancję i dziwne zachowanie. Jej własna wyobraźnia zaczęła płatać figle, a serce przeszło żądło nieuzasadnionego strachu.

- Moje zmysły są w równie kiepskim stanie jak jej - mruknęła pod nosem i zbliżyła się do okna wychodzącego na ulicę.

Wyrzała i przecesała wzrokiem chodnik, a potem jezdnię. Jej serce zwolniło, a po chwili zaczęło walić jak młotem. Czy przed zamalowanym oknem wystawy sklepowej nie stał przypadkiem mężczyzna?

Skupiła się. Wyglądało to raczej jak zarys sylwetki na granicy cienia i mętnego światła latarni. Nagle poruszył się, ukrył się w ciemności i stał się niewidoczny.

Może to nie była tylko wyobraźnia Elaine. Może rzeczywiście łąził za nią jakiś psychopata. Czy powinna zadzwonić na policję? I co by im powiedziała?

- zastanawiała się. Że jej koleżankę napastował w klubie jakiś facet? To zdarzało się prawie każdej nocy jakiejś dziewczynie, ale ten człowiek naprawdę mógł tam stać. Mogłaby im powiedzieć, że Elaine jest śledzona. Tego by nie zlekceważyli. Zastanowiła się i podeszła do telefonu.

Nie chciała wykręcać 911. Nie uważała, że to aż tak pilne, w każdym razie nie w tym momencie, ale na komisariat nie mogła się dodzwonić. Dyspozytor chciał połączyć ją z funkcjonariuszem, który nie podniósł słuchawki. W końcu wykręciła jednak numer pogotowia policji.

- Moją koleżankę i mnie ktoś śledzi - oświadczyła.

Opisała mężczyznę z klubu i powiedziała, że rozzłościł się, gdyż nie miały ochoty spędzić z nim reszty wieczoru.

- A teraz przyjechał za nami do domu i czai się pod oknami mieszkania. Boimy się.

Dyspozytor zapisał adres i obiecał, że w ciągu kilku minut wyśle radiowóz. Kathy wróciła do okna i patrzyła, czekając. Policyjny wóz nadjechał i światłami zmiotł cienie ze ścian i kątów, lecz nie znalazł tam niczego ani nikogo. Radiowóz zjechał na bok i stanął. Po kilku minutach zadzwonił telefon.

- Tak? - odezwała się. Odpowiedziała jej cisza.

- *Tak?*

- O, przepraszam, panno Du Bois. Nasi funkcjonariusze zameldowali, że nie znaleźli nikogo czającego się w pobliżu pani mieszkania.

- On tam był - upierała się.

- Cóż, jeśli coś panią zaniepokoi, proszę nas powiadomić - powiedział dyspozytor.

- O ile wtedy będziemy jeszcze w stanie cokolwiek zrobić - wymruczała Kathy i odłożyła słuchawkę.

Znowu podeszła do okna i zobaczyła, że policjanci odjeżdżają. Czekala i czekała, ale tajemnicza sylwetka nie powróciła. Może to tylko sprawka wyobraźni. Może Elaine wystraszyła ją tak jak samą siebie.

- Obu nam potrzebny jest porządny sen - stwierdziła i wpełzła pod koc na kanapie.

Zajęło jej to więcej czasu, niż się spodziewała, ale w końcu zasnęła.

Jakby naprawdę powstając z cienia, sylwetka Jonathana ukazała się i przybrała cielesną formę, gdy przekroczył granicę ciemności i światła. Poszedł w dół ulicy, skręcił i przystanął w ciemnej bramie, by zebrać myśli, podczas gdy wciąż narastało w nim rozgoryczenie.

Nie spodziewał się, że Kathy odprowadzi Elaine i zostanie u niej na noc. To mu pokrzyżowało szyki. Od dłuższego już czasu górę brał u niego absolutny brak tolerancji i cierpliwości. Ta ostatnia uległa wyczerpaniu w pudle i zaraz po wyjściu, kiedy to współpracował z ludźmi od zmiany tożsamości. Przyszedł czas na czyn i nikt ani nic nie mogło stanąć mu na przeszkodzie.

W brzuchu poczuł ból, który ruszył ku klatce piersiowej, czółgając się jak kret w stronę gardła, by przeszkodzić mu w oddychaniu. Pierś mu zafalowała. Doświadczył już podobnej reakcji ciała, gdy rozmyślał o Farah spotykającej się z innymi mężczyznami, odrzucającej go, odrzucającej jak mokry papierowy ręcznik. Wszyscy stali po jej stronie; wszyscy obrócili się przeciwko niemu. Dla nich Farah była kolejną ofiarą sławy i pieniędzy. Nikt nie dostrzegał bólu. Każdy myślał, że jemu pieniądze pozwalały wykupić się od każdego cierpienia.

- Suka - sapnęła przez zaciśnięte zęby.

Znów ruszył przed siebie i przez chwilę zdawało mu się, że nic się nie wydarzyło. Nie zabił jeszcze Farah, nie został osądzony ani skazany za morderstwo, nie siedział w więzieniu. Nie miał też za sobą tego, co nastąpiło potem. Wszystko to było tylko nocną marą, paskudnym snem.

Zrobi to dopiero teraz. Przyspieszył kroku, aż dotarł do skrzyżowania i zatrzymało go czerwone światło, a wraz z nim przystopowały jego szalone myśli.

Dokąd on, do diabła, szedł? Należało wziąć się w garść, zacząć myśleć realnie.

Odpęrzył się i gdy zmieniły się światła, szedł już zwyczajnie, odzyskując powoli spokój. W końcu zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do małego, nie rzucającego się w oczy hotelu, który znalazł wcześniej. Przyjmowali gotówkę i nie zadawali pytań. W tym mieście pełno było podobnych miejsc, kryjówek dla ludzi bez tożsamości, nor dla nie całkiem umarłych. Ci, którzy w nich przebywali, nigdy nie pozwalali swoim oczom na przyglądanie się innym. Każdy patrzył, nie widząc. W takich miejscach nikt tak naprawdę nie istniał.

Podobał mu się ten hotel. Czuł się w nim jak zawieszony w próżni, między tym światem a tamtym, jednym życiem a drugim, prawie tak, jak zaplanował. Załatwi tylko tę jedną sprawę i wtedy zrobi ogromny krok w nową egzystencję.

Wszedł do małego, słabo oświetlonego hallu. Hotel nie miał nawet zabezpieczonego wejścia. W recepcji nikogo nie było, ale doszły go dźwięki włączonego telewizora z pokoju tuż za kantorkiem i dostrzegł mrugający odbłask ekranu na przeciwległej ścianie. Aby dotrzeć do swojej klitki, musiał

pokonać dwie kondygnacje. W pokoju czuć było środkiem do dezynfekcji i trucizną na robaki. Będzie spał przy szeroko otwartym oknie. Gdy ruszył w górę, uświadomił sobie, jak jest wykończony. Może jednak wydarzenia tego wieczoru okazały się dla niego szczęśliwe. Może nie zrobiłby dziś tego, jak trzeba. Powinien być bardziej wypoczęty, bardziej czujny.

Trzymając się poręczy, dotarł na drugie piętro i stanął. Nie zasapał się. Był w doskonałej kondycji. Prawdę mówiąc, nie pamiętał, by kiedykolwiek był w lepszej, nawet będąc jednym z czołowych graczy na polu golfowym. Gdy nie ma się do roboty nic poza ćwiczeniem, można z tego wyciągnąć chociaż jakieś korzyści. Przypomnieli mu się niektórzy więźniowie, którzy mieli się w pudle zestarzeć, a stali się adonisami, herkulesami, kierując rozpierającą ich energię ku sobie samym nie tylko po to, żeby zapelnąć jakoś czas, ale też by zachować godność i znaczenie. Byli jak Tomek Sawyer, który za karę miał malować płyty: potrafili znaleźć w karze przyjemność, kpiąc tym samym z systemu, który ich na nią skazał. Roześmiał się, przeciągnął, wyciągając muskularne ramiona, i przeszedł przez korytarz pod drzwi swojego pokoju.

Tkwiał w nich zwykły stary zamek. Gdy tylko otworzył go i wszedł, od razu wyczuł, że tam są, ale niczym dziecko przyłapanie na kradzieży cukierków, nawet nie drgnął; nie odwrócił się i nie uciekł. Oparł się pokusie dania nogi bez zapalania światła. Blask pobliskiego neonu reklamującego camele oświetlał pokój na tyle, by mógł dostrzec Phila i Dona. Phil siedział na krześle przy niewielkim stoliku pod oknem. Don leżał rozciągnięty na łóżku.

- Pan Lewis - odezwał się Phil. - Witamy.

- Jak mnie tu, kurwa, znaleźliście? - zapytał Jonathan, przez chwilę naprawdę próbując rozwikłać tajemnicę tego wydarzenia.

Co poszło nie tak?

- Wie pan, że mamy swoje sposoby - odparł Phil.

- Nie wciskaj mi tu kitu. Chcę wiedzieć - mówił z uporem, jakby istniały w tej grze jakieś reguły, które nakazywałyby im posłuszeństwo.

- Wiedzieliśmy, że w Helmsleyu się pan nie zatrzyma - wyjaśnił Don. - Prawdę mówiąc, sami umieściliśmy tu swoich ludzi. - Roześmiał się. - Nawet nie przypuszczaliśmy, że będziemy mieli takie szczęście. - Zwrócił się do kumpla. - No nie, Phil?

- To prawda, panie Lewis. Dziękujemy. A swoją drogą, wpakował nas pan w niezłe tarapaty.

- Musimy wracać, panie Lewis. Nikt nie będzie pana o nic obwiniał. Jeśli tylko będzie pan z nami współpracował, wszystko jakoś się ułoży.

Don podniósł się i stanął między Jonathanem a drzwiami. Kiwnął głową na Phila, a ten także wstał z krzesła.

- Nie możecie tego zrobić - powiedział Jonathan i skulił się do ataku.

Ruszył przed siebie z przykurczonymi ramionami, jednym barkiem uniesionym do góry i uderzył Phila prosto w splot słoneczny, pchając go w stronę otwartego okna z taką niespodziewaną mocą, że ten już prawie wypadł, ale w ostatniej sekundzie złapał potężnymi dłońmi Jonathana za szyję, a siła rozpędu przerzuciła ich obu przez parapet.

Spadli dwa piętra w dół, przy czym Jonathan dosłownie wbił swego go-ryla w chodnik. Jego ciało posłużyło mu za poduszkę, ale głowa Phila uderzyła o płytę i pękła mu czaszka.

Jonathan stoczył się z niego i poderwał się na nogi. Spojrzał w górę na Dona, mierzącego do niego z pistoletu. Strzelił akurat, gdy Jonathan rzucił się pod ścianę. Kula świsnęła, odbiła się rykoszetem od chodnika i uderzyła w śmietnik. Przemykając tuż przy ścianie, Jonathan dotarł do skrzyżowania. Drugi i trzeci strzał Dona również były niecelne. Jonathan skręcił za róg i pobiegł, czując, jak rośnie mu poziom adrenaliny. W ciągu dosłownie kilkunastu sekund oddalił się od hotelu o parę przecznic.

Walka i bieg wręcz go ożywiły. Śmiech zaczął narastać mu w piersi, by buchnąć niczym grom. Nikt go nie powstrzyma. Nikt. Przynajmniej dopóki nie zrobi tego, po co tu przyjechał.

19

Limuzyna Philipa Stonera zatrzymała się przy bramie. Okno z tyłu zsunęło się jak mała kurtyna, ukazując twarz milionera na ciemnym tle, i podszedł strażnik. Był w mundurze, a włosy barwy słonecznika przystrzyżone miał jak młody żołnierz. Szwy niebieskiej koszuli napinały się na umięśnionym ciele. W wolnym czasie pracował jako osobisty trener bogatych paniulek - miał do tego właściwą, ciemną karnację kalifornijskiego surfera i elektryzujące błękitne oczy. Na identyfikatorze widniało tylko imię Brandon.

- Dobry wieczór, panie Stoner - powiedział, ściągając do tyłu ramiona. - Wszędzie panuje spokój - dodał, jakby była to wyłącznie jego zasługa.

- Żadnych gości?

- Żadnych, proszę pana.

- Chcę, żebyś dzisiejszej nocy był wyjątkowo czujny, Brandon. Spodziewam się kłopotów - oznajmił Philip. - Powiadamiaj mnie o wszystkim, co wyda ci się podejrzanе, łącznie z samochodami, które przejadą tędy więcej niż raz albo zaparkują na ulicy, rozumiesz?

- Tak jest, proszę pana.

- To dobrze.

Philip oparł się o siedzenie, szyba powędrowała do góry, a Brandon wrócił na swoje stanowisko. Luksusowy wóz wjechał na podjazd. Brama zamknęła się. Wszędzie panowała cisza.

Równie cicho było w domu, który tego wieczora wydawał się Philipowi bardziej pusty niż zwykle.

Kiedys wierzył, że jedynym sensem tego wszystkiego, całej egzystencji, było poszukiwanie znaczenia i harmonii, pęd do zrozumienia tego, co pozornie niezrozumiałe. Tam, gdzie znaczenie było ukryte, tworzył własne. Potrafił narzucić własną strukturę i wierzenia, nadać wszechświatowi kształt. W efekcie stał się niemal Bogiem, tworzącym, niszczącym, dającym boską łaskę. Podczas gdy znacznie mniej zamożni ludzie przesiadywali w kościołach i synagogach, modląc się o pomoc, o nadzieję i szansę, Philip Stoner przesuwiał się to w lewo, to w prawo po mapie swoich nieruchomości, tworzył miejsca pracy, szanse dla małych firm i domy; miał wpływ na szkoły i instytucje rządowe, z niektórych ludzi czynił bogaczy, z innych biedaków. Unosił się nad tym wszystkim, nie napędzany żadną moralnością poza tą, która była dobra dla jego interesów.

Teraz został sam. Czy taka była jego nagroda? I co z tego? Bóg przecież też był sam, a może nie? Bycie stwórcą, władcą, oznaczało konieczność pogodzenia się z samotnością, ale może nie tyle była to samotność, co wyjątkowość. Najwyższe drzewo w lesie stało ponad resztą, jakby osobno, a jednak doskonale samo w sobie. Potrzeba towarzystwa, życia w społeczności równała się w gruncie rzeczy słabości. Ciągnęła człowieka w dół do przeciętności, czyniła jednym z wielu. Oznaczała życie pod wpływem kogoś takiego jak on - bycie na każde skinienie, telefon, zdany na jego łaskę.

Nie, stwierdził. Nie jestem nieszczęśliwy. Stworzę coś z własnej samotności. Będę się nią karmił, na niej wzrastał i będę jeszcze większy, jeszcze wyższy, jeszcze bardziej ponad nimi. Nie będzie żadnej skruchy, nie w moim sercu - poprzysiągł. Zwłaszcza dziś. Każdy błąd był błędem jego podwładnych, ludzi nie potrafiących myśleć perspektywnie. Nie przyzna się do żadnej winy i do żadnej porażki. Nigdy nikt cię nie pokona, jeśli sam się nie poddasz, doszedł do wniosku.

Po wejściu do domu i odsłuchaniu wiadomości na automatycznej sekretarce kazał Jerome'owi przygotować koktajl z szampana, a potem wyszedł na taras, gdzie czekał na telefon. Niczym rybak z bajki zarzucił sieć, by złowić największą złotą rybę, która spełni jego wszelkie życzenia. Czas było upomnieć się o spłatę długów i bez żadnych skrupułów miał zamiar to zrobić.

W tej chwili jednak był zirytowany, że tak długo to trwało. Był przyzwyczajony do szybkich reakcji na swoje prośby; był jak operator za klawiaturą urzędnika, jak przemożny władca, którego ledwie skinienie ręki rozpraszało tłumy. Jak oni śmiać kazać mu czekać? Choćby nie wiadomo co teraz dla niego zrobili, da im jasno do zrozumienia, że był niezadowolony z tempa ich działania.

Zerwał się wiatr, morska bryza, która uniosła słone powietrze w górę i chesała palmy, zmuszając do szelestu wielkie liście. Pochwyliła też odgłos samochodowego klaksonu i przyniosła go Philipowi - dźwięk jak wrzask konającej metalowej bestii, pierwotnego zwierzęcia wyjącego na przekór czasowi i ewolucji, zdumionego, po co zostało stworzone, jeśli miało zostać zniszczone.

Czy to pytanie w połączeniu z rzeczywistością nie sprawia, iż wszystko wydaje się absurdem? - zastanawiał się. Rodzić się po to, by umrzeć. Jaki to ma sens? No chyba że wszystkie formy życia, nawet te tak zwane niższe, zostały postawione przed wyzwaniem... uczynić siebie nieśmiertelnymi. Jasne, pomyślał Philip, podniecony własną refleksją, właśnie to miał na celu Bóg, sprawdzić, czy którekolwiek z jego stworzeń potrafi odkryć tajemnicę życia, tajemnicę wiecznego bytu, *tę jego* tajemnicę. To pewnie ba-wiło Boga. Obserwował, czekał, śmiał się, a potem niekiedy pokiwał głową i pomyślał: „Rodzaju ludzki, zaczynasz się rozwijać”.

Philip roześmiał się do własnych myśli. Były całkiem interesujące. Może powinien poświęcić się spisaniu tych rozważań. Może powinien opublikować swe teorie, by ludzie mogli uczyć się z nich i wprowadzać je w życie, aby inni mogli korzystać z jego mądrości. Jego myśl żyłaby przecież dłużej niż ciało, nieprawdaż? W przeciwieństwie do najbardziej zwyczajnych rodziców, nie miał możliwości życia we własnym potomku. Już się z tym pogodził, ale znajdzie jeszcze własną drogę do nieśmiertelności.

Wypił kolejny koktajl z szampana i polecił, by kolację podano mu nieco później niż zwykle. Znowu sam, wsłuchiwał się w wiatr i patrzył na ciemne chmury ślizgające się po gwiazdach, gnane w stronę sierpa księżyca, pędzące jak wystrzelona raca.

Mniej więcej piętnaście minut później Philip zobaczył go - a dopiero potem usłyszał - może dlatego, że wiatr wiał z przeciwnej strony. Żółte włosy

jaśniały w ciemności, gdy szedł rażno przez złożony wzór światła i cienia koło domu. Philip podniósł się, odstawił kieliszek, podszedł do krawędzi tarasu i tam zaczął.

Brandon przyspieszył, a gdy przekraczał snop światła padającego z jednego z okien, Philip dostrzegł, że trzyma wyjęty z kabury pistolet.

- Co się dzieje? Ktoś wszedł na nasz teren? - spytał szybko.

- Tak, proszę pana.

- Wiedziałem. No wiedziałem. Gdzie Jerome? Dzwoniłeś po wsparcie?

- Nie ma potrzeby. Sam się tym zajmę.

- Nie pora teraz na brawurę, Brandon. Ostrożność nie jest słabością. Gdzie go widziałeś? - pytał Philip, wpatrując się w kępę niewielkich drzew na zachodniej granicy posiadłości.

- W lustrze, proszę pana.

- Co? W jakim lustrze? O czym ty, do diabła, mówisz, Brandon?

- Widziałem go w lustrze - odparł Brandon ze skąpym, krzywym uśmiechem.

Podniósł pistolet i wypalił prosto w pierś Philipa, a siła uderzenia kuli rozłupała mu mostek i rozchlapała serce, unosząc ciało z podłogi tarasu i rzucając o leżak, gdzie krwawił i umierał w mroku swej drogocennej samotności.

Brandon ruszył w stronę budki strażnika przy bramie. Dzwonił telefon. Służący Stonera usłyszeli strzał i znaleźli go na tarasie. Kamerdyner wpadł w histerię.

- On nie żyje! Pan Stoner chyba nie żyje!

- Uspokój się - odparł Brandon. - Już idę to sprawdzić.

Po czym wykonał umówiony telefon.

Powiedziano mu, jak pozbyć się pistoletu i co mówić po przyjeździe policji.

- Rozumiem - odparł.

Tors pęcał mu z podniecenia, gdy pędził z budki w górę podjazdu. Zarobił właśnie więcej pieniędzy, niż zdołałby uzbierać w ciągu dziesięciu lat, a zajęło mu to tylko parę sekund.

Kathy nie powiedziała Elaine o tym, co, jak jej się zdawało, widziała i co zrobiła w nocy. Zamiast tego zaproponowała, żeby zrobiły wszystko, co przyjdzie jej do głowy. Elaine obudziła się z lekkim bólem głowy, a Kathy przygotowała jej kolejną miksturę swojej babci. Być może była to tylko działająca na psychikę sugestia, ale zdawała się odnosić pożądany skutek. Wróciła jej energia, a przy szalejącej Kathy wybierającej ciuchy, paplającej o

śniadaniu i dobrej zabawie, Elaine pozbyła się czarnej chmury, która przesłaniała jej myśli. Żadna z nich nie wspomniała o Jonathanie Lewisie. Tak jakby do spotkania z nim nigdy nie doszło.

Obie wypadły z domu na zalaną słońcem ulicę, ruszyły ramię w ramię ze śmiechem na ustach, podskakując jak nastolatki z beztroskimi minami budzącymi zawiść u innych przechodniów. Jak zaplanowały, zjadły śniadanie w Country Kitchen, spotkały kilkoro znajomych ze studiów, pogadały, pooglądały wystawy sklepowe, a potem poszły na zakupy do Lorda i Taylora. Kiedy już się obkupiły, znalazły małą restaurację ze stolikami na powietrzu i zamówiły sałatki, kawę i czekoladowe rogaliki.

Spędziły cudowny dzień, żadna nie mówiła o niczym poważnym, obie chichotały i snuły fantazje.

- Czy masz już porządne wyrzuty sumienia, że nie zabrałaś się jeszcze dzisiaj do pracy? - spytała Kathy.

- Pracy? Jakiej pracy? - odparła Elaine.

Ich śmiech był miękki jak aksamit, radosny, niósł się i sprawiał, że same prawie unosiły się w powietrzu.

Kathy zaproponowała wczesny seans w kinie, a Elaine, oszołomiona i pijana nicnierobieniem, chętnie przystała. Za tym wszystkim - nie wspomniany głośno, ledwo uświadomiony - czaił się jednak dręczący strach przed myśleniem, przed pamiętaniem. Jak długo ona i Kathy kręciły się po mieście, były czymś zajęte, koszmar nie miał szans się uformować. Jednakże gdzieś w głębi duszy istniała świadomość, że wkrótce przyjdzie jej za tę beztroskę zapłacić.

Film, choć lekki i zabawny, zmęczył je obie. Żadna nie była jeszcze szczególnie głodna.

- Zrobię sobie w domu kanapkę - stwierdziła Elaine.

Kathy skinęła głową. Postaly chwilę na rogu, obserwując ludzi i samochody.

- Nic ci nie będzie? - spytała po jakimś czasie.

- Nie - odparła Elaine. - Wszystko w porządku. Dzięki za wszystko, Kathy. Wiem, ile dla mnie zrobiłaś.

- Co to znaczy: dla ciebie? Robiłam to dla siebie - zaprotestowała. Elaine uśmiechnęła się.

- Naprawdę, Elaine. Twoje zdenerwowanie mnie również nie dawało spokoju. W razie jakichkolwiek problemów, najmniejszego niepokoju, chcę, żebyś do mnie zadzwoniła. Obiecujesz?

- Dobrze, obiecuję.

Uściskały się i przywołały taksówki. Samochód Elaine nadszedł pierwszy.

- Zadzwoń do ciebie później - rzuciła jeszcze, wsiadając do taksówki, i pojechała do domu.

Gdy weszła do kamienicy, dosłownie wbiegła na górę, nie rozglądając się wokół siebie. Kiedy przekroczyła próg mieszkania, oparła się o drzwi, zamknęła oczy, złapała oddech i popatrzyła dookoła. Niewielkie mieszkanie dziś wyglądało na jeszcze mniejsze, jeszcze ciemniejsze. Serce waliło jej jak młotem.

- Ależ to głupota. Weź się w garść, pani doktor - powiedziała pod nosem i przeszła do sypialni.

Przechodząc przez kuchnię, zauważyła, że światelko na automatycznej sekretarce mruga. Nagrane były dwie wiadomości.

Jej palec zawisł nad klawiszem. Miała wrażenie, że gdy go dotknie, może się poparzyć. Serce przyspieszyło jej jeszcze bardziej, a kark zrobił się sztywny jak z gliny. Wcisnęła guzik; taśma przewinęła się i po sygnale zaczęło się odtwarzanie.

- Mówi porucznik Marcus. W związku z pani telefonem ostatniej nocy, chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. W razie jakichkolwiek problemów może mnie pani zastać między siedemnastą a dwudziestą trzecią pod numerem telefonu 555-2121.

- Co? - zdziwiła się.

Usłyszała drugą wiadomość. Telefonowała jej matka z Jamajki z informacją, że będą w Nowym Jorku nazajutrz. Zadzwoń do niej z hotelu, żeby umówić się na kolację. Miała nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Sekretarka ucichła.

Pomyślała chwilę, po czym wzięła do ręki słuchawkę i wybrała numer Kathy, żeby zapytać o telefon z policji.

- Nie mówiłam ci, że do nich dzwoniłam, Elaine, bo zdałam sobie sprawę, że to tylko gra wyobraźni. Rany, byłam pewna, że policja się tym nie przejmie. Do głowy by mi nie przyszło, że oddzwonią.

- Co właściwie widziałaś?

- Zdawało mi się, że widziałam kogoś na ulicy pod oknami twojego mieszkania. Nastraszyłaś mnie, więc zadzwoniłam po radiowóz. Patrzyłam potem, jak przeszukiwali ulicę, i nie było ani żywej duszy. Poczulałam się głupio, a teraz mam wyrzuty sumienia. Przeze mnie będziesz miała kolejną fatalną noc.

- Nie będę.

- Mogę być u ciebie za dwadzieścia minut - zaproponowała Kathy.

- To naprawdę niepotrzebne. Nic mi nie jest. Sama muszę się z tym uporać. To na pewno była tylko jakaś pomyłka. Może zdawało mi się tylko, że mnie tak nazwał. Przez wszystkie te miesiące powtarzałaś mi, że widzę

diabła w każdym facecie, który się mną choć odrobinę zainteresuje.

- To prawda - powiedziała Kathy. - Nie jestem psychiatrą, ale...

- Niektóre sprawy są tak wyraźne i oczywiste jak włos w zupie - do-kończyła Elaine, naśladując profesora Englemana.

Kathy roześmiała się.

- No dobrze. Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybym ci była potrzebna.

- Jutro przylatują moi rodzice. Wieczorem idę z nimi na kolację.

- To świetnie.

- Nie zechciałybyś do nas dołączyć?

- Może ten pierwszy wieczór powinnaś spędzić z nimi sama. Wiem, że zbyt rzadko się widujecie - odparła rozsądnie Kathy.

- Któregoś dnia będzie z ciebie super lekarz, doktor Du Bois. Masz tę rzadko spotykaną cechę zwaną intuicją.

- To dobrej nocy ci życzę - rzekła Kathy, wyraźnie ucieszona.

- Dziękuję - odparła Elaine.

Już sama rozmowa z przyjaciółką poprawiła jej samopoczucie. Przebrała się w wygodniejsze ciuchy, zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, zaparzyła herbatę i obejrzała coś w telewizji. Później, przed pójściem spać, niemal przyciągnięta jak na niewidzialnej linie, podeszła do okna w pokoju dziennym i spojrzała w dół, na ciemną ulicę. Przeszukała każdy najmniejszy skrawek cienia, ale nie zauważyła niczego podejrzanego.

Znikł, stwierdziła. Odszedł z jej życia równie szybko, jak się w nim pojawił.

Czas było powrócić do pracy, znów zmierzać do obranego celu, zapomniać o bolesnej przeszłości.

Jezu Chryste - zawołał Harry chwilę po tym, jak zapiął pas i oparł się w oczekiwaniu na start samolotu. - Spójrz tylko na to.

Podał gazetę Lil. Ta przebiegła wzrokiem po nagłówkach na drugiej stronie i pokręciła głową.

- I co piszą? - zapytała.

- Nie wiem. Zobaczyłem tylko tytuł - odparł Harry i zaczął czytać. - Ochroniarz znalazł go martwego na tarasie wczoraj około dwudziestej czterdzieści pięć. Został zastrzelony z trzydziestki ósemki z bardzo małej odległości. Dalej przypominają tylko, kim był, i wspominają o morderstwie Farah - dodał, przeglądając stronę, na której zamieszczono artykuł.

Położył gazetę na kolanach i zwrócił się do Lil.

- Philip Stoner zamordowany...

- Sam mi mówiłeś, Harry, że budując to swoje imperium, narobił sobie wielu wrogów.

Harry pokiwał głową i popatrzył na zdjęcie Stonera.

- Zabawne, ale wcale nie jest mi przykro, a raczej...

- Co takiego?

- Jestem rozczarowany. Chciałem czegoś więcej. Chciałem, żeby któregoś dnia przyszedł do mnie i przyznał, że był w błędzie, że to ja... że to *my* ponieśliśmy większą stratę. Gdy zjawiał się wtedy w naszym biurze i powiedział, że obaj coś straciliśmy, pomyślałem: „Jak śmiesz? Jak śmiesz stawiać swojego syna na równi z moją córką? Dirk nawet do pięt jej nie dorastał”.

- Wszystko potoczyło się prawie jak w antycznej tragedii - stwierdziła Lil. - Taka potężna, zamożna, sławna rodzina...

- Zapomniałaś dodać „zła”, taka potężna, zamożna, *zła*, sławna rodzina - wtrącił Harry. - Cóż, myślę, że czas wrócić do normalnego życia.

- To prawda, Harry - potaknęła Lil. - Już czas.

Harry najpierw pokiwał głową, a potem, spojrzawszy znowu na artykuł, pokręcił nią z niedowierzaniem i usiadł wygodniej, czekając na odlot do Nowego Jorku.

Niemniej jednak, gdy tylko znaleźli się w hotelu, Harry włączył telewizor, żeby znaleźć jakieś wiadomości. Morderstwo Philipa Stonera było wydarzeniem dnia.

- Policja nie natrafiła na żaden wiarygodny ślad - mówił reporter.

- Ochrona nie zauważyła niczego podejrzanego, chociaż sekretarka pana Stonera ujawniła, że jej szef często otrzymywał telefony i listy z pogrózkami, zwłaszcza po procesie syna.

Na ekranie mignęło zdjęcie Dirka i w skrócie przypomniano o procesie i jego konsekwencjach.

- Wyłącz to, Harry! - krzyknęła Lil, wychodząc z łazienki.

Dosłownie rzuciła się na telewizor i zgasiła go.

- Przepraszam - usłyszała. - Musiałem zaspokoić ciekawość.

- Nie pozwól, żeby ten temat zdominował rozmowę przy kolacji, Harry - pogroziła Lil.

- Nie pozwolę - obiecał.

Gdy jednak Lil zadzwoniła do Elaine, była to pierwsza wiadomość, jaką przekazała jej córka.

- Czytaliśmy o tym w samolocie, kochanie. Wolelibyśmy o tym nie mówić. Zjedzmy po prostu miłą kolację. Gdzie chciałabyś pójść?

Elaine było wszystko jedno, ale Harry'emu przypomniała się włoska restauracja na rogu Trzydziestej Ósmej i Trzeciej Alei, knajpka, którą bardzo lubił.

- Ach tak, wiem, gdzie to jest. Spotkamy się na miejscu - powiedziała Elaine. - Dzwoniliście już do wujka Louisa i cioci Carol?

- Mieliliśmy zamiar, ale najpierw chcieliśmy się spotkać tylko z tobą - odparła Lil. - Później możemy któregoś wieczoru zjeść kolację wspólnie.

- Dobrze, mammo.

- U ciebie wszystko w porządku?

Może było coś w twierdzeniu, że kobieta instynktownie wyczuwa problemy swoich dzieci. Z Elaine zawsze było to dość trudne, bo często rozprasały ją własne myśli i idee, a to, co wyglądało na strapienie, nierzadko okazywało się zwykłym zamyśleniem. To samo było dziś z wahaniem w jej głosie.

Harry, który podsłuchiwał rozmowę w czasie golenia, wychylił głowę i nadstawił uszu.

- Słucham? A, tak. Nic mi nie jest, mammo.

- Nie rozbierasz chyba w tym momencie na części pierwsze jakiegoś pakskudztwa, co, córciu?

Elaine roześmiała się.

- Nie, mammo. Kończyłam właśnie pisanie referatu. Czuję się świetnie i nie mogę się doczekać, kiedy was zobaczę. Założę się, że przywieźliście ze sobą piękną opaleniznę, mam rację?

- Jeśli chodzi o mnie, to tak - odparła Lil, a Elaine uśmiechnęła się do siebie.

Jak bardzo brakowało jej rodziców, pomyślała, i jakąż głupotą było zaprzeczanie temu nawet przed samą sobą... *zwłaszcza* przed samą sobą. Ma zostać lekarzem, może nawet znanym i cenionym specjalistą, ale zawsze będzie małą córeczką Harry'ego i Lil Rossów.

- Gdzie jest tata? - spytała cicho.

- Tutaj. Harry?

Harry wychylał się przez drzwi łazienki. Otworzył szeroko oczy, po czym, wciąż z kremem do golenia na twarzy, pospieszył do telefonu.

- Hej, jak się masz, doktorku?

- W porządku, tato - odparła.

On także usłyszał w jej głosie coś, co rzuciło go całe lata wstecz do czasów, kiedy była małą dziewczynką szukającą u niego pociechy za każdym razem, gdy poczuła się smutna, przestraszona czy skrzywdzona.

- Dobrze się bawiliście? - spytała.

- Doskonale. Zastanawiamy się, czy nie wziąć ślubu - powiedział, a ona roześmiała się, jednak ten śmiech zabrzmiał, jakby na koniec przerodził się w szloch. - Nie zarobiłaś chyba jakiejś słabej czwórki albo czegoś równie śmiesznego?

- Nie, tato. Wciąż jestem panną Same-Piątki Ross.

- Mój geniusz. Wiesz, ja dostałem piątkę tylko raz. Jak byłem harcerzem, za wiązanie węzłów - zażartował, a ona znów parsknęła śmiechem.

- A więc włoska restauracja? Pasuje ci?

- Świetnie.

- Na razie, doktoru - pożegnał się i oddał słuchawkę Lil.

Wymienili znaczące spojrzenia i Harry wrócił do łazienki. Po skończonej rozmowie Lil podeszła do drzwi i patrzyła, jak mąż wklepuje w twarz płyn po goleniu.

- Jest dla siebie taka twarda, taka z niej samotniczka - powiedziała.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, co mam na myśli, Harry.

- W końcu trafi na swojego. Nie martw się.

Lil popatrzyła na niego przez chwilę.

- Przy kolacji masz mówić o samych przyjemnych rzeczach, Harry - ostrzegła. - Nie mam zamiaru wracać dziś do tej tragedii.

- Rozumiem - odpowiedział i kiwnął głową na potwierdzenie złożonej obietnicy, ale nie mógł przestać myśleć o Philipie i ironii, jaką dostrzegał w jego brutalnej śmierci.

Dziwnym trafem przyszło mu do głowy - a raczej nappełniło strachem

- że śmierć Stonera ma coś wspólnego z .nim samym.

20

O morderstwie ojca dowiedział się przy śniadaniu w barze w East Side. Za ladą stał telewizor. Prawie przegapił wiadomości, bo wciąż był trochę nieprzytomny, tylko na wpół obudzony po kiepskiej nocy w kolejnym zapchlonym hotelu. Co chwilę się budził z myślą, że znów go znajdą. Dostał niemal nerwicy na punkcie ich polowania. Tak, jakby czaił się na niego każdy bezdomny, każdy glina dostał w łapę, żeby go odnaleźć, każdy pracownik hotelu, sklepu, nawet starsza kelnerka, która podała mu jajecznicę, mieli jego opis.

- Ktokolwiek go zobaczy - powiedziano im - niech nas natychmiast zawiadomi.

Śniło mu się, że wszędzie widzi oczy, że ludzie wyglądają przez okna mieszkań, a niektórzy poszukują go za pomocą dostarczonych przez organizację lornetek. Wyobrażał sobie tłumy ludzi patrolujących ulice, zagląających w zaułki i za rogi budynków, wampirów spragnionych informacji o miejscu jego pobytu. Ściągał go cały półświatek. W tym piekle nie miał żadnych szans.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po przebudzeniu, było wynajęcie furgonetki. Jeśli przyjdzie mu spędzić w Nowym Jorku jeszcze jedną noc, lepiej będzie spać w samochodzie. Zaparkuje zgodnie z prawem gdzieś na ulicy, znajdzie ciemny kąt, cichy, z dala od natężonego ruchu i tłumów ludzi.

Gdy tylko wynajął wóz, wjechał w jakąś boczną, odludną ulicę i dziesięciocentówką odkręcił tablice rejestracyjne. Potem skradał się ulicami tak długo, aż znalazł samochód zaparkowany w wystarczająco ciemnym kącie. Zdjął mu tablice rejestracyjne i zastąpił numerami wynajętej furgonetki. Zabrał odkręcone tablice i przymocował je do swojego pojazdu. Widział kiedyś, jak to robią w jakimś filmie, i pomyślał, że być może zmyli ich tym sposobem na dość długo, by móc wydostać się z miasta.

Wsiadł z powrotem do samochodu i jeździł, aż znalazł ten zapyziały bar. Umył się w łazience, wyszedł i zamówił śniadanie. Z zamykającymi się oczami pił kawę, ale ożywił się, gdy usłyszał: „Miliarder Philip Stoner został wczoraj wieczorem zastrzelony w swoim domu w Palos Verdes w Kalifornii”.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, kto go zamordował. Harry Ross dokonał zemsty, pomyślał. Ten facet był nienasycony. Któregoś dnia mógłby też odnaleźć mnie, doszedł do wniosku. Cóż, zaskoczy ich. To on odnajdzie ich pierwszy. Zaczął swą misję i nie przerwie jej, dopóki nie będzie wolny i bezpieczny.

Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, zastanowił się, dlaczego nie czuje wielkiego smutku z powodu śmierci ojca. Przecież ten człowiek zrobił dla niego wszystko, co w jego mocy, a był czas, kiedy obaj cieszyli się sławą Dirka. Wierzył, że staruszek był z niego naprawdę dumny. Ale potem stał się jego najsurowszym krytykiem, zagroził, że odetnie go od źródła bogactwa, jeśli nie zmieni swego upadłego stylu życia.

Niewykluczone, że wiele z tego, co robił, robił przez bunt wobec ojca. Niewykluczone, że nienawidził go od samego początku. Jego śmierć nie będzie miała większego wpływu na moje życie, pomyślał Dirk. Dzięki zapobiegliwości tatusia jego pieniądze były bezpieczne, a imperium nieruchomości nigdy go tak naprawdę nie interesowało. Niech się prawnicy i krewni

nawet pozabijają o to wszystko. Zaraz zaczną wyłazić z ciemnych nor jak termity.

Usiłował przypomnieć sobie jakieś ciepłe chwile, jakiś uśmiech czy czułe słowo, ale ostatnimi czasy jego pamięć zdawała się uwieczniona w zaklętym kręgu. Potrafił wrócić tylko do swojej ucieczki od śmierci i wydarzeń, które nastąpiły potem. Czuł się, jakby naprawdę umarł, a wszystko, co nastąpiło przedtem, znikło jak dane z twardego dysku po przerwie w dostawie prądu.

Jednak usłyszawszy wiadomość, stracił apetyt. Odsunął jajecznicę i popijał tylko kawę, słuchając jednym uchem informacji, a potem uśmiechnął się z zainteresowaniem na widok swojego dawnego wizerunku, gdy w telewizji pojawiło się jego zdjęcie i krótkie przypomnienie procesu. Miał wrażenie, że patrzy na zupełnie inną osobę i słucha życiorysu obcego człowieka.

Po śniadaniu zajął stanowisko w pobliżu domu Elaine Ross i obserwował, jak wychodziła i wracała. Śledził ją i Kathy po całym mieście, trzymając się na tyle daleko, żeby pozostać niezauważonym. Gdy wybrały się do kina, poszedł za nimi i przez cały czas siedział w tyle. Przed końcem filmu wstał, wyszedł i czekał na nie przed kinem. Zobaczył, że się rozstają i pojechał za Elaine do domu, ale na razie dał jej spokój. Nie był jeszcze gotowy.

Gdy pojawiła się wieczorem, wsiadła do taksówki i pojechała do restauracji, deptał jej po piętach. Zaparkował kilkaset metrów dalej i obserwował przybycie Harry'ego i Lil Rossów. Zdziwił się, oczywiście. Widział, jak wszyscy troje spotykają się, ściskają, całują i wchodzą do środka, po czym sam wszedł do pobliskiego baru i kupił bułkę z szynką i serem i puszkę piwa. Siedział, jadł i obserwował restaurację, a po chwili zaczęło się z nim dziać coś dziwnego: wszystko mu się pomieszało.

Robił teraz to, co wcześniej robił z Farah. Po ogłoszeniu separacji, gdy niezłomnie twierdziła, że pojednania nie będzie, zaczął chodzić za nią tak, jak teraz za Elaine: śledził ją absolutnie wszędzie, każdą wolną chwilę spędzał na obserwacji. Nie raz go zauważyła, a on wtedy uśmiechał się i odchodził. Któregoś dnia jeden z jej przyjaciół zadzwonił do niego i w imieniu Farah zażądał, żeby przestał. Zagroził nawet, że pójdzie na policję, a potem do gazet.

- Idź - odpowiedział mu Dirk. - Idź na policję. Idź do gazet, a potem idź do diabła. Nie groź mi, ty kurdupłu. Wiem, co jest grane. Lepiej uważaj na swój tyłek, ważniaku.

Facet miał chyba pełne gacie strachu, bo więcej nie dzwonił i przestał spotykać się z Farah. A może jej samozwańczy obrońca chciał po rozmowie

z nim pójść na policję, ale Farah powstrzymała go, więc pomyślał, po co ma sobie zwracać głowę, skoro jej nie zależy?

Już dużo wcześniej Dirk przestał próbować zrozumieć byłą żonę. Nie nawidziła go, a jednak go kochała; chciała, żeby trzymał się od niej z daleka, a jednocześnie pragnęła, żeby wrócił. Pozostał dla niej zakazanym owocem, lecz trudno jej było wyrzec się blasku i świetności, jakimi cieszyła się u jego boku. I w końcu by je miała, pomyślał. Wróciłaby do niego; mimo wszystko pogodziliby się, gdyby nie jej rodzina. Był tego pewien. To oni nakazali jej opór; to oni kazali jej odmawiać i to po wszystkim, co zrobił dla nich on i jego ojciec. Niewdzięczne łajdaki.

A teraz znów tu byli, dumał, odwiedzali ją, dawali rady, podtrzymywali jej opór. Pewnie mówiła im właśnie, że chce mu wybaczyć, a oni kategorycznie jej tego zabraniali. Zawsze mu przedtem wybaczała. To na pewno była ich wina. To na pewno...

Zamrugał, a jego oczy na chwilę przesłoniła chmura złości. Potem pomyślał: „Nie, to nie Farah, to Elaine”.

Rozejrzał się dokoła, jakby dopiero zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Był w Nowym Jorku, nie w Kalifornii. I nie był już Dirkiem Stonerem. Teraz nazywał się Jonathan Lewis. Dirk nie żył, nie istniał.

Wrócił do furgonetki. Nadszedł czas, by zacząć od nowa, by zbudować nowe życie i nową miłość.

Elaine.

Moja nowa miłość.

Ścisnął w dłoni puszkę po piwie i rzucił ją za siebie. Czekał niecierpliwie, ale opanowany. Żadnych błędów, powiedział sobie. Tym razem żadnych błędów.

Zmrużył oczy i oparł czoło o szybę. Żuchwa mu opadła, język zrobił się płaski i blady. Siedział tak nieruchomo, że gdyby zauważył go ktoś z przechodniów, pomyślałby, iż nie żyje.

Mam przyjaciół - powiedziała Elaine tonem znacznie bardziej obronnym, niż by tego chciała. - Rzecz tylko w tym, mam, że życie towarzyskie nie jest teraz dla mnie najważniejsze. Przerwała i wzięła łyk wina.

- Nie macie pojęcia, ile tu trzeba pracować. Studenci medycyny dochodzą nieraz do etapu, kiedy wystarczają im cztery godziny snu.

- Nic dziwnego, że większość lekarzy wygląda na mocno schorowanych - zażartował Harry. - No dobrze już, daj jej spokój. Proszę przerwać to przesłuchanie, pani Prokurator - nakazał Lil.

- Że niby ja? - Lil przycisnęła prawą dłoń do piersi, wyprostowała się i otworzyła szeroko oczy. - Pan Zamartwialski wyzywa mnie od prokuratorów?

- Przestańcie, oboje - przerwała im córka.

Kelner przyniósł przystawki. Elaine poczekała, aż odejdzie. Rodzice przyglądali się jej, zaskoczeni wybuchem. Przemówiła już spokojniejszym głosem.

- Potrzebna mi przestrzeń, żebym mogła swobodnie pooddychać. Wiem, że większość ludzi odbywa podróż zwaną życiem w parach, ale ja najpierw muszę zrobić to, co do mnie należy.

Lil i Harry popatrzyli na siebie i zabrali się za jedzenie.

- Opowiedzcie mi o swoich wakacjach.

Gdy Lil opisywała hotel, okolice, muzykę i zakupy, Harry przyglądał się swojej młodszej córce. Dostrzegł, że jej wzrok wędrował do okien i drzwi restauracji zbyt często, by można to uznać za nic nieznaczący przypadek. Nie odzywał się; nie zadawał pytań.

Nad daniem głównym zmienili temat konwersacji i mówili o pracy, następnym wakacjach, o tym, co będą robić po powrocie do Kalifornii.

- Nie cieszy mnie perspektywa spotkania dawnych przyjaciół - wyznała Elaine. - Wszyscy będą się starali zachowywać normalnie, ale ich oczy zdradzą to, co myślą i o co chcieliby zapytać: Jak się trzymam? Jak sobie radzę? Jak radzi sobie moja rodzina? Wolałabym znaleźć się gdzie indziej, gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna... gdzie nikt *nas* nie zna.

Lil pokiwała głową.

- Rozumiem. Ja czuję się tak przy każdym spotkaniu z nowym klientem. Widzę to w ich oczach, ale jeśli nie stawimy temu uczuciu czoła i nie pokonamy go, to ono zawsze będzie nas prześladować, Elaine.

Jedli dalej. Elaine wyrzucała sobie, że to ona poruszała takie tematy, ale one wrzały tuż pod powierzchnią. Po prostu nie dawały się utrzymać pod pokrywką.

- Tato, co sądzisz o morderstwie Philipa Stonera? – zapytała w końcu.

Ta historia wisiała w powietrzu, którym oddychali, nie sposób było ją zignorować. Krzyczały o niej nagłówki gazet i większość stacji telewizyjnych.

- Nie tak dawno temu odwiedził twojego ojca - rzekła Lil.

- O? Po co?

- On... Próbował zmusić mnie do przyznania, że poniósł tak samo wielką stratę jak ja. Ponieważ jego teoria była dla mnie nie do przyjęcia, poszedł sobie.

- To do niego raczej niepodobne - stwierdziła Elaine. - Nigdy nie przypuszczałam, że ten człowiek ma jakieś sumienie.

- Bo nie ma. To jest, nie miał - poprawił się Harry.- Jestem pewny, że zrobił to ktoś, kogo okrutnie skrzywdził. Policja pewnie traci głowę. Muszą mieć listę podejrzanych ze wszystkich miejsc, jak Stany długie i szerokie.

- Nikt do ciebie w tej sprawie nie dzwonił? - spytała Elaine.

- Do mnie? Czemuż, u licha, mieliby dzwonić akurat do mnie?

Popatrzył na Lil.

- Nigdy za sobą nie przepadałiscie, Harry. To chciała powiedzieć Elaine.

Zastanowił się przez chwilę.

- Cóż, w takim razie cieszę się, że byliśmy na wakacjach. Bardzo nie chciałbym udowodniać, że nie zabiłem tego łajdaka. Ktoś kiedyś zapytał mnie, co do niego czuję po procesie i egzekucji, a ja pamiętam, że odpowie działem cytatem z Marka Twaina: „Chętnie zrezygnowałbym z innych form rozrywki i udał się na jego pogrzeb”.

Już miał się uśmiechnąć, lecz zamiast tego zabrał się za jedzenie.

Oczy Elaine powędrowały do drzwi, przez które wchodził jakiś mężczyzna. Harry obserwował, jak córka podążyła za nim wzrokiem, aż przeszedł przez restaurację do swojego stolika, po czym wróciła do posiłku. Czuł, że jest świadoma obecności wszystkich ludzi dokoła.

Gdy już zjedli i wyszli z restauracji, umówili się na kolację z bratem i bratową Lil. Harry przywołał taksówkę - najpierw dla Elaine. Lil uściskała ją i ucałowała, a po niej Harry przytulił córkę i pomógł wsiąść do samochodu. Wetknął głowę do środka.

- Mama ma zamiar ograbić jutro z ciotką Carol wszystkie centra handlowe w mieście - rzekł z uśmiechem. - Będziesz miała wolną chwilę w ciągu dnia?

- Tylko podczas lunchu, tato, około pierwszej.

- Przyjdę do twojej szkoły.

- Będę czekała na schodach przed wejściem, ale będę wolna tylko przez godzinę.

- Dobrze - powiedział i jeszcze raz ją pocałował.

Elaine uśmiechnęła się i popatrzyła, jak ojciec cofa się i zamyka drzwi. Kiedy odjechała, przywołał drugą taksówkę.

Gdy tylko Elaine przekroczyła próg mieszkania, zatrzasnęła szybko drzwi i zamknęła na dwa zamki. Aluzje do śmierci Farah i morderstwo Philipa Stonera znów zburzyły jej spokój, no i powróciło wspomnienie o Jonathanie Lewisie. Nie włączając światła, przeszła szybko przez pokój

dzienny i wyrzała przez okno na ulicę. Panował na niej ruch nieco większy niż zwykle: ludzie przechodzili przez jezdnię, śpieszyli chodnikami, parkowali samochody. Było najzwyczajniej za wcześnie, żeby zauważyć coś podejrzanego, pomyślała, a poza tym komu to potrzebne?

Nie od razu poszła spać. Wiedziała, że rzucalaby się i przewracała z boku na bok, więc otworzyła książkę i zaczęła pracować nad zadaniem, które należało skończyć dopiero za dwa tygodnie. Z natury już wolała być zawsze z pracą do przodu. Była mniej niespokojna, wiedząc, że może nie robić potem nic przez pięć czy sześć dni i nie popaść przez to w kłopoty. Od czasu do czasu jej wzrok padał na zdjęcie w ramce. Była to jej ulubiona fotografia Farah, zrobiona podczas wakacji z Dirkiem, które spędzili w domu jego ojca gdzieś w stanie Nowy Jork. Wyglądała tak świeżo i szczęśliwie. Czy kiedykolwiek przyszło jej na myśl, co ją czeka? Nikomu nie przyszłoby to do głowy.

Elaine pracowała, dopóki oczy nie zaczęły się jej kleić, a wtedy poszła do kuchni i napiła się mleka. Przystanęła przy drzwiach wejściowych, żeby sprawdzić zamki: łańcuch i żelazną sztabę. Ewentualny intruz musiałby wyważyć drzwi razem z futryną, pomyślała.

Mając w pamięci to, co widziała Kathy Du Bois, czuła pokusę, by znów podejść do okna i wyrzec na ulicę, ale powstrzymała się.

Jeśli to zrobię, stwierdziła, będę tam stała tak długo, aż coś sobie wymyślę, a wtedy już na pewno nie zasnę. Weszła do łóżka, zgasła lampkę i objęła poduszkę. Zrobiło się jej miło i przyjemnie. Byli tu jej rodzice, niedaleko. Czuła się bezpieczniej niż zwykle.

A jutro miała wiele do zrobienia. Tylko na wpół świadomie zastanawiała się, czemu ojciec poprosił ją o spotkanie.

W pewnej chwili, w nocy, obudziła się. Zdawało się jej, że słyszy kroki. Nasłuchiwała z mocno bijącym sercem, po czym usiadła i rozejrzała się po ciemnym mieszkaniu. Czy to jedynie jej wyobraźnia, czy rzeczywiście ktoś stał za drzwiami? Wyteńczyła słuch, a potem powoli wstała i przeszła ostrożnie przez mieszkanie do wejścia. Było cicho, bardzo cicho.

To tylko moja wyobraźnia, pomyślała. Odetchnęła z ulgą i wróciła do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Obwiniła się o głupotę i złość nie dawała jej zmrzyć oka. Jutro wieczorem, obiecała sobie, weźmie tabletkę nasenną albo przynajmniej wypije szklaneczkę cudownego eliksiru babci Du Bois.

Nie wierzył, że zwyczajnie uda mu się wejść po schodach i otworzyć drzwi do jej mieszkania. Przeszło mu przez myśl, że mógłby spróbować wejść schodami przeciwpożarowymi i dostać się tam przez okno, ale szybko zrezygnował. Nie było sensu tak ryzykować. Gdy już będzie gotowy, wszystko

pójdzie gładko. A jednak nie mógł się powstrzymać. Musiał wejść do kamienicy, stanąć przed jej drzwiami i chociaż poruszać klamką. Na korytarzu było cicho jak makiem zasiał, a małe żarówki pod sufitem dawały niewiele światła. Między futrynę a klamkę wsunął swoją kartę kredytową. Udało mu się otworzyć, ale z całą pewnością były inne zamki.

- Ty przecież jesteś ta ostrożna - wymamrotał. - Twoja siostra taka nie była. Zostawiła drzwi otwarte. Czekala na mnie. Do dziś w to wierzę.

Stał tam, przemawiając cicho do zamkniętych drzwi, jakby Elaine otworzyła je i patrzyła teraz wprost na niego.

- Drażniła się ze mną, wiesz? Zawsze to robiła. Wiedziała, że tam jestem; wiedziała, że wszedłem, ale nie przestała rozmawiać przez telefon z jakimś swoim nowym facetem - a przynajmniej chciała, żebym tak pomyślał.

Przerwał i spojrzał w stronę schodów. Cienie stroiły sobie z niego żarty. Wyglądały jak krzewy bugenwilli, te, które rosły na tyłach mieszkania Farah. Sięgnął do kieszeni, jakby spodziewał się, że znajdzie tam zaostriżony śrubokręt. Przez chwilę zdawało mu się, że poczuł go w palcach.

- Jaja sobie ze mnie robisz? - wymamrotał. - Jeszcze zobaczymy, komu to wyjdzie na zdrowie.

Zrobił krok w przód, tak że jego twarz znalazła się dosłownie parę centymetrów od drzwi. Przycisnął do nich usta i czoło i nasłuchiwał. Zdawało mu się, iż słyszy jej oddech, widzi, jak leży w łóżku i pierś jej faluje. Oczami wyobraźni zobaczył jej delikatność, jej jedwabistą skórę, ciepłe miejsca na jej ciele i zapragnął ich. Podniósł ręce i mocno przycisnął palce do drzwi tak, że wyglądały jak pająki.

Nie miał pojęcia, jak długo tam stał, ale w końcu usłyszał kroki w mieszkaniu. Wstrzymał oddech i czekał. W drzwiach nie było wizjera, więc nie mogła go zobaczyć. Zauważył, że przekręca klamkę i sprawdza zamki. Była po drugiej stronie, dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów. Miał ochotę wrzasnąć, ale powstrzymał się i postarał się nie oddychać. Chwilę później usłyszał, jak odchodzi, i nastąpiła cisza. Odczekał dłuższy czas, nim się odwrócił, po cichu wrócił na schody i zszedł, zdradzając swoją obecność każdym skrzypnięciem drewnianych stopni.

Wyszedłszy na ulicę, rozejrzał się i przeszedł na drugą stronę. Trzymając się cienia, wrócił do furgonetki, wsiadł i odjechał poszukać bezpiecznego schronienia, gdzie mógłby skulić się jak embrion z tyłu samochodu i śnić o demonach błyskających latarkami, stukających do drzwi, zagląających przez okna, żeby tylko go odnaleźć.

Nazajutrz rano był w bardzo kiepskim stanie. Od wielu dni się nie golił, chodził i spał w tym samym ubraniu. Nie przejmował się swoim wyglądem. Próżność, która niegdyś była jedną z najbardziej wyróżniających go cech, zakopała się głęboko w jego ciele, by w końcu skulić się i zasnąć w głębi serca. Duma zaś stała się największą bolączką, wszechobecną nekającą bestią, nakazującą działać mimo zmęczenia, głodu czy wszelkiego zawahania. Żadne ryzyko nie było tak wielkie jak ryzyko kłęski tej pogoni.

Zmienili mu twarz, pracowali nad zmianą głosu, rozpoczęli przygotowania do podarowania mu całkiem nowego życia, ale człowiek żyjący w jego wnętrzu nie chciał się podporządkować. Wewnętrzna siła, która tamtej nocy pchnęła go pod drzwi Farah, wciąż żyła, dobrze się miała i znów zaczynała się burzyć. Wraz z nią odrodziły się dawne uczucia i urazy. Czas się cofnął.

Musiał znowu ją mieć i zmusić do wyznania, że go kocha. Dopiero wtedy i tylko wtedy będzie mógł zerwać z przeszłością i spojrzeć w przyszłość. Czemu ci głupcy tego nie rozumieli? Wszyscy ci niby eksperci?

Umarli nie są pogrzebani, dopóki nie pogrzebiesz ich we własnym sercu, pomyślał. A jedynym moim grabarzem jestem ja sam.

Rozejrzał się po ulicy i poczuł się lepiej, nie zauważając nikogo ani niczego podejrzanego. Nie udało im się go znaleźć. Był od nich lepszy. Może postanowili się poddać. Skoro jego ojciec nie żył, kogo to wszystko obchodziło? Nie mieli nad sobą nikogo, przed kim musieliby się tłumaczyć.

Roześmiał się.

- Oddałeś mi przysługę, ty tępy palancie. Zabijając mojego drogiego staruszka, najwyraźniej zdjąłeś mi ich z tyłka.

Uruchomił silnik i pojechał coś zjeść. Był bardzo głodny, a potrzebował dużo siły.

Dziś... dziś rozpocznie grzebanie przeszłości, która miała pogrzebać jego.

Harry przybył pod szkołę wcześniej. Zaskoczyło to Elaine, ale też sprawiło wielką radość.

- Powiedziałeś mamie, że się ze mną spotykasz? - zapytała, gdy się już czule przywitani.

- Nie. Myśli, że mam się zobaczyć z Charleyem Mallenem w sprawie inwestycji - odparł. - Pomyślałem, że powinniśmy się spotkać tylko we dwojkę. Gdzie zjemy? - spytał.

- Tu niedaleko jest mały bar. Pokazała głową na drugą stronę ulicy.

- Wyglądasz na zmęczoną - stwierdził Harry, idąc u boku córki.

Przytrzymał ją za łokieć i wziął pod rękę.

- Wczoraj wieczorem musiałam nad czymś dłużej posiedzieć. Chciałam się zmęczyć, żeby potem dobrze spać.

- Też nie najlepiej sypiasz, co? - spytał.

Nim zdążyła odpowiedzieć, musieli, uważając na samochody, przejść przez jezdnię. Przyspieszyli kroku, weszli do lokalu i znaleźli stolik w pobliżu okna z widokiem na szkołę. Kelnerka podała im karty.

- Prawdziwa kanapka z peklowaną wołowiną - powiedział Harry.

- Nie jadłem tego od lat. A do tego napój z selera. I co ty na to?

- Bardzo nowojorski posiłek - odparła Elaine z uśmiechem.

Zamówiła sałatkę z kurczaka i mrożoną herbatę.

- A więc? - odezwał się Harry.

- Co takiego?

- Masz kłopoty ze spaniem?

- Czasami. Pokiwał głową.

- Ale mam się już coraz lepiej - dodała. - A ty?

- Ja, hm, lepiej i nie lepiej - przyznał. - Posłuchaj - powiedział, zbierając się w sobie i siadając prosto. - Nie byłem i nie jestem dla ciebie takim ojcem, jakim powinienem być, ale...

- To nieprawda, tato. Nie zaczynaj się teraz obwiniać. Twoje zachowanie było całkiem naturalne.

- Wiem - odparł, unosząc brwi. - Byłem u psychoanalityka twojej matki, pamiętasz?

Uśmiechnęła się.

- Oni potrafią pomóc.

- Tak, pod warunkiem, że się tej pomocy samemu chce, a ja nie chciałem - wyznał.

Teraz ona uniosła brwi ze zdumienia.

- Ale to już całkiem inna sprawa, Elaine. Chcę tylko powiedzieć, że nie byłem ci tak bliski, jak powinienem, ale to nie znaczy, że nie mam tego szczególnego wyczucia, jakie rodzic ma wobec swojego dziecka. Wiem, wiem - powiedział, podnosząc dłonie. - Dla studentki medycyny to brzmi jak czary-mary, ale...

- Nie, tato. To ma swoją ważkość.

- Ważkość? Podoba mi się to słowo. Ważkość. W każdym razie wczoraj przy kolacji odebrałem jakieś negatywne vibracje. Nie jesteś po prostu przepracowana, Elaine. Trapi cię coś jeszcze. Nie powiedziałaś o niczym mamie, więc nie wiem, czemu miałybyś powiedzieć mnie, ale proszę cię o to jak o przysługę.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nieważne, co powiedział mi psychoanalityk, Elaine. Nieważne, ja kiego wytłumaczenia użył czy jaką teorię zastosował. Ja wciąż czuję się winny. Nie słuchałem tego, co mówiła mi Farah; nie zwróciłem na to uwagi. Nie usłyszałem wołania o pomoc, bo nie chciałem uwierzyć, że to prawda.

Westchnął głęboko.

Kelnerka przyniosła ich napoje.

- Nie chcę popełnić podobnego błędu z tobą. I tyle. Oto cała moja historia. A więc jeśli darzysz mnie choć odrobiną uczucia, opowiedz mi o swoich problemach.

Zaczęła się śmiać i wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni.

- Tato.

- Nic na to nie poradzę - rzekł. - Boję się o ciebie.

Jej uśmiech zgasł.

- Dlaczego?

- Może to tylko taka ojcowska paranoja. A może ze względu na to, co się stało, to naturalne, że jestem przewrażliwiony i przestraszony.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Elaine nie podniosła nawet widelca. Spuściła wzrok.

- Obawiam się, że to ja zacznę teraz mówić jak paranoiczka.

Harry wziął głęboki oddech.

- Pozwolisz, że sam to osądzę.

- A nie powiesz mamie?

Uśmiechnął się.

- Kiedyś razem z Farah to mamę prosiłyście, żeby mi o czymś nie mówiła. - Podniósł rękę. - Słowo honoru agenta nieruchomości.

Po chwili wahania Elaine zaczęła.

- Parę dni temu zgodziłam się pójść wieczorem do klubu z Kathy Du Bois. Przyszłam trochę za wcześnie i kiedy dotarłam do baru, podszedł do mnie ten mężczyzna...

21

Elaine pożałowała swojej opowieści, jeszcze zanim ją skończyła. Zmiany, jakie zaszły w twarzy ojca, wyraz jego oczu, to, jak pobielaly mu usta, i szybkość, z jaką krew nabiegła mu do policzków, przestraszyły ją bardziej niż własne koszmary. Wyglądał, jakby miał trudności z oddychaniem.

- Tato, dobrze się czujesz? - spytała, gdy skończyła, a on siedział tylko wpatrzony w nią bez słowa.

Dotknęła jego ręki. Była trupio zimna.

- Tak, nic mi nie jest. - Wessał głośno powietrze i rozluźnił ramiona. - Naprawdę. Wszystko w porządku. Czy od tamtego czasu niepokoił cię ten mężczyzna?

- Nie. Nie widziałam go ani o nim nie słyszałam. Pewnie było to tylko głupie, nic nieznaczące zdarzenie, do którego oprawę dorobiła moja prze-męczona wyobraźnia, i wszystko się skończyło, ale wtedy bardzo mną wzburzyło i od czasu do czasu samo narzuca się myślom. - Uśmiechnęła się. - Pewnie nie jestem tak dobra w ukrywaniu uczuć, jak mi się zdawało. A przynajmniej nie potrafię ukryć ich przed tobą.

- To nie jest tylko głupie, nic nieznaczące zdarzenie, Elaine. To zna-mię...

- Już ci mówiłam: to mogła być tylko gra świateł, moja wyobraźnia...

- Ale to, że nazwał cię E Lame...

- To też mogło mi się tylko wydawać - powiedziała słabo. - To znaczy... tato, czy tak naprawdę mogło to być coś innego?

Harry patrzył bez słowa, ale po jego oczach poznała, że wyobraźnia pod-powiada mu najbardziej nieprawdopodobne możliwości.

- To musiałyby być chyba duch, tato - podpowiedziała.

- Być może - rzekł Harry. - Być może. Opisz mi tego człowieka do-kładniej. Mówiłaś, że zaniepokoiły cię też inne podobieństwa. Jakie, poza znamieniem i nazywaniem cię w ten głupi sposób?

Opowiedziała mu o gestach, o zamówieniu ulubionego drinka Dirka, ob-lizywaniu mieszadełka tak, jak zawsze robił to Dirk, o śmiechu. Przerwała, a potem dodała:

- Kathy twierdzi, że moim głównym problemem jest to, że widzę Dirka w każdym facecie, którego teraz spotykam. Niewykluczone, że ma rację. Może ja też powinnam spędzić trochę czasu z psychoanalitykiem mamy.

Harry pokiwał głową, nachylając się do niej, i niżył głos do szeptu.

- Jednak wydało ci się to dziwne, że nie zadawał ci wiele pytań, a mimo to sprawiał wrażenie, jakby znał już wszystkie odpowiedzi. Niczym czło-wiek, który cię zna albo przynajmniej obserwował cię od dłuższego czasu.

- Mówisz jak detektyw, tato.

Uśmiechnął się.

- Ostatnio stałem się chyba takim jakby detektywem, ale nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby nabrać podejrzeń wobec kogoś, kto wy-mijająco odpowiada na pytania o to, skąd pochodzi, kogoś, kogo wymowa

brzmi nienaturalnie... Tak czy inaczej, rozumiem twoje zaniepokojenie, kochanie. Nie podoba mi się to. Na świecie jest za dużo szaleńców. Wymruczał to, co myślał, i popatrzył na nią.

- I dlatego masz trudności ze spaniem?

- Tak - przyznała. - Jednak koniec już z tym i od dziś wszystko będzie dobrze. Biorę się do roboty. To było bez sensu.

- Zobaczmy.

Zamyślił się przez chwilę.

- Lepiej zabierz się za jedzenie - powiedział, kiwając głową w stronę sałatki z kurczaka.

Spojrzał na swoją kanapkę. Nagle wydała mu się stanowczo za duża. W ciągu kilku sekund apetyt zmalął mu drastycznie. Niemniej jednak, mając świadomość, że musi robić dobrą minę przed Elaine, wziął wielki kęs i uśmiechając się, przeżuwał.

- Naprawdę brakuje mi takiego jedzenia. Wiesz, jak to jest w Kalifornii. Ostatnio twoja mama szuka tłuszczu nawet pod kanapą.

Elaine śmiała się i jadła. Kolory na twarzy ojca wyrównały się nieco. Może nie był to wcale taki zły pomysł, opowiedzieć mu o wszystkim, pomyślała. Może to właśnie ona, nie ojciec, unikała rozmów w cztery oczy. Nigdy nie dała mu szansy na bycie tatą.

- Po pierwsze - mówił między kęsami - chcę, żebyś zgłosiła to wszystko na policję. Masz pójść na komisariat i porozmawiać ze śledczym. Tutaj jest pełno świrów i mogłaś nadzieć się na jednego z nich albo może któryś specjalnie się na ciebie zaczął - powiedział i natychmiast pożałował słowa „zaczaił”.

- Naprawdę uważasz, że to konieczne?

- Absolutnie, Elaine. Absolutnie konieczne. Powinni cię mieć odnotowaną. W razie gdyby, uchowaj Boże, ten błazen pojawił się ponownie, nie będziesz musiała się wdawać w szczegółowe wyjaśnienia. Gdy cię odnotują, będą szybciej reagować. Obiecaj mi, że to zrobisz.

- Dobrze, tato. Obiecuje.

- Chciałbym też, żebyś baczniej zwracała uwagę na swoje otoczenie. Staraj się jak najmniej przebywać sama.

- Tato...

- Trzeba być ostrożnym. Ufność czyni z ludzi ofiary - dodał. - Ufność i niewinność.

Jego twarz na chwilę zasnuła się chmurą bolesnego wspomnienia, lecz po chwili mrugnął i powrócił do kanapki. Oboje jedli w milczeniu. Harmider baru tłumyły jego własne rozważania. Morderstwo Philipa Stonera, a teraz to, myślał.

Elaine dostrzegła napięcie w jego twarzy i położyła rękę na jego dłoni.

- Nie każ mi żałować, że ci powiedziałam, tato. Już po wszystkim, a mnie nic nie jest. Uwierz.

- Dobrze. Nie będziemy wtajemniczać w to mamy, jak już obiecałem, pod warunkiem, że pozostaniemy w bliskim kontakcie, przynajmniej przez jakiś czas - dodał.

- Ja chciałabym mieć z tobą bliski kontakt już zawsze, tato.

Do oczu Harry'ego napłynęły łzy. Gardło mu się trochę ścisnęło i zakaślał.

- Nie skończę tego - powiedział. - Chyba straciłem kondycję, jeśli chodzi o jedzenie nowojorskich kanapek.

Elaine roześmiała się.

- Jeśli zastanowi cię coś jeszcze, choćby wydało ci się zupełnie nie ważne, obiecaj, że mi o tym powiesz, Elaine.

Potaknęła.

- I koniecznie idź na policję.

Podeszła kelnerka, żeby sprawdzić, czy nie życzą sobie czegoś jeszcze.

- Powinam już wracać - powiedziała Elaine. - Muszę dokończyć doświadczenie.

- Nie ma sprawy. Leć.

- Jeśli chcesz zostać i napić się kawy...

- Może tak zrobię - rzekł i spojrzał na kelnerkę. - Poproszę filiżankę kawy.

Elaine podniosła się.

- Dzięki za lunch. Spotkamy się razem z mamą o siódmej w hotelu - powiedziała.

- W porządku. I przyniesź zatyczki do uszu. Wiesz, co ta rodzina potrafi, gdy się zejdą - ostrzegł.

Elaine ze śmiechem nachyliła się i pocałowała go, a potem odwróciła się i wyszła.

Harry dotknął twarzy. Patrząc, jak odchodzi, uświadomił sobie, że lata całe tego nie robiła. Nagle znów stała się jego małą córeczką.

Jest przerażona; jest naprawdę przerażona, stwierdził.

A ja jestem równie przerażony jak ona.

Niemal nie zauważył Harry'ego Rossa czekającego na córkę na schodach przed szkołą. Właściwie to prawie przeszedł obok niego. Gdy zdał sobie sprawę, że to Harry, zawahał się i zastanowił, co stałoby się, gdyby rzeczywiście to zrobił. Czy były teść rozpoznalby go? Postanowił to sprawdzić.

Nieźła zabawa: czuł się jak niewidzialny. Harry zerknął na niego, ale tylko przez ułamek sekundy, za krótko nawet, by zauważyć jego spojrzenie. Specjalnie przeszedł tak blisko, że Harry mógł zauważyć kolor jego oczu, ale człowiek, który powinien go znać lepiej niż ktokolwiek inny, człowiek, który powinien oglądać go w sennych marach, w ogóle go nie rozpoznał, nie spostrzegł w nim absolutnie nic znajomego - posłał mu to samo niewidzące spojrzenie, jakim większość mieszkańców miast darzy innych przypadkowych przechodniów.

Harry najwyraźniej zaprzątnięty był czymś zupełnie innym, stwierdził Dirk. Czy Elaine powiedziała mu o spotkaniu w klubie? A jeśli tak? Co zrobi? Zabierze ją z Nowego Jorku choćby siłą? Mało prawdopodobne. Nie mógł wynająć ochroniarza, który strzegłby jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie byłby w stanie zmusić policji do jakiegokolwiek konkretnego działania. Nie, Harry mógł tylko martwić się. Stres wpłynie na jego pracę, jego sen, jego małżeństwo, jego zdrowie.

Dirk odkrył, że bardzo lubi dręczyć tę rodzinę. Ale oni narazili go na znacznie gorszą udrękę. Ileż to bezsennych nocy przez nich spędził...

Nikt nie nienawdził go bardziej niż Harry Ross. Ten człowiek byłby szczęśliwy, gdyby tylko codziennie przez resztę życia mógł oglądać jego śmierć. Chciałby zabijać mnie w nieskończoność, myślał Dirk. Chęć zemsty ma wypisaną jak czerwone znamię na czole. Może wyciął sobie na piersi z?

Jak to jest, przyglądać się i rozmyślać o osobie, której każdy oddech stał się komuś nienawistny? Przypomniało mu się, jak Harry Ross patrzył na niego z pomieszczenia dla świadków podczas egzekucji, jak rozpaczliwie pragnął satysfakcji. Przez ten jego wzrok miałem już ochotę dać sobie spokój z odgrywaniem tej oskarowej roli, myślał Dirk. Bał się, rzecz jasna, ale na pewno nie był choćby w połowie tak przerażony i rozdygotany jak ktoś, kto tego dnia rzeczywiście miałby umrzeć. Wiedział, że gdyby okazał kompletny brak strachu i paniki, przyciągnąłby niepotrzebną uwagę, ale też z pewnością zadałby Harry'emu Rossowi cios prosto w serce i jeszcze przekręcił w nim nóż. Kochany tatuś też nieźle się spisał, zwłaszcza gdy zwiesił głowę i wyglądał jak uosobienie kłeski.

Oczywiście wymagało to od niego niemałej wiary, leżeć tam i dać komuś powieść się na krawędź przeznaczenia, ale Dirk zawsze ufał w potęgę swego ojca. Gdy tylko Philip Stoner powiedział, że coś załatwi, spokojnie można było uznać to za załatwione. Nigdy nikogo nie zawiódł, zwłaszcza siebie. Nigdy nie czuł się rozczarowany, nigdy sfrustrowany. Miał żelazną wolę. Wszyscy inni, zwłaszcza ci, nad którymi miał jakąś władzę, lub ci, którzy

znajdowali się na jego liście płac, wydawali się słabi, mało ważni, zwyczajnie śmiertelni.

Ojciec oznajmił Dirkowi, jak będzie, a ten przyjął jego słowa, jakby słuchał wyroczni. Farmaceutyki sprawią, że będzie wyglądał na zmarłego; lekarz spreparuje EKG - poruszy elektrodą i płaska linia potwierdzi orzeczenie o śmierci. Cała akcja miała przebiec gładko z przystankiem w zakładzie pogrzebowym, gdzie miał odzyskać przytomność i znaleźć się w rękach lekarza. Dirk, co prawda, zaczął budzić się szybciej, niż przewidywali, ale to nic. Gdy oprzytomniał, był już daleko w drodze, a przyszłość była już precyzyjnie zaplanowana. Tyle tylko, że wszystko to trwało za długo. Już nie mógł wytrzymać.

Ale teraz wszystko będzie w porządku. Wszystko będzie dobrze.

Ze swojego rogu po drugiej stronie ulicy obserwował Elaine i Harry'ego. Widział, jak idąc pod rękę, przechodzą przez jezdnię. Sielanka. Patrzył, jak wchodzi do baru, i dostrzegł nawet, jak żywo rozmawiają, biorąc się za rękę, pocieszając nawzajem z czułością.

Pewny siebie, z uczuciem wszechwiedzy i wszechobecności, kupił od ulicznego sprzedawcy hot doga i wrócił do samochodu.

Był niezwykle rześki, jasny dzień, okna i budynki skrzyły się, liście błyszcząły złotem i brązem, a przechodnie zdawali się kroczyć przez życie w podskokach. Dobrze było żyć w taki dzień. Przez krótką chwilę we wstecznym lusterku mignęła mu jego własna twarz i oniemiał. Wyglądał jak kłoszard, bezdomny. Czas był najwyższy zrobić sobie przerwę, odroczyć wykonanie zadania. Wszystko i tak uda się lepiej, jeżeli wycofa się teraz na jakiś czas. Uśpi czujność kogo trzeba. Będzie wyglądało na to, że znikł, i wszystko pójdzie łatwiej.

Popatrzył na resztkę hot doga. Co on, u diabła, robił, godząc się na to? Powinien zjeść lunch w jakiejś porządnej restauracji. Powinien kupić sobie coś przyzwoitego do ubrania. Potrzebował nowych butów, garniturów, koszul. Ile czasu chodzi wciąż w tej samej bieliźnie? Powinien się też ogolić i ostrzyc. On również chciał się czuć wspaniale, czuć smak życia. Jego ojciec nigdy nie działał w desperacji. Dlaczego miał to robić on? Do tej pory pewnie już dawno dali sobie w nim spokój. Najprawdopodobniej nikomu już nie zależało na dorwaniu go i przywróceniu do programu. Po śmierci ojca nikt tego od nich nie żądał.

Żyjąc na własny rachunek, pomyślał. Nareszcie. Odpalił samochód i ruszył na zakupy. Najpierw pojechał do bankomatu, zaopatrzyć się w całe mnóstwo gotówki. Potem udał się do salonu fryzjerskiego, gdzie kazał się modnie ostrzyc i ogolić. Stamtąd poszedł kupić nowe ubrania. Gdy miał już wszystko, łącznie z niewielką walizką, zadzwonił do Waldorfa i zrobił

rezerwację. Wziął apartament i godzinami moczył się w wannie, a przed wyjściem na miasto zamówił kolację do pokoju. W końcu nieprędko znów zjawi się w Nowym Jorku, pomyślał.

W centrum znajdował się bar, który, jak pamiętał, służył za siedzibę luksusowym prostytutkom. Ku jego zachwytowi wciąż tam był. Już po kilku minutach przy barze dogadał się z wysoką, smukłą brunetką, która wróciła z nim do hotelu. Było jak za dawnych dobrych czasów, gdy oszukiwał Farah podczas turniejów i akcji promocyjnych. To czyniło zemstę jeszcze słodsza.

Dziewczyna wyszła dyskretnie wczesnym rankiem, a on wylegiwał się prawie do południa, zapominając na chwilę, kim się stał i po co przyleciał do Nowego Jorku. Mocno zaryzykował, meldując się w dużym, znanym hotelu i korzystając z jednej z nowych kart kredytowych, ale nie pojawili się. Miał rację. Opuścili go sobie. Przeszłość wreszcie odczepiła się od niego.

Wciąż jednak słyszał w telewizyjnych wiadomościach o śmierci ojca. Policja z Los Angeles twierdziła, że nie ma żadnych tropów. Zastanowił się chwilę, po czym zadzwonił do Wydziału Policji Los Angeles. Zapytał o prowadzącego śledztwo w sprawie śmierci Philipa Stonera i połączono go z porucznikiem Harrisem.

- Sprawdźcie Harry'ego Rossa - powiedział mu. - Zrobił to z zemsty.

Po czym odłożył słuchawkę i wyłączył telewizor. Chciał jeszcze trochę odpocząć. Do tego, co ma zrobić, będzie potrzebował wszystkich swoich sił.

Harry niechętnie wyjeżdżał z Nowego Jorku. Lil, którą najpierw zaskoczyła jego gotowość do przyjazdu, teraz była zdumiona, gdy zastanawiał się na głos, czy nie powinni zabawić tu jeszcze kilka dni.

- Mam wrażenie, że Elaine ożywiła się, odkąd tu jesteśmy - powiedział.

- Nasza obecność pozwala jej naładować akumulatory. Pewnie nie jest jej tu łatwo samej, po wszystkim, co się stało.

- Nie jest sama, Harry. Ma moją rodzinę, w każdej chwili może do nas zadzwonić, a w razie potrzeby my wsiadamy w samolot i przylatujemy w ciągu kilku godzin. Poza tym nie mówiła mi nic takiego. A tobie? - zapytała Lil, podejrzliwie unosząc lewą brew.

- Nie. A co niby miałyby mi powiedzieć? - zaprzeczył, odwracając się do niej plecami. - Tak tylko pomyślałem, ale gdy się teraz zastanawiam, to i tak jesteśmy tu już stanowczo za długo.

- Lepiej wracajmy do pracy, Harry - postanowiła Lil, a on się zgodził... bez wahania.

To zakończyło dyskusję. Ostatni wieczór spędzili razem. Elaine postanowiła, że wspólnie z Kathy przygotowują posiłek w jej mieszkaniu. Głównie była to południowa kuchnia Kathy.

Wszystko było przepyszne. Rossowie bardzo polubili Kathy Du Bois i zarówno Harry, jak i Lil byli niezmiernie zaintrygowani opisami jej rodziny i delty Missisipi.

- Elaine znalazła bardzo dobrą przyjaciółkę - powiedziała Lil do Harry'ego w drodze powrotnej do hotelu. - Jest dla niej jak druga siostra.

Harry skrzywił się na to porównanie, ale szybko przełknął gorzką pigułkę bólu.

Następnego ranka siedzieli już w samolocie do Los Angeles. Lil wydawała się naprawdę wypoczęta, a to za sprawą wakacji, spotkania z rodziną i czasu spędzonego z Elaine. Harry cieszył się z powrotu z Jamajki okrężną drogą. Czuł, że w krótkim czasie bardzo zbliżył się do młodszej córki, a ona do niego.

Nazajutrz po powrocie do Los Angeles zaskoczyła ich wizyta śledczego z tamtejszej policji.

- To naprawdę rutynowa wizyta, panie Ross - wyjaśnił, pokazując legitymację. Nazywał się Harris. - Sprawdzamy tylko wszystkie tropy. Proszę nie brać tego do siebie - dodał, pamiętając, kim byli i przez co przeszli.

- Musi pan być bardzo zajęty - odparł Harry - odwiedzaniem wszystkich ludzi, którzy nienawidzili Philipa Stonera i mieli prawdopodobny motyw, żeby go zabić.

Porucznik Harris uśmiechnął się.

Gdy tylko wyjaśnili, gdzie byli w chwili popełnienia morderstwa, Harris zaczął zbierać się do wyjścia, przepraszając za niedogodność.

- To żadna niedogodność - powiedział Harry, wciąż nie próbując ukryć nienawiści do Stonera. - Pańska wizyta sprawiła mi przyjemność.

- Słucham? - zdziwił się Harris.

- To tak jak w tym prawniczym żarcie. Facet dzwoni do swojego adwokata, a jego sekretarka mówi: „Przykro mi, proszę pana, ale pan Taki-a-Taki zmarł zeszłej nocy”. Facet dziękuje jej, rozłącza się, a następnego dnia dzwoni i pyta o prawnika, a sekretarka znowu mówi mu, że ten nie żyje. Facet dziękuje jej, rozłącza się i dzwoni znowu. A ona znów oznajmia mu: „Pański prawnik nie żyje”. Facet dziękuje jej i dzwoni jeszcze raz. „Czemu pan wciąż dzwoni? - pyta sekretarka. - Mówiłam panu, że pan Taki-a-Taki nie żyje”. „Wiem - odpowiada delikwent. - Ale tak miło się tego słucha”.

Harry roześmiał się z własnego dowcipu. Harris uśmiechnął się i spojrział na Lil, która tylko pokręciła głową. Pożegnał się z nimi i wyszedł.

- Czemu to zrobiłeś, Harry?

- Co takiego? - spytał z miną niewiniątka.

- Wiesz, co. Czemu się wyżywałeś? Czy nie możesz pozwolić zmarłemu spoczywać w pokoju?

Pomyślał przez chwilę.

- Nie - odparł. - Nie, dopóki sam nie spocznę w pokoju.

Wrócili do swoich zajęć. To był pracowity tydzień. Wynajęli dwie wielkie posiadłości, dostali oferty kupna trzech innych nieruchomości, a w międzyczasie przedstawili propozycje co najmniej pięciu potencjalnym kupcom. Harry'ego szczególnie ucieszył fakt, że wielu z tych ludzi zdawało się nie wiedzieć o morderstwie ich córki.

Może to już koniec, pomyślał. Może to już naprawdę koniec.

Co wieczór dzwonił do Elaine. Pytał, czy poszła na policję, a ona za każdym razem odpowiadała, że jutro, ale każdego następnego dnia miała inną wymówkę, inne zajęcia.

- Od tamtej pory nie dzwonił ani nie pojawił się w pobliżu - mówiła. - Wszystko wróciło do normy, tato. Wszystko już w porządku. Ale porozmawiam z policją. Obiecałam ci i zrobię to.

- Tylko czemu odnoszę wrażenie, że wcale nie masz takiego zamiaru? - spytał ją Harry.

Roześmiała się.

- Zrobię to. Nie mówiłeś mi, że skumałeś się z Kathy i kazałeś jej zmusić mnie do pójścia na policję. Ona też mnie ściga. Nie uda mi się wymigać.

- To dobrze. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę - dodał. Nie było to coś, co zwykł był jej mówić.

- Ja też - usłyszał.

Potem Elaine opowiedziała mu o studiach, swoim zainteresowaniu badaniami naukowymi i o poruszeniu związanym z prawdopodobnym przełomem w leczeniu choroby Alzheimera. Cieszył się, że wtajemniczyła go w swoje zainteresowania. Zrobiło mu się ciepło na sercu od świadomości, że wreszcie obdarzyła go zaufaniem. Prawdziwie stawała się jego córką. Żałował jedynie tego, że trzeba było rodzinnej tragedii, żeby otworzyć mu oczy.

Lil nie wiedziała o telefonach do Elaine. Ona zwykle dzwoniła do córki sama, a za każdym razem, gdy rozmawiał z Elaine w jej obecności, zachowywał się, jakby tamta kwestia w ogóle nie istniała. Elaine rozumiała dlaczego.

- Dobrze, że dotrzymałeś słowa i nie powiedziałaś mamie - powiedziała kiedyś.

- W porządku, pani doktor Ważna. Ja dotrzymałem słowa, a ty?

- Dziś - odparła. - Dziś po ostatnich ćwiczeniach idę na komisariat.

Wieczorem zaczął, aż Lil pójdzie przygotowywać kolację, a sam zadzwonił do córki, by dowiedzieć się o wizycie na policji. Włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawił wiadomość. A potem razem z Lil jedli, rozmawiali o pracy, oglądali telewizję. Przez cały ten czas Harry spoglądał jednak na zegarek. Różnica czasu między Los Angeles a Nowym Jorkiem wynosiła trzy godziny, czyli było już dość późno. Elaine z pewnością zdążyła odebrać jego wiadomość.

Lil zauważyła jego roztargnienie.

- Co się dzieje, Harry?

- Słucham?

- Wciąż spoglądasz na zegarek. O co chodzi?

- O nic, pomyślałem tylko... Pomyślałem, że Elaine mogłaby dziś zadzwonić.

Lil popatrzyła na swój zegarek.

- W Nowym Jorku już prawie północ. Pewnie śpi.

- Taaak.

Harry wstał i wyszedł na taras, żeby Lil nie widziała napięcia na jego twarzy.

Elaine wie, jak się martwię, wie, jak się martwiłem, wyjeżdżając z Nowego Jorku, myślał. Nie zignorowałaby mnie. Wślizgnął się do swojego gabinetu i zadzwonił do niej. Sygnał w słuchawce buczał i buczał, aż włączyła się automatyczna sekretarka.

Nagrany głos córki zakłuł go jak wbijane w serce szpilki.

Gdzie ona jest?

Gdzie ona, u licha, jest?

Gdy podniósł głowę, zobaczył stojącą w drzwiach Lil.

- Co się dzieje, Harry? - powtórzyła pytanie.

Już miał zaprzeczyć, zmyślić jakąś historię, ale ona podniosła dłoń jak kierujący ruchem policjant.

- Od jakiegoś czasu wiem, że coś się święci, panie Ross. Może już czas, żebyś mi o wszystkim powiedział.

Zerknął na telefon. Może rzeczywiście już czas.

- Przed naszym przyjazdem do Nowego Jorku Elaine poznała kogoś w klubie.

- No i?

Lil weszła i usiadła.

- Było w tym człowieku coś, pewne cechy, które czyniły go podobnym do Dirka.

Lil skrzywiła się.

- Podobnym do Dirka?

- Więcej niż podobnym. Ten człowiek przypominał go w gestach, wyrazie oczu...

- Nie powiedziała mi o tym, gdy byliśmy w Nowym Jorku.

- Nie chciała cię denerwować. Wyczułem coś w jej zachowaniu podczas naszej pierwszej wspólnej kolacji, a podczas lunchu opowiedziała mi...

- Podczas lunchu? Kiedy zdążyliście...

- Spotkałem się z nią koło szkoły i nic ci nie powiedziałem. Właśnie wtedy opowiedziała mi o tym mężczyźnie.

- To musiało być dla niej straszne, ale Harry...

- Było coś jeszcze, coś przerażającego. Nazwał ją E Lane, gdy się rozstawali, gdy dosłownie musiała przed nim uciekać.

Lil wpatrywała się w niego.

- Nikt inny jej tak nie nazywał - dodał. - Wiesz, jak się tym przejmowała i denerwowała.

- Co ty wygadujesz? Twierdzisz, że ten człowiek to Dirk? Harry, jak niby...

- Nic mnie już nie zdziwi.

- To szaleństwo. Nie chcę słuchać tego gadania - oznajmiła, kręcąc głową. - To cię doprowadzi do obłądu, Harry.

- Już doprowadziło - wyznał. - Już doprowadziło.

22

Po tym, jak się poruszała, rozmawiała z ludźmi, wykonywała codzienne czynności, poznała, że uspiła swoją czujność, pozwoliła ostrożności rozwiać się na wietrze, wyrzuciła go z pamięci. Od wieczoru w klubie nie pokazał się jej, nie zbliżał się, nie rozmawiał z nią. Obserwował Elaine z bezpiecznej odległości, jednak na tyle niewielkiej, by widzieć jej miny i gesty. Stanowiła fascynujący obiekt obserwacji.

Zwróciła jego uwagę już na samym początku, kiedy zaczynał zalecać się do Farah. Miała zadowolony z siebie uśmieszek i ogień buntu w oczach. We

wczesnym okresie małżeństwa zdarzało się, że odwiedzała ich i czytała przy basenie. Miała śliczną figurkę, nie tak wyzywającą jak Farah, ale o dobrych proporcjach, o pupie i piersiach na tyle zaokrąglonych, by przyciągnąć jego wzrok za każdym razem, gdy wstawała z leżaka, żeby pójść popływać. Uważał, że poruszała się bardziej wdzięcznie niż Farah. Wszystko robiła całą sobą, a przy tym z subtelnością, która pozostawiała wiele do domysłu.

Uśmiechał się do niej lubieżnie, a ona odwracała się lub posyłała mu to cudowne wyniosłe spojrzenie, usiłując sprawić, by poczuł się jak karzeł. To go ekscytowało. Chciał ją posiąść i fantazjował na jej temat, nawet kochając się z żoną, lecz gdy tylko się odezwał, Elaine odpowiadała krótko, ostro, nierzadko złośliwie.

Jednakże prawie nigdy go to nie złościło. Im więcej się do niej uśmiechał, im częściej się śmiał, tym bardziej się złościła, a z wściekłości krew napływała jej do twarzy i rozpalala się erotyczna energia, której istnienie zawsze w niej podejrzewał.

Elaine nie żałowała krytyki na temat sposobu, w jaki traktował Farah, zwłaszcza publicznie. Nawet w jego obecności, nigdy przez niego nie oniesmielona, Elaine głośno wyrażała swoje obiekcje i namawiała Farah, by ta zbuntowała się wreszcie.

- Lekceważy cię, gdy tylko znajdą się wokół niego inne ładne kobiety - mawiała. - Nigdy nie otworzy przed tobą drzwi, nie podsunie krzesła w restauracji. Traktuje cię, jakbyś była wózkem na sprzęt golfowy ciągnącym się zawsze z tyłu.

Dirk ryknął wtedy śmiechem, a ona odwróciła się do niego z oczami pełnymi ognia.

- Myślałam, że jako Stoner jesteś wyjątkowo dobrze wychowany - wypaliła. - Zdawało mi się, że powinieneś mieć klasę.

Farah zawsze zbywała ją śmiechem, nie chciała narażać się na jakikolwiek małżeński konflikt, zaś on, jak to on, wykorzystywał tę słabość, jak tylko mógł.

Wiedział, że gdyby poślubił Elaine, nie uszłaby mu na sucho najmniejsza zdrada czy zuchwałość, a co dopiero poniżenia w takiej ilości, w jakiej spadły na Farah. Elaine potrafiła mu się postawić, prowokowała go, podawała w wątpliwość wszystko, co mówił, i ośmieszała go na każdym kroku. Nigdy nie marnowała okazji. Choćby nie wiadomo ile turniejów wygrał, ile razy pokazali go w telewizji, jego sława jej nie imponowała... ani jego bogactwo. Prosto w oczy oświadczyła mu, że uważa go za próżnego egoistę nie wartego uczucia i szacunku jej siostry. Nie chowała się też za niedopowiedzeniami.

Gdy tylko spostrzegła, że nie dotarło do niego sedno jej kąśliwej wypowiedzi, tłumaczyła dosłownie i bez ogródek.

- Mówię o tym, że jesteś pierwszorzędnym przykładem szowinistycznej świni - wyjaśniła mu kiedyś.

Ryknął śmiechem, ale ona nie zdjęła z niego pełnego obrzydzenia spojżenia, dopóki Farah nie wyblagała, żeby oboje przestali.

Gdy to teraz analizował, uświadomił sobie, że Farah zawsze starała się być rozjemcą między nim i Elaine. Mówiła siostrze, że on się zmienia, poprawi, że wcale nie jest taki zły, jak się wydaje, zaś Dirkowi powtarzała, że Elaine po prostu troszczy się o nią, bo ją kocha, i w większości przypadków nie myśli poważnie tego, co mówi.

Cóż, on wiedział, że właśnie tak myślała... a nawet gorzej. Gdy tylko znaleźli się sam na sam, nie pozostawiała wątpliwości, że nim gardzi. A jednak, im większą wrogość mu okazywała, tym bardziej jej pożądał. Nie potrafił wyjaśnić, czemu go pociągała, no chyba że z powodu pewnego zainteresowania i podniety, jakie wносиła w jego życie, gdy ogarniała go nuda i niepokój. Stanowiła dla niego wyzwanie. Większość kobiet, jakie znał, chętnie podporządkowywała się jego oczekiwaniom. Tak im chyba było wygodniej.

Raz czy dwa nawet próbował złożyć Elaine propozycję, ale pogoniła go tak szybko i tak stanowczo, że miał już pewność, iż musiałby być chyba ostatnim mężczyzną na ziemi, a i wtedy miałyby poważne wątpliwości. Przypomniało mu się ostatnie takie zdarzenie. Przygwoździła go pełnym ognia spojrzeniem i przez zaciśnięte usta wycodziła:

- To mnie nie dziwi. Potwierdza tylko wszystko, co zawsze o tobie myślałam. Jesteś odrażający.

Odebrał to jak policzek. Poczł dosłownie ukłucia na twarzy od krwi, która napłynęła tuż pod skórę.

Odrażający? Żadna kobieta nigdy nie uważała, że jest odrażający. Irytujący, złośliwy, zarozumiały, agresywny - z tym mógł się pogodzić, ale odrażający? To słowo zarezerwowane było dla godnych pogardy istot niższego rzędu, dla gadów i robaków. Za kogóż ona się, u diabła, uważała?

Niedługo po tym zdarzeniu Farah zaczęła się buntować i upierać się przy swoim zdaniu. Zawsze wierzył, że Elaine udało się w końcu do niej dotrzeć, przekonać, że nie jest wcale taki wspaniały i że powinna się go pozbyć jak zepsutej zabawki. To Elaine, młodsza siostrzyczka, okazała się tą mądrzejszą, doradczynią. Farah słuchała jej coraz chętniej i brała sobie do serca rady, jak się zachowywać i co robić. Był tego pewien i przy paru okazjach wspomniął nawet o tym samej Elaine.

- Jeśli pomogłam siostrze przejrzeć na oczy, będę niezmiernie szczęśliwa i wdzięczna Opatrzności - odparła pewnego razu. - Możesz mnie obwiniać, o co chcesz. Każde oskarżenie, które pada z twoich ust, to dla mnie ogromny komplement.

Po tej wymianie zdań niewiele z nią rozmawiał, a kiedy przychodził odwiedzić Farah i akurat była u niej Elaine, czekał, aż wyjdzie, i dopiero się pokazywał.

- Twoja siostra nabija ci głowę bzdurami na mój temat - powiedział kiedyś do Farah, ale ona była już zbyt silna, zbyt pewna swego.

- Nie mówi mi nic, czego bym nie wiedziała, tyle tylko, że wcześniej wołałam tego nie dostrzegać - odparła.

Wiedział na pewno, że to Elaine wysłała siostrę do adwokata i kazała rozpocząć procedurę prawną, która zaowocowała sądowym zakazem zbliżania się do eks-żony. Od tamtej pory sytuacja stawała się coraz gorsza, aż nie mógł jej już dłużej znieść.

Nawet teraz, nawet tu, w Nowym Jorku, nawet po tym, jak zasiał w jej sercu strach, Elaine wracała z zajęć do domu z dumnie podniesioną głową, prostymi ramionami, twarzą pełną pewności siebie. Musiał to zmienić. To miała być jego zemsta.

Czekał, hamował się, ćwiczył panowanie nad sobą. Gdy stwierdził, że minęło dość czasu, dokładnie zaplanował każdy krok.

I wtedy uderzył.

Jak na ironię, wybrał dzień, w którym akurat Elaine miała pójść na policję i zrobić to, co radził jej ojciec: oficjalnie zgłosić zdarzenie. Co prawda, nie widziała Jonathana Lewisa od spotkania w klubie ani o nim nie słyszała, ale od czasu do czasu przerywała jakąś czynność, gdziekolwiek się znajdowała, i rozglądała się. Elaine niełatwo było uwierzyć w coś, co nie znajdowało naukowego uzasadnienia, jednak w tym wycuciu zagrożenia było coś namacalnego, jakiś dręczący lęk, coś, co pozostało nam z bardziej prymitywnych czasów, kiedy to zwierzęce instynkty były w nas jeszcze całkiem żywe, myślała.

Jej wzrok padał niekiedy na mężczyznę wyglądającego jak Jonathan Lewis, kogoś jego wzrostu i budowy, a wtedy po plecach przebiegał jej dreszcz, serce podskakiwało, aż w końcu karcila samą siebie za taką właśnie nieuzasadnioną reakcję. To nie był on. Należało ująć w ryzy własną wyobraźnię, przestać tworzyć demony. On znikł. Raz na zawsze.

Niemniej jednak zdarzało się, że bez żadnej wyraźnej przyczyny przypominał się jej czy może raczej - i to właśnie było przerażające - przypominał jej Dirka. Od śmierci Farah usiłowała pozbyć się wspomnień o nim,

zmuszając się wręcz do wybiórczej amnezji. Nie chciała słyszeć jego imienia, widzieć jego zdjęć, pamiętań jego głosu. I nawet jej się to udawało.

Aż do teraz. Aż do tamtego wieczoru w klubie, wieczoru, kiedy uległa Kathy i zgodziła się z nią wyjść. Czy był to zwykły zbieg okoliczności? Czy ten mężczyzna rozpoznał ją, gdy tylko weszła, czy może śledził ją aż do klubu? Jeśli jechał za nią, to wiedział, gdzie mieszka, i mógł się tam zjawić, stwierdziła. Skoro się nie pojawił, musiał to być tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Po prostu w klubie rozpoznał we mnie siostrę sławnej ofiary morderstwa, pomyślała. Taki wniosek poprawił jej samopoczucie, ale tata miał rację. Nie należało zapominać o tym zdarzeniu. Ten człowiek mógł przecież powrócić.

Zajęcia trwały dłużej, niż się spodziewała. Postanowiła, że przekąsi coś szybko w barze i po drodze do domu wstąpi na posterunek. Miała nadzieję, że nie zajmie jej to dużo czasu. Zgłosi zdarzenie i zadzwoni do ojca, by zawiadomić go, że wreszcie to zrobiła.

Elaine nie miała nic przeciwko jedzeniu w samotności. To Farah tego nie zносиła. Nie jadła wcale, jeśli musiała robić to sama. Z drugiej strony, Elaine zwykle była czymś zajęta, nie zważała więc na fakt, że jest sama. Rozmyślała, czytała, planowała, a to zajmowało jej cały czas, tak że jedzenie zostało sprowadzone do funkcji czysto biologicznej. Rzadko stawało się dla niej wydarzeniem towarzyskim, rzadko okazją do rozmowy.

Dziś nie było inaczej. Gdy tylko kelnerka postawiła przed nią kanapkę z indykiem, otworzyła podręcznik i zaczęła czytać, biorąc do ust kęsy jedzenia, prawie nie podnosząc wzroku, by zobaczyć, kto wchodzi do baru. Podarowała sobie deser; zamiast tego postanowiła kupić po drodze czekoladowe ciastko z polewą i zjeść je potem w domu z herbatą.

Od chwili gdy weszła do baru, niebo zachmurzyło się znacznie, ale ona niczego nie zauważyła. To było w jej stylu, nie dostrzegać zmieniającej się pogody. Już nie raz zdarzyło się jej zostać przyłapaną w strugach deszczu bez parasola, a raz nawet bez wierzchniego okrycia. Wyszedłszy na zewnątrz, zapięła lekką skórzaną kurtkę i przyspieszyła kroku. Nagły podmuch wiatru uniósł jej włosy, pogonił papiery na ulicy i narzucił szybsze tempo przechodniom.

Kiedy w Nowym Jorku zmieniała się pogoda i zbierało się na burzę, kierowcy tracili cierpliwość. Klaksony wyły, piesi przebiegali na czerwonym świetle, nastroje stawały się coraz bardziej wybuchowe.

W budynkach ponad jej głową rozbłyskały światła, włączały się neony restauracji i sklepów. Chmury napływały tak szybko, że zrobiło się ciemno jak podczas zaćmienia słońca. Elaine przyspieszyła jeszcze bardziej

i zastanawiała się, czy nie byłoby rozsądniej pójść teraz do domu, a na policję nieco później albo jutro z rana. Na nos spadła jej kropla deszczu, która przyspieszyła decyzję. Resztę drogi przebyła biegiem.

Jej uwagę przykuła furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami. Była zaparkowana niedaleko wejścia do jej domu, ale w pobliżu najwyraźniej nikt nie było. W dzisiejszych czasach taki nie zamknięty i nie pilnowany samochód na ulicach miasta to doprawdy niezwykle zjawisko, pomyślała. Jednak podchodząc bliżej, dostrzegła, że w furgonetce nie było właściwie nic, co można by ukraść. Mimo to ona sama nigdy nie zostawiłaby otwartych drzwi, gdyby to był jej samochód.

Kilka metrów za pojazdem poczuła, że ktoś przyciska jej coś do boku. Zaskoczona zaczęła się odwracać, gdy usłyszała jego głos.

- Idź w stronę furgonetki - nakazał.

Przyciskał jej do boku coś ostrego. Coś, co przecięło jej skórzaną kurtkę i wśliznęło się między żebra. Świadomość, że została zraniona, śmiertelnie ją przeraziła. Poczuła, że nogi się pod nią uginają. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła jego uśmiech.

- E Lame - rzekł, a uśmiech zamienił się w lód, oczy wypełniły się groźbą. - Do furgonetki. No już. Szybko - rozkazał.

Deszcz padał coraz mocniej, ale ona nie widziała ani kropli. Spojrzała na samochód i poczuła, że ostrze wędruje w górę, rozcinając kurtkę jeszcze bardziej, czubkiem prowadząc stróżkę krwi w stronę pachy. Drugim ramieniem mocno objął ją w pasie.

Jej książki wpadły do ścieku. Chciała krzyknąć, ale samochody, które pędziły ulicą, miały teraz włączone wycieraczki. Klaksony stały się głośniejsze, ludzie biegli, przykrywając głowy papierami. Kto by ją usłyszał? Kto odważyłby się zatrzymać?

- Kim jesteś? Czego chcesz? - spytała.

Popychał ją w stronę drzwi furgonetki, a potem przygniótł swoim ciałem, żeby weszła do środka. Chciała się odwrócić, ale zasłonił jej chodnik. Zresztą deszcz i tak zagonił ludzi do budynków.

- Wsiadaj. No już! - pogałniał.

Rękaw płaszcza opuścił, żeby zasłonić jak największą część noża. Pchnął jego czubek w jej bok, a ona cofnęła się, aż tyłem ud oparła się o zderzak. Nie było dokąd uciekać.

Zacząła płakać. Chcąc nie chcąc, odwróciła się, a on popchnął ją tak, że wpadła do ciemnego wnętrza furgonetki. Wsiadł za nią i zamknął drzwi. Podniosła oczy.

- Kim jesteś? - wyszeptowała z wysiłkiem tak cicho, że sama ledwo siebie usłyszała.

- Jestem tym, kim zawsze byłem - odparł.
- Czego chcesz?
- Tego, czego zawsze chciałem, E Lame. Ciebie.

Strach przemienił ją w prymitywną istotę. Zaczęła wrzeszczeć i stanęła na nogi w nadziei, że minie go pędem i wypadnie przez drzwi samochodu. Próbowwała go drapać, prowadzona czysto zwierzęcym instynktem walki o przetrwanie. Złapał ją za nadgarstki i wykręcił tak, że ból powalił ją na klęczki. Podrzucił prawe kolano i kopnął ją w czoło, tuż nad nosem. Uderzenie było tak silne, że odrzuciło jej głowę do tyłu, i upadła, usiłując zachować przytomność. Czowała, że wykręcił jej ręce do tyłu i skrępował sznurkiem przeguby, a potem nogi w kostkach. Dokończył dzieła, wiążąc jej chusteczkę wokół ust i zaciskając tak mocno, że wciąła się jej w kąciaki warg i wepchnęła język do gardła. Zaczęła się dusić, oczy wyszły jej na wierzch.

Gdy już skończył, wstał i patrzył na nią przez chwilę. Potem wczuł się do kabiny kierowcy i usiadł za kierownicą.

- Czy byłaś ze mną kiedyś w naszym domku na północ od Nowego Jorku? - zapytał spokojnym życzliwym tonem. - Nie przypominam sobie... Nie, to nie byłaś ty - stwierdził, odpalając silnik. - Nie wiem, jak mogłem pomylić cię z tamtą cipą.

Wjechał na jezdnię.

- Rany, ale ci zrobię niespodziankę. Ależ tam jest pięknie... Niedaleko jest jezioro, a wokół domku mamy bardzo ładne tereny; rosną jabłonie, jest niewielki staw. Tata kupił tę chatę tak dawno temu, że zdążył zupełnie o niej zapomnieć. Byłem tam może z pięć razy. Z tak uroczonego miejsca należy korzystać znacznie częściej, nie sądzisz?

Odwrócił się, żeby ją zobaczyć. Pojękiwała i dusiła się.

- Czemu by nie zrobić z tego naszego miodowego miesiąca? To jest to - rzekł głosem coraz bardziej przepełnionym podnieceniem. - Jedziemy na wieś, gdzie spędzimy miodowy miesiąc, co, E Lame?

Śmiejąc się, zmieniał pasy ruchu i kierował się w stronę autostrady, próbując przyspieszyć. Jednak deszcz utrudniał jazdę, wszyscy prowadzili wolniej niż zwykle. Minęło prawie pół godziny, nim dotarł do zjazdu i ruszył w stronę Mostu Waszyngtona. Był zdenerwowany, ale panował nad sobą, pamiętając o nagrodzie, jaka czekała go po dojechaniu na miejsce. Czekał tak długo, mógł poczekać jeszcze trochę.

- Nie najlepsza pogoda na podróż - rzekł - ale nam co dzień będzie świecić nasze własne słońce, prawda, E Lame?

Podciągnęła nogi do piersi i usiłowała ściągnąć pęta, ale sznur tylko wbił się jej w nadgarstki i musiała zaprzestać walki. Zamknęła oczy. Furgonetka podskoczyła i przechyliła się na jedną stronę.

- A oto i stary, poczciwy Most Waszyngtona. Ujechaliśmy już spory kawałek - oznajmił.

Zaczął podśpiewywać „Deszczową piosenkę”.

Sztuczny akcent znikł zupełnie. Nie mogła pomylić tego głosu z żadnym innym.

To nie może być on, myślała.

To niemożliwe.

A jednak prawie zemdląła, gdy to do niej dotarło, gdy miała już tę straszną pewność.

To był on.

Powrócił ze świata umarłych.

Jakieś siedemdziesiąt kilometrów za Nowym Jorkiem przestało padać, a na zachodzie przejaśniło się nieco. Wiatr ucichł, a na jezdniach zrobiło się luźniej, bo samochody mogły wreszcie przyspieszyć. Opony wciąż jeszcze szeleściły na mokrym asfalcie. Gdy tak jechał i jechał coraz dalej na północ, deszcz zdawał się zmywać wiele rzeczy i pozostawiać świat czystszy. Zauważył strumień. Wezbrany po deszczu pędził po kamieniach i wpadał w zakręty, z oszałamiającą prędkością goniąc ku jezioru.

A ona przestała walczyć. Nie słyszał żadnych postękiwań ani jęków. E Lame była zbyt bystra, by marnować siły i energię, pomyślał. Była cierpliwa, starała się nie panikować, czekała na okazję. Gdy obejrzał się do tyłu, zobaczył, jak się skuliła i ułożyła głowę, usiłując znaleźć jak najwygodniejszą w tej sytuacji pozycję. Kusiło go, żeby zahamować i zrobić jej dobrze tu, na drodze, ale to byłoby jak gwałt. A chciał przedtem uzyskać jej choć częściową zgodę. Przekonają, że jeśli nie będzie się opierać, jeżeli będzie naprawdę dobra i zrobi to, na co i tak ma ochotę, nie będzie dla niej bardzo niedobry i może nawet, może nawet uda jej się przeżyć. Jako kobieta inteligentna, rozważy propozycję i na pewno się zgodzi, myślał.

Jechał dalej. Minął niewielką wioskę, nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi. Chwilę później znalazł się na spokojnej wiejskiej szosie. Wspięli się pod górkę, zjechali z asfaltu i przez prawie kilometr jechali polną drogą, aż znaleźli się koło domku. Ojciec chciał, żeby był prosty i nienowoczesny, z dala od ludzi, prawdziwy azyl. Była przy nim studnia z nie oczyszczoną wodą, ale była też bieżąca woda w kranach i elektryczność. Telewizja docierała za pomocą starej anteny na dachu. Oto co jego ojciec uważał za prostotę i brak nowoczesności. Dirk roześmiał się.

Sam dom był parterowym budynkiem z dwiema sypialniami. Kuchnia, jadalnia i pokój dzienny stanowiły jedno pomieszczenie, po którego obu stronach znajdowały się sypialnie, a z tyłu chaty łazienka. Dirk zdał sobie

sprawę, że nie będzie tam nic do jedzenia, tylko alkohol, zimne napoje i piwo. Około siedmiu kilometrów na wschód był mały sklepik. Pojedzie tam później i zrobi zakupy, ale najpierw to, co najważniejsze.

Podjechał tak blisko wejścia, jak się tylko dało, i wysiadł. Klucz do chaty zawsze chowali pod ruchomym kamieniem po prawej stronie drzwi. Nic się nie zmieniło. Był tam. Otworzył drzwi i wszedł, żeby sprawdzić, czy dom jest pusty. Musiał mieć pewność, że nie rozgościł się tam żaden zbłąkany turysta.

Wszystko pozostało tak jak podczas ostatnich wakacji z Farah: skórzana narożna kanapa i dwa fotele stały osłonięte pokrowcami. Kurz pokrywał stoły, gzyms nad kominkiem i lampy. Nad paleniskiem wisiały pajęczyny, a komin z pewnością zamienił się w istne miasto nietoperzy. Poza tym domek wyglądał spokojnie i uroczym jak zawsze. Miał stąd trochę miłych wspomnień, choć niewiele z nich zawdzięczał Farah.

Włączył pompę i słuchał, jak rury napęniają się powoli. Potem podszedł do zlewu w kuchni. Przez kilka minut woda leciała brązowa. Włączył lodówkę, odkrył, że jakieś gryzonie - prawdopodobnie polne myszy - urządziły sobie za kuchenką mały domek, po czym sprawdził sypialnię. Łóżka były nie posłane. Wszystkie prześcieradła, poszwy i poszewki były w koszach na bieliznę i wyglądały zupełnie świeżo i czysto. Pachniały hikorą.

Klasnął w dłonie i uśmiechnął się.

- Całkiem miło - wymruczał. - Będzie świetnie.

Wrócił do furgonetki i otworzył tylne drzwi. Przymusowa pasażerka podniosła powieki, a strach rozlał się od kącików oczu po całej twarzy jak rumieniec. Zaczęła się buntować, próbowała się wyrwać.

- Teraz spokojnie, E Lame - rzekł. - Spokojnie.

Wszedł do środka i przeciął sznur na jej kostkach. Potem zdjął knebel z ust.

Oddychała głęboko, zaś jej klatka piersiowa falowała od wysiłku, gdy spojrzała na niego, a strach na jej twarzy zaczął ustępować wściekłości.

- Ty kanalio - wysapała. - Rozwiąż mi ręce.

- Za chwilę. Podciągnął ją do drzwi.

- Wysiadaj - rozkazał i przytrzymał ją za prawy łokieć, gdy wychodziła z samochodu.

Była skrepowana tak długo, że nie mogła iść. Skrzywiła się, ale powstrzymała łzy. Bądź twarda, nakazała sobie. Bądź twarda.

- Przepraszam za niewygodną podróż. Pamiętasz, jak mówiłem o tym miejscu? - spytał, odwracając się.

Spojrzała na dom. Ten sam, który widniał na zdjęciu Farah stojącym na jej biurku. Pamiętała, że siostra spędziła tu dwa cudowne weekendy i zawsze próbowała namówić Dirka, żeby znowu ją tu przywiózł. Obiecał jej to, ale obietnicy nie dotrzymał - tak jak tysiąca innych.

- Mój ojciec uważał tę chatę za swój azyl - ciągnął. - Przyjeżdżał tu ze swoimi dupciami. Pamiętam, jak raz zabrał mnie ze sobą, żebym pobocował z naturą. Wybraliśmy się na chyba jedyny w naszym życiu wspólny spacer. Wyłożył mi wtedy swoją filozofię. „Dirk - mówił - ucz się od natury. Przetrywają najsilniejsi. Tylko to się liczy”. Był z tego mojego staruszka sentymentalny sukinsyn.

- Po coś mnie tu przywiózł? Nie ujdzie ci to na sucho - odezwała się Elaine.

Dirk roześmiał się.

- Co? Twierdzisz, że coś mi może nie ująć na sucho? Jakich jeszcze dowodów ci potrzeba, E Lame? Chyba nie doceniasz mojej inteligencji - mówił ze złością.

Ścisnął ją za lewy łokieć i poprowadził do drzwi domku.

- Czego chcesz?

- Wszystkiego - odparł. - I jeszcze więcej.

Otworzył drzwi i wepchnął ją do środka. Stała i rozglądała się, podczas gdy on zamykał drzwi na klucz. Potem popchnął ją ku kanapie. Zdarł pokrowiec i rzucił go na podłogę.

- Siadaj - rozkazał, a ona posłusznie usiadła.

Potem ściągnął pokrowiec ze stojącego naprzeciwko fotela i usiadł, wpatrując się w nią z tym swoim krzywym uśmieszkiem.

Wyglądał zupełnie inaczej, a jednak miała wrażenie, że ma na twarzy przezroczystą maskę, a za nowym nosem, pełniejszymi ustami i naciągniętą skórą na zuchwie widać dawną twarz. Jego brwi i włosy miały inny kolor, a uszy bardziej przylegały do głowy.

- Jak to zrobiłeś? - spytała chrypliwym szeptem.

Roześmiał się.

- Ja nic nie zrobiłem. To mój tatuś. Tatuś może wszystko, a przynajmniej mógł. Nie wiem, czy słyszałaś, ale on nie żyje. Kupił sobie nową posiadłość - oznajmił Dirk z uśmiechem.

Elaine pokręciła głową.

- Mój ojciec i ja... widzieliśmy, jak umierasz. Wszyscy widzieli.

- Tak, to prawda. Tatuś najpierw próbował przekupić wymiar sprawiedliwości, a kiedy mu się nie udało, wybrał inne, też niezłe rozwiązanie: przekupił system penitencjarny. - Dirk nachylił się. - To proste, E Lame. Ludzie odpowiedzialni za mój los dostali propozycje nie do odrzucenia

i bynajmniej nikt nie przykładał im przy tym noża do gardła. Nie oparli się niewiarygodnej pokusie; zaproponowano im królestwa... Oparł się wygodnie, a jego uśmiech zgasł.

- Lekarz obecny przy egzekucji zamienił truciznę na jakiś środek, który sprawił, że wyglądałem jak trup, a potem poruszył elektrodą, zmieniając wynik EKG. Dzięki temu na zapisie powstała płaska linia i wsadzili mnie do trumny. Powiedziano mi, że to część planu, i oto jestem, więc chyba się udało, co? Prawdę mówiąc, to obudziłem się w tej trumnie, E Lame, a to nie było przyjemne.

Zastanawiała się, jak to było możliwe. Ostatnio uczyła się o nie stosowanym już anestetyku. Działał jak narkotyk, nadając ciału pacjenta trupią bladłość.

- Resztę nietrudno odgadnąć - ciągnął Dirk. - Dostałem całkiem nową tożsamość, lecz wciąż miałem dostęp do starych pieniędzy. Miałem ojca, o jakim marzy każdy chłopak - dodał i wzruszył ramionami. - Przetrywają naj-silniejsi.

- Jesteś szalony - rzekła Elaine. - Jesteś jeszcze gorszy, niż byłeś. Ty nie przetrwasz.

- Nie przetrwam? Nie mam zamiaru żyć wiecznie, E Lame, ty zresztą też nie. Ale każdy, kto chciałby się teraz założyć, postawiłby na mnie, bo to ja przeżyję ciebie, mimo że już raz umarłem - powiedział i znów się roześmiał. - No? I gdzie się podziało twoje poczucie humoru, mądralo?

- Pieprz się.

- Nie, to ciebie będę pieprzył, E Lame. Tak się składa, że pośród wszystkich dziewczyn, jakie znałem, a znałem ich niemało, z jakiegoś dziwnego powodu to, że mnie nienawidziłaś, zawsze mnie podniecało, a teraz nienawidzisz mnie z całej duszy, mam rację?

- Absolutną - rzekła i spojrzała w bok, szukając drogi ucieczki, usiłując ułożyć plan.

- Cóż, ja chyba też cię nienawidzę. Prawdę mówiąc, nie mogę znieść całej twojej rodziny, a już w szczególności twojego kochanego tatusia - wyznał, zaś ona szybko skierowała na niego spojrzenie. - Aha, uderzyłem w czuły punkt, co? Tak, E Lame, on jest następny na mojej liście, chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że będziesz znacznie bardziej uległa i wrażliwa na moje uczucia.

- Nie wierzę ci.

- A w co tu wierzyć albo nie wierzyć? Pomyśl tylko, jakim jest wspaniałym celem, jakie to będzie łatwe. Mogę podejść do niego tak, jak pod szedłem do

ciebie, E Lame, i nawet nie będzie wiedział, co się dzieje. Zrobiłem to nawet kilka dni temu, kiedy czekał na ciebie przed szkołą, a potem zabrał cię na lunch.

Jej serce przestało bić. Gorąco oblało jej twarz i pokręciła głową.

- Chyba nawet uśmiechnął się do mnie, gdy go mijalem. Może... - Roześmiał się. - Może spotkam się z nim, udając, że chcę nabyć nieruchomości, a on zabierze mnie do jakiegoś domu. Może zabiorą mnie tam razem, twoja matka i twój ojciec, i załatwią ich tam oboje. Jak by ci się to podobało? Możesz to sobie wyobrazić?

Przez chwilę bezskutecznie walczyła ze sznurem, po czym spuściła głowę. Chciała mu powiedzieć, że ojciec nie da się nabrać. Opowiedziała mu o spotkaniu w barze, przez co nabierze podejrzeń. Ale bała się, że gdyby dowiedział się o tym Dirk, z pewnością by go zabił. Co miała robić? Czuła się taka bezradna, taka bezbronna. On i jego przekłete pieniądze stanowili zbyt silną parę.

Wstał i złapał ją za podbródek tak, że musiała na niego spojrzeć.

- Więc jak będzie?

- Jaką mam gwarancję, że dotrzymasz słowa? - spytała.

- Żadnej, ale wiesz, że zrobię to, czym groziłem, jeśli nie dostanę tego, co chcę.

- A czego chcesz?

- Chcę, żebyś była Farah.

Nie mógł powiedzieć nic bardziej przerażającego. Czuła, że serce znów przestaje jej bić, po czym zaczyna od nowa.

- Na pewno zastanawiałaś się, jak się kochaliśmy, jak nam było dobrze. Teraz możesz wcielić się w siostrzyczkę. Odegrasz jej rolę. Powiem ci, pokażę, co dokładnie masz robić, co mówić. A więc?

- Nie mogę - powiedziała, podczas gdy łzy swobodnie wypływały spod powiek i laskotały w policzki.

- Pewnie, że możesz. Masz to przecież w genach, no nie?

- Zabiłeś ją.

- A ty przywrócisz ją do życia. Całkiem tak, jak mój tatuś przywrócił mnie. Tak - zawołał jeszcze bardziej podekscytowany. - Oboje oszukamy śmierć. I co ty na to? Więc jak będzie? Mam wracać do Kalifornii i kupować jakiś dom czy...?

Skinęła głową.

- Zrobię, co będziesz chciał - rzekła.

- Dobrze. Coś ci powiem, Farah - mówił. - Będzie jak za dawnych dobrych czasów. Będę cię rozpieszczał. Pójdę zrobić łóżko i przygotuję wszystkim, dobrze? Dobrze, Farah?

- Tak - odparła z zaciskającym się gardłem.

Uśmiechnął się.

- Dobra dziewczynka. Moja cudowna Miss Ameryki. Pamiętasz, jak zawsze życzyłaś mi szczęścia na turniejach? Jestem dziś w dobrej formie. Wszystko idzie jak po maśle, kotku.

Nachylił się i pocałował ją w czoło i w policzek, a potem posunął się ku ustom i uraczył delikatnym, miękkim, ale wilgotnym pocałunkiem.

- To tylko próbka tego, co przed tobą - wyszeptał.

Trzymał usta blisko jej ucha. Ział na nią jego gorący oddech. Poczowała młodości, ale zapanowała nad sobą i przełknęła kwas, który szukał ujścia przez gardło.

- Farah zwykła była wkładać język do mojego ucha; niby nic takiego, ale przyprawiało mnie o cudowny dreszcz - rzekł, obracając głowę.- A więc?

Wzięła oddech, zamknęła oczy i zrobiła to.

- Doskonale - pochwalił. - O to chodziło. - Wyprostował się. - Zaraz wracam. Przygotuję tylko dla nas teren i startujemy.

Popatrzyła, jak dumnym krokiem pomaszerował do sypialni. Potem spojrzała bezradnie na zamknięte drzwi, szarpnęła za sznur, aż znowu wbił się jej w skórę, i oparła się, poddając się uczuciu klęski, które spłynęło na nią wraz z zapadającym na dworze zmierzchem.

23

Po jedenastej wieczorem obawy Harry'ego przeszły w dziką panikę, gdy uświadomił sobie, że w Nowym Jorku jest już po drugiej, a Elaine wciąż nie odbiera telefonu. Nie mogąc zmrużyć oka, siedział w pokoju dziennym w bieliźnie i popijał bourbona, oglądając wieczorne wiadomości i film w kinie nocnym. Niewiele do niego docierało z tego, co działo się na ekranie.

W końcu w drzwiach stanęła Lil w koszuli nocnej.

- Nie możesz tak siedzieć przez całą noc, Harry. Powinieneś iść do łóżka. W tej chwili i tak nic nie możesz zrobić - rzekła cicho.

- Co ty mówisz? Jak mogę iść do łóżka? Będę dzwonił do niej co piętnaście minut - oznajmił z determinacją.

- Harry, musisz wziąć pod uwagę możliwość, że jest w domu czy mieszkaniu u kogoś innego - kontynuowała Lil tym samym tonem. - Jest dorosła.

Mogła kogoś poznać albo zasiedziała się u koleżanki i postanowiła zostać na noc.

- Albo może...

Spojrzał w bok i nie wypowiedział głośno żadnej z obaw, które grasowały w jego świadomości niczym zwiastuny filmów grozy w telewizji.

- Harry.

- Dobrze już. Pooglądałam tylko jeszcze trochę telewizję, bardziej się zmęczę i pójdę spać.

Lil nie ruszała się z miejsca. Starał się nie zwracać na nią uwagi, ale ona stała tam i nawet się nie odwróciła. Spojrzał w sufit i chwycił za telefon.

- Zadzwoń jeszcze tylko raz.

Ostrożnie wciskając guziki, wybrał numer i czekał. Znowu włączyła się ta przekłeta sekretarka. Opuścił słuchawkę i wpatrywał się w podłogę, jakby właśnie usłyszał jakąś okropną wiadomość.

- Do rana i tak nic nie możesz zrobić, Harry - powiedziała Lil.

- Nie powinienem był wyjeżdżać z Nowego Jorku. Nie powinienem był jej zostawiać, dopóki nie wiedziałbym, że poszła na policję.

Podniósł oczy, które napełniły się łzami.

- Jeśli coś jej się stało, to już drugi raz nie udało mi się zapobiec straszному wydarzeniu w życiu mojego dziecka - dodał, kończąc zdanie ze ściśniętym gardłem.

- Och, Harry.

Podeszła do męża, a on wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie tak, by móc zakopać twarz w jej ciepłym brzuchu. Odgarnęła mu włosy i pocałowała w czubek głowy.

- Chodź do łóżka, Harry. Zadzwońimy z samego rana. Jutro na pewno ją złapiemy.

- Obyś miała rację.

Wyłączył telewizor, wstał i jak kaleka powłókł się za nią do sypialni. Pomogła mu się przykryć, po czym sama weszła pod kołdrę. Cisza i ciemność były znacznie gorsze. Teraz mógł się tylko bić z własnymi myślami. W końcu gdy już prawie świtało, usnął, ale rano zerwał się z łóżka zły, że zdradziło go własne ciało. Było po ósmej. W Nowym Jorku po jedenastej. Sięgnął po telefon.

- Już dzwoniłam, Harry - oznajmiła Lil, wchodząc z filiżanką kawy.

- I?

- Nie było jej.

- O której?

- Wpół do ósmej, a potem o ósmej.

- Nie wróciła do domu - stwierdził. Pokręcił głową. – Inaczej sprawdzilaby przynajmniej wiadomości na sekretarce. Coś jest nie tak, Lil.

Wstał, zdecydowany teraz ostro stawić czoła wszelkim próbom powstrzymania go od działania. Nie miał się czego obawiać ze strony Lil. Sama wyglądała na szczerze zatroskaną. A jednak zamiast odczuwać satysfakcję, że w końcu martwiła się tak jak on, poczuł jeszcze większy strach. Lil była silniejsza od niego, a mimo to także zaczynała wpadać w panikę.

- Okaze się, że to coś zupełnie niewinnego - powiedziała. - Zobaczysz. Zobaczysz - wyśpiewała.

Zabrzmiało to jak jej poranna mantra.

Poszedł do łazienki, oblał twarz zimną wodą i popędził do szafy, gdzie zdzierając z wieszaków ubrania, zaczął układać plan.

- Co masz zamiar zrobić?

- Najpierw skontaktuję się z kimś na uczelni i poproszę, żeby sprawdzili, czy jest na zajęciach. Nie znam jej planu, ale może ktoś z pracowników będzie mógł to dla nas załatwić.

- Będzie wściekła.

- W obecnych okolicznościach to chyba nie powinno być naszym najważniejszym zmartwieniem, nie sądzisz, Lil?

Kiwnęła głową na znak zgody.

Poszedł do swojego gabinetu i zaczął telefonować, zaczynając od sekretariatu uczelni. Gdy odebrała jakaś kobieta, starając się panować nad własnym głosem, wyjaśnił, o co mu chodzi. Sekretarka chyba jednak nie zrozumiała i prawie natychmiast połączyła go z kimś, kto usłyszawszy, czego chce, przełączył go z kolei do sekretariatu dziekana. Tutejsza sekretarka zdawała się już znacznie bardziej rozgarnięta. Wysłuchiwała go. Najwyraźniej wiedziała, kim jest, jak również kim jest Elaine; znała historię ich rodzinnej tragedii.

- Rozumiem pańską troskę, panie Ross. Proszę dać mi kilka minut. Oddzwonię do pana.

- Chętnie zaczekam przy telefonie.

- Jak pan woli. Zaraz sprawdzę, czy mam gdzieś tu pod ręką plan Elaine.

Lil przyniosła mu kawę. Popijał ją i czekał. Lil stała przy biurku, od czasu do czasu biorąc łyk z własnej filiżanki. Sekretarka wróciła.

- Ma dziś rano wykład - oznajmiła. - Już wysyłam kogoś na salę wykładową, żeby sprawdził, czy jest obecna. To zajmie przynajmniej piętnaście minut, panie Ross. Obiecuję, że zadzwonię natychmiast, jak tylko otrzymam informacje.

Podziękował jej i zrelacjonował rozmowę Lil.

- Chcesz grzanek?

Kiwnął głową. Najlepiej będzie zająć się czymś do czasu, kiedy zadzwoni telefon.

Zadzwonił prawie dwadzieścia minut później.

- Przykro mi, panie Ross - rzekła sekretarka. - Pańska córka nie przyszła dziś na wykład.

Harry poczuł się, jakby ktoś strzelił mu prosto w serce. Przez chwilę nie mógł nic powiedzieć. Wspomnienie policjantów odwiedzających jego biuro rankiem nazajutrz po morderstwie Farah, wyraz ich twarzy, powiadomienie o tragedii, ich próby zatajenia najbardziej ponurych szczegółów - wszystko to przetoczyło się przez jego umysł jak błyskawica.

- Dziękuję - zdołał wystękać.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze - zakończyła sekretarka, a on, kręcąc głową, odłożył słuchawkę.

Lil oddychała głośno i gryzła dolną wargę.

- Elaine nigdy nie opuściłaby wykładu - powiedział Harry.

Lil potaknęła. Nie próbowała już powstrzymać ogarniającej go paniki. Ledwo udawało się jej opanować własną.

Harry bardzo cenił jednego detektywa z Los Angeles, Pata McShane'a. Podczas dochodzenia po śmierci Farah dane mu było odczuć ludzkie współczucie i troskę policjanta. Niemal natychmiast jego nazwisko przyszło mu do głowy i mieli szczęście, bo udało się go złapać już przy pierwszym telefonie.

Harry pośpiesznie wyjaśnił, co ich niepokoi.

- Mam przyjaciół w nowojorskiej policji, panie Ross. Zaraz do nich zadzwonię - obiecał. - Gdzie mogę pana zastać?

- Mógłbym przyjść na komisariat - zaproponował Harry.

- Pańska obecność tutaj na nic się nie zda. Najlepiej dla pana będzie zająć się czymś na tyle, na ile to możliwe, dopóki nie wyślemy kogoś do mieszkania Elaine i nie posprawdzamy wszystkiego. A to zajmie trochę czasu.

- W porządku. Będę w moim biurze - powiedział i podał numer telefonu.

- A jej koleżanka? - spytała Lil, gdy tylko odłożył słuchawkę.

- Ach, racja. Zdobędę jej numer.

Zadzwonił na informację i poprosił o numer Kathy. Ona także miała automatyczną sekretarkę, zostawił więc pełną rozpaczliwego wołania wiadomość i podał numery telefonu do samochodu i do biura.

Oddzwoniła bardzo szybko, krótko po ich przyjeździe do biura.

- Zaskoczyło mnie, że nie była na wykładzie, panie Ross. Zadzwoiłam do niej, a potem postanowiłam pójść do jej mieszkania po drodze do domu. Następne zajęcia mam dopiero o dziewiętnastej. Policja już tam była - dodała. - Zawołaliśmy dozorcę i weszliśmy do środka.

- I?

- Nie było jej tam i wyglądało na to, że nie nocowała w mieszkaniu.

- To już wiemy. Co o tym sądzi policja?

Jej wahanie zmroziło jego serce.

- Kathy?

- Cóż, nie wiem, co to może znaczyć, ale... wychodząc, zauważyłam w rynsztoku przemoczony podręcznik - mieliśmy tu wczoraj potężną ulewę. Rozpoznałam okładkę, więc go podniosłam. To była książka Elaine, panie Ross. Oddałam ją policji.

- Chryste- jęknął Harry.

- Co? - wykrzyknęła Lil z pięściami przy ustach.

Mąż pokręcił głową.

- I co powiedzieli policjanci?

- Nic. Wzięli książkę, a ja wróciłam do domu i znalazłam pańską wiadomość na sekretarce. Przykro mi, że nic więcej nie wiem.

- Czy powiedziałaś im o mężczyźnie z klubu? - spytał szybko.

- Tak. Przykro mi, że mam takie, a nie inne wieści.

- To nic. Dziękuję za to, co zrobiłaś na własną rękę. Wkrótce się spotkamy - dodał i rozłączył się.

Opowiedział Lil o szczegółach.

Kilka minut później McShane zadzwonił z tymi samymi informacjami. Gdy Harry naciskał, policjant powiedział: -? Jest jeszcze trochę za wcześnie, ale znając historię waszej rodziny, policja nowojorska ma zamiar potraktować to jako porwanie. Jeszcze dziś przekażą sprawę FBI.

- FBI - powtórzył Harry. Lil zbladła.

- W porządku - rzekł. - Dziękuję za pomoc, panie McShane.

- Mam nadzieję, że to był fałszywy alarm.

- Oby tak było.

- Zadzwoń, gdy tylko dowiem się czegoś więcej - powiedział McShane.

- Nie będzie mnie tutaj - odparł Harry.

W normalnych okolicznościach Pat McShane wskazałby na bezcelowość uganiania się po całym kraju, kręcenia się po posterunkach policji, przeszkadzania w śledztwie, ale w tej sytuacji postanowił się nie wtrącać.

- Rozumiem - rzucił. - Proszę dzwonić, jeśli będę mógł w jakiś sposób pomóc.

- Dziękuję - powtórzył Harry i rozłączył się. Od razu zadzwonił do biura podróży.

- Co robisz? - spytała Lil.

- Rezerwuję bilet do Nowego Jorku.

- Ja też powinnam pojechać.

- Może właśnie powinnaś zostać na posterunku tutaj, Lil. Tobie łatwiej zająć się czymś...

- Nie myślę o sobie, Harry.

Zastanowił się przez chwilę.

- Dobrze. Załatw nam bilety - polecił, odkładając słuchawkę. Wyciągnął książkę telefoniczną i zaczął przeglądać ją w pośpiechu. - Przez wyjazdem chcę zrobić jeszcze jedną rzecz.

- To znaczy? Co zamierzasz?

Znalazł adres, którego szukał, i wstał.

- Dokąd idziesz? - zapytała Lil, gdy obszedł biurko i ruszył do drzwi.

Staął. - Chcę zobaczyć się z kimś z tutejszego FBI. Muszę coś sprawdzić. Dołączę do ciebie później - oznajmił i nim żona zdążyła zapytać go o coś jeszcze, wyszedł.

Agent specjalny Ted Andrews odruchowo podniósł kubek z kawą, spoglądając ponad tarasem w stronę wzgórz. W kuchni za jego plecami Toni przygotowywała Erikowi i Melissie lunch i, jak co dzień, dawała im instrukcje.

Stojąc grzecznie wraz z siedmioletnim bratem i słuchając mamy, dziewięcioletnia Melissa otworzyła szerzej oczy i stała się jakby bardziej czujna. Pod koniec tradycyjnej już litanii przestróg, zakazów i nakazów oboje parzyli na niego przez drzwi na taras.

Zwykle Ted kończył odprawę Toni jakimś zabawnym komentarzem. Rodzice uczestniczyli w tej cudownej grze, często drocząc się z czułością. Dzieci wiedziały, że ich tata jest agentem FBI, i to czyniło go wielkim, ale mama potrafiła sprowadzić go na ziemię i sprawić, żeby był nie bardziej onieśmiałający niż każdy inny tata. Właściwie to dość często wyglądał, jakby bał się mamy, a ona miała zaledwie metr pięćdziesiąt parę wzrostu i ważyła pewnie jedną dziesiątą tego co on. Rysy miała delikatne jak laleczka, ale gniew szybko mógł rozpalić ogień w szmaragdowych oczach. Opadające na ramiona włosy były tak rude, że wyglądały jak ogień na tle zachodzącego słońca.

- Dzieci wychodzą, Ted - zawołała.
- Tak? - wykrzyknął, odwracając się.

Pociechy przyszły go uściskać.

- Miłego dnia, urwisy.

Popatrzył, jak ze zdążającą za nimi Toni przechodzą przez kuchnię do wyjścia. Potem odwrócił się i znów patrzył na wzgórze.

- Co cię tak zaprzęta, Ted? - spytała Toni. Nie usłyszał, jak wróciła.
- Słucham?

- Od dobrej chwili byłeś nieobecny. I nie mów mi, że to dlatego, iż musisz coś tam przemyśleć, czegoś się dowiedzieć - ostrzegła. - Bo tak naprawdę, to ja muszę się czegoś dowiedzieć od ciebie. To ja jestem teraz stroną zainteresowaną.

Wyszła na taras i usiadła naprzeciwko niego.

Gdzieś nad widnokregiem wzniosł się odrzutowiec i znikł między dwoma cumulusami, rozpoczynając powolną podróż od horyzontu do horyzontu. Świat wyglądał jak malowidło na olbrzymim płótnie, każdy ruch zdawał się mały i nic nie znaczący. Podobało mu się tutaj. Uwielbiał to miejsce.

- No więc? - nalegała Toni. - I nie próbuj się teraz wykręcać, że nic cię nie gnębi - dodała, nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Roześmiał się i pokręcił głową.

- Znasz mnie chyba lepiej niż ja sam. Ten wykręt jeszcze mi nie przyszedł do głowy, ale był już chyba w drodze. - Wziął głęboki oddech.

- Zostałem odsunięty od sprawy, bo znalazłem się zbyt blisko jej rozwiązania.

Wyraz wielkiego zatroskania, zmieniający jej oczy w okrągłe paciorki i napinający wąskie usta, przerodził się nagle w konsternację.

- Dlaczego?

- Sprawca lub sprawcy przestępstwa są osobami stojącymi o poziom lub dwa wyżej, niż powinny sięgać moje podejrzenia - wyjaśnił. - Mógłbym narobić wstydu ludziom wielkiej władzy i kontrowersyjnym, delikatnie mówiąc, programom. - Uśmiechnął się. - Przy wielkiej pomocy Billy'ego Powella. Mój komputerowy geniusz zastukał do takich drzwi w cyberprzestrzeni, które w ogóle nie powinny istnieć.

- Ach, i to nie daje ci spokoju ?

- Z początku nie tak bardzo jak teraz.

Odrzuciła do tyłu głowę w sposób, który zawsze chwytał go za serce. Ale ze mnie szczęściarz, myślał często, że jestem mężem tak cudownej kobiety jak Toni. Mimo że brzmiało to jak frazes, naprawdę potrafiła tymi ślicznymi gestami zmiękczyć jego serce.

- Co znaczy, nie tak bardzo jak teraz?

- Cóż, jakoś mnie to dręczy, Toni. Jestem żołnierzem w swego rodzaju armii. Strzeżenie prawa to wojna. Zawsze uważałem, że muszę być lojalny, bez zbędnych pytań wypełniać rozkazy, ufać przełożonym, ale ta sprawa może przynieść władzom złą sławę. Coś jest nie w porządku. A na tym etapie powinni mi chyba zaufać przynajmniej na tyle, żeby powierzyć pewne informacje, nie sądzisz?

- Oczywiście. Masz przecież licencję na obronę prezydenta Stanów Zjednoczonych, gdyby zaszła taka potrzeba, Teddy. Coś tu brzydko pachnie.

Pokiwał głową.

- Powiedziano mi, że mogę wziąć dodatkowy urlop, pod warunkiem, że zrobię to teraz.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Jack Bradley poinformował mnie, że będę miał taką okazję, a wczoraj przyszło to na piśmie.

- Jack Bradley? - spytała poruszona.

- Tak. Mówiłem ci, że to wszystko dzieje się gdzieś na górze. Wczoraj powiedziano mi o urlopie. Selzer zobaczył, jak snuję się z kąta w kąt, przeglądam akta tej sprawy, po czym przystanął i poinformował mnie, że dostał wiadomość z biura Bradleya. A potem, późnym popołudniem Billy dowiedział się, że zostaje przeniesiony na Florydę.

Podniósł wzrok, żeby sprawdzić jej reakcję. Współczucie szybko ustępowało miejsca wściekłości, a potem lękowi.

- Wyjeżdża w przyszłym tygodniu.

- I obwiniasz o to siebie?

Nie odpowiedział. Popijał tylko wystygłą kawę i patrzył na wzgórza.

- Niby czemu? - ciągnęła Toni.

- Obwiniam się i nie obwiniam. W każdym razie czuję się jak ktoś, kto stracił wiarę w wielki autorytet. Jakoś to przeżyję - stwierdził, podnosząc się.

Westchnął głęboko, jakby cała jego frustracja i smutek zmieniły się w powietrze, które mógł z siebie wypuścić.

- Przykro mi, Ted. Co masz zamiar zrobić?

- Nic. Będę dobrym żołnierzem. Zaplanuję sobie wakacje i poczekam, aż cały ten żar ostygnie. Pewnie wszyscy odetchną z ulgą. Przykro mi, że tak mnie ta sprawa zaprzętała. Po prostu spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Rzecz w tym, że zabito ludzi, popełniono okrutne czyny, a wszystkim zajęli się ludzie z góry. Dlaczego tak trudno robić to, co właściwe i zgodne z prawem?

- Zaprosz Billy'ego na kolację, zanim wyjedzie - zaproponowała Toni. - Nie podziękowałam mu jeszcze za pomoc Melissie przy komputerze.

- Świetny pomysł. Zadzwoń do ciebie później.

Nachylił się nad nią i pocałował. Przytrzymała go nieco dłużej niż zwykle, a on dał jej jeszcze jednego buziaka.

- Kocham cię - powiedziała.

- Wiem. Przynajmniej tego nie mogą mi odebrać - rzekł z uśmiechem.

Toni popatrzyła za nim, jak wychodzi - nieco cięższym krokiem i z nieco bardziej niż zwykle pochylonymi szerokimi ramionami.

Dzień zapowiadał się dość rutynowo, tak rutynowo, że postanowił zrobić to, czego od niego chcieli, i rozpocząć wakacje od jutra. Zaraz po przyjeździe do pracy zameldował się u Martina Selzera, po czym wrócił do swojego pokoju, żeby dokończyć jakąś papierkową robotę. Niecałe dziesięć minut później weszła jego sekretarka, by zawiadomić, że przyszedł jakiś człowiek i chce się widzieć z kimś kompetentnym. Dostrzegł w jej oczach podniecenie.

- To Harry Ross - oznajmiła niskim szeptem - i wygląda na roztrzęsionego - dodała.

Nazywała się Marlene Hartman i pracowała dla niego od pięciu lat. Była dobrą sekretarką, ale zawsze trochę za bardzo ekscytował ją fakt, że była zatrudniona w FBI. Choć ani razu w czasie pracy dla niego nie miała okazji bać się choćby trochę. Nieczęsto ludzie z ulicy wchodzili tu, by prosić o pomoc FBI.

- Harry Ross?

- Nie pamięta pan słynnego procesu o morderstwo jego córki?

- A. Ach, tak - rzekł, przypominając sobie tę sprawę, jak i niedawne nagłówki o śmierci miliardera, ojca tamtego zabójcy. - Dobrze, niech wejdzie.

O co tu, u licha, chodziło? - zastanawiał się.

Harry Ross szybko wszedł do pokoju. Był już prawie przy biurku, gdy Ted podniósł się, by podać mu rękę. Wyglądał, jakby ktoś wygonił go z domu: twarz czerwona, włosy potargane, kołnierzyk rozpięty, krawat ledwo zawiązany.

- Czym mogę służyć, panie Ross?

- Moja córka - wyrzucił z siebie.

Ted pokiwał głową.

- Przykro mi. Słyszałem o morderstwie i jestem pewien, że dla rodzica jest to wydarzenie, nad którym nie sposób przejść do porządku dziennego, ale...

- Nie, chodzi o moją młodszą córkę. Studiuje w Nowym Jorku i wczoraj wieczorem została porwana.

- Porwana? Otrzymał pan telefon z żądaniem okupu?

- Nie. Ten człowiek nie chce okupu. On chce zemsty - wyjaśnił Harry.

- Wie pan, kto to jest?

- Myślę, że tak.

- Cóż, zadzwonimy do biura w Nowym Jorku.

Ted usiadł.

- Proszę - powiedział, wskazując na krzesło naprzeciw niego.

Harry pokręcił głową.

- Już dzwonię, panie Ross. Kogo pan podejrzewa?

- Mojego byłego zięcia.

- Byłego zięcia? A więc pańska młodszą córkę także wyszła za mąż i rozwiodła się?

Harry zaprzeczył.

- Nie rozumiem. Pana zięciem był Dirk Stoner, prawda? Mężczyzna stracony za morderstwo pańskiej starszej córki?

Harry skinął głową.

- Jak więc może pan twierdzić...?

- On wrócił - oznajmił Harry, postanawiając jednak spocząć.

24

Elaine nie mogła pozbyć się wrażenia, że dane jej było spotkać się z demonem, kimś spoza rzeczywistości. I to mimo wyjaśnień Dirka i jej zrozumienia, że owszem, jeśli podmieniono środek w strzykawce, pomajstrowano przy EKG, a przy tym podano mu coś w rodzaju nisentilu - anestetyku, który mógł nadać mu trupi wygląd - przy układach i bogactwie Philipa Stonera taka uciezka i oszustwo wobec wymiaru sprawiedliwości mogły się udać. Jednak nie opuszczało jej uczucie, że przeżywała tylko koszmarny sen. To nie mogło się dziać naprawdę. Po prostu nie mogło.

Dobry chirurg plastyczny sprawił Dirkowi nową twarz, ale nie mógł dać mu nowej duszy ani stworzyć innego człowieka. Wyczuła tę jego ciemną stronę już wtedy, gdy spojrzała mu w oczy owego wieczora w klubie. Instynkt podpowiedział jej historię prawdziwszą niż oczywista naukowa prawda. Jej oczy widziały jedno, a serce całkiem coś innego, a dla kogoś,

kto całą swoją wiarę pokładał w wiedzy empirycznej, w doświadczeniach i testach, było to niesamowite odkrycie. Może jednak medycyna była sztuką, a najlepsi lekarze rodzili się z talentem i intuicją...

Jeśli wyjdę z tego cało, nigdy już nie będę naśmiewać się z jasnowidzów, poprzysięgła sobie. Jeśli z tego wyjdę. Na tę myśl zadrżał jej każdy mięsień. Czas było zacząć myśleć praktycznie i rozsądnie, odsunąć daleko swoją słabszą połowę i zakopać głęboko panikę. Koszmar czy nie, była tu, a ten szalenciec chciał być panem jej losu. Stwierdziła, że jedyna nadzieja w psychologii. Nie pchaj się pod prąd, Elaine, powiedziała sobie; płyn z nurtem, ale trochę szybciej, żebyś to ty panowała nad nim, nie on nad tobą.

W chwili gdy Dirk znowu się pojawił, przypomniała sobie o siostrze i przybrała łagodniejszy wyraz twarzy. Farah była dobrą nauczycielką; pokazała jej, jak być bardziej kobiecą, jak uwodzić mężczyzn. Elaine była zawsze zbyt wstydliva, żeby korzystać z tego, co pisarze od wieków nazywali kobiecym wdziękiem, i zbyt tym pogardzała. Uważała, że instrumentalne traktowanie własnego erotyzmu było nieczystym zagraniem, oszustwem, a na oszustwie nie dało się zbudować znaczącego i trwałego związku. Jeśli dwojgu ludziom nie zależało na sobie ze względów czysto intelektualnych, duchowych, na cóż miały się zdać szalejące hormony? Przecież nie miała to być walka, zawody, prawda?

Dirk dostrzegł zmianę w wyrazie jej twarzy i przystanął z uśmiechem na ustach.

- Tak strasznie bolą mnie nadgarstki - jęknęła.
- Wiesz, że w jednej chwili mogę ci skrócić kark - rzekł, odchylając nieco głowę. - Jestem silniejszy niż przed pójściem do więzienia - dodał, jakby miało to być nie wiadomo jakie osiągnięcie.

Pokiwała głową.

- Wiem - odparła. - Widzę, że jesteś w świetnej formie.

- To prawda. Więc lepiej nie dawaj mi powodów, żebym użył siły.

Przyjrzał się jej przez chwilę, wahając się, jaką podjąć decyzję, aż w końcu podszedł od tyłu i uwolnił jej przeguby. Przeniosła ręce do przodu i zaczęła rozcierać je energicznie, próbując przywrócić krążenie.

- Nie trzeba było tak walczyć - skomentował, widząc skaleczenia na jej skórze.

- Masz rację. To nie było zbyt mądre.

Podobała mu się jej gra. Uśmiechnął się szerzej.

- Mogę napić się wody? - spytała.

- Jasne. Proszę bardzo. Szklanki są w szafce nad zlewem. Mamy też kilka ciepłych piw - dodał. - Schłodzą się za jakąś godzinę.

- To dobrze - rzekła, idąc powoli do kuchni.

Odkręciła wodę i znalazła szklanke. Gdy płukała ją, napełniała i piła, Dirk cały czas stał tuż za nią.

- Prosto ze studni. Pewnie zimna, co?

- Tak. Nalać ci?

- Poproszę.

Napełniła drugą szklanke i podała mu.

- Za nas - powiedział, wznosząc naczynie. - I za nasze zmartwychwstanie.

Uśmiechnęła się lekko i wypila jeszcze trochę wody. Nie spuszczał z niej wzroku. Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

- Czuję się taka zmęczona i brudna. Wiesz, jak nie znoszę potu i brudu - mówiła, imitując Farah.

Uniósł brwi i pokiwał głową. - Minie dobra godzina, zanim podgrzewacz zacznie pracować pełną parą - odrzekł. - Do tej pory oboje będziemy potrzebowali kąpieli - dodał. - Pamiętajsz, że po zawodach zawsze marzyłem o porządnym prysznicu?

- O tak.

- Zaczynamy? - rzekł, wyciągając rękę.

Elaine spojrzała na nią z obrzydzeniem bulgocącym gdzieś w okolicach mostka.

Czekaj na okazję, nakazała sobie. Czekaj na szansę ucieczki. Panuj nad sobą. Nie panikuj.

Podawała mu rękę, a on ścisnął jej dłoń, przyciągając ją do siebie i obejmując, aż ich usta spotkały się w długim, mokrym pocałunku, od którego prawie zwymiotowała.

- Farah, Farah - szeptał. - Wiedziałem, że do mnie wrócisz. Wiedziałem, że się nie oprzesz.

- Tak. Wróciłam.

Zaskoczył ją, schylając się i z ogromną łatwością podnosząc ją w ramionach. Rzeczywiście był bardzo silny. Jej głowa oparła się o twarde mięsień na jego piersi. Trzymał ją jak piórko. Ręce oplatały jej nogi jak stalowe obręcze.

Odwrócił się i poszedł w stronę sypialni.

Nie wolno mi myśleć o tym, co się ze mną dzieje, wmawiała sobie. Muszę sobie wyobrazić, że to jakiś eksperyment, próba. Jeśli stracę panowanie, może zabić mnie choćby w łóżku, może to zrobić za kilka sekund...

- No dobrze - wyszeptał. - Czas zaczynać.

Zmusiła się do śmiechu. Farah miała melodyjny chichot, który to wznosił się, to opadał. Potrafiła sprawić, że jej głos dźwięczał jak dzwonek;

zerkała bokiem i unosiła jedno miękkie, krągłe ramię tak, że każdy facet natychmiast zaczynał się ślinić.

Koc był już odciągnięty. Dirk położył ją na prześcieradle i cofnął się, żeby się rozebrać. Patrzyła na niego przez chwilę, a on przerwał.

- No już - zawołał. - Tak jak zawsze. Spróbuj mnie prześcignąć.

Ich zbliżenia zawsze miały coś z igraszki, uświadomiła sobie Elaine: Dirk i Farah robili wszystko, by cały czas dobrze się bawić. Były raczej frywolne, nie zaś wzniosłe czy ekstatyczne. Uważała, że to przez osobowość Dirka i nadzieję Farah, że uda się jej go zadowolić.

Rozpoczął się wyścig. Elaine zaczęła się rozbierać. Śmiał się, gdy mowała się ze spódnicą. Nim zdążyła zdjąć majtki i rozpiąć biustonosz, on stał już nagi.

- Przegrałaś. Wiesz, co to znaczy.

Pokręciła głową z uśmiechem.

- Nie pamiętam - wykręciła się.

- Pozwól, że ci przypomnę - rzekł, po czym uniósł genitalia, podając jej członek.

O Boże, nie, pomyślała. Potrzasał penisem, aż zaczął robić się twardy, po czym podszedł bliżej. Oparł ręce za jej głowę. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że idzie na operację, ale jako pacjentka. Zaraz dostanie narkozę. Za chwilę zaśnie i nie będzie wiedziała, co się z nią dzieje.

Końcówka członka dotknęła jej warg.

- Farah, trzymaj się zasad - nakazał srogo.

Zacisnął palce na jej głowie. Ich końce były jak szpikulce wbijające się w czaszkę.

Otworzyła usta.

Nie miał orgazmu. Pojęła, iż zabawa polegała na tym, że za chwilę się wycofa, a ona skończy się rozbierać. Poznawanie szczegółów tego, co niegdyś było prywatną sprawą Dirka i jej siostry, sprawiło, że poczuła się jak podglądacz. W życiu każdego było coś zbyt intymnego, zbyt osobistego, by przyznać się do tego choćby przed własnym świadomym ja. Farah nigdy nie zdradzała jej tych pieprzonych szczegółów ich współżycia. Mówiła tylko, że na początku małżeństwa był po prostu cudowny.

Gdy Elaine była już naga, położył się na łóżku i szturchnął ją, żeby się posunęła. Trącał jej sutki, mocno ugniatał piersi, całował w szyję, po czym położył się na niej i patrzył jej w oczy. Starala się nie odwracać spojrzenia, ale to było takie trudne... A w dodatku zaczął się buntować jej żołądek, zagrażając wydalaniem hektolitrów kwasu, jaki zgromadził się tuż pod przeponą.

- Dirk Stoner podchodzi do piłki - oświadczył głębokim głosem komentatora sportowego. - Ustawia się. Jest w stanie trafić do dołka za pierwszym razem, a jeśli mu się to uda, puchar i pieniądze będą jego. Tłum milknie. Stoner ustawia się, koncentruje i... bierze zamach.

Wszedł w nią brutalnie i zaczął kołysać się z dzikością, która ją przerażała. Był taki twardy i silny, jakby chciał ją rozedrzeć na dwoje, pomyślała. Jej ciało uniosło się z materaca. Chwycił ją za nogi i odchylił je do tyłu, aż jej plecy przeszył ból. Gdy na niego spojrzała, zobaczyła wywrócone oczy i zaślinione wargi. Patrząc pod takim kątem, jak wije się w parkosyzmach seksualnego uniesienia, dostrzegła, że jego zmieniona twarz przybrała wygląd maski, a kości niemal przebijały cienką skórę.

- Piłka leci długo, długo, bardzo długo. Stoner czeka. Chwileczkę, chwileczkę; chyba trafi do dołka za pierwszym uderzeniem. Niewiarygodne. Tak, tak, tak - krzyczał, szczytując.

Całe łóżko trzęsło się, wezglowie waliło o ścianę.

Zdawało się jej, że zemdląca. Gdy otworzyła oczy, leżał na plecach obok niej i dyszał ciężko, mamrocząc: „Tak, tak, tak”. Nie ośmieliła się poruszyć. Po chwili przekręcił się na bok, po czym brutalnie przewrócił ją i klepnął w pośladki.

- Dobrze było - odezwał się, jakby oceniał jej występ. - Jak za dawnych czasów. Sprawdź wodę. Wiem, jak się czujesz. Oj, wiem, i to dobrze!

Popatrzyła, jak wychodzi, i spróbowała usiąść. Ból nóg i dolnej części kręgosłupa niemal pozbawił ją tchu. Przyjrzała się oknom. Czy ośmieli się otworzyć je i wymknąć się na zewnątrz?

Wrócił, zanim zdążyła spróbować.

- Woda jest już gorąca, Farah. Możesz się wykąpać - oznajmił.

Trzymał w dłoni otwartą puszkę piwa i wziął długi łyk, przy którym jabłko Adama poruszało mu się jak niewielki gryzoń na szyi.

Chciało się jej wymiotować. Wiedziała, że już dłużej tego nie powstrzyma. Dosłownie wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, a za nią podążył jego śmiech. Tam uklękła przy sedesie i ulżyła sobie. Gdy oszołomiona usiadła na podłodze, miała wrażenie, że zwymiotowała nawet własne wnętrzności.

Otworzył gwałtownie drzwi i spojrział na nią.

- Co jest? - spytał wściekły. - Nigdy nie wymiotowałaś po tym, jak się kochaliśmy.

Zastanowiła się szybko. Patrzył, jakby chciał jej urwać głowę.

- Jestem...

- Co? - pytał, zbliżając się do niej.

Zgniółł w ręku pustą puszkę po piwie.

- W ciąży.

Zamarł w bezruchu i gapił się.

- W ciąży?

Potaknęła. Spojrzał w bok i wykrzywił usta w zamyśleniu.

- Tak - rzekł, kiwając głową. - Tak, to dobrze. Stonerowie muszą przetrwać, nieprawdaż? Dobrze, dobrze. Bądź w ciąży - zakończył, jakby miał moc, by decydować, czy tak ma być, czy nie. Wziął głęboki oddech.

Czysty obłęd z tym udawaniem. Jak to się skończy? *Kiedy* to się skończy?

- Skombinuję chyba teraz coś do jedzenia. Weź prysznic i ubierz się - nakazał, pokazując głową na kabinę prysznicową. - Ręczniki są tam, w szafie.

- W porządku. Uśmiechnęła się.

- Wiem, co byś zjadła - dodał. - Kupię to, jeśli będą mieli.

- Dziękuję.

- W ciąży - powtórzył. - To mi się podoba. Najwyższy czas zostać tatusem. - Uśmiech Dirka zgasł, a jego miejsce szybko zajęło groźne spojrzenie. - Lepiej, żeby to był chłopak.

- Myślę, że będzie - powiedziała. - Na pewno tak - dodała najbardziej przekonującym tonem, na jaki było ją stać.

- To dobrze.

Popatrzył na nią z góry, po czym wyszedł z łazienki i zamknął drzwi.

Wstrzymała oddech. Jak tylko Dirk wyjdzie, wydostanie się stąd i poszuka pomocy. Podczas gdy się ubierał, odkręciła prysznic i stwierdziła, że dobrze będzie, jeśli z niego skorzysta. To ją trochę ożywi. Woda była już wystarczająco ciepła, a ona naprawdę czuła się zbrukana i brudna przez ten gwałt. Gdy przyjrzała się swemu ciału, dostrzegła czerwone plamy, sińce i zadrapania. Do tej chwili była jakby nieczuła na ból, ale gdy zaczęła wracać jej lepsza forma, zaczęły też wracać wszystkie odczucia, zaś ból zawiądnął niemal nią całą.

Wytała się, a potem posłuchała pod drzwiami. W domku było cicho. Najwyraźniej wyszedł. Powoli, centymetr po centymetrze uchyliła drzwi na tyle, by móc wyjrzeć. Chata była pusta - ani śladu tego dewianta. Musiała wykorzystać chwilę sprzyjającego szczęścia. Czas było się ruszyć, i to ruszyć się szybko. Pobiegła do sypialni po swoje ubrania.

Gdy tylko tam wpadła, usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi i odwróciła się. Stał tam, wciąż nagi, z krzywym uśmiechem szaleńca na twarzy.

- E Lane - odezwał się. - Wiedziałem, że przyjdiesz, jak tylko zniknie twoja siostra.

Słuchając Harry'ego Rossa, Ted Andrews zachowywał się i wyglądał jak psychiatra. Jego twarz pozostawała bez wyrazu, mimo że wciąż okazywał zainteresowanie i współczucie, kiwał głową, ale się nie odzywał. Ted zdawał sobie sprawę, że Harry Ross wszędzie wietrzył spiski uknute przez Philipa Stonera, jak gdyby nieżyjący miliarder miał na każde skinienie swego małego palca wszystkie rządowe agencje. Z opisu Harry'ego wynikało, że facet mógł zarządzić nawet zmianę pogody.

Ted musiał przyznać, że historia opowiedziana Harry'emu przez jego młodszą córkę była niezwykła. Zaczął nawet przypuszczać, że mogą tu mieć do czynienia przynajmniej z zabójcą podszywanym się pod Dirka Stonera. Zaś w przypadku seryjnych morderców i morderców-naśladowców, nic nie było zbyt dziwne, aby było prawdziwe.

- Czy nasze biuro w Nowym Jorku dostało już te informacje? - zapytał Ted, gdy Harry przerwał.

Ross mówił w wielkim pośpiechu; mówił z taką prędkością, z jaką tylko język pozwalał mu formować sylaby. Mięśnie na jego szyi były napięte, oczy wybałuszone. Rumieniec gorąca, który gościł na jego twarzy, kiedy wszedł, wciąż tam był, a na brwiach zebrały się kropelki potu. Jeśli zjawisko wybuchu istoty ludzkiej w ogóle było możliwe, to Harry Ross wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować. Ted szukał sposobów, żeby go uspokoić.

- Nie - odparł Harry. - Pomyślałem, że jeśli przyjdę tutaj, informacja dotrze tam szybciej.

Ted pokiwał głową.

- Dobrze pan pomyślał, panie Ross. Moja sekretarka przygotowuje panu coś do picia. Proszę się rozluźnić, a potem, jak pan będzie gotów, opowiedzieć jej wszystko tak szczegółowo, jak tylko będzie pan w stanie sobie przypomnieć. Bezwzględnie przefaksujemy to do Nowego Jorku.

Ciało Harry'ego jakby zmiękło, stopiło się pod ubraniem, a on sam przyjął nieco bardziej zrelaksowaną postawę.

- Dobrze. Ale musimy zabrać się do tego natychmiast.

- Rozumiem. Tak też zrobimy - powiedział stanowczo Ted.

Harry spojrzął na niego jak człowiek, który nie może uwierzyć we własne szczęście. Potem jego oczy pociemniały od nowych podejrzeń i nowej fali strachu.

- Wiem, że brzmi to jak bredzenie wariata, ale od dnia egzekucji nie mogę zaznać spokoju. Pamiętam twarz Philipa Stonera. Pamiętam, że

zastanawiałem się, jak to, u diabła, możliwe, żeby nawet Stoner - człowiek, który jednym ruchem małego palca zmieniał ludzkie życie, *niszczył* ludzkie życie - jak to możliwe, żeby patrzył na śmierć własnego syna, a w jego oku nie zakręciła się choćby jedna łza? To nie było normalne, zwłaszcza w przypadku człowieka z takim ego. Teraz to wszystko zaczyna trzymać się kupy. Philip Stoner ocalił życie syna i zmienił go, a przynajmniej tak mu się zdawało. Niech pan się nie zdziwi, jeśli się okaże, że to rodzony syn go zabił. Mowa tu o zastosowaniu nauki, możliwościach chirurgii plastycznej, zmianie twarzy i tożsamości. Takie rzeczy się robi, prawda? Korzysta z nich nawet nasz rząd - podkreślił Harry.

Ted poczuł, jak serce mu przyspiesza, a oczy robią się coraz większe, jak gdyby Harry Ross w swym dzikim ataku na otaczający go bezsensowny świat wypuścił strzałę, która trafiła w wyznaczony cel. Chirurgia plastyczna?!

- Tak, panie Ross. To prawda - przyznał.

Harry kiwnął głową i oparł się.

- Niech więc nie przypina mi pan zbyt pochopnie łatki kolejnego spanikowanego tatusia.

- Nie zrobię tego, ma pan moje słowo - zapewnił Ted tak kategorycznie, że strach Harry'ego od razu ustąpił. - Ja też mam dzieci - dodał.

- W takim razie rozumie mnie pan.

Ted zawołał Marlene.

- Proszę podać panu Rossowi, o co poprosi, i spisać jego informacje, a potem natychmiast przefaksować je do Nowego Jorku.

- Zrozumiałam - odparła i zwróciła się do Harry'ego, który wstawał właśnie z wielkim wysiłkiem. - Proszę odpocząć parę minut, panie Ross. Nie musi mi pan mówić, jakie to bolesne przeżycie.

- Nie - odparł Harry ze wzrokiem człowieka, który stracił duszę. - Nie muszę.

Ted popatrzył za nim, jak wychodzi, po czym wezwał przez interkom agenta Powella.

- Co się dzieje? - spytał Billy, wchodząc do pokoju Teda.

Ted pokazał głową na drzwi, a on je zamknął.

- Znow potrzebujemy pomocy Internetu.

Billy wytrzeszczył oczy.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Zdobądź wszystko, co się da, na temat egzekucji Dirka Stonera - poprosił Ted. - Pamiętasz tę sprawę?

- Jasne. Skąd to zainteresowanie? - spytał Billy.

- Siostra ofiary tamtego morderstwa zaginęła właśnie w Nowym Jorku. Rozmawiałem z jej ojcem. Mogła zostać porwana. Zdobądź jak najwięcej szczegółów, Billy.

- Nie ma sprawy - odrzekł Billy i wyszedł.

Pół godziny później przysła Marlene z zeznaniem Harry'ego. Ted przeczytał zaskoczony ilością detali.

- W porządku. Wygląda nieźle. Wyślijmy to do Nowego Jorku. Proszę też połączyć mnie z Bobem Raphaelem, żeby wiedział, że to dostanie. Gdzie jest pan Ross? - spytał na końcu.

- Wyszedł. Powiedział, że leci do Nowego Jorku. Kiedy dyktował zeznanie, coś przyszło mu do głowy i bardzo się ożywił. Ledwo skończył, a już wyskoczył z krzesła i wybiegł.

- W porządku. Sam też muszę zacząć się uwijać - stwierdził Ted.

Kilka minut później rozmawiał przez telefon z szefem biura w Nowym Jorku.

- Rzeczywiście wygląda to na uprowadzenie - poinformował go Raphael. - Rozmawialiśmy już z dziewczyną, która była z Elaine Ross w klubie. Pamiętała nazwisko faceta i namierzaliśmy go w wypożyczalni samochodów. Przekazaliśmy w teren opis wozu i numery rejestracyjne.

- Co macie na temat samego faceta?

- Jak na razie niewiele.

- A jakiś adres zamieszkania?

- Dzięki za pomoc, Ted - powiedział nagle Raphael. - Przejmujemy sprawę.

- Ale...

- Zważywszy na to, kim jest ofiara, będzie się tą sprawą interesować wiele osób, Ted. Rozmawiał ze mną sam Bradley. Wszystko ma przechodzić przez jego biurko. Nie chcą nawet, żebym rozmawiał o tym z przedstawicielami FBI w innych miastach, o ile szefowie sami nie będą znali treści rozmowy. Dostałem twój faks. Dzięki. Nie musisz się już tym przejmować. Szczęściarzem z ciebie - dodał. - Miłych wakacji - rzucił, zanim się rozłączył.

Czy już całe FBI wiedziało, że dostał tydzień wolnego? - zastanawiał się Ted. O co w tym wszystkim chodziło?

Ted poczuł, że robi mu się gorąco. - Jezu Chryste - zawołał po cichu. - Facet wcale chyba nie był takim paranoikiem. Doktor Lawler zamordowany, jego pielęgniarka tak samo. Philip Stoner zastrzelony...

Podniósł wzrok na powracającego Billy'ego.

- Plan lotów odrzutowca Korporacji Rainback pasuje. Leciał do San Quentin w dniu egzekucji Dirka Stonera.

Ted pokiwał głową.

- Chciałbym wiedzieć, jaki lekarz był przy egzekucji.

- Już sprawdziłem.

- No i?

- Lekarz nie żyje, zmarł na zawał. Skopiowałem artykuł z lokalnej gazety z San Francisco.

Podał Tedowi wydruk, a ten przejrzał go szybko.

- Akurat odszedł na emeryturę?

Billy wzruszył ramionami.

- Miał pecha - stwierdził.

- Być może.

Ted jeszcze raz popatrzył na artykuł. Autor wspominał, że Dirk Stoner był jednym ze skazanych, w których egzekucji uczestniczył doktor Byron. Podniósł wzrok, podjąwszy już decyzję.

- Chyba już wiem, jak spędzę wakacje. A ty, Billy? Masz czas?

- Jasne.

- I masz ochotę polecieć do Nowego Jorku?

Billy uśmiechnął się.

- A już myślałem, że mnie pan nie zapyta.

25

Kathy Du Bois, Harry i Lil spotkali się w mieszkaniu Elaine. Dla całej trójki, a zwłaszcza dla Harry'ego i Lil, obecność wśród rzeczy Elaine nie była łatwa. Czekając na Kathy, patrzyli na zdjęcia ich samych i Farah, które młodsza córka розміściła w całym swym niewielkim mieszkaniu.

Kiedyś stanowiliśmy szczęśliwą rodzinę, pomyślał Harry. Tylu ludzi nam zazdrościło. Życie jest takie krucho; fortuna może obrócić się w każdej chwili i zmienić całe twoje życie. Nie dopuszczał do siebie przerażającej myśli, że być może stracił także swoje drugie dziecko. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jakie życie czekałoby wówczas jego i Lil. Równie dobrze mogliby wtedy sami umrzeć.

Zadzwonili na policję, żeby powiedzieć, gdzie będzie można ich znaleźć, gdy tylko będą jakieś informacje. Harry'ego odesłano do FBI, zaś agent, z którym rozmawiał, wydał mu się dobrym fachowcem, ale potraktował go całkiem bezosobowo. Znów zaczęła rodzić się w nim obsesyjna obawa. Nawet FBI zostało przekupione przez Philipa Stonera.

- Znacie markę i model furgonetki, którą wypożyczył. Chyba nietrudno w dzisiejszych czasach wytropić samochód, prawda? - naciskał Harry.

- Nie jest to jednak tak łatwe, jak mogłoby się wydawać w telewizji, panie Ross. Nie wiemy, w którym kierunku mógł się udać. Wszystkie posterunki przy wjazdach na mosty i do tuneli są w gotowości, ale niewykluczone, że opuścił miasto, zanim przekazaliśmy informację. Wszędzie rozesłaliśmy listy gończe. Powiadomione są wszystkie patrole na autostradach. Skontaktujemy się z panem, jak tylko dowiemy się czegoś konkretnego.

Harry wymamrotał podziękowanie i rozłączył się. Nie chciał działać na własną rękę, gdyby miało to poprowadzić jego i policję w różnych kierunkach, ale ich brak informacji utwierdził go w przekonaniu, że jego prywatny plan jest słuszny. Nie mógł jednak wtajemniczyć weń Lil. Ona zrobiłaby wszystko, żeby go powstrzymać.

Kathy pocieszała ją, mówiła o Elaine, jaką silną jest osobą i jak potrafi znaleźć wyjście z każdej, choćby nie wiadomo jak trudnej sytuacji. Godzinę później zjawiała się rodzina Lil i zrobiło się jak na odpuszcie.

- Idę się przejść - oznajmił Harry żonie. - Nie mogę usiedzieć na miejscu.

- Dokąd idziesz? - spytała z paniką w oczach. - Już późno.

- Tylko na spacer. Spokojnie. Zajmij się czymś. Zadzwoń do ciebie.

- Zadzwońisz? O czym ty mówisz?

- To znaczy, zaraz wrócę. Sam już nie wiem, co mówię. Muszę się przewietrzyć.

- Nie potrzebujesz towarzystwa? - zapytał go szwagier.

- Nie. Chcę się tylko trochę przejść. Dzięki, Louis - powiedział i szybko wyszedł, nim Lil zdążyła spróbować go zatrzymać.

Znalazłszy się na dworze, poszukał budki telefonicznej i zadzwonił do Margie Cohen z firmy, z którą często współpracowali w Los Angeles.

- Musisz coś dla mnie zrobić, Marge. Na północ od Nowego Jorku jest posiadłość, którą muszę zlokalizować. To własność Philipa Stonera. Jestem w Nowym Jorku i nie zdążyłem sam tego sprawdzić przed wyjazdem z Los Angeles - wyjaśnił. - Wiem, że to gdzieś w okolicach Catskill. Chyba w hrabstwie Sullivan. Tylko tyle pamiętam z tego, co mówiła mi Farah.

- W porządku, Harry. Jutro rano zadzwonię do mojego kuzyna, Marvinna Plottera. On się tego dowie. Jak mogę się z tobą skontaktować?

- To nie może czekać do jutra, Marge. Zadzwoń do ciebie za jakieś półtorej godziny.

- O co tu chodzi, Harry?
- O moją młodszą córkę. Boję się o jej życie.
- O mój Boże.
- Możesz mi pomóc?
- Zadzwoń do Marvina do domu i zmuszę, żeby nam pomógł. Odałam mu mnóstwo przysług i zarobiłam dla niego sporo pieniędzy - zapewniła Harry'ego.

- Dzięki. Postaraj się, żeby twój kuzyn zrozumiał, jakie to ważne.
- Dlaczego właściwie jest to takie ważne? Czemu boisz się o życie Elaine?

- Nie mogę ci teraz wszystkiego opowiedzieć, ale uwierz, że nie przesadzam.

- Zdobędę te informacje, Harry.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Dzięki, Marge.

Rozłączywszy się, odszukał w książce telefonicznej najbliższą wypożyczalnię samochodów, zaledwie cztery przecznice od mieszkania Elaine. Znalazł się tam w ciągu niecałych dziesięciu minut, a po dwudziestu jechał już cadillackiem z telefonem. Właśnie duży samochód był mu potrzebny. Myślał perspektywicznie. Wóz musiał być szybki, a gdy będzie już po wszystkim, wygodny dla Elaine. Tak długo, jak się poruszał, robił coś, był w stanie zachować optymizm.

Minęły całe lata, odkąd ostatnio jechał na północ stanu Nowy Jork. Razem z Lil spędzili kiedyś wakacje w hotelu Concord. Przylecieli do Nowego Jorku i wypożyczyli samochód. Świetnie się wtedy bawili. Jedzenie i rozrywki były cudowne. On grał trochę w golfa, ona chodziła do gabinetu odnowy biologicznej. Prawie co noc tańczyli do białego rana. Wtedy w najgorszych koszmarach nie przewidziałby, że dziś będzie przemierzał tę trasę z takiego akurat powodu.

Mniej więcej po godzinie drogi zadzwonił do Marge Cohen.

- Właśnie otrzymałam informację, Harry. Marvin ma dostęp do komputerów w biurze ze swojego domu, mimo to twierdzi, że nie było łatwo. Ta posiadłość znajduje się w pobliżu wioski o nazwie Mountain Dale, gdzieś w bok od Church Road. Adres to po prostu Church Road i nic więcej. Nie wiem, jak masz zamiar ją odszukać. Marvin twierdzi, że w tamtych okolicach trudno cokolwiek znaleźć nawet za dnia, a co dopiero po ciemku. Mówi...

- Znajdę ją - przerwał jej Harry. - Dzięki, Marge. Jestem twoim dłużnikiem.

- Harry, czy Elaine nic się nie stanie?

- Nie - odparł pewnie. - Jasne, że nie.

Przyspieszył. Znajdował się na nowojorskiej autostradzie stanowej. Gdy dotarł do zjazdu na drogę do hrabstwa Sullivan, człowiek pobierający opłaty za wjazd objaśnił mu, jak dotrzeć do Mountain Dale. Dowiedział się, niestety, że ma do przejechania przeszło siedemdziesiąt kilometrów, ale przyspieszył i nie zawahał się ani chwili.

Jadąc, wyobrażał sobie telefon sprzed kilku lat. Telefon od Farah. Mówiła mu, że Dirk jej grozi. Ma przyjechać do jej mieszkania. Harry zobaczył siebie, jak wypada z domu, wsiada do samochodu i gna ulicami ze śmiertelną prędkością, aż znajduje się na jej ulicy. Zatrzymuje samochód przy kraężniku, wyskakuje i wbiega do mieszkania w chwili, gdy Dirk otwiera drzwi od podwórza. W jednej chwili Harry rzuca się na niego i dusi. A Farah... Farah jest już bezpieczna. Nic takiego się więcej nie wydarzy.

Wycie klaksonu ogromnej ciężarówki wyrwało go ze świata fantazji. Wielki pojazd siedział mu prawie na zderzaku. Nie zdawał sobie sprawy, że dając się ponieść wyobraźni, mocno zwolnił. Wcisnął pedał gazu i pędził dalej.

- Już jadę, Elaine - mówił pod nosem. - Trzymaj się, kochanie. Już jadę.

Ted Andrews i Billy Powell zabrali się z Los Angeles wojskowym samolotem i zjawili się w mieszkaniu Elaine około godziny po wyjściu Harry'ego. Billy niósł w teczce przenośny komputer, tak jak niegdyś lekarze nosili swoje torby. Ted przedstawił się szybko bratu Lil, który z kolei przedstawił jego i Billy'ego Lil, siedzącej jak na szpilkach w pokoju dziennym i czekającej na powrót męża.

- Podejrzewam, że pani mąż szybko nie wróci, pani Ross - stwierdził Ted Andrews po tym, jak opowiedziała mu o wyjściu Harry'ego.

- Trudno mi sobie wyobrazić, co mógł zrobić - rzekła Lil.

- Czy mogę porozmawiać z panią na osobności? - poprosił Ted.

Wszyscy stali dokoła i słuchali.

Zaprowadziła go wraz z Billym do sypialni Elaine i zamknęła drzwi. Ted zaczął relacjonować to, co opowiedział mu Harry.

- Wiem wszystko o tej niewiarygodnej teorii, panie Andrews - powiedziała. - Nie daj Boże, żeby była choć w części prawdziwa.

- Zgadza się, ale zakładając, że pani mąż podtrzymuje swoje podejrzenia, czy przychodzi pani do głowy, gdzie mógł się udać? Czy Stonerowie mieli w Nowym Jorku na przykład mieszkanie?

- Nieruchomości w Nowym Jorku. Na pewno mieli tu biura, byli właścicielami jakichś budynków, ale...

Pokręciła głową, po czym otworzyła szerzej oczy.

- Przypominam sobie, że na północy stanu mieli kiedyś domek - rzekła - ale nie wiem dokładnie gdzie. Nie pamiętam. Farah i Dirk byli tam zaraz po ślubie. To chyba coś w rodzaju wiejskiej chaty nad jeziorem.

- Własność Dirka Stonera?

- Jego ojca - odparła. - Myśli pan, że Harry tam pojechał? - Pokręciła głową. - Nie mógłby... Jak by się tam dostał?

Ted spojrział na Billy'ego, który otwierał już teczkę z komputerem.

- Potrzebne mi gniazdko telefoniczne - mruknął pod nosem, szybko je znalazł i podłączył się.

Po chwili siedział przed jasnym ekranem i szybko dobierał się do danych dostępnych dla speców FBI. Gdy robił swoje, Ted wypytywał Lil o Dirka i Farah, starając się, by Lil zachowała przy tym spokój i mówiła o konkretnych.

- Mam - odezwał się Billy. - To kawałek gruntu w pobliżu wioski Mountain Dale, jakieś dwieście trzydzieści kilometrów na północny zachód od miasta. Chwileczkę - dodał.

Sięgnął do swojej teczki i wyjął małą przenośną drukarkę. Podłączył ją i wrócił do klawiatury, podczas gdy Ted tylko patrzył.

- Te cuda sprawią, że staniemy się w końcu zbędni, pani Ross. Wszyscy, oprócz ludzi takich jak Billy.

Przyglądali się, jak drukarka zaczyna pracować. Ich oczom ukazała się mapa.

- To tylko plan dróg z Mapblastera - udając skromność, pochwalił się Billy.

Ted spojrział na wydruk. Billy wrócił do pracy.

- Znalazłem go - oznajmił po dłuższej chwili. - Jakies dwie godziny temu wypożyczył samochód, czarnego cadillaca.

- O mój Boże - jęknęła Lil. - Co on wyprawia?

- Chodźmy - rzekł Ted. - Dziękujemy, pani Ross. Proszę się nie martwić. Dołączymy do niego.

Billy spakował sprzęt i obaj wyszli z mieszkania.

- Ma nad nami sporą przewagę - stwierdził Billy. - Będzie nam potrzebny helikopter, żeby go dogonić, ale nie porozumiał się pan z Selzerem, a sam pan mówił, że biuro w Nowym Jorku wyłączyło pana ze sprawy...

- Myślę, że uda nam się nakłonić ich do zmiany decyzji - rzekł Ted. Dwadzieścia minut później wraz z Billem stali w biurze Boba Raphaela. Gdy Ted wyłożył mu, czego się dowiedział i co na ten temat sądzi, nie dostrzegł

na twarzy Raphaela ani odrobiny sceptycyzmu. Bob popatrzył tylko z kamienną twarzą i usiadł wygodniej.

- Bradley nie będzie szczęśliwy, gdy się o tym dowie, Ted. Mówiłem ci, że my zajmiemy się tą sprawą, a ty masz udać się na urlop - powiedział powoli.

- Co się tu dzieje, Bob? Mam prawo wiedzieć - nalegał Ted.

Raphael zerknął na Billy'ego.

- Brał w tym udział od samego początku i wie tyle, co ja - uspokoił go Ted.

- Jesteście pewni co do lokalizacji?

- Na tyle, że myślę, iż warto spróbować - przekonywał Ted. - Ale czas ucieka, Bob. Mogą zginąć ludzie, niewinni ludzie.

- Bradleyowi się to nie spodoba - upierał się Bob Raphael.

- Jeśli idzie tu o powstrzymanie mordercy, jesteśmy twoją jedyną nadzieją, ale pod warunkiem, że będziemy działać szybko, Bob. Kto wie, jak to się skończy, jeśli nie przybędziemy tam na czas. Musisz podjąć samodzielną decyzję - podkreślił Ted.

Raphael kiwnął głową, zastanowił się chwilę, po czym podniósł słuchawkę i zamówił śmigłowiec.

Miniona noc była horrorem. W ogóle nie wychodził z domku, a po jedzeniu pojechał dopiero wczesnym rankiem. Przed wyjściem znów skrępował ręce i nogi Elaine sznurem. Prawie nie mogła poruszyć się na łóżku. Gdy wrócił, rozwiązał ją i dał coś do jedzenia.

Przez cały dzień Dirk widział w niej to Farah, to znowu Elaine. Zaczęła zastanawiać się, czy te schizofreniczne odmiany były autentyczne, czy udawane. Jego zachowanie, wyraz twarzy, a nawet głos zmieniały się, gdy ostrzegał ją jako tę, którą rzeczywiście była.

Jadła i piła, co jej podał, wyłącznie po to, by mieć siły do ucieczki, gdy tylko nadarzy się okazja, lecz jak dotąd zawsze udało mu się ją ubiec, związując ją, gdy chciał się przespać albo wyjść z domku. Wieczorem pojechał i wrócił dopiero po półtorej godziny, bo zachciało mu się chińskiej wina na wynos.

- Jesteśmy na prawdziwym zadupiu - stwierdził po powrocie. - Musiałem po to jechać prawie pięćdziesiąt kilometrów.

Wyłożył wszystko na stół i rozwiązał ją. Była zła i zrozpaczona, i po raz pierwszy pomyślała, czy nie rzucić się na niego z widelcem, który położył obok jej talerza. Gdyby udało się jej trafić w gardło...

Jednak kiedy zdjął koszulę i zobaczyła jego mięśnie, straciła odwagę. Był pod tym względem niesamowity. Będzie musiała postarać się jakoś go

przechytryć, wykorzystać zaskoczenie. Inaczej nie będzie miała żadnych szans.

Udawała, że jest mu bardzo wdzięczna za jedzenie i strasznie głodna. Mdości, które nawiedziły ją na samym początku, nie ustępowały. Trudno jej było przełknąć kęs chleba, a co dopiero smażony ryż z kurczakiem, moo goo gai pan*, lo mein** z krewetkami czy naleśniki z jarzynami. Dirk pozerał wszystko, jakby przez kilka dni nie oglądał jedzenia.

* moo goo gai pan - chińska potrawa składająca się z plasterków mięsa z kurczaka smażonych krótko z grzybami, kłęczami lotosu i jarzynami.

** lo mein - chińska potrawa złożona z klusek z warzywami, przyprawami i innymi dodatkami (np. mięsem).

Przestała jeść i spojrzała na niego. Nie pozwalał jej się ubrać, ale już jej to nie przeszkadzało.

- Gdzie się podziewałeś od... od swojej ucieczki? - spytała.

- Gdzie się podziewałem? Przez większość czasu w piekle. Ludzie, których tata dla mnie zatrudnił, stanowili nudne, odrażające towarzystwo. Trzymali mnie w miejscach jeszcze bardziej odludnych niż to i nie mogłem porozmawiać z żadną normalną osobą, aż... dopóki znowu nie uciekłem.

- Co to znaczy, że znowu uciekłeś?

- Nie miałem jeszcze objawiać się światu - wyznał i uśmiechnął się złośliwie. - Według nich i mojego ojca, nie byłem jeszcze gotowy.

- Zabiłeś swojego ojca? - spytała.

- Nie. Nie wiem, kto go zabił... Może twój ojciec.

- Nigdy by się na coś takiego nie zdobył, niezależnie od tego, co do niego czuł - rzekła stanowczo.

Dirk uśmiechnął się.

- Pamiętam cię z sali sądowej. Parę razy udało mi się na ciebie zerknąć. Przez większość czasu byłaś bardziej znudzona nawet niż ja sam.

- Nie byłam znudzona. Byłam otepiała. Pomyślał chwilę i roześmiał się.

- Ja też.

- Czy ktoś cię teraz ściga? - spytała.

Jadła po trochu, tylko tyle, żeby on ciągnął dalej rozmowę.

- Kto? Policja?

- Nie, ludzie, których wynajął twój ojciec.

- Przyjechali za mną do Nowego Jorku i jeden z nich bardzo tego pożałował na chwilę przed tym, jak jego mózg rozbryzgał się na chodniku. Wydaje mi się, że dali sobie spokój, gdy tylko mój staruszek spotkał się z kostuchą. Wiele rzeczy rozpadnie się teraz w jego imperium.

- Które w całości mogło należeć do ciebie.

Wzruszył ramionami.

- Większość i tak należy. Tata zapewnił mi dobrobyt na wiele sposobów. Mam na przykład konta w szwajcarskich bankach. Nie zwracaj sobie mną tej małej główki.

- Nie czujesz żadnej skruchy z powodu tego, co zrobiłeś i co robisz?

Przestał jeść, pomyślał, a potem pokręcił głową.

- Nie, ani odrobiny - odparł i rzucił się na krewetkę. – Całkiem niezła chińszczyzna jak na taką zabita dechami dziurę, co?

Nie odpowiedziała. Na dworze panowała ciemność. Niebo było zasnuwane chmurami, nie świeciły więc gwiazdy ani księżyc. Wyglądało, jakby Dirk zasłonił okna czarnym aksamitem. Jakim cudem miałyby odnaleźć drogę w takim mroku? Nadzieja przysła. Spuściła głowę.

- Hejże, nie mów mi, że E Lame w końcu się poddaje - zakpił. - Nie mów mi, że w końcu dotarło do niej, że wcale nie jest lepsza ode mnie - drwił, rozkoszując się jej widokiem.

Z wolna podniosła głowę i wpatrzyła się w niego z taką nienawiścią, że musiał przerwać.

- Zetrzyj z twarzy to spojrzenie albo...

Szybko odwróciła wzrok.

- Tak już lepiej. Pamiętam, jak mnie kiedyś traktowałaś, jak mną pogardzałaś. Wiesz, co ci powiem, E Lame? Nawet pieprzyć się nie umiesz.

Rzucił widelec na stół i wyprostował się gwałtownie. Serce zaczęło jej walić jak młotem. Znow się zmieniał. Tym razem będzie jeszcze bardziej okrutny.

- Czego spodziewałaś się po seksie bez uczucia? - spytała. - Ludziom musi na sobie zależeć.

Spojrzał na nią i parsknął śmiechem.

- Tak uważasz? Uwierz mi, byłem z wieloma kobietami, którym wcale na mnie nie zależało, ale którym bardzo zależało na własnym dobru i chciały mnie wykorzystać tak samo, jak ja chciałem wykorzystać je. Dawanie i czerpanie przyjemności, E Lame. O nic więcej w seksie nie chodzi.

- Ja uważam inaczej - rzekła buntowniczo.

Znow parsknął śmiechem, który urwał się nagle.

- Wciąż jesteś snobką. Wstawaj - rozkazał - i ruszaj do sypialni. Pokażę ci, jak to się robi w naszych najsłynniejszych więzieniach. Zobaczymy, czy nie zetrze to tej pyszałkowatej miny z twojej twarzy.

- Proszę - błagała. - Jestem zmęczona.

- Och, biedactwo. Ruszaj dupę!

Podniosła się powoli. Dirk wstał i cisnął krzesłem o stół. Potem odwrócił się, żeby zamknąć drzwi domku. Gdy to robił, Elaine złapała za widelec i

ścisnęła go w lewej ręce, spuszczać ją w dół, wzdłuż boku. Odwróciła się i ruszyła w stronę sypialni. Pewnym krokiem Dirk pomaszerał za nią. Przeniosła lewą rękę przed siebie i przełożyła widelec do prawej dłoni. Gdy doszła do drzwi, położył rękę na jej pośladkach, a ona obróciła się, z całą siłą uderzając go w nos, prawy ząb widelca wbijając w lewe oko. Niemal natychmiast krew zalała mu twarz.

Dała nura pod jego ramieniem, które uniósł instynktownie, lecz za późno, i wypadła z pokoju, chwytając po drodze do drzwi pokrowiec z mebli. Przekreśliła klucz w zamku, otworzyła drzwi i wybiegła na dwór z pokrowcem zarzuconym na ramiona i powiewającym w ciemności jak pełeryna.

Jego ryk był tak przerażający, że gnała naprzód na oślep, potykając się o kamienie i krzewy, aż dobiegła do lasu, gdzie dalej uciekała w mroku, wpadając na gałęzie, kalecząc ręce i nogi, nie zważając jednak na ból.

Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności i dobiegła do miejsca, gdzie listowie było rzadsze, ale ucieczka bardzo dawała się we znaki jej stopom. Wiedziała, że krwawią. Duży palec prawej nogi był chyba złamany, a kostki powykręcane od biegu po korzeniach i kamieniach.

Zatrzymała się w końcu w niewielkim rowie i oparła się o smukłą brzozę. W lesie było cicho jak makiem zasiał. Jej serce waliło jednak tak mocno, że stwierdziła, iż pewnie i tak niczego by nie usłyszała. Czuła, że od biodra po pachę ma rozciętą skórę. Złapała wreszcie oddech i obejrzała się za siebie. Wszędzie było tak ciemno... tak spokojnie...

I wtedy zobaczyła snop światła latarki.

Nadchodził.

Znajdzie ją zawsze i wszędzie.

26

Dotarliśmy do Mountain Dale, Harry załamał się. Nie licząc światła ulicznych latarni, w wiosce było ciemno. Nie widać było żadnych przechodniów, ani jednego samochodu. Nad kilkoma sklepami świeciło się jeszcze w niektórych oknach, ale co miał zrobić: stawać pod domami, pukać do drzwi i pytać o drogę do położonej w lesie chaty? Jeśli będzie musiał, zrobi to, pomyślał i wtedy, dojeżdżając już do końca, jak mu się zdawało, jedynej w tej wsi ulicy, dostrzegł mały bar z wciąż świecącym i mrugającym neonem: „Kayfield's”. Zaparkował wzdłuż krawężnika i wysiadł.

Lokal był większy, niż mu się zdawało. Bar znajdował się po lewej stronie i ciągnął się półkolem prawie do tylnej ściany. Stały też czarne stoliki ze sztucznego tworzywa, stół bilardowy i szafa grająca, a obok niej automat z papierosami. Przy barze siedziało trzech mężczyzn. Przyjrawszy się dokładniej, stwierdził, że mężczyzn było dwóch, zaś towarzyszyła im kobieta, z wyglądu pięćdziesięciokilkuletnia, o nierówno obciętych krótkich włosach, grubych udach wciśniętych w znoszone szare ogrodniczki, z podwiniętymi do łokci rękawami flanelowej koszuli i w wysokich czarnych butach. Pochylała się nad kuflem piwa tak jak jej kompani i przyglądała mu się z zaciekawieniem i zdziwieniem.

Czterej mężczyźni - trzech po pięćdziesiątce i jeden około trzydziestki - grali w karty; kilka banknotów spoczywało pośrodku stołu, u boku każdego gracza stała butelka piwa. Podnieśli wzrok i spojrzeli na Harry'ego, ale nie przerwali gry. Barman, oparty o szafki, z rękami założonymi na sterzącym brzuchu, uklonił mu się lekko. Harry'emu przyszło do głowy, że wygląda jak braciszek Tuck od Robin Hooda, z kosmykami siwych i czarnych włosów okalających łysinę na czubku głowy, błyszczącą pod umieszczoną nad nią jarzeniówką.

- Słucham pana? - rzekł, nie ruszając się spod szafki.

- Przyjechałem właśnie z Nowego Jorku i jak najszybciej muszę odnaleźć pewne miejsce - wyjaśnił Harry, starając się nie zdradzić rozpaczy, jaka go trawiła. Obawiał się, że może ich przestraszyć i zniechęcić do mówienia.

Usłyszeli go wszyscy klienci i ich zainteresowanie natychmiast wzrosło. Nawet pokerzyści przerwali grę.

- Co by to miało być? - spytał barman. Harry spojrzął na zapisaną kartkę.

- Church Road, domek Philipa Stonera.

- Wiem, gdzie to jest - powiedziała kobieta szybko, jak zawodniczka jakiegoś teleturnieju.

Podniosła kufel do ust i wzięła długi łyk, gdy tymczasem Harry czekał.

- Facet rzadko tam bywa. A to całkiem niezła chata. Niedaleko Kamiennego Stawu - dodała dla informacji barmana.

Ten skinął głową, ale minę miał taką, jakby nadal nie wiedział, gdzie to jest.

- Daleko stąd? - spytał Harry.

- Nieee. Pojedzie pan drogą do rozwidlenia. Tam w lewo. To będzie Church Road. Wije się przez jakieś trzy kilometry. Potem trafi pan na strome wzgórze po lewej stronie. Pojedzie pan w górę jakieś cztery kilometry i poszuka drogi w prawo. Pozna pan po połamanym ogrodzeniu zaraz przed

nią. To zwykła polna droga. Po jakimś kilometrze wjedzie pan prawie do chaty. Stoner ma tam chyba z pięćset akrów, co, Joe? Niski, chudy mężczyzna siedzący obok niej potaknął.

- Co najmniej. I to porządnej ziemi. W zeszłym roku przyłapał mnie tam na polowaniu. Ale nie ma ustawionych żadnych znaków - dodał szybko, spoglądając na przybysza.

- Dziękuję - rzucił Harry.

- Pan uważa na ruch na drodze - zawołał jeszcze ktoś od karcianego stolika, gdy Harry ruszył do drzwi.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Harry uśmiechnął się tylko i wyszedł z uczuciem, jakby właśnie odkrył kopalnię złota.

Drogę znalazł z łatwością. Po kilku minutach był już przy opisanym przez kobietę wzgórzu. Gdy zaczął jechać pod górę, uświadomił sobie, co powinien być zrobić.

Nie mam przy sobie broni, myślał, za to może ją mieć Stoner.

Przypomniała mu się rozmowa z funkcjonariuszem służby więziennej, Wayne'em Echertem, który mówił, że Dirk jest w świetnej kondycji, wciąż ćwiczy, pracuje nad swoim ciałem.

Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy, pomyślał, ale teraz już po pomoc nie wróć. Nie ma na to czasu.

Znalazł zwirową drogę i przejechawszy mniej więcej pół kilometra, wyłączył światła samochodu. Żużel trzeszczał głośno pod oponami. Zwolnił i przystanął, wychylając głowę przez okno, by sprawdzić, czy czegoś nie usłyszy. Dokoła panowała ciemność i cisza. Kobieta z baru powiedziała około kilometra. Już prawie tyle przejechał. Nie miał zamiaru wjeżdżać wprost do chaty. Jediną przewagą, jaką nad nim miał, było zaskoczenie.

Wysiadł z samochodu. Powietrze było wilgotne i mgliste, jakby dopiero co przestało padać, a deszcz wisiał kilka metrów nad ziemią i czekał, aż zostanie uwolniony i spadnie na świat niemiłosierną ulewą. Harry otworzył bagażnik i poszukał łyżki do zdejmowania opon. Znalazłszy ją, opuścił po cichu klapę i ruszył zwirową drogą szybko i bezszelestnie. Serce pompowało mu krew z taką prędkością, że niemal czuł, jak przepływa przez klatkę piersiową.

Niecałe pięć minut później zobaczył domek. Światło było zapalone, a przed wejściem stała furgonetka. A więc się nie mylił, ale świadomość tego napelniła go lodowatym strachem. Miał nadzieję, że nie przybył za późno. Ostatecznie minęły już całe dwa dni, odkąd Elaine została uprowadzona.

Podszedłszy bliżej, odkrył, że drzwi chaty są otwarte na oścież. Zawahał się. To nie było normalne i na pewno coś oznaczało. Rozglądał się dokoła,

czekając i nasłuchując. Gdy nie doszły go żadne dźwięki, kucnął i w ten sposób podszedł do okna. Powoli podniósł głowę i zajrzał do środka. Palily się dwie lampy, a na stole migotała świeczka, leżały opakowania po jedzeniu na wynos, dwa talerze, jakieś sztucce, szklanki i butelka piwa. Przyjrzał się nakryciu i skupił się na otwartych drzwiach po swojej prawej ręce. Nic się nie poruszyło. Nie dostrzegł ani śladu człowieka, ale stwierdził, że nie odeszli od stołu zbyt dawno.

Postanowił nie wpadać tam od razu. Zamiast tego odwrócił się i okrążył domek, zaglądając przez każde okno, aż dotarł do oświetlonej sypialni i zobaczył, że tam także było pusto. Dostrzegł jednak ubrania rozrzucone w bezładzie obok łóżka, a przyjrzwawszy się dokładniej, przekonał się, że należały do Elaine.

Gdzież ona, u licha, była? I gdzie się podział on? Harry czekał w nadziei, że ktoś się pojawi. Po dwóch minutach, minutach, które płynęły wolno jak godziny, usłyszał przeraźliwe, przejmujące wycie, po którym nastąpił wywołujący dreszcze krzyk. Odgłosy dochodziły z lasu po jego lewej stronie. Odkrył wtedy, o czym tak naprawdę mówią ludzie, twierdząc, że serce w nich zamarło. Przez chwilę nie mógł się poruszyć, ledwo oddychał i czuł się, jakby przeszło go śmiertcionośne ostrze. Potem popędził do lasu, przedzierając się przez gęstwiny, wymachując łyżką jak maczetą.

Usłyszał kolejny krzyk, a potem jeszcze jeden. Zatrzymał się i doszedł go wyraźny szloch i odgłos człowieka poruszającego się szybko w zaroślach. Dostrzegł snop światła i przykucnął, żeby poczekać.

Dirk trzymał za włosy Elaine. Prowadził ją za sobą, od czasu do czasu pociągając mocno. Ona zaś ścisnęła płachtę materiału i tuliła ją do siebie, usiłując jak się dało ochronić ciało przed gałęziami młodych drzewek i krzewów, przez które maszerował Dirk, sam najwyraźniej nieczuły na cierń i patyki, które smagały im plecy niczym bicze.

Harry nie widział jego twarzy, ale sylwetka, chód i to, czego dowiedział się już od Elaine, przekonało go, że w istocie był to znieawidzony przez niego były zięć. Dirk był bez koszuli, a jego ramiona i barki błyszczwały jak zbroja w odbitym świetle latarki.

Gdy dotarli do niewielkiej polany, Harry wyskoczył z cienia. Nie należał do mężczyzn drobnych, ale daleko mu było do kulturysty. Siła i moc, jakie z siebie wykrzesał, pochodziły z pokładów znacznie głębszych niż zwykła tkanka mięśniowa. Sięgnął w głąb własnego jestestwa, całych lat sfrustrowanego męstwa i ojcostwa. Urobił z nieustannego, podświadomego poczucia winy kulę nienawiści i wściekłości, która przerosła jego ciało i uczyniła go olbrzymem.

Dirk spojrział zdziwiony na atakującą go ciemną postać. Elaine z trudem łapała powietrze, myśląc, że czeka ją jeszcze bardziej niewiarygodny koszmar. Oto Dirk zabrał ją do swego demonicznego świata zaludnionego przechodzącymi ludzkie wyobrażenie kreaturami, które zaraz pożrą ich oboje. Miała wrażenie, iż lada moment ożyje cały las, drzewa przeistoczą się w żyłaste gargulce, szkielety rąk wyłonią się spod mchu i błota, korzenie zamienią się w węże.

Dirk puścił jej włosy, by móc się bronić, po tym, jak skierował światło latarki na Harry'ego i uświadomił sobie, kto go atakuje. Ale Harry zakradł się po cichu, a teraz pędził przed siebie z prędkością, jakiej nigdy by się po sobie nie spodziewał. Dirk zaczął brać rozmach latarką jak kijem do golfa, ale Harry zmylił go, odskakując w prawo, a potem w lewo, pchając łyżkę ostrzejszym końcem tuż pod jego mostek i rzucając się nań całym swym ciężarem. Latarka wypadła z ręki Dirka i zawirowała na ziemi, a siła uderzenia wyłączyła jej światło jak niknący ognek.

Dwaj mężczyźni walczyli dalej: Harry zwałił się na Dirka, gdy obaj padali na ziemię, ale nie wypuścił z dłoni łyżki. Udało mu się pozbawić przeciwnika tchu, więc przez chwilę Dirk chwycił ciężko powietrze, a pierś mu falowała. Harry ukląkł nad nim i unióś łyżkę niby dzidę, po czym pchnął go w dół z całą swoją siłą i całym ciężarem, trafiając w to samo miejsce, z tym, że teraz końcówka przebiła skórę i utkwiała w ciele. Łyżka sterczała z Dirka, który dalej leżał na plecach; podniósł powoli ręce, by chwycić za żelazo, ale te szybko opadły bezwładnie wzdłuż boków. Harry poczuł się, jakby wbił drewniany kołek w serce wampira.

Elaine, która przez cały czas kuciała w obronnej pozycji, uciekała teraz z polany. Harry, jęcząc, odwrócił się, żeby wstać. Zobaczył, jak córka znika w zaroślach, i krzyknął: - *Elaine!*

Podniósł się i chwiejnym krokiem ruszył za nią. Odgłosy jej kroków na poszyciu ucichły.

- Elaine! - zawołał znowu.

Szedł teraz nieco pewniej, wyprostowany, nawołując od czasu do czasu, aż stanęła przed nim - ledwie widoczna na mrocznym tle.

- Tata? - wykrztusiła.

- Kochanie - krzyknął i wyciągnął do niej ręce.

Padła mu w ramiona i trzymali się w objęciach, przez chwilę niezdolni wydobyć z siebie ani słowa, nie mając zamiaru wyzwolić się z wzajemnego uścisku. Harry całował czoło i włosy córki.

- Jak nas tu znalazłeś? - spytała, w dalszym ciągu czując się, jakby oglądała horror.

Nic z tego nie mogło zdarzyć się naprawdę: ojciec zjawia się jakimś cudem prosto z Kalifornii i znajduje ją na tym pustkowiu?

- No jak?

- Nie mogłem cię stracić - odparł. - Wszystko w porządku?

- Nie. Ale będzie.

- Uciekajmy stąd - ponaglił, otulając ją pokrowcem. Ruszyli powoli w stronę chaty.

Z południowego wschodu dobiegł do ich uszu odgłos helikoptera. Huczał w ciemnych chmurach niczym grzmot, dopóki nie zobaczyli jego lampek. Gdy Harry i Elaine wychodzili z lasu, śmigłowiec znalazł żwirową drogę, a jego światło padło na czarnego cadillaca i furgonetkę. Zaczął osiadać na wolnej powierzchni. Harry i Elaine stanęli i patrzyli na oślepiający snop. Ktoś machał do nich jak szalony.

- Policja? - spytała Elaine.

- To chyba agent FBI - odparł Harry, przysyłając oczy.

Ted Andrews wymachiwał ramionami i wyraźnie na coś pokazywał.

- Co, u diabła...?

Harry odwrócił się - po części instynktownie, a po części dlatego, że zdawało mu się, iż Andrews próbuje go przed czymś ostrzec.

Dirk wyciągnął z ciała żelazną łyżkę i wymachiwał nim nad głową, tocząc się niby średniowieczny wojownik opętany żądzą walki i umierający za sprawę. Stapał ciężko w ich stronę; cieniutkie strużki krwi po bokach brody nadały jego twarzy wygląd przerażającej maski. Rana pod piersią stała się wojennym malowidłem, szkarłatne linie ciągnęły się na brzuchu i pod sercem - prymitywny, pradawny wzór mający chronić przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. W oczach odbijały mu się światła śmigłowca. Twarz płonęła. Wyglądał na niepowstrzymanego, niezwykłego, na istotę z tysiącem żyć, drwiącą ze zbliżającej się śmierci i przeciw śmierci zbuntowaną.

Nie usłyszeli wystrzału. Warkot śmigłowca zagłuszył huk, ale czoło Dirka nagle eksplodowało, włosy podniosły się, jakby nosił perukę, czaszka roztrzaskała się na drobne kawałki, uwalniając krew, która wytrysnęła swobodna i jasna w otaczającą go ciemność niczym zgraja czerwonych insektów. Siła uderzenia uniosła go, wyrzucił w górę ramiona, przewrócił się i wrócił do cienia, gdzie znikł, jakby zapadł się pod ziemię, jakby został wciągnięty do grobu wykopanego już dawno temu i przygotowanego na ten właśnie moment.

Elaine upadła na Harry'ego, tracąc władzę nad ciałem. Ojciec wziął ją na ręce i zaniósł do domku, a helikopter wreszcie wylądował.

*

Harry był pod wrażeniem tego, jak szybko zjawił się lekarz i karetka. Widocznie FBI spodziewało się takiego przebiegu zdarzeń i wezwano doktora od razu, ruszając w drogę do domku. Przyjechał lekarz wojskowy; Harry nigdy nie dowiedział się, jak się nazywał.

Mimo że Elaine mocno oponowała, postanowiono, że pójdzie do szpitala. Jednak gdy się już znaleźli w ambulansie, Harry'ego zaskoczyła wiadomość, że wiozą ją z powrotem do Nowego Jorku.

- Tak będzie lepiej - wyjaśnił Ted Andrews. - Jej obrażenia na szczęście nie zagrażają życiu i nie wymagają natychmiastowej hospitalizacji. Tak będzie też lepiej dla pańskiej żony - dodał, ale Harry wyczuł, że chodzi o coś więcej.

Jeszcze zanim odjechali, w domku zjawiła się grupa agentów, którzy rozpoczęli gruntowne sprzątanie. Harry wiedział, że po kilku godzinach nikt nawet się nie domyśli, iż zaszło tu coś niezwykłego.

Jechał karetką razem z Elaine. Lekarz dał jej coś na uspokojenie, tak że przespała całą drogę. Widząc, jak wykrzywia usta i porusza oczami, Harry domyślił się, że znów przeżywa koszmar. Bał się dowiedzieć, przez co przeszła i jak okrutnie została potraktowana. Najgorzej wyglądały rany na stopach pokaleczonych i podrapanych tak bardzo, że musiały zostać zabandażowane. Zadbano też o inne rany i skaleczenia, ale te mogły pozostać odkryte, nie licząc jednego głębokiego cięcia tuż nad lewym łokciem. Co niezwykle, jej twarz pozostała nietknięta.

- Muszę zadzwonić do żony - powiedział Harry do Teda Andrewsa. - Pewnie odchodzi od zmysłów.

- Już o to zadbaliśmy. Skontaktowaliśmy się z pana żoną. Ktoś odprowadzi też pański samochód do wypożyczalni i nasi ludzie przywiozą panią Ross do szpitala. Będzie tam na nas czekała, gdy przyjedziemy - obiecał Ted.

Uspokojony czy raczej wycieńczony, Harry chętnie poddał się komfortowi niesionej mu urzędowej pomocy. Czuł, że niewiele jest rzeczy, o które by poprosił, a których by mu odmówiono.

- Jak nas znaleźliście? Co kazało wam za nami przyjechać? - pytał Harry. - Nie wyglądał pan na przekonanego, gdy rozmawialiśmy w biurze.

- Poczekajmy trochę - rzekł Andrews. - Poskładamy wszystko do kupy, gdy będzie pan w stanie lepiej to zrozumieć. Wciąż jeszcze mamy kilka nie dokończonych wątków w tej sprawie.

Harry uśmiechnął się.

- Czyli będzie to wtedy, gdy dostaniecie oficjalne zezwolenie, żeby mi o wszystkim powiedzieć?

- Coś w tym rodzaju - przyznał Ted.

Po raz pierwszy Harry roześmiał się. Poczuł się naprawdę dobrze. Trzymając dłoń Elaine, przyknuł oczy. Nie przypuszczał nawet, że można być tak zmęczonym i wciąż jeszcze żyć. Usiłował czuć, ale zasnął prawie na godzinę i ocknął się dopiero, gdy wjechali na Most Waszyngtona. Elaine ciągle spała.

Kiedy przyjechali do szpitala, wszędzie pełno było policji. Lil podbiegła do nich, gdy tylko pojawili się w drzwiach karetki.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział szybko Harry. - Wszystko będzie dobrze, Lil.

Sanitariusze zatrzymali się z noszami, żeby Lil mogła zobaczyć Elaine.

- Mój Boże, jej stopy, te zadrapania... Co się stało, Harry? Nikt mi nic nie mówił...

Ruszyła za sanitariuszami do budynku szpitala. Gdy Harry nie odpowiadał, stanęła i spojrzała na niego.

- Zajmijmy się najpierw Elaine - orzekł.

Nieco ponad godzinę później siedzieli na niewielkiej skórzanej kanapie w pokoju przeznaczonym wyłącznie dla pracowników administracji szpitala, a Harry, pomijając co bardziej drastyczne szczegóły, opowiadał Lil, co zaszło i co zrobił.

Lil słuchała, nie przerywając, aż w końcu, uświadomiwszy sobie, przez co przeszedł, okazała troskę właśnie jemu.

- Może ciebie też powinien obejrzeć lekarz, Harry?

- Nic mi nie jest - odrzekł z uśmiechem. - Jestem tylko zmęczony.

Doktor, który badał Elaine tu, w szpitalu, przyszedł do nich w eskorcie Teda Andrewsa i Boba Raphaela i zdał Harry'emu i Lil pełną relację.

- Poza złamanym palcem u nogi nie ma poważniejszych obrażeń fizycznych - oznajmił, kładąc nacisk na słowo „fizycznych”.

Lil zrozumiała, co miał na myśli.

- Czy wyjdzie z tego?

- Sprowadzimy terapeutę, gdy tylko będzie w stanie skorzystać z jego pomocy - powiedział lekarz, patrząc na Boba Raphaela, by mieć pewność, że to, co mówi, spotka się z jego aprobatą.

Harry dostrzegł zmianę w oczach doktora.

- Na razie pozwolę jej spać i państwu także radzę udać się na spoczynek - dodał.

- Gdzie ona jest? - zapytał Harry.

- Umieściliśmy ją w jednoosobowym pokoju, panie Ross - wtrącił się Bob Raphael - z ochroną.

- Dlaczego? - spytała Lil z obawą. - Czy ktoś jeszcze nastaje na jej życie, na nasze życie?

- Nie mamy najmniejszych podstaw, żeby tak przypuszczać, pani Ross. To tylko środki ostrożności.

- Mające na celu ochronę kogo? - wypalił Harry. - No słucham - dodał ze złością.

Agenci spojrzeli na siebie i na lekarza, który szybko przeprosił i wyszedł.

- Może poczekałibyśmy z tym do jutra, panie Ross? Wszyscy jesteśmy przemęczeni. To było okropne przeżycie dla was wszystkich - powiedział Raphael.

- Chcę odpowiedzi na wszystkie pytania. Proszę podać mi wszystkie fakty, jakie znacie - domagał się Harry.

- Otrzyma je pan - orzekł stanowczo Ted Andrews. - Daję panu na to moje słowo honoru.

Spojrzenie, jakie Andrews posłał Raphaelowi, dało Harry'emu pewność.

- W porządku. Chodźmy się przespać, Lil.

- Czekaj na państwa samochód, który zawiezie was do mieszkania Elaine. Będzie też czekał jutro i gdy tylko będzie wam potrzebny - informował Raphael. - Gdybyście potrzebowali państwo czegoś jeszcze, proszę tylko zadzwonić pod ten numer - rzekł, podając Harry'emu wizytówkę.

Harry wziął ją, po czym oboje z Lil wstali i ruszyli do wyjścia.

- Dlaczego oni są dla nas tacy mili, Harry? - spytała cicho Lil.

- Ktoś dość wysoko postawiony porządnie coś schrzanił, a my wszyscy padliśmy ofiarą tego matactwa - odparł. - Oto dlaczego.

Lil wzięła głęboki oddech. Bała się niemal usłyszeć więcej.

EPILOG

Elaine nie zamierzała pozostać w szpitalu nawet minutę dłużej, niż to było konieczne. Gdy tylko skończono badania i obserwację, podniosła rąban, że chce wracać do domu i na studia. Odbyła dwie sesje z terapeutką, która Harry'emu i Lil powiedziała, że ich córka jest niezwykle silną osobą.

- To bardzo konkretna i zdeterminowana młoda kobieta - mówiła. - Nikt nie wychodzi z czegoś takiego zupełnie cało, ale myślę, że sobie z tym poradzi. Obiecała mi, że będzie się ze mną spotykała rzadko, ale regularnie, i oczywiście za każdym razem, gdy odczuje taką potrzebę, na pewno znajdzie dla niej czas.

- Chodzimy do terapeutów jak inni ludzie do dentystów - burknął potem Harry. - Skazani na przeglądy mentalne i emocjonalne do końca życia.

- To nic wstydliwego, Harry, zwłaszcza gdy cierpienie w samotności nie jest konieczne.

Nie zamierzał się z nią spierać. Nie zamierzał się spierać z kobietami swego życia już nigdy.

Ted Andrews przyszedł się z nimi zobaczyć dopiero dwa dni po przywiezieniu Elaine do szpitala. Zostawiał wiadomości, obiecując, że spotka się z nimi i wyjaśni wszystko, ale na razie śledztwo jest ciągle w toku. Zaskoczył ich kompletny brak informacji w mediach. Ani słowo o porwaniu nie padło w gazetach, w telewizji ani w radiu. Tak, jakby Elaine została przywieziona do szpitala z zupełnie innych powodów, jakby zwyczajnie zapadła na zdrowiu. Harry miał już wybuchnąć długo tłumionym gniewem, gdy pewnego wieczoru Ted Andrews zjawił się w końcu na szpitalnym korytarzu pod drzwiami pokoju Elaine.

- Jak ona się czuje?

- Chce stąd wyjść. Chce, żeby ją wypisali jutro rano - odparł Harry. - Gdzie się pan podziewał? Nikt nie odpowiadał na moje telefony.

- Czy chciałby pan, żeby Elaine przechodziła teraz przez to wszystko? Czy nie byłoby lepiej, gdyby...?

- Żadnych więcej kłamstw i tajemnic. Elaine zasłużyła sobie na to, by wiedzieć to, co my wszyscy.

- W porządku. Przyjdzie tu ktoś, żeby z państwem porozmawiać. To Jack Bradley, asystent dyrektora. Oczywiście jeśli jest na to odpowiednia pora - dodał Ted Andrews.

- Dobra jak każda inna - odparł. - Czekaliśmy już i tak zbyt długo. Andrews uśmiechnął się.

- Wiem - przyznał. - Zejdę na dół i zawiadomię go.

Harry wrócił do pokoju i powiedział o wszystkim Lil i Elaine.

- Może rzeczywiście Elaine nie powinna słyszeć tych okropieństw, Harry - zasugerowała Lil.

- Nic z tego, co usłyszę, nie może być straszniejsze od tego, co przeżyłam - stwierdziła Elaine, a Lil pokiwała smutno głową. - Może to ty powinnaś stąd wyjść, mamó.

Lil podniosła wzrok. Chętnie opuściłaby pokój, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić.

- Nie - rzekła. - Nie chcę znowu dowiadywać się o wszystkim ostatnia.

Spiorunowała spojrzeniem Harry'ego, który pokręcił tylko głową.

Pięć minut później zjawił się Jack Bradley z Tedem Andrewsem. Bradley wyglądał, jakby właśnie urwał się z jakiegoś oficjalnego spotkania rządowego. Miał na sobie ciemny garnitur i krawat, złotego Rolexa i sygnet z migoczącym diamentem. Czy była to tylko fasada, czy nie, facet robił wrażenie: tak właśnie powinien wyglądać doradca wysoko postawionego urzędnika, pomyślał Harry. Wraz z Lil zajmowali krzesła po prawej stronie córki. Elaine siedziała teraz oparta na łóżku w nowej, różowej koszuli nocnej z otwartym podręcznikiem leżącym na kocu obok niej.

Ted Andrews zrobił krok naprzód.

- Państwo Ross, Elaine, to jest Jack Bradley.

Bradley wyciągnął rękę, a Harry podał mu swoją.

- Miło mi pana poznać, Harry. Z tego, co mówił Ted, dzielny z pana facet. A pani - zwrócił się do Elaine - musi być bardzo silną kobietą. Na pewno chce pani zostać lekarką? Miałbym dla pani etat w FBI - rzekł Bradley ze swym rozbijającym uśmiechem.

- Z całą pewnością chcę zostać lekarzem - odparła Elaine.

Przeniosła wzrok na Lil, która wydeła usta i pokręciła głową, wyrażając w ten sposób swoją niechęć wobec słodkiego i zalotnego zachowania Bradleya.

- Cieszę się, że wszyscy jesteśmy już jak starzy znajomi - zadrwił Harry - ale chciałbym usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań. Jak, u licha,

utrzymywaliście to wszystko w tajemnicy przed mediami? A przede wszystkim, jak coś takiego w ogóle mogło mieć miejsce?

Ted przyniósł Bradleyowi krzesło.

- Dziękuję, Ted. Czy możemy wszyscy usiąść? - spytał Bradley.

- Oczywiście. Możemy siedzieć, stać albo fikać koziołki - powiedział Harry.

On i Lil także usiedli. Ted Andrews zamknął po cichu drzwi i przy nich pozostał.

- Nie muszę chyba wiele mówić o Philipie Stonerze - zaczął Jack. - Był człowiekiem niebywale bogatym i wykorzystał swe bogactwo do manipulacji wymiarem sprawiedliwości. Przeprowadziliśmy ciche, lecz szczegółowe dochodzenie w sprawie tego, co zaszło. Przejdźmy więc do rzeczy: jeszcze przed skazaniem Dirka Stonera jego ojciec rozpoczął procedurę łączącą w sobie szantaż i przekupstwo. Zamieszanych w to było wiele osób w naszym systemie prawnym. To był zdradziecki spisek, doskonale zaplanowany i przemyślany. Ostatecznie został weń wciągnięty więzienny lekarz odpowiedzialny za przeprowadzenie i nadzór nad egzekucją.

- Wykorzystał rzadko stosowany anestetyk i zmanipulował coś przy EKG - wtrąciła Elaine. - Dirk sam mi powiedział.

- Tak. Stoner załatwił też wszystko z domem pogrzebowym. Gdy przybyła trumna, czekał tam już chirurg plastyczny, który zajął się zmianą twarzy Dirka. W trumnie umieszczono inne ciało. Był to, jak sądzę, jakiś bezdomny. Uważamy, że nie jest teraz konieczna ekshumacja zwłok. Tożsamość Dirka Stonera została potwierdzona i nam to wystarczy.

- A gdzie jest jego ciało?- spytał Harry.

- Zostało poddane kremacji - odparł Bradley bez chwili wahania.

- Kremacji? Ale... czy nie będzie wam potrzebne jako dowód w sprawie?

- Nie. Wszystkie główne postaci w tej grze albo nie żyją, albo już się nimi zajęto.

- Jak to?

- Pan Stoner, którym zawładnęła całkiem uzasadniona obsesja na punkcie tajności, kazał wyeliminować niemal wszystkie co ważniejsze osoby. Lekarz, który przeprowadził operację plastyczną, został zamordowany, podobnie jak pracująca z nim pielęgniarka. Prawdę mówiąc - powiedział Bradley, zwracając się w stronę Teda Andrews - to porzucenie jej zwęglonych zwłok na wysypisku śmieci w rezerwacie Indian wciągnęło do śledztwa FBI, a potem agent specjalny Ted Andrews i jego asystent zaczęli wiązać ze sobą pewne wątki, jeszcze zanim się pan do niego zgłosił.

Lil, Harry i Elaine popatrzyli na Teda, który nie zmienił wyrazu twarzy, choć myślał: „Tak, ale ty odsunąłeś mnie od śledztwa przed uprowadzeniem Elaine Ross”. Nie powiedział jednak nic, a oni znów słuchali Jacka Bradleya.

- Tak czy inaczej, Philip Stoner był bardzo wpływowym człowiekiem. Nie muszę chyba wdawać się w szczegóły. Udało mu się przeniknąć do bardzo delikatnej i ściśle tajnej organizacji rządowej, agencji odpowiedzialnej za rządowy program ochrony świadków. Owa agencja spotkała się już z krytyką w Kongresie; znaleźli się ludzie, którzy chcą ograniczyć jej działalność bądź nawet zupełnie ją zlikwidować. Podczas ostatniego przesłuchania zwołanego po tym, jak chroniony świadek zabił sześćcioro ludzi w czterech stanach, działalność agencji miała zostać ograniczona. Jednak jest to program działający pod przykrywką zapewnienia bezpieczeństwa narodowego, a niestety, są tam ludzie, którzy nadużywają władzy. Właśnie jeden z nich postanowił zbić małą fortunę u schyłku swej kariery. Chcę, byście mieli państwo świadomość tego, jak szczerze z wami rozmawiam - ciągnął Bradley głosem o kilka tonów niższym. - Wierzmy, że zasługujecie, by się tego dowiedzieć, lecz wierzmy także, że jesteście ludźmi odpowiedzialnymi i rozumiecie, dlaczego tak istotne dla nas wszystkich jest, by nic z tego, co zostało tutaj powiedziane, nie wyszło poza drzwi tego pokoju...

Zamilkł po tych słowach.

- Ludzie powinni dowiedzieć się, jakim podłym człowiekiem był Stoner - stwierdził Harry. - To powinno się znaleźć na pierwszych stronach gazet w całym kraju.

- Nie sądzi pan, że każdy, kto go znał, był tego świadom, panie Ross? - zapytał Bradley. - Poza tym jaki byłby pożytek z rozpowszechnienia tych informacji? Philip Stoner nie żyje.

- Kto go zabił? - wypalił Harry.

Bradley przeniósł wzrok na Andrewsa, który pozostał niewzruszony i patrzył przed siebie.

- Człowiek nadzorujący program ochrony świadków, z którym skontaktował się Stoner, usiłował wtedy ochronić samego siebie. Program naprawdę przynosi dobre rezultaty, kiedy działa zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Ta sprawa jest dla nas niezwykle żenująca i z pewnością zostaną przeprowadzone przesłuchania za zamkniętymi drzwiami, ale jeśli jakimś trafem te informacje przedostaną się do mediów, inni ludzie objęci programem mogą być narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo, a co ważniejsze, może to zniechęcić do zeznań potencjalnych świadków, którym nie można by już zapewnić bezpieczeństwa. Wiem, że dostrzeżę pan

powagę problemu i rozumie, dlaczego musimy być... dyskretni - dodał Bradley.

- Więc co mamy robić? Udawać, że nic się nie wydarzyło? - mówił Harry z naciskiem.

Jack Bradley nie ulegał. Oparł się, popatrzył na Elaine i uśmiechnął się.

- A jakie jest inne wyjście, panie Ross? Po co narażać pańską córkę na dalsze przykrości i stresy? Czyż media nie dość już wam dokuczyły? Czy nie lepiej pozwolić Elaine wrócić do studiów i do w miarę normalnego życia? Czemu nie pozwolić wszystkim państwu wrócić do normalności?

- To akurat nigdy nie będzie możliwe - rzekł Harry.

- Harry - przystopowała go Lil, kładąc rękę na jego dłoni.

Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach delikatną reprimendę.

Jack Bradley wstał.

- Załatwiłem państwu lot do Los Angeles w dogodnej dla państwa chwili.

- Jest pan pewien, że macie ich wszystkich? Czy jest jeszcze ktoś, kto mógłby zagrażać nam, naszej córce? - spytał Harry.

- Mamy ich wszystkich - zapewnił Bradley. - Nawet ludzi z kliniki weterynaryjnej. - Uśmiechnął się. - Ale większość z nich wyeliminowała się sama.

Podszedł bliżej do łóżka i wyciągnął rękę do Elaine. Elaine podała mu swoją i pożegnali się.

- Jestem pewny, że będzie z pani doskonały lekarz - powiedział. - Powodzenia.

- Dziękuję - odparła.

Ted Andrews otworzył drzwi. Bradley odwrócił się i podał rękę Harry'emu. Harry wstał, spojrzał na Lil i dopiero podał mu swoją.

- Nie będziemy wam już potrzebni, panie Ross, ale jeśli zdarzyłoby się inaczej, osobiście zadbam o to, żeby reakcja na wasze problemy była natychmiastowa - przyrzekł Bradley.

Harry kiwnął głową i popatrzył, jak wychodzą. Ted Andrews zatrzymał się w drzwiach.

- Dziękuję - powiedział Harry. - Czuję, że zrobił pan więcej, niż wymagały od pana rutynowe obowiązki.

Ted uśmiechnął się i wyszedł za Bradleyem. Harry odwrócił się do córki i żony.

- Wracajmy do pracy, tato.

- Dobrze, kochanie - odparł.

Elaine wyciągnęła ręce, a on ujął je w swoje i przytulił ją. Lil zaś objęła ich oboje. Nie odzywali się. Tylko ich oczy napęłniły się łzami.

Kiedy Lil i Harry byli już pewni, że Elaine stanęła na nogi, wrócili do Los Angeles. Niby dwoje światowej sławy pływaków, którzy zbyt długo przebywali z dala od wody, rzucili się w wir pracy, wypełniając dni spotkaniami, zebraniem, pokazami domów. Jeśli chodzi o pracę, był to jeden z najlepszych tygodni od wielu miesięcy, a Lil zaproponowała, żeby nagrali nową reklamówkę dla lokalnej telewizji. Każdy, kto ich zobaczył, twierdził, że odzyskali już swoje dawne ja - znów byli jak Zsa Zsa Gabor i Tim Allen: Lil mówiła o eleganckich gzymsach i pięknej terakocie na podłogach, podczas gdy Harry podkreślał możliwość podłączenia do kranu dodatkowego węża i niskie koszty utrzymania.

Przez jakiś czas Harry nie jeździł na grób Farah. Czuł się jak człowiek, który szuka w sobie odwagi, usiłuje właściwie się ustosunkować, znaleźć odpowiednie słowa. Wreszcie któregoś późnego popołudnia, pokazawszy klientowi dom w Beverly Hills, wjechał na autostradę i udał się na cmentarz.

Był akurat jeden z tych cudownych kalifornijskich wieczorów: przejrzyste, rześkie powietrze, technąca od oceanu bryza, niebo w błękicie i oranżu, pierzaste obłoczki nad horyzontem i Wenus mrugająca obietnicą nocy pełnej jasnych gwiazd i wyraźnych konstelacji.

Harry powoli przeszedł ścieżką i zatrzymał się przed pomnikiem Farah. Przez chwilę stał tam tylko i patrzył, jak zwykł był robić to nie raz, mrużąc oczy i próbując zaprzeczyć wszystkiemu, co mu powiedzieli, ich słowom, rzeczywistości...

Wziął głęboki oddech i spojrzął w bok na rzędy nagrobków, efekt próżnych wysiłków żałobników, by podarować swym utraconym drogim bliskim choć namiastkę nieśmiertelności. Większości grobów nikt już nie odwiedzał, ale może, myślał Harry, na ich szczęście zmarli przestali się interesować żywymi na długo przedtem, nim żywi przestali się interesować nimi.

Powrócił do grobu córki i położył dłoń na pomniku, ale nie błagał o przebaczenie.

- Nie wiem, czemu nie mogłem zrobić dla ciebie tego, co byłem w stanie zrobić dla Elaine - powiedział - ale wiem, że nie jesteś z tego powodu ani zazdrosna, ani nieszczęśliwa. Myślę... Wiem, że jesteś ze mnie dumna. Ona będzie kimś, ta twoja siostrzyczka. Zrobi kiedyś wiele dobrego dla wielu ludzi i *wszyscy* będziemy z niej dumni.

Wziął głęboki wdech i uśmiechnął się.

- Wiesz - mówił dalej - na swój sposób ten potwór oddał mi przysługę. Dał mi okazję do zemsty. To pewnie nieładnie z mojej strony, że się z tego cieszę, ale nie potrafię się okłamywać, kochanie. Czuję się... jakby odrodzony. Wybacz mi. Szepnij za mną słówko u Staruszka, co? Powiedz mu... że po prostu za bardzo cię kochałem.

Spojrzał w niebo, na którym pojawiała się coraz więcej gwiazd.

- Twoja mama da mi bukę, że spóźniłem się na kolację.

Pochylił głowę, pocałował palce i dotknął nimi nagrobka.

Potem ruszył z powrotem.

Wenus miała rację.

To będzie wyjątkowo rozgwieżdżona noc.